

# **COLIN FORBES**

**Bez  
litości**

## Od Autora

Wszystkie występujące w tej książce postacie są wytworem wyobraźni autora i nie kryją się za nimi żadni prawdziwi ludzie. Autor pozwolił sobie w kilku miejscach na swobodne potraktowanie geografii zachodnich hrabstw Anglii, a występujące w książce nazwy wsi i domów są fikcyjne. To samo dotyczy firm oraz niektórych ulic i budynków - one również nie istnieją w rzeczywistości.

## Prolog

Tego dnia Tweed, wicedyrektor SIS, nie miał akurat nic do roboty, co trafiało się niezwykle rzadko. Gdyby jednak był zajęty, być może nigdy nie zostałby wciągnięty w awanturę, która potem zdobyła złą sławę jako sprawa Volkaniana - ani nie musiałby uczestniczyć w dramatycznym rozwoju wypadków. Siedział za biurkiem w swoim gabinecie na pierwszym piętrze gmachu przy Park Crescent i z nudów bazgrał po leżącej przed nim kartce. Obok oparty o ścianę stał Marler, jeden z najlepszych pracowników Tweeda w SIS, rządowej agencji wywiadowczej. Marler wyglądał przez wysokie okno na londyński Regent's Park. Prawa ręka Tweeda, Paula Grey, siedziała za swoim biurkiem i obserwowała szefa. Musi się strasznie nudzić po zakończeniu tej sprawy szpiegowskiej, pomyślała. W tym momencie ktoś zapukał do drzwi.

- Proszę wejść - zawołał Tweed, szybkim ruchem przewracając kartkę na drugą stronę.

Był dobrze zbudowanym mężczyzną w nieokreślonym wieku. Miał szybkie ruchy i rzucał przenikliwe spojrzenia zza okularów w rogowej oprawce.

Do gabinetu wszedł nadinspektor Roy Buchanan, stary kumpel Tweeda z czasów, kiedy razem pracowali w Scotland Yardzie. Uśmiechnął się do Pauli i stanął przed biurkiem Tweeda. Ten wysoki, chudy, energiczny mężczyzna przekroczył już czterdziestkę, ale jego czarne włosy i przycięte wąsy nie zaczęły jeszcze siwieć. Miał na sobie elegancki granatowy garnitur.

- Witam. Proszę, usiądź, Roy. - Tweed wskazał mu miejsce.

- Nie, nie mam czasu. Wpadłem na Boba Newmana, biegnąc

do samochodu na Victoria Street. Powiedział mi, że nie masz nic do roboty. A jesteś mi winien przysługę.

-O co chodzi?

-Mam taką dziwną sprawę. Chciałbym, żebyś ją przejął. Jak zapewne wiesz, czasowo przekazano mi dowództwo nad brygadą antyterrorystyczną. Po prostu urwanie głowy. A teraz...

-A teraz co? - przerwał Tweed.

-Kilka dni temu natknąłem się w Whitehall na dziwnego faceta. Siedział na stopniach przed gmachem ministerstwa. Powiedział tylko: „Byłem świadkiem morderstwa”, nic więcej. Cierpi na amnezję. Całkowity zanik pamięci. Nie odezwał się już potem ani słowem. Wziąłem go do Scotland Yardu na przesłuchanie, ale to nic nie dało. Tego zagadkowego zdania nie powtórzył. Zabrałem go więc do Belli Ashton, która jest jednym z najlepszych psychiatrów w kraju, i zostawiłem na badania...

-Roy - znów przerwał Tweed - wciąż nie wiem, do czego zmierzasz.

-Chcę, żebyś zajął się tym *facetem i zobaczył, czy można coś z niego wyciągnąć*. Ma na imię Michael.

-Zapominasz chyba, że jestem zastępcą dyrektora SIS! - protestował Tweed.

-W zeszłym roku, kiedy pracowałeś nad tą okropną sprawą związaną z wiceprezydentem Stanów Zjednoczonych, musiałeś się znów zamienić w detektywa. Pokazałeś wtedy, że na wiele cię jeszcze stać i że nie zapomniałeś o starych, dobrych czasach w Scotland Yardzie.

-No tak - odezwała się Paula. - Stałeś się gwiazdą, kiedy w czasie pobytu w Stanach wyjaśniłeś trzy zagadkowe morderstwa.

-Paula - burknął Tweed. - Masz wiele talentów, między innymi zawsze potrafisz się odezwać w najbardziej niewłaściwym momencie.

-Zostawiam więc tego Michaela w twoich rękach - powiedział szybko Buchanan. Na biurku Tweeda położył wyjętą z kieszeni ko-

perkę i elegancką wizytówkę. -To wszystko, co będzie ci potrzebne.

-Skąd wiesz, że ma na imię Michael, skoro nic nie mówi?

-Nie wiem. Musieliśmy go jakoś nazwać, a Michael pasowało mi do niego. Nie miał przy sobie żadnego dokumentu tożsamości. Portfela też nie, nic. Z jego kosztownych ubrań ktoś usunął wszystkie metki. Muszę już iść.

Kiedy Buchanan zamknął za sobą drzwi, Tweed walnął pięścią w biurko.

-Niech mnie diabli!

-Całkiem sprytnie zwałił to na twoją głowę - zauważyła sekretarka Monica, siedząca za komputerem przy drzwiach. Miała około pięćdziesięciu lat i pracowała z Tweedem nie wiadomo od jak dawna. Jej brązowe włosy były spięte w kok.

Tweed otworzył niezaklejoną kopertę, którą zostawił na jego biurku Buchanan. Znalazł w niej krótki list polecający do doktor Arabelli Ashton. Na jej obramowanej złotem wizytówce widniał adres na Harley Street, ekskluzywnej ulicy wziętych lekarzy. Tweed westchnął, kiedy nagle drzwi się otworzyły i jeszcze raz pojawił się w nich Buchanan.

-Aha, zapomniałem ci powiedzieć. Twarz Michaela nie jest normalna. Żebyś się nie zdziwił.

-Wielkie dzięki - chciał odpowiedzieć Tweed, ale Buchanana już nie było. List i wizytówkę podał Pauli, która stała już przy jego biurku. Odczytała głośno adres kliniki.

-Lepiej chyba zadzwonić do tej Arabelli, zanim ją odwiedzimy - zaproponowała.

-Nie, po prostu pojedziemy do niej - odpowiedział Tweed.  
- Dziś jest świetny dzień na przejażdżkę.

Mówiąc te słowa, wyglądał przez okno, za którym luty skuwał mrozem ulice. Niebo nad Londynem przykrywały ciężkie, szare chmury i było wyjątkowo zimno. Paula ubrała się odpowiednio do pogody, miała na sobie zimowe buty, kurtkę na futrze i dzinsy. Kiedy Tweed z trudem wbijał się w swój ciężki płaszcz, Paula poszła przekazać Monice adres, pod który zamierzali się udać, ale okazało się, że ta zdążyła już go sobie zapisać, kiedy Paula przeczytała wizytówkę na głos.

Paula, wieloletnia asystentka Tweeda, była szczupłą, niezbyt wysoką kobietą po trzydziestce. Na jej ramiona opadały kruczoczarne włosy. W twarzy o regularnych rysach uwagę zwracały wyraziste niebieskie oczy i stanowczo wysunięty podbródek. W całym SIS była znana jako osoba niezwykle energiczna.

Podbiegła do szafy, z której wyciągnęła dwa nesesery. Były w nich piżamy, bielizna i przybory toaletowe przeznaczone dla niej i jej szefa. Tweed popatrzył na nią sceptycznie.

-Nie będą nam potrzebne.

-Skąd wiesz, dokąd nas ta sprawa zaprowadzi?

# 1

Tweed zaparkował samochód przy końcu Harley Street. Ich celem był jeden ze stojących w szeregu starych i niezmiernie drogich domów. Miał trzy piętra, kamienną fasadę i ciężkie, frontowe drzwi u szczytu krótkich schodów. Kiedy Tweed i Paula wysiadali z samochodu, ulica była zupełnie opustoszała.

-To strata czasu - protestował Tweed wcześniej, kiedy odjeżdżali z Park Crescent, a Paula wkładała ich nesesery do bagażnika.

-Może tak, może nie.

Kiedy stanęli przed drzwiami, Tweed zatrzymał się i rzucił okiem na wiszącą obok błyszczącą, metalową tabliczkę. Chrząknął znacząco.

Napis ARABELLA ASHTON poprzedzały zagadkowe, niewiarogodnie liczne skróty, oznaczające stopnie naukowe i kwalifikacje lekarki. Paula uważnie przypatrzyła się tabliczce.

- Buchanan mówił, że ona jest jednym z najlepszych specjalistów w tej dziedzinie.

Tweed zadzwonił do drzwi. Otworzyła im młoda pokojówka.

-W czym mogę państwu pomóc?

-Pani Ashton nas oczekuje - zablefował Tweed.

Pokazał pokojówce swoją legitymację SIS. Ta najwyraźniej nie wiedziała, co to za dokument, ale i tak zrobił on na niej duże wrażenie. Zaprosiła ich do środka i poprowadziła długim, wąskim holem, wyłożonym białą wykładziną. Pod ścianą stał stylowy stół, a na nim duży wazon ze szwedzkiego szkła pełen sztucznych róż, które wyglądały jednak jak prawdziwe. Czuć tu forszę, pomyślała Paula.

Pokojówka doprowadziła ich do małej nowocześnie urządzonej kuchni, w której wysoka blondynka tuż po czterdziestce

energicznie szatkowała marchewkę. Zbrojna była w nóż o dwóch ostrzach, z których jedno było gładkie, a drugie ząbkowane.

-Ci państwo powiedzieli, że pani ich oczekuje - powiedziała pokojówka drżącym głosem.

-Na pewno nie. Z kim mam - wåtpliwą - przyjemność?

Nie zwalniając tempa, Arabella Ashton skończyła siekać następną marchewkę. Wreszcie odwróciła się i spojrzwała na nich, nie wypuszczając z ręki wielkiego noża. Miała na sobie fartuch w róże. Blond włosy Arabelli były krótko przycięte, a w jej twarzy najbardziej przyciągały uwagę przenikliwe, brązowe oczy, którymi wpatrywała się w Tweeda, zupełnie przy tym ignorując Paula. Miała wystające kości policzkowe, rzymski nos i zmysłowe usta. Tweed inaczej ją sobie wyobrażał. Wręczył jej list od Buchanana i okazał swoją legitymację.

-Rozumiem. Tak jak Roy, jeszcze jeden oficjel.

-Pan Tweed jest zastępcą dyrektora SIS - poinformowała ją Paula.

-Kochana, przecież umiem czytać.

-A to Paula Grey - wtrącił szybko Tweed. - Moja zaufana asy-  
stentka.

-O cóż więc chodzi? - równie szybko zapytała pani Ashton.

-Chciałbym dowiedzieć się od pani jak najwięcej na temat Michaela.

-W takim razie przejdźmy do gabinetu.

Odwróciła się do nich bokiem, żeby zdjąć fartuch. Pod nim miała na sobie sukienkę, która podkreślała jej smukłą figurę. Coś dla Tweeda, pomyślała Paula. Pani Ashton energicznie pomaszerowała holem w głąb domu. Otworzyła drzwi i zaprosiła ich do środka.

Paula omiotła gabinet szybkim spojrzeniem. Okna były zasłonięte grubymi firankami zapewne po to, by widok za nimi nie dekoncentrował pacjentów. Pani Ashton wskazała im obitą skórą kozetkę, pochyloną z jednego końca ku podłodze. Czyżby leżanka dla pacjentów?

- Proszę się tam jakoś usadowić. Coś do picia? Na co mają państwo ochotę?

Jej głos stał się teraz cichy i łagodny, niewåtpliwie atrakcyjny. Tweed podziękował, a Paula poszła za jego przykładem. Usiedli na kozetce.

- Ja muszę sobie strzelić szkocką. Jestem od piątej na nogach.  
- Otworzyła wiszący na ścianie, dobrze zaopatrzony barek i nalała sobie całkiem sporą porcję, którą wypić dwoma szybkimi hau-

stami. - Już lepiej. - Usiadła naprzeciw nich w fotelu i założyła nogę na nogę.

Obcisła, biała sukienka sięgała jej tylko do kolan, nie osłaniając bardzo kształtnych nóg. Pochyliła się ku Tweedowi, wpatrując się w niego z czarującym uśmiechem.

-Przyjaciele mówią mi Bella. Nie znoszę, jak ktoś do mnie mówi Arabella. Zawsze krzyczałam na matkę, kiedy tak się do mnie zwracała. W końcu udało mi się ją nauczyć. Ale teraz nie żyje, podobnie jak mój ojciec. No dobrze, panie Tweed, czego chce pan się dowiedzieć?

-Najpierw proszę powiedzieć, co pani sądzi o Michaelu. Potem chciałbym go sam zobaczyć.

-Powiem panu, co o nim sądzę, ale tu go pan nie zobaczy. Nie ma go już u mnie. Później wyjaśnię. - Zanurzyła się w fotelu, spojrzała na Paulę, a potem znów skierowała wzrok na Tweeda.

- Michael cierpi na całkowitą, pełną amnezję. Nie może sobie nic przypomnieć. Nie wie, kim jest i skąd się tu wziął. Nie wie, jak dotarł na te schody w Whitehall, gdzie znalazł go Roy. Umysł

niczym pusta kartka papieru. Czy Roy powiedział państwu o guzie, którego Michael ma z prawej strony głowy?

-Nie.

-Nie widać go pod czarnymi włosami. Zdaniem policyjnego lekarza Michaela ktoś uderzył, ale równie dobrze mógł sobie tego guza nabić sam przy jakimś upadku. Jestem pewna, że właśnie tu leży przyczyna amnezji.

-A co z koordynacją ruchów? Czy umie się sam ubrać? Jeść? Wykonywać codzienne czynności?

-Owszem, umie. Może to się wydać dziwne, ale amnezja często nie ma wpływu na wyuczone czynności. Widziałam już takie przypadki.

-Jak Michael?

Gęste brwi Arabelli drgnęły. Paula wyczuwała, że tamta dobiera słowa, starając się udzielić dokładnej odpowiedzi.

-Nie, niezupełnie takie same. On jest bardzo dziwny.

-Czy Michael mógłby udawać amnezję?

-Udawać? - odrzuciła głowę i zaśmiała się. - Nie zdołałam z niego wydobyć ani jednego słowa. To dość upiorne.

-A gdzie jest teraz? Wie pani?

-Tuż za rogiem, w Klinice Erewańskiej. Eadley Street siedemdziesiąt dwa. Opiekuje się nim Gregor Saxon, też psychiatra. Pierwsza na lewo od Harley Street, niecałą ulicę dalej.



-Dlaczego jest tam, a nie u pani, jeśli wolno spytać?

-Właśnie pan spytał. Po dwóch tygodniach doszłam do wniosku, że trzeba go stąd przenieść. Nie robiłam z nim żadnych postępów.

-Pieniądze... - podsunął Tweed i zamilkł. Pani Ashton aż się zjeżyła. - Zapewne nie każdy może sobie pozwolić na pokrycie kosztów leczenia w tym miejscu - zasugerował cicho.

-Dwa tysiące dziennie.

-To duża suma. Pani Ashton, byłbym bardzo zobowiązany...

- zaczął Tweed.

-Dla przyjaciół Bella. - Pochyliła się ku niemu z kolejnym kuszącym uśmiechem. - Intrygujesz mnie, Tweed. Być może mogliśmy się spotkać jeszcze raz, w jakichś przyjemniejszych okolicznościach, wieczorem?

-Pomyślę o tym... Bello. Ale naprawdę chciałbym się dowiedzieć, kto płacił za pobyt Michaela tutaj.

-Nie wiem. To wszystko było raczej dziwne. Zadzwoił do mnie ktoś o takim nienaturalnym głosie. Pomyślałam, że może mówi przez jedwabną chusteczkę. Trudno było poznać, czy to mężczyzna, czy kobieta. Kiedy powiedziałam ile, odparł, że będą dostarczać należność co tydzień kurierem. W gotówce. I rzeczywi-

ście, pieniądze docierały. Po dwóch tygodniach znów telefon. Podejrzewam, że ta sama osoba. Zapytała, czy nie znam tańszego miejsca. Zaproponowałam Saxona, który bierze mniej. Po piętnastu minutach ta sama osoba zadzwoniła i poleciła, by przygotować Michaela, którego miała do doktora Saxona zabrać taksówką. Wtedy widziałam go po raz ostatni.

-Powiedziałaś, że był pod twoją opieką dwa tygodnie. Ile czasu spędził u Saxona?

-Dziewięć tygodni. Od czasu do czasu dzwonię tam, żeby zapytać, czy Michael robi postępy. Ale nie robi.

-Bello, ile według ciebie może minąć czasu, zanim on odzyska pamięć?

Zapaliła papierosa i zrobiła nieokreślony ruch ręką.

-Jeśli w ogóle odzyska pamięć, do tego czasu może minąć tydzień, miesiąc, może i pół roku - zachnęła się. - Nie sposób przewidzieć. - Spojrzała na swój wysadzany diamentami zegarek.

-Dziękuję bardzo za poświęcony nam czas i za cenne informacje. Sądzę, że powinniśmy teraz złożyć wizytę panu Saxonowi.

Kiedy Tweed wstał razem z Paulą, Bella zaczęła szperać w szufladzie stolika. Wyciągnęła z niej wizytówkę, którą podała Tweedowi.

- Mam ich cały stos. Nie zamierzam dzwonić do Saxona, żeby uprzedzić go o państwa przybyciu. Rozmowa z nim to żadna przyjemność, choć trzeba przyznać, że jest kompetentny i użyteczny, kiedy zamierzam się pozbyć pacjentów, którymi nie chcę się dłużej zajmować.

Tweed spojrzął na wizytówkę wydrukowaną na tańszym papierze niż wizytówka Belli. Kiedy wkładał płaszcz, Bella pochyliła się ku niemu i włożyła mu jeszcze jedną ze swoich wizytówek do kieszeni na piersi. Paula zauważyła odręczne pismo na odwrocie.

- Odprowadzę państwa. Mam nadzieję, że spotkamy się znowu. Jak mogę się z tobą skontaktować? - Jeszcze raz błysnęła jej kokieteryjny uśmiech.

Tweed wyciągnął z portfela swoją wizytówkę, na której widniał adres firmy General & Cumbria Assurance Co., przykrywką używanej przez SIS. Bella poprowadziła ich hołem ku wyjściu. Szła obok Tweeda, podczas gdy Paula zamykała pochód.

-Zanim zobaczysz Michaela, muszę cię ostrzec, że jego twarz można się przestraszyć. On bardzo dziwnie wygląda. Natomiast doktor Saxon... Nie sądzę, że to jego prawdziwe nazwisko. Prawdopodobnie pochodzi z Armenii albo jednego z tych tajemniczych państweczek na wschód od Turcji. - Uchyliła drzwi, przez które wtargnął do holu mroźny powiew.

-Uwaga na schody - zawołała jeszcze wesoło i zamknęła szybko drzwi.

Tweed otworzył pilotem samochód i podbiegł do niego od strony kierowcy. Paula zajęła miejsce pasażera. Uruchomiwszy silnik, Tweed włączył ogrzewanie i siedział chwilę nieruchomo.

Paula podciągnęła prawą nogawkę džinsów i odsłoniła małą kaburę, w której tkwiła jej beretta. Z torebki wyjęła jeszcze walthera i dwa magazynki, które podała Tweedowi. Ten włożył broń do kieszeni, chociaż popatrzył na nią sceptycznie.

-Pojedziemy tylko do Saxona, a potem wracamy na Park Crescent. Przecież nie udajemy się na wojnę.

-Całą drogę ktoś nas śledził.

-Wiem. Duże, niebieskie volvo z przyciemnionymi szybami. Kiedy parkowałem, przejechało obok nas. Teraz go nie ma. Zdało mi się, że w środku siedzi kilku ludzi.

-Właśnie. Nie sądzę, by to była prosta sprawa. Nie śmieję się. Intuicja mi to podpowiada. Wszystko wydaje się dziwne, nawet złowieszcze.

-Skoro tak mówisz...

Po obydwu stronach Eadley Street wznosiły się szeregi starych domów, ledwie pozostawiając miejsce dla dwóch mijających się samochodów. Pauli wydawało się, że nawet w słoneczny dzień miejsce to pozostałoby ponure. Tweed zatrzymał auto przed domem, na którego przybrudzonej ścianie znajdowała się duża tablica ze stylowym napisem KLINIKA EREWAŃSKA. Paula pokłoniła głową.

- Bella miała rację. Erewan to przecież stolica Armenii.

Pod nazwą kliniki widniał mniejszy napis: DYREKTOR, DR GREGORY SAXON. Paula wskazała nazwisko, niezbyt zachwycona perspektywą opuszczenia ciepłego wnętrza samochodu.

- Gregory. Bella nazywała go Gregor, więc spodziewałam się Niemca.

- Ona go nie lubi. Złośliwie przekreśliła imię.

Paula popatrzyła w okno, wychylając się za Tweeda.

-W domu obok są kraty w oknach, na parterze i piętrach. Część kliniki?

-Wątpię. Mieszkańcy chcą się pewnie w ten sposób ochronić przed plagą londyńskich włamywaczy. Lepiej już chodźmy.

-Żeby znowu się wynudzić jak u Belli? - Dała Tweedowi kukuśnia. - Chociaż ty się tam wcale nie nudziłeś. Czy przyjmiesz za-

prośenie na kolację od tej atrakcyjnej pani? - Uśmiechnęła się kpiarsko.

-Żałuję, że nie zadałem jej jeszcze kilku pytań. Dlaczego tak się ociągamy z przesłuchaniem Saxona? To pewnie ponura atmosfera tej ulicy. Do dzieła.

Paula nie wiedziała, jak bardzo się myli, spodziewając się kolejnego nudnego przesłuchania.

## 2

Drzwi otworzyły się natychmiast po tym, jak Tweed zadzwonił. Ukazał się w nich komicznie wyglądający wielki mężczyzna z wystającym brzuchem. Choć stał przygarbiony, widać było, że mierzy ponad metr osiemdziesiąt. Miał na sobie ciemny garnitur i płaszcz, przewieszony przez lewe ramię. Jego nieruchome oczy były podkrążone, a nos szeroki i bulwiasty. Miał potężne ramiona. Na głowie krzywo sterczał mu szeroki filcowy kapelusz. Mężczyzna sprawiał wrażenie kogoś, kto zupełnie nie przejmuje się tym, jak wygląda.

- Chcielibyśmy porozmawiać z doktorem Saxonem - oznajmił Tweed, okazując legitymację.

Chwila ciszy.

-Stoi przed państwem.

-Ponieważ rozmowa dotyczy pacjenta, może wejdziemy do środka - zasugerował Tweed.

Znów chwila ciszy.

- Może.

Następnie Saxon zmierzył wzrokiem Paulę. Na jego ustach pojawił się uśmiezek, który wcale się jej nie spodobał. Patrzyła mu prosto w oczy beznamiętnym wzrokiem. Wprowadził ich do pomieszczenia, które było najwyraźniej poczekalnią. Pod ścianami stały drewniane krzesła, a obok nich stoliki zawalone ulotkami. Tweed nachylił się, żeby je obejrzeć.

Saxon zatrzasnął nogą drzwi, położył wielkie, lepkie łapsko na ramieniu Pauli, dotykając przy tym jej odsłoniętej szyi, co podobało się Pauli jeszcze mniej niż jego obleśny uśmiezek.

- Tędy, kochana - wyszeptał, prowadząc ją do większego pokoju, którego drzwi otworzył kopniakiem.

Zorientowała się, że wprowadził ją do gabinetu, który urządził zupełnie inaczej niż Bella Ashton. Pośrodku królował duży skórzany fotel, na który padało światło kilku punktowych lamp, włączonych właśnie przez Saxona. Zanim Paula się zorientowała, co się dzieje, psychiatra posadził ją na fotelu. Odruchowo oparła dłonie na poręczach.

- To nieporozumienie! - zawołała.

W tym momencie poczuła, że Saxon zapina jej na nadgarstkach skórzane pasy jak obręcze kajdanek. Nie mogła się ruszyć. Wzięła głęboki oddech i wrzasnęła:

-Zabieraj to z moich rąk! Oszalałeś?!

-Histeria - wyszeptał. Stał przy umywalce, nalewając jakiś płyn z butelki do plastikowego kubeczka. - To cię uspokoi, a ja obejrzę twoje oczy.

Drzwi gabinetu otworzyły się gwałtownie i z impetem wpadł przez nie Tweed. Podbiegł do fotela, rzucił się ku pętającym Paulę pasom, odnalazł zapięcia, pomanipulował sekundę przy każdym z nich i po chwili była wolna. Zeskoczyła z fotela, patrząc wilkiem na Saxona.

-Chyba jesteś nienormalny!

-Zabieram to do analizy - huknął Tweed, wrywając Saxonowi z ręki kubeczek. - O, tamto coś się nada - powiedział, zabierając z półki jakiś pusty pojemnik. Przelał doń zawartość kubeczka i zatrasnął plastikową pokrywkę.

-Nie rozumiem, skąd to całe zamieszanie - odezwał się zdeorientowany Saxon. - W kubeczku znajdowała się mała dawka laudanum, żeby uspokoić tę panią.

-Ależ ja nie jestem pacjentką! - krzyknęła na niego Paula.

-Jeśli nie pani, to kto?

-Ktoś o imieniu Michael - wychrypiał Tweed. - Właśnie dlatego przyjechaliśmy. Przekazała go tu doktor Ashton.

-W takim razie najmocniej przepraszam. - Saxon rozłożył szeroko ręce. - Rozumieją państwo...

-Dość! - warknął Tweed. Złapał Saxona za ramiona i posadził go na tym samym fotelu, z którego właśnie zeszła Paula. - Gdzie jest Michael? - zapytał surowym tonem.

-W swoim pokoju. Właśnie byłem z nim na spacerze. Pacjent taki jak on potrzebuje ruchu.

-Jaka jest pana diagnoza? - kontynuował Tweed tym samym tonem. - Widział pan moją legitymację, proszę nie utrudniać.

-Wszystko, co dotyczy moich pacjentów, jest poufne.

-W takim razie zadzwonimy do Scotland Yardu i będzie pan miał ich na głowie z oskarżeniem o utrudnianie śledztwa i zatajanie dowodów. Paula, masz komórkę?

-Oczywiście. Z kim chcesz rozmawiać? Z nadinspektorem Buchananem?

-Tak.

Saxon, który zdążył już zejść z fotela, przymilnie wskazał im miejsce na kanapie. Na jego twarzy malował się ironiczny uśmiešek.

-Proszę zadawać te swoje pytania - powiedział, sadowiając się na jednym ze skórzanych krzeseł, które zatrzeszczało pod jego ciężarem. - Jestem całkowicie do pana dyspozycji.

-Już zapytałem - odparł lodowatym tonem Tweed. - Interesuje mnie pańska ocena stanu Michaela.

-Wyjątkowy przypadek całkowitej amnezji. - Złożył dłonie i splótł palce. - Michael nie wie, jak znalazł się w Londynie ani gdzie przedtem mieszkał. Po prawej stronie głowy ma dużego gu-

za, prawdopodobnie powstałego w wyniku uderzenia. To przypuszczalnie przyczyna amnezji.

-Czy cokolwiek powiedział?

-Nie, nic. Ani słowa. Potrafi się samodzielnie ubrać i położyć do łóżka. - Tu puścił oko do Pauli. - Aha, przepraszam, potrafi jeszcze korzystać z toalety i jeść. To wszystko. Czy chcą go państwo zobaczyć?

-Tak. I to zaraz.

-Proszę się tylko przygotować...

Paula rzuciła Tweedowi porozumiewawcze spojrzenie. Podobne ostrzeżenie usłyszeli na odchodnym od Belli. Czyżby za chwilę mieli ujrzeć potwora?

Saxon otworzył drzwi w głębi gabinetu i wskazał ręką wysokiego, chudego mężczyznę, który według Pauli mógł mieć około trzydziestu lat. Wstrząsnął nią widok jego nienaturalnie uniesionej głowy i trupia błądź twarży, ale najgorsze były szkliste, niewidzące oczy, które wpatrywały się w nią tak, jakby jej nie było.

Michael miał na sobie kosztowną szarą marynarkę i starannie wyprasowane spodnie. Pod marynarką widać było jasnoszarą ko-

szulę i dobrany do niej krawat. Cały w szarościach, pomyślała. Podo-  
bna mi się. Zerknęła na jego kształtne dłonie. Zawsze zwracała  
uwagę na ręce. -

Włosy Michaela były ciemne, gęste i schludnie przycięte. Wi-  
docznie Saxon zamówił fryzjera. Być może nie jest tak strasznym  
barbarzyńcą, za jakiego go wzięła. Psychiatra ujął Michaela za  
ramię i przyprowadził go do fotela, który odwrócił w kierunku  
Pauli i Tweeda.

Krok Michaela idącego ku fotelowi był sztywny jak krok żoł-  
nierza. Usiadł wyprostowany, tępo patrząc przed siebie. To upior-  
ne, pomyślała Paula. Jakby był robotem. Saxon teatralnym  
gestem wskazał dłonią swego pacjenta.

-Proszę bardzo. Widzą państwo Michaela.

-Mam osobiste pytanie - powiedział Tweed, nakazując ge-  
stem Saxonowi, żeby odszedł od fotela. - Pieniądze. Jest tutaj od  
dziewięciu tygodni, więc ktoś musi płacić za jego pobyt.

-Nie wiem, kto płaci. - Saxon zacisnął wargi i przypatrywał  
się podejrzliwie Tweedowi. - Kiedy przywieziono go od doktor  
Ashton, ktoś do mnie zadzwonił i zapytał, jaka jest moja tygo-  
dniowa stawka. Wymieniłem kwotę, a ta osoba obiecała, że pie-  
niądze będą dostarczane przez kuriera. I rzeczywiście tak jest.  
Kurier przywozi kopertę, w której znajdują się banknoty owinię-  
te w folię i czystą kartkę grubego papieru.

-Z jakiej firmy jest ten kurier?

-Nie mam pojęcia. Jeden z tych na motocyklach. Za każdym  
razem inny.

-Dzwoniła kobieta czy mężczyzna?

-Trudno powiedzieć. Głos brzmiał tak, jakby ktoś mówił  
przez papierową chusteczkę. - Wciąż wpatrywał się w Paulę, któ-  
ra zbliżyła się do rozmawiających. - Nie musimy tu mieć  
żadnych

tajemnic. Michael nic nie rozumie z tego, co słyszy.

-Być może ma pan rację - zgodził się Tweed. - Ale to wciąż  
tylko domysły. Lepiej nie ryzykować. Musimy już iść, doktorze  
Saxon. - Przeszedł przed fotelem, żeby wziąć płaszcz, który  
zosta-

wił na jednym z krzeseł. Zaczął się ubierać, stojąc przed Michae-  
lem, który nagle wstał z fotela, sztywnym krokiem udał się do  
swojego pokoju i zamknął za sobą drzwi.

- Przynajmniej umie się sam poruszać - zauważyła Paula.

Zaraz potem drzwi znów się otworzyły i Michael wyszedł ubra-  
ny w szary płaszcz z karakułowym kołnierzem. Skierował się ku

drzwiom wyjściowym i najwyraźniej zamierzał opuścić klinikę. Tweed rzucił Pauli pytające spojrzenie.

-On chce z nami pójść.

-Nie! - wrzasnął Saxon. - Nie wolno mu! Nie możecie go ze sobą zabrać. Słyszycie?

-Trudno nie usłyszeć, skoro pan ryczy jak bawół.

Tweed myślał teraz bardzo szybko. Saxon szedł na niego, wymachując zaciśniętą pięścią.

-To nielegalne! Jestem za niego odpowiedzialny!

-Czy ma pan pełnomocnictwo członka najbliższej rodziny? Albo list od jego lekarza? - ujmującym tonem zapytał Tweed.

-Nic takiego nie jest mi potrzebne.

-Czyli nie ma pan. I nie zna pan prawa. On jest tutaj na własne życzenie. I wydaje się, że dość ma już pana i pańskiej kliniki. Może robić to, na co ma ochotę.

Odpychając Saxona, ruszył ku drzwiom, które Michael zdążył otworzyć.

- Przepraszam bardzo. - Paula minęła psychiatrę z lodowato uprzejmym uśmiechem.

Kiedy Tweed wyszedł przed budynek, zobaczył Michaela czekającego przy samochodzie, toteż otworzył go pilotem. Michael wszedł do środka, gdy tylko zobaczył błysk świateł sygnalizujących otwarcie. Usiadł na przednim siedzeniu pasażera i zamknął za sobą drzwi.

-Czego on chce? - zapytała Paula.

-No cóż, zaraz się dowiemy. - Tweed otworzył jej tylne drzwi. Paula usadowiła się za Michaeliem. Obchodząc samochód od tyłu,

Tweed zatrzymał się i zlustrował wzrokiem zderzak. Ktoś inny nie zauważyłby przyczepionego tam z boku niewielkiego, srebrnego magnetycznego dysku. Z trudem go oderwał. Podeszedł do otwartego okna Pauli i pokazał jej srebrną tarczkę.

-W ten sposób mogli nas śledzić. Elektroniczna pluskwa, która pokazuje nasze położenie na ekranie komputera. Ci z Wydziału Specjalnego byli na tyle głupi, żeby zastosować sprzęt, którym praktycznie tylko oni się posługują.

Odszedł kilka kroków od samochodu, upuścił dysk na ziemię i zgniótł go obcasem. Pozostałości pluskwy zepchnął do pobliskiej kratki ściekowej.

Wrócił do samochodu i usiadł za kierownicą, obok Michaela. Zapalił silnik i włączył ogrzewanie. Na schodach kliniki stał Sa-



xon, krzycząc coś i machając rękami. Paula znów otworzyła okno.

- Nie zdjął pan jeszcze kapelusza!

Saxon podniósł rękę, odnalazł zmięty kapelusz i zerwał go z głowy. Miał tłuste, czarne włosy, gładko zaczesane na boki. Tweed z trudnością wycofał na wąskiej ulicy i ruszył w kierunku Harley Street.

Ani on, ani Paula nie zdawali sobie sprawy z tego, że rozpoczynają właśnie jedną z najdziwniejszych przejażdżek w życiu.

### 3

Gdzie jest teraz Tweed? - warknął zachrypniętym głosem Abel Gallagher.

Siedział w niewygodnym fotelu w swoim biurze, znajdującym się na pierwszym piętrze kwatery głównej Wydziału Specjalnego, w bocznej uliczce odchodzącej od Whitehall. Drzwi wejściowe tego budynku były wykonane ze stali pancерnej, podobno zdolnej wytrzymać nawet wybuch bomby. Wydział Specjalny był rządowym organem bezpieczeństwa, a Gallagher jego nowym szefem. Ten solidnie zbudowany mężczyzna o srogiej twarzy wzbudzał strach u licznych podwładnych. Zimnymi, niebieskimi oczami wpatrywał się nad biurkiem w Jeda Harpera, jednego ze swoich ludzi, na którego okrutnej twarzy malowało się teraz tylko zdenerwowanie. Gallagher stracił cierpliwość, nie doczekawszy się odpowiedzi.

-Rozumiem, że zamocowałeś lokalizator na tylnym zderzaku samochodu Tweeda, zaparkowanego przed jego biurem?

-Tak, własnoręcznie - zapewnił Harper.

-To dlaczego, do diabła, nie ma go teraz na ekranie?

Na ścianie wisiały dwie mapy komputerowe, jedna z nich przedstawiała Wielką Brytanię, a druga, bardziej szczegółowa, Londyn. Elektroniczny dysk, o który właśnie zapytał Gallagher, powinien być widoczny jako czerwona kropka i pokazywać dokładne położenie samochodu Tweeda w czasie postoju i w ruchu. Harper zwilżył usta i wziął głęboki oddech.

-Sam mówiłeś, że był na ekranie, kiedy Tweed parkował na Harley Street. Na wszelki wypadek jechaliśmy za nim volvo. Przejechaliśmy obok, kiedy się zatrzymał...

-I gdybyście nie byli idiotami, to zatrzymalibyście się dalej na tej samej ulicy.

-Abel, przecież na Harley Street nie ma w ogóle ruchu.  
-Wiem, że tam nie ma ruchu. Zamierzam uczynić Wydział Specjalny najważniejszą ekipą w tej branży. Nie rozumiesz, że Tweed jest jedynym człowiekiem w SIS, który może mi przeszkodzić? Nie wiedziałeś? To teraz wiesz. Masz mi go zlokalizować. Wykorzystaj kamery kontrolne na wszystkich autostradach wychodzących z Londynu. Jeśli opuścił miasto, to jedna z nich na pewno to zarejestrowała. Pomyślałeś o tym?

-Nie...

-Właśnie. I jeszcze jedno. Następnym razem, gdy się do mnie odezwiesz, masz mówić „panie dyrektorze”. Być może będziemy też musieli pomyśleć o sposobie na unieszkodliwienie Tweeda - dodał, zapalając cygara.

-Unieszkodliwienie? Przecież to zastępca dyrektora SIS.

-W głosie Harpera słychać było przerażenie.

-No tak, i w dodatku jest w dobrych stosunkach z premierem, który może poprosić go o opinię na temat planu zacieśnienia współpracy pomiędzy Wydziałem Specjalnym a SIS. Tweed będzie go przekonywał do zablokowania tego projektu. Nie możemy

sobie na to pozwolić, prawda? - Gallagher mówił teraz poufałym tonem i nawet się uśmiechnął.

-Pojadę już lepiej sprawdzić te kamery. - Harper najwyraźniej chciał jak najszybciej opuścić biuro.

-Kiedy go zlokalizujesz, pędź w to miejsce, a potem jedź za nim. Weź nieoznakowany samochód. I nie spadnij ze schodów, jak

będziesz stąd wychodził. Masz mi złapać tego sukinsyna.

Gdy tylko za Harperem zamknęły się drzwi, Gallagher sięgnął pod biurko i przesunął znajdującą się tam dźwignię. Jeden ze stopni w połowie drewnianych, schodów, którymi schodził Harper, miał się teraz obsunąć pod ciężarem jego stopy. Po chwili dał się słyszeć okrzyk i łoskot spadającego ze schodów ciała. Gallagher zachichotał złośliwie, wstał zza biurka i otworzył drzwi.

U stóp schodów podnosił się z podłogi Harper. Stukł sobie przy upadku prawe ramię. Gallagher przypatrywał mu się z góry, puszczając kłęby dymu z cygara. Schodek, który odwrócił się o dziewięćdziesiąt stopni, kiedy stanął na nim nieświadomy niczego Harper, automatycznie powrócił do normalnego położenia. Obok Harpera stał grubas w kombinezonie roboczym i uśmiechał się ironicznie.

- "Jed - ryknął Gallagher - marnujesz czas!

- Poślizgnąłem się na schodach...
- Przecież cię ostrzegałem. No już, ruszaj się, do cholery. Zaczekał, aż rozcierający obolałe ramię Harper wyjdzie z budynku. Potem zawołał do człowieka w kombinezonie.
  - Carson, przestaw mechanizm trzy stopnie wyżej.
  - To będzie już bardzo wysoko, panie dyrektorze. Jeszcze skręci sobie kark.
  - Wtedy damy kogoś innego na jego miejsce.

## 4

Kiedy Tweed dojechał do końca Eadley Street i zamierzał wjechać w Harley Street, Michael gwałtownym gestem nakazał mu skręcić w prawo. Tweed i tak zmierzał właśnie w tym kierunku. Paula, zdziwiona, spojrzała na Michaela, ale doszła w końcu do wniosku, że doktor Saxon prowadził go tą trasą w czasie spaceru.

Naprawdę zdziwiła się dopiero wtedy, kiedy dotarli do Oxford Street. Tweed powinien tu skręcić w lewo, żeby wrócić na Park Crescent, ale Michael uparcie domagał się, żeby znów pojechać w prawo. Tweed włączył więc prawy kierunkowskaz i ruszył w tę stronę. Paula była już nie na żarty zaniepokojona raptownymi gestami pasażera oraz posłuszną reakcją Tweeda. Co się dzieje?

Dotarli do autostrady M4, potem do M25, wielkiej obwodnicy Londynu. Na węzłach i rondach Michael wskazywał drogę pewnym ruchem dłoni. Paula przesunęła się na siedzeniu tak, że mogła obserwować oczy Tweeda w lusterku wstecznym. Cóż on, do diabła, robi? Uniósł tylko brwi, jakby chciał powiedzieć: Zobaczmy, dokąd tak dojedziemy.

Następnie wjechali na M3. Byli już dość daleko od Londynu i autostrada biegła pośród przykrytych śniegiem pól, kiedy Paula zobaczyła wielką fabrykę firmy Gantia. Tweed musiał zatrzymać samochód, ponieważ policja kierowała ruchem wokół przewróconej ciężarówki. Fabryka była niemal piękna, owalny budynek pomalowany na bładozielono. Otaczały ją szpalery jodeł, które rosły również na dachu, zamienionym w wielki ogród. Paula wyjęła aparat fotograficzny i zrobiła kilka zdjęć.

-Taka wielka i świetnie zaprojektowana - zauważyła.

-On ma supermarkety w całym kraju - odpowiedział Tweed.

-Kto?

- Drago Volkanian, właściciel. Ma również fabrykę zbrojeniową, której położenie jest utajnione. Maklerzy w City z radością powitaliby go na giełdzie, to znaczy akcje jego firmy. Podobno szłyby w górę jak rakieta. Ale Volkanian nie ma na to ochoty. Osobiście kontroluje całe swoje imperium. Niezwykły człowiek.

~ Skąd wiesz, znasz go?

Policjant nakazał Tweedowi ruszać. Jechali autostradą M3 z największą dozwoloną prędkością, coraz bardziej oddalając się od Londynu. Paula pochyliła się do przodu i powtórzyła swoje pytanie.

-Nie, nigdy go nie spotkałem - odpowiedział Tweed. - Ale słyszałem o nim od ludzi, którzy mieli tę przyjemność. Przytłaczająca *osobowość*.

-Przytłaczająca? W jaki sposób?

-Zaraz...

Zbliżali się do węzła numer osiem. Michael nerwowo wskazywał Tweedowi zjazd z autostrady, skierowali się w prawo ku drodze A303. Jechali teraz na południowy zachód ku West Country, krainie obejmującej odległe południowo-zachodnie hrabstwa Anglii. Tuż przed zjazdem z A3 Paula zauważyła unieruchomiony samochód i wystawione trójkąty ostrzegawcze. A303 była drogą dwupasmową i Tweed mógł się nią posuwać naprawdę szybko. *Minęli* Andover i kontynuowali swoją dziwną podróż.

Gallagher odebrał telefon natychmiast po dzwonku. W słuchawce usłyszał głos Jeda Harpera.

-Panie dyrektorze, znalazłem Tweeda. Złapała go ostatnia kamera na A3, mamy numer rejestracyjny jego samochodu - opowiadał zadowolony z siebie Harper.

-I co, jedziesz za nim?

-No... nie, już nie. Samochód mi się zepsuł na jakimś pustkowiu. I teraz...

-Zlokalizowałeś go, a potem zgubiłeś, idioto. Naprawiaj samochód.

-Nie znam się na tym...

-Na niczym się nie znasz! - wrzeszczał Gallagher. -Więc teraz nie masz pojęcia, gdzie on może być?

-Wiem, gdzie może być. Widziałem, jak skręcał na drogę A303.

-A303! Do diabła! Ilu ma ludzi w samochodzie?

-Nie zauważyłem, bo przejechał obok mnie bardzo szybko, a potem zjechał na A303...

Gallagher rzucił słuchawką. Ta droga biegła ku West Country, południowo-zachodnim hrabstwu Anglii. Czego Tweed może szukać na głuchej prowincji?

Tuż przed miasteczkiem Wyllye Michael znów nakazał gestami, żeby za rondem kontynuować jazdę drogą A303. Paula przesunęła się na swoim siedzeniu, żeby w lusterku obserwować wyraz twarzy Michaela, kiedy ten wskazywał drogę. Zobaczyła znów dziwnie bladą twarz i nieruchome oczy. Trupio blada twarz. Jak u ducha. Właśnie tak go przeżywała w myślach - Duch.

Paula była zazwyczaj osobą opanowaną, szczególnie w sytuacjach kryzysowych, kiedy działała beznamiętnie i przytomnie. Ale teraz przepelniała ją irytacja. Co, u diabła, robi Tweed? Daje się prowadzić człowiekowi, który całkowicie stracił pamięć? Jedzie w nieznane.

-Wydaje mi się, że wciąż za nami leci jakiś mały samolot ■ - odezwała się w końcu. - Pierwszy raz go zauważyłam, kiedy minęliśmy fabrykę Gantii. Wciąż jest nad nami, po twojej prawej stronie.

-Może - sceptycznym tonem odpowiedział Tweed. -Tutaj lata pełno takich samolotów. W okolicy jest dużo prywatnych aeroklu-

bów. Ich samoloty są do siebie podobne.

-Niech ci będzie.

Nie odezwała się już aż do Honiton, gdzie zatrzymali się, żeby coś przekąsić w dość obskurnym barze. Paula zmusiła się do zjedzenia obrzydliwego jajka w koszulce na grzance. Tweed zamówił dla Michaela dwa jaja sadzone, bekon i smażone pomidory oraz grzanki. Michael łączywie pochłonął zawartość swojego talerza, wypił trzy kubki herbaty, a potem wstał i zniknął za drzwiami barowej toalety. Paula skorzystała z tej okazji.

-Tweed, co ty robisz? Oszalałeś?

-Pamiętasz, co powiedział Buchanan? Jedyne zdanie, które wypowiedział Michael, brzmiało: „Byłem świadkiem morderstwa”. - Tweed zaakcentował te słowa. - Buchanan ma za dużo oleju w głowie, żeby się zajmować jakimś wariatem. Widział Michaela mówiącego te słowa i był pod takim wrażeniem, że zabrał go do psychiatry, i to dobrego. Buchanan uwierzył w to, co powiedział Michael.

-Myślałam już o tym. Może Michael powiedział, że kiedyś, dawno był świadkiem morderstwa.

-Sądzę, że nie masz racji. Dobrze znasz Buchanana. Zawsze

mówi dokładnie to, co usłyszał. Musimy pojechać tam, gdzie nas prowadzi Michael. Potrzebny nam jakiś trop.

-Ale jeśli on ma zupełną amnezję, jak może pamiętać drogę, którą nas prowadzi? To podejrzane.

-Nie można wykluczyć, że w przeszłości tak często nią jeździł, że nie ulotniła się z jego pamięci. Cicho, już wraca.

-Dobrze, że wyjechaliśmy od razu - wyszeptwała. - Zaraz zacznie się robić ciemno.

Prawie cały czas jechali wśród szarozielonych pól, które ciągały się po obu stronach drogi. Od czasu do czasu widzieli zagony brązowej ziemi, świeżo zaoranej przed wiosną.

- Nie ma już śniegu! - zawołała Paula, kiedy zbliżali się do Exeter.

Kłębiące się szare chmury zdawały się miejscami dotykać ziemi. Skomplikowane, wciąż nieme wskazówki Michaela zaprowadziły ich na drogę A38, omijającą Exeter. Nie było jeszcze zupełnie ciemno i na północy Paula zauważyła na horyzoncie płaskowyż Dartmoor. Pustą, porośniętą wrzosowiskami wyżynę pokrywał śnieg i złowrogi biały ogrom wydawał się panować nad resztą krajobrazu.

-Powinnam była jednak trzymać język za zębami - skomentowała Paula. - Tam musiało nieźle napadać.

-To okolica słynna ze zdrażliwej pogody - odrzekł Tweed. - Kiedy byłem jeszcze policjantem i pojechałam tam na wakacje z żoną, chodziliśmy trochę po Dartmoor. Z dala od zgiełku Londynu

mogłem przynajmniej trochę w spokoju pomyśleć.

Tweed jechał dalej drogą A38, aż, ku jego zaskoczeniu, Michael znów gestem nakazał skręcić w prawo. Zjechali z ruchliwej szosy w boczną drogę, biegnącą prosto na północ ku Dartmoor. Z obu stron otaczały ją żywopłoty. Spojrzał na Paulę w lusterko wstecznym.

-Tędy można dojechać tylko do jednej miejscowości. Post Lacey, małej wsi na skraju Dartmoor. Wątpię, czy bardzo się zmieniła od czasu, kiedy ostatni raz tam byłem.

-A co jest dalej?

-Dartmoor.

Nazwa ta zabrzmiała złowieszczo.



## 5

Post Lacey było małą osadą, w której kamienne domy stały po obu stronach drogi. Poza tą drogą Paula nie zauważyła żadnych innych ulic. Po zapadnięciu zmroku chmury znikły i po polach rozlał się blask księżyca. Minęli kilka bardzo starych domków, w których oknach paliły się światła, a potem pub o nazwie Little Tor. Michael szturchnął kierowcę, dając znak, żeby się zatrzymać.

Z pubu wyszedł im na spotkanie niski, łysy mężczyzna z promiennym uśmiechem na twarzy. Podał Tweedowi powykręcaną reumatyzmem dłoń, a potem z zainteresowaniem zaczął się przyglądać Michaelowi, który wysiadłszy z samochodu, zaczął wymachiwać ramionami, żeby rozprostować kości.

- Alf Garner, do usług - powitał ich właściciel pubu. - Pan szanowny pewnie nie myślał tu spotkać cockneya z Londynu. Ślubna i ja żeśmy się tu przeprowadzili dziesięć lat temu. Co by się wynieść z tego cyrku, w jaki zamienili nasze miasto. Wpierw żeśmy nazwali ten pub „Zielona Sowa”, ale miejscowe nie lubili takiej nazwy. Ani troszeczkę. Więc żeśmy zmienili znak na THE LITTLE TOR, czyli Skalka, żeby było bardziej po tutejszemu.

Tweed obserwował w tym czasie Michaela, który zaczął iść ulicą ku jej końcowi, gdzie przechodziła w szeroki górski szlak.

-Dokąd zmierza ta droga?

-Na wrzosowisko.

-Czyli donikąd?

-A jak! Dawno temu na wrzosowisku kopali cynę, ołów i miedź. Bogaci narobili kopalni i zwozili rudę wozami, a teraz zo-

stał szlak.

-Czyli naprawdę nigdzie się tamtędy nie dojdzie?

-Dojdzie się. Na górze, na końcu szlaku jakiś bogacz wybudował sobie wielki dom. Kiedyś były tam ruiny klasztoru, ale on zrobił z nich wspaniałą pałac. Nazwał go Abbey Grange.

-Jak się ten bogacz nazywa?

-No właśnie, nie pamiętam. Nigdy nie mogę go sobie przypomnieć, ale brzmi jakoś tak jak Wulkan czy coś...

-Drago Volkanian?

-O właśnie. - Garner klepnął się po biodrze, przykrytym skórzaną kamizelką. -Właśnie tak. Nie widziałem faceta już kawał czasu.

Patrzył na Michaela, który sztywno kroczył teraz szlakiem. Paula złapała Tweeda za rękaw.

-Chodźmy, bo go zgubimy.

-Panie Garner, musimy już iść - powiedział Tweed. - Nie chcemy, żeby on nam zniknął.

-No pewnie, zniknąć to on wam może. Gonicie go? Trzymajcie się szlaku. Jak się z niego zejdzie, można po szyję wylądować

w bagnie. Na wrzosowisku pełno moczarów, bardzo niebezpiecz-

nie. Jak w takie wleziecie, to już nikt o was nie usłyszy.

-Myślę, że musimy się pospieszyć - niecierpliwie wtrąciła Paula.

-Pan wybaczy, panie Garner - zęgnął się Tweed, podając jeszcze raz rękę właścicielowi pubu.

-O, pan szanowny popatrzy, to moja ślubna, Molly, stoi w drzwiach. Nie chcieliby szanowni państwo czegoś do picia, czegoś ciepłego do jedzenia?

-Proszę jej od nas podziękować. Nasz znajomy może się sam zgubić.

-Tylko trzymajcie się szlaku. I uważajcie na moczary. Zielone bagno, prawdziwe świństwo. Pan szanowny to weźmie...

Podał Tweedowi kij do chodzenia po górach. Tweed podziękował i dogonił Paulę, która ruszyła już za Michaeliem. Garner pobiegł za Tweedem i złapał go za rękaw.

-Jeszcze jedno. Całymi dniami lało, zanim spadł śnieg. Ziemia może się wam obsunąć pod nogami. Wrzosowiska zapadają się, mo-

że się szanownemu państwu wydawać, że to małe trzęsienie ziemi.

-Jeszcze raz dziękuję - odparł Tweed.

Było przeraźliwie zimno. Tweed zauważył, że Paula pociera dłońmi o siebie, mimo że miała na nich rękawiczki. Dziękowała Bogu, że włożyła grube skórzane buty i kurtkę na futrze. Sylwetka Michaela majaczyła daleko z przodu. Maszerował jak żołnierz, trzymając się szerokiego szlaku.



Wkrótce zostawili wieś za sobą. Szlak wspinał się coraz wyżej na opustoszałe i pęsejne wrzosowisko.

Paula rozglądała się na wszystkie strony, starając się dotrzymać kroku Michaelowi, który nawet nie oglądał się za siebie, jakby nie obchodziło go już, czy Tweed i ona są przy nim. W świetle księżycy było widać, że szlak robi się coraz bardziej stromy. Wydawało się jej, że cała połać Dartmoor wznosi się od południa ku północy. Pustkowie było pokryte wrzosem i krzakami kolcolistu, częściowo zanurzonymi w śniegu. Wkrótce dogonił ją Tweed.

-Śnieg chyba zaczął topnieć - zauważyła. -I nie jest już tak zimno, temperatura się podnosi.

-Też rai się tak wydaje. Pałacu Volkaniana wciąż nie widać, prawda?

-Sądzisz, że to właśnie tam zmierza Michael?

-Garner powiedział, że ten szlak do niego prowadzi.

-Mówiłeś, że Drago Volkanian jest Ormianinem. Pani Ashton twierdzi, że ten dziwny doktor Saxon też nim jest. Widzisz tutaj jakiś związek?

-Nie mam pojęcia. Dochodzimy do końca tej części Dartmoor, którą znam ze spacerów z żoną w czasach, kiedy jeszcze pracowałem w Scotland Yardzie. Jak wiesz, uciekła potem ode mnie z greckim milionerem. He to już czasu...

-Nie pomyślałeś o tym, żeby wziąć z nią rozwód? - delikatnie zapytała Paula.

-Za dużo komplikacji. Zresztą nie wiem nawet, gdzie ona teraz jest. Od lat nie miałem od niej żadnych wieści. Wsiadła na jeden z jachtów tego Greka i odpłynęli do Buenos Aires. I tyle.

Wspięli się na wysoki pagórek, za którym szlak łagodnie opadał po to, żeby dalej jeszcze raz się wznieść. Tweed wskazał ręką w prawo.

-Tam jest ładna dolina. W tych stronach określa się je mianem *combe*, to stare słowo w dialekcie hrabstwa Devon.

-Patrz, ktoś zrobił bałwana przy szlaku, a Michael przeszedł obok i nawet nie spojrział. Nie pomyślałabym, że dzieci zapuszczają się tak daleko.

Kiedy doszli do bałwana, Tweed uderzył go w głowę kijem. Śnieżna kula spadła na ziemię, odsłaniając ludzką czaszkę.

- O Boże! - wyjąkała przerażona Paula.

Czaszka wciąż znajdowała się na kręgosłupie. Nagle poczuli, że osunęła się pod nimi ziemia, a czaszka wydawała się unosić wyżej i uśmiechać szyderczo. Jej ohydę potęgował kołtun brązowych wło-

sów, które trzymały się jeszcze z prawej strony. Tweed wyjął z kieszeni płaszcza latarkę i oświetlił nią makabryczne znalezisko.

Kolejne uderzenia w śnieżną skorupę odsłoniły tors. Z jednej strony klatki piersiowej pozostało trochę zamrożonego ciała, co wydało się Tweedowi dziwne. Pochylił się nad szkieletem i zobaczył coś, co kazało mu zacisnąć usta.

-Co się stało?

-Nadpiłowano czymś kręgosłup, ale nie przecięto go do końca. Dlatego czaszka wciąż trzyma się szyi. To znaczy, że...

-Morderstwo - wyszeptła Paula.

-Potrzebny mi twój telefon komórkowy.

-Masz.

-Musimy też oznaczyć to miejsce czymś jasnym, widocznym z powietrza.

Paula zdjęła swój szeroki czerwony szal. Rozłożony na ziemi miał rozmiary flagi. Tweed obciążył go kamieniami, a potem wziął telefon i spojrzał na Paulę, wybierając numer.

- Dzwonię do Buchanana. Przyleci tu śmigłowcem ze swoimi ludźmi. Ty goń Michaela, bo go zgubimy. Masz broń? - spytał nagle. - Oczywiście, że masz.

Włożyła rękę do torebki i wyjęła z niej browninga kalibru dziewięć milimetrów, którego trzymała tam w specjalnej, wygodnej kaburze. Schowawszy broń, wyciągnęła z torebki aparat fotograficzny.

- Jeszcze jedna rzecz. Ta makabra może się rozpuścić, zanim dotrze tu Buchanan.

Zrobiła kilka zdjęć specjalnym aparatem, niepotrzebującym lampy błyskowej, wynalazkiem ekspertów z siedziby SIS na Park Crescent. To, co zobaczyła przez wizjer, nie było przyjemnym widokiem. Gdy Tweed rozmawiał przez telefon, schowała aparat do torebki i ruszyła za Michaela, który był już małą figurką, wspinającą się na stok po drugiej stronie doliny.

Zanim go dogoniła, popatrzyła jeszcze na zdjęcia w świetle trzymanej w ustach latarki. Jedno z nich było szczególnie okropne. Przykryła je dłonią tak, że widziała tylko jedną stronę głowy, na której strzępy skóry i mięśni przykrywały zęby wykrzywione w potwornym uśmiechu. Wsunęła zdjęcia do koperty dowodowej, odetchnęła głęboko i pobięła za Michaela.

W miarę jak topniał śnieg, wrzosowisko wyglądało coraz groźniej, ukazując złowieszcze połączenie mokradeł, które zdawały się otaczać je ze wszystkich stron. Widać było też skały, sterczące

jak smocze zęby. Poczula niemal ulgę, że ma towarzystwo, kiedy dogoniła Michaela i zaczęła iść jakieś dziesięć kroków za nim. Musiał usłyszeć jej kroki, kiedy biegła, ale nie obejrzał się ani razu, tylko maszerował żołnierskim krokiem.

Wkrótce dogonił ich również Tweed. Niedawno oboje odbyli polowy trening w hrabstwie Surrey. Młodszy oficer szkoleniowy imieniem Nick przejął zadania starszego Serge'a, który był akurat na urlopie.

- Wykończę cię! - wrzasnął na nią, kiedy pierwszy raz się zobaczyli.

I wcale nie żartował. Wyciągnięto ją z łóżka o siódmej, zagoniono pod prysznic; miała pięć minut na to, żeby się umyć i ubrać, a dalsze dziesięć, by zjeść śniadanie. Potem odziana w nowy strój treningowy wyszła za Nickiem na zewnątrz, gdzie rozciągał się wielki poligon.

- Masz godzinę na przebiegnięcie toru, a ja będę cały czas za tobą - poinformował ją Nick. - Teraz mila biegu, a potem zaczynamy przeszkody.

Było to okropne doświadczenie, ale kiedy wróciła na Park Crescent, czuła się znacznie sprawniejsza fizycznie. Niezwykłą kontynuacją tej historii było to, że tydzień później Tweed wyjechał na to samo szkolenie i również udało mu się przez nie przejść.

Nie dziwiła się więc, że Tweed pędził jak szalony i wkrótce ją dogonił. Przed nią rozciągał się stromy stok, u jego stóp szlak przecinał szeroki strumień, przez który prowadził trzyprzęsłowy most wybudowany z wielkich płyt nieociosanego kamienia. Paula zatrzymała się, kiedy Tweed ją dogonił.

- W tych stronach takie mosty nazywa się dudniącymi. Zbudowano je w zamierzchłej przeszłości z ogromnych bloków granitu.

Michael szybko przekroczył most, mimo że błyszczące w blasku księżyca płyty musiały być śliskie. Paula obawiała się chwili, kiedy sama będzie musiała po nich przejść. Nagle spojrzała w prawo i wskazała coś wyciągniętą ręką.

-O, znowu ten samolot. Wciąż za nami leci.

-Powiedziałem ci przecież, że w tej okolicy roi się od takich samolotów.

-Tweed! - przerwała mu. - Jestem pewna, że właśnie ten samolot krążył nad nami jeszcze przed Exeter. I widziałam go przez

cały czas potem. - Chwyliła go za ramię. - O Boże! Zaraz uderzy w skałę na tamtej grani!

Z zapartym tchem wpatrywali się w samolot.

-Zaraz się rozbije - szepnęła Paula.

-To rzeczywiście niebezpiecznie wygląda - zgodził się Tweed.

- Mam nadzieję, że pilot nie...

Samolot poleciał dalej, znikając za wielkim, skalistym grzbie-tem góry. Pilot najwyraźniej zauważył przeszkodę. Paula ruszyła dalej, rzucając bojaźliwe spojrzenia w kierunku dudniącego mo-  
stu. Nie podoba mi się to, pomyślała. Zaciskając zęby, weszła na pierwszą z kamiennych płyt, a kiedy przekroczyła most, poczuła, że serce ma gdzieś w okolicach gardła. Odwróciła się, żeby spoj-  
rzeć na Tweeda, który spokojnie pokonał niebezpieczny odcinek drogi. Kiedy znów ruszyli za Michael'em, który zwolnił kroku, Tweed zaczął mówić, nie zatrzymując się.

-Buchanan leci tutaj śmigłowcem. Ma ze sobą techników śledczych i profesora Saafelda, patologa. Mówi też, że zapomniał dać mi coś ważnego i teraz to przywiezie.

-Wyraża się tak, jakbyś to ty prowadził tę sprawę. W dodatku teraz mamy tu morderstwo.

-To wszystko robi się intrygujące. Otóż i Abbey Grange.

Wskazał na niezbyt odległy ostatni już grzbiet górski, odcina-  
jący się od rozświetlonego księżycem nieba. Na jego szczycie Paula mogła dostrzec niewyraźny zarys długiego, dwupiętrowego domu z mansardowym dachem. Budynek, kryjówka Volkaniana, wydawał się bardzo stary. Tweed wskazał ręką na szczyt po pra-  
wej stronie.

- To Hook Nose Tor. Sześćset metrów. Widok ze szczytu musi być teraz wspaniały.

Jeśli chcesz, to włącz tam sam, pomyślała Paula. Nie podobało jej się tu. Rzucając wokół siebie spojrzenia na niekończący się obszar wrzosowisk, czuła narastający lęk.

Im dalej szli, tym bardziej nieprzyjazne wydawało się Dart-  
moor. Nie mogła również wyrzucić z pamięci szkieletu i fotogra-  
fii, które zrobiła temu nieszczęśnikowi przy szlaku. Była prawie pewna, że ofiara była mężczyzną.

Abbey Grange zbudowano z granitu, częściowo wykorzystując stojące tu wcześniej ściany opuszczonego klasztoru. Spozrzegli światło w oknach przeszklonych jak witraże szybkami w ołowia-  
nych ramkach. Szerokie schody wiodły na taras, biegnący przez całą długość domu. Paula zauważyła, że budynek jest zadbane, a u szczytu schodów stoją dwie donice, w których rosną iglaste krzewy przycięte w kształt wykrzykników.

Michael wbiegł po schodach, teraz stał przed masywnymi drzwiami wejściowymi i walił w nie żelaznym pierścieniem kołatki. Tweed podbiegł do niego, a za nim ruszyła Paula. Jeszcze u stóp schodów zobaczyła wysoką dzwonnice z lewej strony domostwa. Masywne drzwi otworzyły się do środka.

W świetle staromodnych lamp, wiszących na ścianach w środku, zobaczyli w drzwiach wysokiego, młodego mężczyznę. Miał porządnie uczesane, czarne włosy i uśmiechał się. Pauli od razu spodobał się jego wygląd. Uśmiech na twarzy mężczyzny ustąpił miejsca osłupieniu.

- Michael! - zawołał. - Co się z tobą działo, do diabła? Tym razem nie było cię trzy miesiące!



## B

Tweed stał nieruchomo. Z zaciekawieniem zaglądał do przestronnego holu, którego sufit przytrzymywały dębowe belki, a podłogę pokrywał wielki dywan. Michael przeszedł obok mężczyzny, który otworzył drzwi, i skierował się ku szerokim drewnianym schodom, wiodącym na półpiętro.

U stóp schodów zatrzymał się. Położył dłoń na końcu poręczy, wyrzeźbionym w kształt ludzkiej głowy. Odczekawszy chwilę, ruszył schodami w górę, doszedł do podestu, skręcił w prawo i zniknął za ścianą. Usłyszeli dźwięk przekręcanego w zamku klucza, skrzypienie otwieranych i zamykanych drzwi, a potem szcęk zamykanego zamka. Młody mężczyzna, wyglądający młodziej od Michaela, wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

- Poszedł do swojej sypialni i zamknął się. Zawsze tak robi. Nigdy nie odezwał się do mnie nawet jednym słowem. - Mówiąc, patrzył na Paulę. - Przepraszam państwa. Proszę wejść, rozgościć się. Nie spodziewaliśmy się gości.

Gdy Paula zaczęła ściągać kurtkę, podszedł od tyłu, by pomóc. Spodziewała się, że wykorzysta okazję i dotknie jej, co robiło tak wielu mężczyzn, ale nie poczuła na sobie jego rąk. Potem odwrócił się w stronę Tweeda i pomógł mu rozebrać się z płaszcza. Oba okrycia schował w przepastnej szafie.

-Obawiam się, że przeszkadzamy... - zaczął Tweed.

-Ależ skąd. Nazywam się Larry Voles. Być może mogą państwo opowiedzieć mi, co się działo z Michaeliem.

-Czy moglibyśmy porozmawiać w bardziej dyskretnym miejscu?

-Zapraszam do gabinetu. Czy są państwo głodni? Z pewnością. A przynajmniej pani jest, jak przypuszczam. - Uśmiechnął się leciutko. - Przybyli państwo w samą porę na późną kolację.

Drzwi po prawej stronie holu otworzyły się gwałtownie i stanęła w nich niska, korpulentna kobieta o nieprzyjaznym wyrazie twarzy. Mimo otyłości Paula wyczuła siłę w jej tęgich nagich ramionach, wyłaniających się spod kuchennego fartucha. Kobieta przypatrywała się im niechętnie.

-Kolacja prawie gotowa - burknęła. - Czy to znaczy, że mam przygotować jeszcze trzy porcje?

-Właśnie tak, pani Brogan - wesołym głosem odpowiedział Larry. -Wydaje się, że przyszli w odpowiednim czasie.

-Powiedzmy - burknęła znowu.

Na jej twarzy malowała się nieskrywana wrogość. Pewnie zawsze ma taką minę, pomyślała Paula. Włosy służącej były siwe, przewiązane z tyłu czarną wstążką. Ponad zaczepnie wykrzywionym nosem przenikliwie lypały małe oczy. Wąskie usta odsłaniały drobne, ostre zęby. Duże ręce złożyła na fartuchu, spod którego wystawała czarna spódnica i grube, mocne nogi w czarnych pończochach. Wyszła, trzaskając drzwiami.

-Proszę tędy - odezwał się Larry, otwierając drzwi po lewej stronie; ich oczom ukazał się przytulny gabinet z kominkiem, w którym buzował ogień.

-Przepraszam, powinniśmy się chyba przedstawić - powiedział Tweed, pokazując Larry'emu swoją legitymację. - Nazywam

się Tweed. A to jest Paula Grey, moja zaufana asystentka.

-Nie wątpię. Od razu widać, że jest kompetentną osobą. Czego się państwo napiją? Na wrzosowisku musieli państwo zmarznąć na kość. Sam też z chęcią się czegoś napiję.

-Dziękujemy, panie Voles... - zaczęła Paula.

-Proszę mi mówić Larry. Na co ma pani ochotę?

-Dżin z tonikiem.

-A mnie chyba dobrze zrobi czysta brandy - zdecydował się Tweed.

Larry wskazał Pauli miejsce w wygodnym fotelu obok kominka, a Tweed usiadł naprzeciw niej. Przyglądała się Larry'emu, który przygotowywał drinki przy stojącym pod ścianą barku. Musi być po trzydziestce, pomyślała. Był szczupły, ale dobrze zbudowany, mierzył dobrze ponad metr osiemdziesiąt, poruszał się zgrabnie. Miał zdrową cerę, wysokie czoło, zabójczo błękitne oczy i kształtny duży nos. Silnie zarysowana szczeka i wyraziste usta nie zdradzały śladu agresji. Rozdał im drinki, sam pił czystą szkocką. Przyniósł sobie krzesło i usadowił się pomiędzy nimi.

-Powinienem panu chyba coś wyjaśnić - zaczął Tweed.

Opowiedział mu o oficerze policji, który znalazł Michaela na schodach Whitehall. Nie wspomniał o słowach, które wtedy padły. Larry zapalił papierosa i słuchał, nie przerywając, podczas gdy Tweed wyjaśnił, jak Michael trafił do drogiej kliniki psychiatrycznej. Przytoczył diagnozę doktor Ashton i powiedział, że przeniosła pacjenta do innej kliniki, gdy po dwóch tygodniach stwierdziła, że nie potrafi mu pomóc. Szybko zdał relację z tego, jak Michael nagle wyszedł z kliniki, sam wsiadł do samochodu Tweeda, gestami wskazał drogę do Post Lacey, a potem pieszo doprowadził ich do Abbey Grange. Nie wspomniał za to ani słowem o makabrycznym odkryciu, którego dokonali na szlaku.

-I to chyba tyle - zakończył Tweed i wypił łyżeczek brandy.

-Wspomniał pan o amnezji, całkowitej amnezji. Proszę mi powiedzieć, co to właściwie oznacza - cicho poprosił Larry.

-To znaczy, że on zupełnie stracił pamięć. Zapomniał, jak się nazywa oraz kim jest, i pewnie dlatego nic nie mówi.

-Powiedział pan, że policjanci nazwali go Michael, ale to jest jego prawdziwe imię. Czyż to nie dziwne?

-No cóż, zdarzają się czasem takie dziwne zbiegi okoliczności. Musieli pomyśleć, że wygląda jak ktoś o imieniu Michael - odpowiedział Tweed, nie namyślając się długo.

-Jest jeszcze jedna rzecz, której nie rozumiem. Jeśli całkowicie utracił pamięć, to jak zdołał poprowadzić was z Londynu aż do tego miejsca? Przecież to skomplikowana trasa.

-To prawda. Czy przedtem nią podróżował?

-O tak, wiele razy. Jeździł do fabryki Gantii koło Basingstoke albo do głównego biura w City.

-I tu pewnie tkwi przyczyna - odparł Tweed. - Jediną rzeczą, którą wciąż pamięta, jest często pokonywana przez niego trasa. To dotyczy też marszu z Post Lacey do tego miejsca. Jak wygląda-

ła jego codzienna droga do pracy?

-Lubił chodzić pieszo do wsi, żeby zażyć ruchu przed dniem stresującej pracy. Samochód zostawiał zawsze u człowieka, który prowadzi pub Little Tor.

-To prawdopodobnie wyjaśnia, dlaczego znał drogę, chociaż stracił pamięć.

-Nie mogę wyjść ze zdumienia. Może po kolacji byśmy tu wrócili, zadałbym państwu jeszcze kilka pytań.

-Oczywiście. Co to za stresująca praca, do której jeździł Michael, jeśli wolno spytać?

-Jest jednym z trzech dyrektorów działu handlowego w Gan-

tii. Bez wątplenia najlepszym z nich, ma największe osiągnięcia. Często i na długo wyjeżdża za granicę, a wtedy nie wiemy, co się z nim dzieje, dopóki nie wróci do domu z kolejną porcją zamówień. Lubi nas zaskakiwać i nie mówi nam o wielu rzeczach. Nawet mnie, a ja jestem prezesem Gantii.

Rozległo się walenie do drzwi i nieprzyjemny głos pani Brogan.

-Kolacja gotowa. Idę zawołać pana Michaela.

-Ciekawe, czy zejdzie - zastanawiała się Paula, która dotąd nie odezwała się ani słowem.

Larry szybko dopił szkoocką.

-Dobrze, że się napiłem. Wuj oniemieje, kiedy wróci.

-Wuj? - zapytał Tweed.

-Drago Volkanian. Ja zmieniłem nazwisko na własne życzenie, bo w Wielkiej Brytanii trudno robić interesy z nazwiskiem takim jak Volkanian. Poza tym brat Dragona, a mój ojciec, był Ormianinem, ale moja matka była Angielką. - Uśmiechnął się. - Sądzę, że to do niej jestem podobny. Michael to mój młodszy brat. Teraz wydaje się, że jest odwrotnie. To przez tę jego trupio bladą twarz.

-O ile mi wiadomo, doktor Ashton zaleciła badanie internistyczne - zgrabnie skłamał Tweed, zakładając, że lekarka nie zaniebawiła tak podstawowej sprawy.

-Ma pan na myśli Bellę Ashton, lekarza psychiatrę?

-Tak. Pan ją zna?

-Przelotnie. Spotykam tylu ludzi. - Larry wstał. - Jeśli nie mają państwo nic przeciwko, to lepiej chodźmy do jadalni, zanim pani Brogan wyważy drzwi.

Weszli do wielkiej, długiej jadalni o ścianach wyłożonych drewnem. Tak jak w holu, staromodne lampy zawieszona na ścianach oświetlały wszystko ciepłym światłem. W głębi sali, hucząc, płonęły w wielkim kominku potężne kłoc drewna. Pani Brogan stała z rękami na biodrach jak strażnik. Larry wskazał gościom miejsca, a potem szybkim krokiem podszedł do gospodyni. Paula zdołała podsłuchać ich rozmowę.

-Pani Brogan, Michael stracił pamięć. Przestał też mówić.

-Jasne! - ironicznie odpowiedziała pani Brogan. - Zostawił głowę w biurze.

-Niech pani posłucha. - Larry złapał ją za ramię. - To nie są żarty. Proszę się do niego nie odzywać, rozumie pani?

-Skoro pan prosi - burknęła w odpowiedzi. Wolną ręką uwol-

niła ramię z uścisku Larry'ego. - Pan wie, że ja nie lubię, jak się na mnie łąpy kładzie, więc niech pan trzyma je przy sobie. - Spojrzała porozumiewawczo na Paulę i mrugnęła okiem. - Michael ma humory, głupie dziecko. - Otworzyła drzwi kuchni i znikła za nimi.

Paula osłupiała na widok miny pani Brogan, kiedy ta mrugnęła do niej okiem. Gospodyni miała jadowity, niemal nienawistny wyraz twarzy. Paula pomyślała przez chwilę, że może ona nienawidzi mężczyzn.

Usiedli za stołem, a pani Brogan pojawiła się znowu i nadszpiewanie żwawo podeszła do wolnego miejsca, które najwyraźniej należało do Michaela. Przełożyła sztucce z prawej strony na lewą i odwrotnie, znów łypiąc na Paulę, która opuściła wzrok. Czy Michael zauważy, że sztucce nie leżą tak, jak powinny? Wszedł do jadalni prawie w tej samej chwili. Wciąż miał na sobie elegancki garnitur. Paula wstrzymała oddech, kiedy pani Brogan znów powróciła z kuchni, niosąc wielką tacę z talerzami zupy.

Michael wpatrywał się chwilę w swoje nakrycie, a potem bez słowa ułożył sztucce na właściwych miejscach.

- Grzybowa - obwieściła pani Brogan, stawiając przed każdym talerz. - Jak ktoś nie lubi, to niech nie je i czeka na drugie danie. Bez zbędnych ceregieli.

Michael zaczekał, aż wszyscy dostaną swoje talerze, i kiedy Paula podniosła swoją łyżkę, żwawo zabrał się do jedzenia. Zostawił na chwilę zupę i sięgnął po leżące w koszyczku kromki domowego chleba. Wziął dwie i szybko zaczął jeść, a potem sięgnął po dwie kolejne. Skończył zupę przed wszystkimi. Ten potwór Saxon na pewno nie karmił go zbyt dobrze, pomyślała Paula.

Pani Brogan pojawiła się z wazą pełną zupy. Staneła za Michaelem i czekała. Jej cierpliwość szybko się wyczerpała.

-Nie chcesz dokładki? - Michael nie odpowiadał. - Dobra! Jak się nie ma manier...

-Przecież chce - zawołał Larry. - Na pewno chce dokładkę. Nie pamięta pani, co mówiłem? - W jego głosie nie było życzliwości.

Gospodyni napełniła talerz Michaela i spojrzała na Paulę, uśmiechając się kpiarsko, jakby chciała powiedzieć, że niektórzy to w ogóle nie mają manier. Paula odwróciła wzrok. Larry pewnie poważnie z nią porozmawia po kolacji. Michael zjadł swoją dokładkę, pomagając sobie kilkoma dalszymi kromkami chleba.

- Idzie zapiekanka! - zawołała pani Brogan z otwartych drzwi

kuchni. - Z jarzynami. Jak komuś nie smakuje, to niech czeka na deser.

- Pan i Michael jesteście braćmi. - Tweed zagadnął Larry'ego.

- A Dragona określił pan jako wuja. Czy pana rodzice nie żyją?

- Niestety, nie ma ich już na tym świecie. Wpadli na niefortunny pomysł, żeby udać się do Armenii i zobaczyć miejsce, z którego pochodzi nasza rodzina. Wuj robił, co mógł, żeby odwieść ich od tego pomysłu. Pamiętam nawet, jak krzyczał na nich, uważając, że to niebezpieczne. Trasa podróży wiodła przez Turcję. Nie posłuchali rad wuja i pod Stambułem zostali napadnięci i zamordowani. To było jakieś pięć lat temu. - Uśmiechnął się ponuro. - Raczej nie darzymy teraz Turków sympatią.

Paula spojrzała na Michaela, żeby sprawdzić, czy ta historia nie poruszyła go. Jego twarz nie zdradzała jednak żadnych uczuć. Wpatrywał się w nią tym samym pustym wzrokiem i Paula miała nieprzyjemne wrażenie, że patrzy przez nią na ścianę jadalni.

Kiedy kończyli posiłek, Paula wstała i pozbierała talerze, żeby zanieść je do kuchni. Być może taka mała przysługa dobrze nastawi panią Brogan.

-To nie jest dobry pomysł - ostrzegł Larry. - Kuchnia to jej zakłęty rewir.

-Zobaczymy.

Wzięła ze stojącej pod ścianą szafki tacę i położyła na niej talerze. Ramieniem otworzyła sobie drzwi kuchni, które zamknęły się za nią, pozostawiając ją sam na sam z gospodynią. Położyła tacę na metalowej suszarce, skrzyżowała ramiona i odwróciła się ku pani Brogan. Mając za plecami suszarkę, a nie pustą przestrzeń, czuła się pewniej.

-O, jak miło. - Gospodyni patrzyła na nią zachwycona. - Nikt mi tu nigdy nie pomaga, pani pierwsza.

-Naprawdę? To dziwne.

-Dobrze, że pani tu przyszła. Mam okazję, żeby panią ostrzec.

- Służąca podeszła do Pauli. - Przed tą sektą.

-Sektą? - Pauli ciarki przeszły po plecach.

-Ludzie mówią, że jest tu od setek lat. Tajne zgromadzenie. Odprawiają jakieś obrzędy w środku nocy. Podobno straszne rzeczy się tam dzieją. Składają ofiary bożkowi, którego nazywają Wrangel. Robią to w kościele, naprawdę, najpierw składają kogoś w ofierze, a potem go jedzą.

-\* Ludożerstwo? - zapytała Paula cicho.

Stanął jej przed oczami szkielet z zamrożonymi strzępami ciała na ramieniu. Opanowała się i nie pozwoliła wyobraźni wyrwać się spod kontroli. Pani Brogan pokiwała tylko głową w odpowiedzi. Zbliżyła się do Pauli i zaczęła szeptać chrapliwym głosem:

-Wielebny Stenhouse Darkfield, nasz pastor, robi się niemiły, kiedy przy nim wspomnieć sektę. Podejrzewam, że sam jest w to zamieszany.

-Od jak dawna jest tu pastorem?

-Od lat. Był tu, kiedy zaczęłam pracować u Volkanianów. Jakies dwa lata temu. W tych stronach matki opowiadają dzieciom o tej sekcie, zanim nauczą je chodzić. W ten sposób to przechodzi

z pokolenia na pokolenie, tak myślę. Inni, którzy mieszkają w okolicy, nie mają pojęcia, co się tu dzieje. Proszę uważać.

Jej usta drżały z przejęcia, a świdrujące oczy były półprzyknięte. Paula odniosła wrażenie, że stoi przed nią przebiegła i gburowata diablica. Gospodyni odwróciła się i spojrzała na stos brudnych talerzy. Chrząknęła.

-W jadalni jeszcze sporo zostało. Nie, pani już się dość napracowała. Czas na Tandna - mówiła, podczas gdy drzwi w głębi kuchni zaczęły się powoli otwierać. Pojawił się w nich mężczyzna.

-A oto i on - powiedziała pani Brogan. - Tarvin, posprzątaj ze stołu. A potem zmyj wszystko ręcznie, nie w zmywarce.

Paula osłupiała. Nie mogła spokojnie patrzeć na niewysokiego, otęłego mężczyznę w białym fartuchu. Miał wielką głowę, powieki opadały mu na wybałuszone oczy, pod którymi sterczał bulwiasty nos. Brzydotę twarzy podkreślała cofnięta szczęka. Poruszał się powoli i niezgrabnie jak robot. Paula nie mogła na niego patrzeć i odruchowo zapagnęła wyjść jak najszybciej z kuchni, choć zazwyczaj nie ulegała łatwo panice.

-Pójdę już...

Poczuła ulgę, kiedy wyszła z kuchni. Dlaczego Tandn tak ją przeraził? W jadalni siedział teraz tylko Larry, który wstał na jej widok i uśmiechnął się ciepło.

-Poszli do mojego gabinetu. Zostałem tu, żeby poczekać na panią. Mam wrażenie, że coś panią zaniepokoiło. Czy to pani Brogan?

-Nie, to Tarvin - odparła bezwiednie i zaraz zaczęła żałować swoich słów.

-On jest rzeczywiście dziwny.

Otoczył ją ramieniem i zatrzymał się, kiedy weszli do holu. Zapałił papierosa, którego wyjął ze srebrnej papierošnicy. Chciał poczęstować Paulę, ale pokręciła głową.

-Nie jest łatwo o ludzi do prowadzenia domu - wytłumaczył.  
-To prawie niemożliwe znaleźć kogoś, kto zostanie dłużej. Dlatego pani Brogan jest dla nas tak ważna. Zna się na swojej robocie, wszystkim się zajmuje i na dodatek dobrze gotuje.  
-Jest świetna. Powinnam ją pochwalić, ale zaczęłyśmy rozmawiać o czym innym i zapomniałam to zrobić.  
-Co jakiś czas sprowadza dziewczyny z okolicy, najczęściej z *Post Lacey*. Wytrzymują u *nas* kilka miesięcy, a *potem* uciekają do Exeter. Zapewne ich ostatecznym celem jest Londyn.  
-Czują się tu odcięte od świata - skomentowała Paula.  
-Właśnie. Dlatego pozwoliliśmy pani Brogan sprowadzić Tarvina. Uważam, że jest dziwny, i nie podoba mi się, ale nie możemy ryzykować, że obrazimy gospodynię. Zresztą ona lubi Tarvina  
i daje sobie z nim radę. Czego nie można powiedzieć o mnie. Poza nimi pracuje tu jeszcze kilka dziewczyn z sąsiedztwa, mają dzisiaj wolne. Wkrótce się wykruszą. Ale dość już tych gospodar-skich plotek. Dołączmy do panów.

Paula oniemiała, kiedy weszła do gabinetu. Tweed siedział w kącie przy kominku. Larry wyszeptał jej do ucha, że Tweed chciał z nim porozmawiać sam na sam i że Michael poszedł już do swojego pokoju. Paulę zaskoczył tak widok atrakcyjnej, naturalnej blondynki, która wstała sprzed paleniska i podeszła do nich, żeby się przywitać.

- Pozwoli pani, że się przedstawię, bo Larry tego nie robi. Mam na imię Lucinda i jestem jego siostrą. Rozmawiałam właśnie z pani szefem i muszę przyznać, że jest to jeden z najbardziej niezwykłych mężczyzn, jakich kiedykolwiek spotkałam. *Proszę, niech* pani usiądzie ze mną przy kominku. O, jak wygodnie. Lubię starszych mężczyzn - młodzi w naszych czasach mają tylko jedno na myśli; gdy spotykają się z kobietą, nie zwracają uwagi na intelekt. Czy mogę ci mówić po imieniu? Pan Tweed zdążył mi o tobie sporo opowiedzieć. O Boże, ten okropny człowiek niesie nam kawę.

Tarvin zbliżał się do nich z tacą, na której stały filiżanki i srebrny dzbanek. Szedł wolno w śnieżnobiałym fartuchu, a przez ramię miał przewieszoną nieskazitelnie białą serwetkę. Stawiał małe kroki, uważnie patrząc pod nogi. Jego ruchy wydały się Pauli niepokojące, przywodziły na myśl skradające się zwierzę.

- Bez śmietanki proszę - powiedziała Paula, zanim służący zdążył się odezwać.

-■• Ja też - zabrzmiał dźwięczny głos Lucindy.



Nalewając kawę, Tarvin spojrział nagle prosto w oczy Pauli. Jego wzrok był zimny i badawczy, jakby wpatrywał się w jakiś przedmiot i oceniał jego przydatność. Lucinda wyjęła złotą papierosnicę, włożyła papierosa do długiej, czarnej lufki, starając się nie patrzeć na służącego.

- Ten człowiek to dziwadło - powiedziała, kiedy Tarvin wyszedł. - Zresztą tak samo jak cała reszta służących. Prosiłam Larry'ego, żeby ich odprawił, ale on tylko macha ręką i mówi, że stara się nie przejmować służbą.

Popijając kawę, Paula uważnie przyglądała się Lucindzie, która była atrakcyjną kobietą, tuż po trzydziestce. Zgrabną figurę podkreślała obcisła, złota wieczorowa suknia, przewiązana w szczuplej talii szerokim pasem. Oczy miała koloru niemal lapis-lazuli, co czyniło jej urodę jeszcze bardziej interesującą. Na Pauli największe wrażenie zrobiła jednak jej witalność.

-Mnie też nie spodobał się ten Tarvin - zgodziła się Paula.

- Czy mieszkasz tutaj?

-O Boże, oczywiście, że nie. Mam mieszkanie tuż przy Baker Street. - Usiadła wygodniej na fotelu i przybrała zupełnie inną pozę. Głowę trzymała uniesioną, a na jej twarzy zagościła powaga. - Pracuję w fabryce Gantii pod Basingstoke. Jestem szefem ochrony. Tutaj wpadłam tylko z krótką wizytą.

Paula zdała sobie sprawę z tego, że początkowo źle oceniła Lucindę. Sądziła, że rozmawia ze zblazowaną bywalczynią salonów, zainteresowaną głównie niekończącym się programem bankietów i przyjęć. Najwyraźniej jednak miała przed sobą poważną, silną kobietę, która nie traci czasu na bzdury.

-Jestem pod wrażeniem - powiedziała Paula.

-Nie, jesteś tylko zaskoczona. Sądziłaś, że jestem lwicą salonową. Nie powiem, lubię się od czasu do czasu zabawić, ale najważniejsza jest zawsze praca. Drago, to znaczy wuj, śmiał się ze mnie, kiedy złożyłam u niego podanie o tę pracę. Opowiedziałam mu więc o roku ciężkiej pracy w firmie Medford, gdzie w pocie czoła zdobywałam nowe umiejętności. Jak dobrze wiesz, Medford to jedna z najważniejszych międzynarodowych firm ochroniarskich w Londynie. Wyjęłam świetne referencje, jakie od nich dostałam, wręczyłam je Dragonowi i powiedziałam: „Przeczytaj i nie naśmiewaj się ze mnie, bo tego nie lubię”. No i zatrudnił mnie na pół roku na próbę. To było dwa lata temu.

-Musiałaś świetnie sobie poradzić. Z tego, co słyszałam, Drago ma raczej przytłaczającą osobowość.

- Tylko jeśli mu na to pozwolisz. A ja nie pozwalam.

Tweed, który dotąd rozmawiał z Larrym w przytulnym kącie przy kominku, pojawił się za Lucindą i położył rękę na jej odsłoniętym ramieniu.

-Tak?

-Wymieniliśmy wizytówki, więc skontaktujemy się po powrocie do Londynu.

-Nie mogę się doczekać - gorliwie odpowiedziała Lucinda.

-Sądzę, że Paula powinna się już położyć. To był dość niezwykły dzień. Do zobaczenia, Lucindo.

Larry podszedł do nich, by życzyć im dobrej nocy.

- Państwa pokoje są od frontu, z widokiem na wrzosowisko.

Pan Tweed wie, jak trafić. Spokojnej nocy.

Kiedy weszli do pustego holu, Paula zapytała:

-Czy Larry pogodził się z amnezją Michaela? Czy Lucinda wie?

-Zaczekaj, aż wejdziemy na górę. Larry nalegał, żebyśmy tu przenocowali.

-Wytłumacz mi też, co robisz z tą Lucindą. Czy może mam nie pytać?

-Zaczekaj, aż dojdziemy do naszych pokoi. Nie podoba mi się cała ta sprawa.

## 7

U szczytu schodów skręcili w prawo, tak jak wcześniej polecił Jim Lany. Korytarz na górze był długi, dyskretnie oświetlony kilkoma kinkietami. Tweed dał Pauli duży klucz, w drugiej ręce trzymał swój.

-Mieszkamy w pokojach szesnaście i siedemnaście, obok siebie. To dobrze, że mają okna wychodzące na wrzosowisko. Będziemy widzieć, co się tam dzieje.

-Zimno tu.

Kiedy doszli do drzwi pokoju Pauli, które wyglądały jak solidne drewniane wrota obite metalowymi ćwiekami, zobaczyli wychodzącą właśnie z wnętrza panią Brogan.

- Zostawiłam państwu termofory. On nie chce tu założyć centralnego. Chce, żeby było jak w starym klasztorze. Bóg jeden wie dlaczego.

Cichym krokiem przeszła korytarz i znikła za zakrętem w lewo. Tweed wskazał ręką w tę stronę.

-Jest jeszcze jedno skrzydło domu, tak jak przed wiekami. Pokoje dla służby.

-Czy wiesz, że będziemy musieli spać w tym, co mamy na sobie? - zapytała Paula, kiedy wchodzili do pokoju. - Nesesery zostawiliśmy w samochodzie. A nie, popatrz. Mój stoi w nogach tego wielkiego łóżka. Skąd się tutaj wziął?

Tweed zamknął drzwi.

- Kiedy rozmawiałem z Larrym, zaproponował, żebyśmy zostali tutaj na noc albo nawet dłużej, jeśli będziemy chcieli. Powiedziałem mu, że zostawiliśmy bagaże w samochodzie w Post Lacey, a on odparł, że wyśle Tandna motocyklem, jeśli dam mu kluczyki. Nesesery są lekkie, więc łatwo było je tutaj przywieźć.

-A to znaczy, że Tarvin widział szkielet.

-Niekoniecznie. Mógł nie zauważyć, zajęty kierowaniem motocyklem na trudnym szlaku. Ale ja powiedziałem Larry'emu o naszym znalezisku i o tym, że w nocy oczekujemy na przyłot ludzi ze Scotland Yardu. Na moją prośbę obiecał, że nikomu nic nie po-

wie. Nie ma sensu rozsiewać plotek w okolicy, dopóki Buchanan i Saafeld nie usuną ciała.

-Jak Lany zareagował, kiedy mu powiedziałeś? - zapytała cicho.

-Był zaszokowany, ale szybko doszedł do siebie. Naprawdę umie nad sobą panować. Zapytał mnie, czy to był mężczyzna, czy kobieta. Odpowiedziałem, że nie wiem. Ciało uległo już w znacznym stopniu rozkładowi.

-Zgaszę światło. Z tych dziwnych okien powinien być wspinały widok na wrzosowisko.

Okna rzeczywiście były niezwykle, wygięte do środka, jak dawne łuki sklepienia klasztoru. Paula odsunęła zasłonę i ich oczom ukazał się zapierający dech w piersiach widok. W świetle księżycy wrzosowiska opadały i wznosiły się jak fale zamarznętego morza. Paula wyjęła z torby małą lunetę i zaczęła obserwować przez nią szlak.

-Szkielet przewrócił się do tyłu. Widać nawet czaszkę. - Przekazała mu lunetę. - Szukaj wzdłuż szlaku.

-Mam. Pewnie ziemia jeszcze raz się obsunęła. Na szczęście twój szal jest dobrze widoczny. Śmigłowiec będzie miał reflektor.

Zapalił światło, podczas gdy Paula zasunęła zasłony. Usiadła na tapicerowanym krześle i dopiero wtedy poczuła, jak bardzo jest zmęczona. Z trudem przychodziło jej nawet mówienie. Opowiedziała Tweedowi o swojej rozmowie z panią Brogan w kuchni. Wspomniała o sekcje i jej obrzędach na wrzosowisku oraz o kaniibalizmie.

Tweed uśmiechał się, słuchając tej historii.

- Na twoim miejscu nie przejmowałbym się tym. Zarówno w Devon, jak i Kornwalii z pokolenia na pokolenie są przekazywane takie legendy. Wiele rodzin mieszka tu nie wiadomo od jak dawna. Do tego dochodzą małżeństwa bliskich krewnych. Myślę, że powinnaś się wyspać. Ale zanim się położysz, zrobimy mały eksperyment.

Podniósł kij, który Alf Garner dał mu przy pubie, wystukał na pokrytej boazerią ścianie charakterystyczny sygnał.

- Kiedy pójde do siebie do pokoju, powtórzę ten sygnał z drugiej strony ściany. Jeśli go usłyszysz, odpowiedz mi tak samo. To tak na wszelki wypadek, żebyśmy mogli się skontaktować.

- A ja przyniosłam gumowe kliny pod drzwi, też na wszelki wypadek - odpowiedziała Paula.

Kiedy Tweed wyszedł, zrzuciła buty, które idąc za przykładem szefa, dokładnie wyczyściła o metalową wycieraczkę, gdy dotarli do drzwi Abbey Grange. Podeszła do ściany i wyraźnie usłyszała sygnał. Uspokojona tym odpowiedziała, stukając obcasem jednego z butów. Z drugiej strony doszło do niej pojedyncze stuknięcie. Tweed usłyszał.

Pokonując zmęczenie, włożyła gumowy klin pod drzwi, a potem rozejrzała się dokładnie po sypialni. Ku swojemu zaskoczeniu za drewnianymi drzwiami odkryła nowoczesną łazienkę i toaletę. Otworzyła szklane drzwi i zajrzała do kabiny prysznicowej. Z przyjemnością wzięłaby teraz prysznic, ale nie miała siły.

Umyła się w marmurowej umywalce i wyszorowała zęby. Wróciwszy do sypialni, spojrzała sceptycznie na stojące tam wielkie łóże.

- Szkoda, że nie mam drabiny, żeby na nie wleźć - powiedziała do siebie.

Kiedy znalazła się już w łóżku, odsunęła koc i prześcieradło, pod którymi znajdował się gumowy termofor. Był tak gorący, że aż parzył. Przesunęła go w nogi łóżka, rozebrała się, poskładała swoje ubrania i położyła je na stojącym obok krześle. Wyczerpana sięgnęła ku wyłącznikowi i zgasiła światło. W pokoju panowała absolutna ciemność. Położyła głowę na poduszce i zapadła w głęboki sen.

Stała na wrzosowisku, gdzie znaleźli szkielet. Było niemiłosiernie zimno. Nad czaszką pochylała się nieznajoma, zakapturzona postać.

Koszmar stawał się coraz większy. Zakapturzona postać miała w rękach wielki nóż z ząbkowanym ostrzem i zdzierana nim skórę z boku czaszki. Paula otworzyła usta, żeby krzyknąć, i w tym momencie poczuła na swoim ramieniu czyjąś rękę. Była to ręka kościotrupa.

Próbowała odskoczyć, ale stopy jakby przyrosły do ziemi. W powietrzu unosiły się obłoki mgły, które owionęły jej twarz. Zakapturzona postać przerwała makabryczną pracę nad czaszką i powoli zwróciła się ku Pauli. Dłoń w rękawicze, trzymająca wielki nóż, skierowała go teraz ku niej. Pauli przemknęło przez myśl, że gardło ofiary zostało wycięte aż do kręgosłupa. Wciąż nie mogła zobaczyć twarzy oprawcy.

Usłyszała nad sobą uderzenia skrzydeł wielkiego ptaka. Jakaś stojąca za nią postać próbowała ją znaleźć we mgle. Była to pani Brogan, również zakapturzona. Uśmiechała się złowrogo, ukazując małe, ostre zęby. Paula chciała unieść ramię i uderzyć ją, ale nie mogła ruszyć ręką. Ponownie otworzyła oczy, żeby krzyknąć, ale głos uwiązał jej w gardle. Przypomniała sobie opowieść pani Brogan o sekcje. Czy te kaptury nie są częścią jakiegoś szatańskiego uniformu? Była przerażona własną bezradnością. Nagle usłyszała głucho uderzenie.

Zerwała się i stwierdziła, że jest w łóżku. Z korytarza dochodził ją odgłos cichych kroków. Kiedy szli z Tweedem do swoich pokoi, podłoga też skrzypiała.

Po omacku starała się znaleźć wyłącznik światła. Zapaliła je i zobaczyła, że pokój jest pusty. Ostrożnie wyszła z łóżka i wzięła z nocnego stolika pozostawioną tam berettę. Z pistoletem w dłoni cicho podeszła do drzwi i natychmiast zauważyła, że były uchylone. Ktoś próbował wejść do pokoju, ale nie zdołał pokonać oporu stawianego przez kliny. Paula jeszcze raz usłyszała skrzypienie podłogi. Odsunęła nogą kliny i wolną ręką otworzyła drzwi, w drugiej trzymając odbezpieczony pistolet.

Zobaczyła ubranego Tweeda, wpatrującego się w nią z troską. Gestem zaprosiła go do środka. Cicho zamknął za sobą drzwi.

-Co z tobą, Paula? Jesteś strasznie blada.

-Miałam zły sen. Ale to nieważne. A co ty tu robisz?

-Przed chwilą przybyła policja. Słyszałem lądujący śmigłowiec. Idę do Buchanana, jestem pewien, że tam będzie. Wracaj do łóżka.

-Nie ma mowy. Idę z tobą. •

W pustym holu paliły się światła. Tweed sięgnął pod dywan i wyciągnął stamtąd klucz. Wytłumaczył Pauli, że uprzedził Larry'ego o konieczności wyjścia w nocy na spotkanie ludzi z policji. Larry pokazał mu miejsce, gdzie ukryty był klucz, i podał kod, który należało wprowadzić w zamku cyfrowym.

Mimo że włożyli znalezione w szafie okrycia, już na tarasie siarczysty mróz dał im się we znaki. Tweed podał jej latarkę, taką, jak sam trzymał w dłoni.

-Uważaj, nie zejdz ze szlaku.

-Wygląda na to, że jest tam pełno ludzi - powiedziała, kiedy szli.

Ponad miejscem, gdzie znaleźli szkielet, rozłożono wielki namiot, a cały obszar otoczono ostrzegawczą taśmą. Od strony Post

Lacey wylądował na szlaku policyjny sikorsky. Wokół namiotu widać było światełka licznych latarek policjantów biegających we wszystkie strony.

- Buchanan przywiózł ze sobą duży oddział - zauważył Tweed.

Kiedy byli już dostatecznie blisko, żeby rozpoznawać twarze, Paula zauważyła Wardena, asystenta Buchanana. Lewe ramię miał owinięte bandażem. Buchanan i patolog, profesor Saafeld, wybiegli im na spotkanie.

- Złe wiadomości. Mamy kolejnego trupa. Morderstwo.

## 8

lidzie nieboszczyk? - cicho zapytał Tweed.

-Po kolei - odpowiedział Buchanan, ubrany w policyjną pelerynę. -Ten szkielet, który znaleźliście tutaj, został zabrany karetką do prosektorium profesora Saafelda przy Holland Park, gdzie będzie przeprowadzona autopsja.

-Szybko udało się wam sprowadzić karetkę z Londynu.

-Zadzwoiłem do komendy policji w Exeter i poprosiłem o dwie, natychmiast. Nie byli zachwyceni, bo sami chcieliby zająć

się tą sprawą. Powiedziałem im, że wezwano Scotland Yard, i to zakończyło rozmowę.

Saafeld, pięćdziesięciolatek, ubrany był w marynarkę i miał na rękach gumowe rękawice. Stał za Buchananem. Był dobrze zbudowanym mężczyzną średniego wzrostu z czupryną gęstych siwych włosów. Twarz profesora o ostrych rysach była ogorzala, a oczy rzucały bystre spojrzenia. Uśmiechnął się do Pauli.

-Kiedy usłyszałem, że jest tu Tweed, zgadłem, że będzie z nim pani. Musieliście przeżyć szok, kiedy odkryliście ciało.

-Taka praca - odpowiedziała Paula, również się uśmiechając. Lubiła Saafelda i była pewna, że on ją też.

-A drugie ciało? - ponaglał Buchanana Tweed.

-Warden odkrył je przypadkiem. Odgradzał obszar taśmą. Kazałem mu patrzeć pod nogi. Wszedł na pokrywę z desek, która zapadła się pod nim, i nagle zawisł nad głęboką dziurą w ziemi - szybem starej kopalni. Dlatego właśnie ma zabandażowaną rękę - zahaczył o ostry kawałek drewna. Saafeld opatrzył mu ją, kiedy go wyciągnąłem. Na dnie szybu znaleźliśmy drugi szkielet.

-Prawie szkielet - poprawił go Saafeld. - Wciąż ma na sobie



kawały zamrożonego ciała. Chcecie zobaczyć? Uważajcie i stawiajcie stopy dokładnie tam, gdzie ja.

Zeszli ze szlaku i podążyli wąską ścieżką, oświetlając sobie drogę latarkami. Tweed szedł tuż za Paulą. W świetle silnej latarki Saafelda ujrzeli otwór szybu, w którym bez trudu można było dojrzeć rozciągnięty na dnie szkielet. Można by pomyśleć, że ktoś tam śpi, gdyby nie puste oczodoły wpatrujące się martwo w Paulę. Przeszedł ją dreszcz. Wyglądało to makabrycznie.

W głąb szybu spuszczone rozsuwaną drabinę, która stała oparta o jedną ze ścian. Po jego przeciwnej stronie ustawiono składane nosze owinięte w prześcieradło oraz wyciągarkę, której lina zwisała w głąb tymczasowej mogiły. Saafeld wskazał ten sprzęt ręką.

-Zawsze biorę ze sobą wszystko, co może się przydać. Nosze i drabina po złożeniu łatwo zmieściły się w śmigłowcu. Dzięki drabinie mogłem zejść tam na dół. Zrobiłem zdjęcia, a potem dokonałem wstępnych oględzin. Nosze wykorzystamy do wyciągnięcia ciała. Będę nadzorować tę operację.

-Jakie wnioski nasuwają się w tej chwili? - zapytał Tweed.

-Znowu brak mu cierpliwości. - Saafeld uśmiechnął się do Pauli. - Dobrze wiesz, że wolę powstrzymać się od komentarzy, dopóki nie skończę sekcji.

-Potrzebuję jakichkolwiek informacji - nalegał Tweed. - Prorowadzę tę sprawę i mamy już drugiego trupa. Mężczyzna czy kobieta?

-Tam w szybie to kobieta. Ten, którego znaleźliście, był mężczyzną. Przypuszczam, że oboje zmarli cztery lub pięć miesięcy temu.

Zdjął gumowe rękawice, na których Paula dostrzegła ślady, chyba zakrzepłej krwi.

-Mam kilka par - zauważył, wpychając je do plastikowego pojemnika na materiały dowodowe, który włożył potem do kieszeni.

-Na razie mogę powiedzieć, że oboje zostali zamordowani. Brutalnie. Morderca użył noża z ząbkowanym ostrzem, którym poderznął ofiarom gardło aż do kręgosłupa, ale go nie przeciął. Możliwe, że nóż miał ostrza z obu stron. Z jednej strony gładkie, a z drugiej ząbkowane. Łapie ofiarę za głowę i przechyla ją do tyłu, przecina gardło, a potem odwraca nóż i ząbkowanym ostrzem piłuje kręgosłup do połowy, tak że czaszka jeszcze nie odpada od reszty ciała.

-Ktoś ze znajomością anatomii? - zapytał Tweed.

-Nie sędę. Po zabiciu ofiary zmasakrował ją, odcinając przypadkowe kawałki ciała. - Skierował latarkę w głąb szybu i oświetlił stos worków foliowych leżący w rogu. - Widzicie?

-Co w nich jest? - zapytała Paula niechętnie.

-Kawałki rozkładającego się ciała. Gdyby umieścił trupa gdziekolwiek indziej, nie zostałoby nic oprócz kości.

-A tutaj?

-Tutaj jest Dartmoor. - Saafeld wskazał ręką wokoło. - W zimie grunt działa jak lodówka, a tegoroczna zima jest wyjątkowo ostra. Włożyłem do worków lód, żeby utrzymać szczątki w zimnie

w czasie transportu.

Paula zauważyła, że stoi przy nich Buchanan. Nic nie mówił, tylko przysłuchiwał się rozmowie. Teraz położył dłoń na ramieniu Tweeda i skinieniem głowy poprosił go na stronę. Zostawili Paulę z Saafeldem, ponieważ Buchanan zamierzał powiedzieć Tweedowi coś, o czym nikt inny nie miał się na razie dowiedzieć.

-Kiedy zważyłem na siebie sprawę tego Michaela z amnezją, nie przewidywałem, że nastąpi taki rozwój wypadków - cicho zaczął nadinspektor. - Mamy do czynienia z maniakiem. Możliwe, że będziemy go szukać miesiącami.

-Niewykluczone, że to psychopata - odpowiedział Tweed.

-A co to za różnica?

-Roy, wiesz to równie dobrze jak ja. Psychopata może się przez długi czas zachowywać jak normalny człowiek. Aż do momentu gdy wpadnie w odpowiedni nastrój i nadarzy się okazja. Wówczas zaczyna się seria morderstw.

-Tweed, chcę powiedzieć, że mogę poszukać kogoś w Scotland Yardzie i przekazać mu tę sprawę.

-Nie trzeba - cicho odrzekł Tweed. - Ta sprawa mnie zaintrygowała. Poza tym mam nowe informacje, dowiedziałem się co nieco o ludziach mieszkających w domu, który widzisz na tamtym wzgórzu. Masz pojęcie, kto tam mieszka? Nie sędę. Drago Volkanian.

-Ten milioner od supermarketów i fabryk broni?

-Właśnie. Muszę zlokalizować jego tajną fabrykę zbrojeniową.

-Jesteś pewien, że chcesz dalej prowadzić tę sprawę?

-Tak, już postanowiłem. Wiem więcej niż ktokolwiek, kto miałby ją teraz przejąć, bo poznałem niektórych członków tej rodziny. Mogliby nie zaufać nowej osobie.

- W takim razie - westchnął Buchanan - przekażę ci jedyny przedmiot znaleziony przy Michaelu, kiedy przeszukiwaliśmy go w Yardzie, próbując ustalić jego tożsamość.

Z trzymanej w rękę koperty wyjął złożoną kartkę papieru, którą wręczył Tweedowi.

-Przecież to jest tylko lista czterech imion, żadnych nazwisk. Spodziewam się, że nie będzie łatwo ustalić, do kogo należą. Chciałbym wiedzieć, co ta lista znaczy - zastanawiał się Tweed.

-Zgadzam się - odpowiedział Buchanan, uśmiechając się ponuro. - Prowadzisz teraz tę sprawę, więc się tym zajmiesz. Tak przy okazji, zauważyłem twój samochód na początku szlaku w Post Lacey. To niedaleko. Chyba nie będzie ci się chciało iść na

piechotę z powrotem do tamtego domu. Poproszę Wardena, żeby was podwiózł.

-Rzeczywiście, wielkie dzięki - zgodził się Tweed.

Warden był wyraźnie zadowolony, że może opuścić wrzosowisko i odpocząć od makabrycznych widoków. Zapewnił Tweeda, że kontuzja ramienia nie przeszkadza mu kierować, dlatego Tweed usiadł z Paulą z tyłu. Oboje byli zmęczeni.

Na południowym krańcu Post Lacey Warden skręcił w prawo, zjeżdżając z drogi, którą przedtem dotarli do Dartmoor. Spojrzał na Tweeda w lusterku wstecznym.

-Znam najkrótszą trasę do domu, z którego państwo przyszli.

-Świetnie - odpowiedział Tweed i zamknął oczy. Wydawało się, że śpi. Paula też była senna, ale podniosła się, kiedy Warden znów skręcił w prawo i wjechał w polną drogę. Chciała coś powie-

dzieć, ale powstrzymała się, kiedy Tweed położył jej palec na ustach. Wkrótce zaczęli jechać pod górę i Paula zdała sobie sprawę, że z powrotem są na wrzosowisku. Kiedy dotarli do szerokiej szosy, Warden przeciął ją i ruszył kolejną porośniętą kolcolistem drogą. Chwyliła Tweeda za ramię i szepnęła:

-Przecież on właśnie przejechał przez B3212. Czy Abbey Grange nie jest gdzieś przy tej drodze? Mur z tyłu posiadłości znajduje się tuż przy poboczu, jeśli dobrze zauważyłam.

-Masz rację - odparł szeptem. - Nic nie mów.

Siedział teraz wyprostowany, przez ramię Wardena wpatrując się nieruchomo w przednią szybę. W świetle reflektorów widać było stojące na drodze kałuże. Nagle Tweed zauważył coś i poprosił Wardena, żeby zatrzymał samochód.

- Dobrze nam zrobi, jeśli rozprostujemy trochę nogi - powiedział.

Paula i Tweed przeszli kilka kroków po zalanej światłem drodze. Tweed wyjął z kieszeni papierową chusteczkę, pochylił się nad najbliższą kałużą i przejechał chusteczką po czarnej powierzchni. Potem zbliżył ją do nosa. Paula nie rozumiała, co go tak zainteresowało. Podniósł się.

- Olej napędowy. Popatrz tutaj.

Za czarnymi kałużami zauważył coś innego i znów się pochylił. Paula zapaliła latarkę, ponieważ reflektory nie sięgały już do tamtego miejsca. W jej świetle zobaczyła na drodze odcisk bardzo szerokiej opony. Wyjęła aparat fotograficzny i zrobiła kilka zdjęć. Tweed podszedł do drugiego pobocza drogi i obok rowu znalazł ponownie taki sam odcisk, który Paula też sfotografowała. Tweed spojrzał na nią.

-Masz może taśmę mierniczą?

-Mam, trzymam w torbie przybory do szycia.

- Chcę zmierzyć odległość pomiędzy śladami opon.

Razem dokonali pomiaru. Wstał i zanotował odległość w małym notesie.

- Przez te prowadzące donikąd wertepy przejechał jakiś bardzo duży pojazd - wyjaśnił. - Gigantyczny rozstaw osi. To ciekawe. Zobaczmy, dokąd prowadzi ta droga.

Wsiadli z powrotem do samochodu i Tweed poprosił Wardena, żeby powoli jechał dalej tą samą drogą. Warden nie zadawał żadnych pytań. Po obu stronach drogi roztaczało się pustkowie bez śladu ludzkich siedzib. Tweed siedział wyprostowany i uważnie przyglądał się drodze.

Od czasu do czasu zauważał dalsze ślady opon i plamy oleju. Kiedy dojechali do rozdroża, Tweed poprosił Wardena, żeby zatrzymał samochód i obrócił go w kierunku lewego odgałęzienia. Reflektory jeszcze raz ukazały ślady wielkich opon.

- Jedź w lewo.

Paula nie mogła zrozumieć, po co jadą taki kawał drogi przez pustkowie. Dotarli do kierunkowskazu, według którego w prawo wiodła droga do Bideford. Kiedy go mijali, Paula zaczęła szeptać do Tweeda.

-Jesteśmy coraz dalej od Abbey Grange. Jeszcze trochę i dojedziemy do Kanału Bristolskiego.

-Wiem. Ale wciąż widać ślady opon. Jechała tędy jakaś wielka ciężarówka - odpowiedział ściszym głosem.

-Przepraszam - odezwał się w końcu Warden, kiedy zaczęli zjeżdżać stromą drogą w kierunku zalanego księżycem morza. - Musiałem gdzieś pomylić drogę. Zabłądziliśmy wiele kilometrów od celu.

-Nieważne - odparł beztrasko Tweed. - Po tej makabrze na Dartmoor to jest jak odpoczynek. Pomaga zwalczyć senność.

Dalej mówił Wardenowi, dokąd ma jechać, podążając tropem plam oleju i śladów opon. Jechali teraz wzdłuż wybrzeża szosą, którą niemal zalewały rozbijające się o falochron spienione fale. Nie poruszali się już polnymi drogami, tylko utwardzonym traktem. Wkrótce po ich prawej stronie ukazał się zapierający dech w piersiach widok.

- Poznałem tę okolicę podczas spacerów przed laty - poinformował Tweed.

Tuż przy poboczu wznosił się wielki klif, który wyżej przechodził w łagodniejszy stok. Paula z nosem przyklejonym do szyby wpatrywała się we wzniesienie. Na stoku spoczywał biały głaz, który wydawał się poruszać. Może to tylko złudzenie, pomyślała, ale Tweed wskazał go ręką.

-Ten głaz nazywają Chybotkiem.

-Mam nadzieję, że się nie zacznie chybotać, jak będziemy pod nim jechać.

-Nie spadnie na nas. Spoczywa tam od setek lat. Ponad nim widać szczyt cypla Harmer's Head. Podobno wietrzyło, że skały utraciły spójność. Ale tak się mówi już od setek lat. W skale na szczycie jest jaskinia, w której kiedyś byłem.

-Mnie tam nie ciągnie - skomentowała Paula.

-Jedź dalej, powoli - nakazał Tweed.

Warden zwolnił. Droga obniżyła się i w niektórych miejscach docierały już do niej fale. Kiedy mijali znikający wśród skał parów, Tweed zawołał do Wardena, żeby się zatrzymał. Jego głos brzmiał coraz bardziej beztrasko, a Paula nie mogła zrozumieć dlaczego. Wysiedli, cofnęli się kilka kroków i ruszyli w głąb ciemnego parowu. Tweed oświetlał drogę latarką. Nagle przystanął.

- A co to takiego?

Promień latarki natrafił na dziwną konstrukcję. Paula trzymała w dłoni swojego browninga. To miejsce wywoływało u niej lekką klaustrofobię i obawiała się, że nie wyjdą już z parowu. Tweed dokładnie przyglądał się dziwnemu znalezisku.

Wyglądało jak długi trap zbudowany z solidnych desek. Po obu stronach był wyposażony w drewniane barierki, a spoczywał

na grubych gumowych kołach, które przymocowano w kilku miejscach wzdłuż trapu, jeśli takie rzeczywiście było przeznaczenie niezwykłej konstrukcji. Chrząknął.

-W dodatku niedawno zbudowane. Nie zauważyłem w pobliżu pomostu, a ty?

-Nie. - Włożyła pistolet z powrotem do specjalnej kabury w torebce, a potem wyjęła aparat fotograficzny i szybko sfotografowała trap z kilku różnych miejsc. - Jeśli nie masz nic przeciwko, to sądzę, że powinniśmy już wracać do samochodu.

-Masz rację. Nic więcej tu nie znajdziemy.

-To już nie szukajmy.

Wsiedli z powrotem do samochodu i Warden ruszył dalej. Jechał teraz szybciej, ale utrzymywał prędkość w granicach bezpieczeństwa. Kiedy posuwali się odcinkiem, który niedawno znajdował się pod wodą, wreszcie się odezwał.

- To dobrze, że droga się wznosi. Morze zupełnie zalało ten kawałek przed waszym przyjazdem.

Podczas jazdy wzdłuż wybrzeża Paula bezskutecznie szukała po swojej stronie samochodu mapy, aż w końcu opuściła latarkę, pochyliła się i znalazła ją pod siedzeniem. W świetle latarki zaczęła szukać na niej drogi.

-Harmer's Head jest na mapie - powiedziała. - Żeby wrócić, musimy skręcić na pierwszym skrzyżowaniu w prawo w kierunku

Bideford, a potem cały czas jechać drogą A386, która powinna doprowadzić nas prawie dokładnie do celu.

-W samą porę, proszę pani - odpowiedział Warden. - Już widać kierunkowskaz. Przepraszam, że tak pobłądziłem. Buchanan da mi

teraz popalić. Będę miał szczęście, jeśli mnie nie zdegradują.

-Jakby co, to mu powiedz - rzekł poufałym tonem Tweed - że jechałeś tymi bezdrożami na moje wyraźne polecenie. I nie wspominaj, że wysiadaliśmy z samochodu.

-Dziękuję panu. Jestem bardzo zobowiązany.

Samochód zatrzymał się w końcu pod wysokim murem otaczającym tyły Abbey Grange. Paula pokazała Wardenowi, jak ma objechać Dartmoor, żeby znaleźć się z powrotem w Post Lacey. Uśmiechnął się - był to pierwszy raz, kiedy zobaczyła uśmiech na jego twarzy. Poszła za Tweedem do furtki, która okazała się otwarta. Tweed poprowadził ją za ramię, tak że oboje szli po trawie wzdłuż ściany domostwa. Wskazał ręką wyłożoną kamiennymi płytami ścieżkę, którą omijali.

- Zakładam, że to miejsce jest dobrze chronione przed włamaniem. Pod kamieniami przypuszczalnie są czujniki nacisku. Wejdziemy po stopniach prowadzących na taras. Pamiętaj, że oficjalnie wyszliśmy i wróciliśmy ścieżką wiodącą na wrzosowisko.

Kiedy dotarli do stóp schodów, na parterze we wszystkich oknach paliło się światło. Paula spojrzała na zegarek, była szósta rano. Kiedy podeszli do wielkich drzwi, otworzył je Larry, ubrany w kolorowy szlafrok. Uśmiechnął się.

-Witam strudzonych wędrowców - zawołał nieco ironicznym tonem. - W moim gabinecie czeka na państwa gorąca kawa.

-Nie odmówię - odpowiedziała Paula.

Wypili kawę, stojąc, mimo nalegań Larry'ego, żeby usiedli i odpoczęli. Potem jego twarz spoważniała.

-Zbadali ten szkielet? - zapytał.

-Pierwszy tak - odpowiedział Tweed.

-Pierwszy! - Larry aż podskoczył na krześle. - To znaczy, że jest drugi?

*-Znaleziono jeszcze jeden, później panu opowiem.*

-Muszę zaraz jechać do pracy.

-W takim razie opowiem przy następnym spotkaniu.

-Mogą państwo gościć u mnie tak długo, jak chcą.

-Zobaczymy. - Tweed zrobił nieokreślony gest. - Może znajdziemy na Dartmoor jeszcze niejedno ciało.

-Ale na razie ja idę spać - wtrąciła Paula. - Padam ze zmęczenia.

## 8

Ken  
Lee  
Christine  
John

Jedząc śniadanie w łóżku w Abbey Grange, Paula wpatrywała się w listę, którą wręczył jej Tweed. Dokończyła podane jej przez panią Brogan gotowane jajko. Była już jedenasta, kiedy wstała wreszcie i wolnym krokiem zeszła na dół. Zajrzała do kuchni, przepaszając za to, że spała tak długo. Kiedy poprosiła tylko o grzanekę, pani Brogan natychmiast zaproponowała jej kolejne jajko. Poszła ze swoim śniadaniem do jadalni, znalazła tam ubranego i siedzącego za stołem Tweeda. Podał jej listę z imionami.

-Co o tym sądzisz? Dał mi to Buchanan. To jedyna rzecz, jaką znaleźli w Scotland Yardzie, przeszukując Michaela.

-Brzydka czcionka. Prawdopodobnie stara maszyna walizkowa, może Olivetti Lettera. „E” wyskakuje ponad linijkę. Jeśli kiedykolwiek znajdziemy tę maszynę, w co wątpię, raczej nie będzie

to przekonujący materiał dowodowy. Zresztą nie wiem, czego

libyśmy dowieść. Tekst jest napisany na eleganckim papierze.

-Taki papier można kupić w każdym większym sklepie papierniczym. Raczej nie dowiemy się, skąd pochodzi. Nie ma nawet znaku wodnego. Strasznie trudno będzie ustalić, do kogo należą te imiona, ale musimy spróbować.

-Ani jednego nazwiska, brak punktu zaczepienia.

-Może tak będzie ciekawiej - odpowiedział ironicznie. - Mam nadzieję, że nie jest to lista ofiar.



-Według mnie to mało prawdopodobne. Gdzie jest Michael?

-Wyszedł ze swojego pokoju wcześniej rano, ubrany w granatowy garnitur, i udał się prosto na taras. Nie oglądając się, pomarszerował szlakiem do Post Lacey, obserwowałem go przez lunetę.

Kiedy dotarł do wsi, zatrzymał się, zrobił w tył zwrot i ruszył z po-

wrotem. Cały czas szedł sztywno wyprostowany jak żołnierz, ruszał się jak automat i wciąż miał trupio bladą twarz.

-Człowiek-duch - szepnęła Paula. - Czy zauważył taśmę ogradzającą miejsce, gdzie znaleziono ciała?

-Nie. Nawet tam nie spojrział. Kiedy wrócił do domu, poszedł do siebie do pokoju i zamknął drzwi na klucz.

-Po co to zrobił? - zastanawiała się Paula.

-Według mnie zadziałał stary nawyk rannego wstawania do pracy. Dlatego miał na sobie garnitur, jakby jechał do Gantii. Wyobraź sobie, jak dochodzi do Post Lacey i nie znajduje tam swojego samochodu. Zapomina, co chciał zrobić, i wraca tutaj.

-W tych okolicach wszystko jest dziwne.

-Kiedy spoczywałaś w objęciach Morfeusza, poszedłem na spacer szosą za murem, w stronę Moretonhampstead. Teraz chcia-

bym się udać w przeciwnym kierunku. Chcesz mi towarzyszyć?

-Świeże powietrze dobrze mi robi. Wezmę tylko z holu kurtkę.

-Weź, weź. Od powrotu Michaela nasunęła się gęsta mgła. Pogoda na Dartmoor potrafi zaskoczyć!

Tweed otworzył furtkę w murze i ruszył w lewo. Ostrzegł Paulę, żeby trzymała się pobocza. W gęstej mgle nadjeżdżający samochód mógłby nie dostrzec ich na czas. Po kilku krokach usłyszeli przebijający się przez mgłę dźwięk dzwonu. Bicie dzwonu i wilgotny dotyk mgły na twarzy sprawiły, że Paula poczuła się nieswojo.

-W drodze powrotnej moglibyśmy zwiedzić ten kościół - zaproponował Tweed, kiedy mijali granitowy budynek. Dzwonnica nie była częścią kościoła, stała samotnie niczym wieża strażnicza. Idąc dalej opustoszałą drogą, natrafili na rząd kamiennych wiejskich domów. Kamień wyglądał na nowy. We wszystkich domach

były pozamykane okiennice, a każdy z nich stykał się z sąsiednim. Paula zwróciła na to uwagę.

-Nieprzerwany ciąg domów. Czy to tradycyjna zabudowa w hrabstwie Devon?

-Niewykluczone, ale nigdy przedtem czegoś takiego nie widziałem. Można ogłuchnąć od tego dzwonu.

To również było niepokojące. Mimo tłumiącego działania mgły dźwięk rzeczywiście był ogłuszający. Podczas gdy Paula przypatrywa-

ła się rzędomi domów, które wyglądały na opuszczone, Tweed rozgarnął stopą żwir, przykrywający tę część drogi. Kiedy oczyścił ze żwiru mały kawałek nawierzchni, jego oczom ukazała się plama oleju.

- Wracajmy - zdecydował. - Równie dobrze możemy najpierw zwiedzić dzwonnice. Szkoda tylko, że nie wzięliśmy waty, żeby zatkać uszy.

Otworzyli stare drzwi u stóp wieży i weszli do środka. Paula struchlała na widok kolejnego dziwadła. Mężczyzna ciągnący za linę ubrany był w gruby sweter z podwiniętymi do łokcia rękawami i sztruksowe spodnie. Muskularny dzwonnik miał sporo ponad 1,80 m wzrostu.

Na jego głowie kłębiła się bezładna czupryna gęstych siwych włosów. Paula dałaby mu sześćdziesiąt lat. Miał haczykowany nos i podkrążone oczy. Usta ukazywały wielkie przerwy pomiędzy zębami, potężna szczęka była arogancko wysunięta do przodu. Poczula do niego natychmiastową niechęć. Spojrzał na nich, nie przerywając swojego zajęcia.

-Wielebny Stenhouse Darkfield to pan? - krzyknął Tweed.

-Tak, to ja. Ćwiczę tak codziennie. Aby moja trzódka nie zapomniała, że ma kościół! - krzyknął.

Stali, przyglądając się jego ciężkiej pracy. Paula zauważyła, że od czasu do czasu zerkał na zegarek. Czyżby bił w dzwon na czas? Tweed rzucił okiem na kołyszący się ponad nimi dzwon, który wydawał się ogromny.

-Chyba już wszyscy usłyszeli? - huknął.

-Pan nas wzywa - odkrzyknął Darkfield.

-Chcieliśmy się tylko przywitać!

- Dziękuję i *do widzenia!* - doszła ich odpowiedź pastora.

Opuścili dzwonnice i udali się do zabytkowego kościoła.

Wszedłszy do środka, odetchnęli z ulgą, ściany skutecznie tłumiły ogłuszający hałas. Przejściem pomiędzy rzędami ławek skierowali się w kierunku ołtarza. Paula odezwała się zbyt głośno i dopiero potem ściszyła głos:

- Nie podoba mi się ten pastor. Wygląda podejrzanie.

Kiedy doszli już prawie do ołtarza, Paula stanęła jak wryta.

Pobladła i chwyciła Tweeda za ramię. Ten również zatrzymał się i podążył za jej wzrokiem. Z przerażeniem patrzyli na ołtarz.

Na jego szczycie ktoś umieścił odciętą głowę zabitego niedawno cielaka. Martwe oczy wpatrywały się w nich, a krew zwierzęcia ściekała po ołtarzu i kapłała na podłogę.

- Sekta - szepnęła Paula.

- Wynośmy się stąd. Zabieramy rzeczy i szlakiem od razu idziemy do samochodu - zdecydowanym głosem powiedział Tweed.

Paula jeszcze nigdy nie pakowała się tak szybko, beładnie wrzucając do walizki swoje rzeczy, które w innych okolicznościach starannie by złożyła. Zbiegła po schodach i zastała w holu Tweeda z neserem w ręku.

-Nie pożegnamy się z panią Brogan? - spytała Paula.

-Nie. Mam już dość tej wycieczki. Od razu wyruszamy. Wynośmy się jak najszybciej z tego dziwnego miejsca.

-Dzwon umilkł - zauważyła Paula, kiedy maszerowali w gęstej mgłę. Tweed szukał drogi, przyświecając latarką. -To musiała być jakaś ohydna ofiara.

-Sekta to tylko temat do plotek dla prostych ludzi - odpowiedział.

-Ciekawe, czy wielebny Darkfield był wtedy w kościele. Może to nawet on obciął głowę temu cielakowi? Wygląda na kogoś, kto byłby do tego zdolny.

-Musimy się skoncentrować na sprawie. Podwójne morderstwo - przerwał jej Tweed, starając się zmienić temat.

-Przecież istnieje możliwość - ciągnęła Paula - że ktoś, kto zmasakrował to zwierzę, mógł również mordować ludzi i zdzierać ciało z ich kości.

Tweed się zatrzymał.

-Przestań, Paula. Mam już dość rozmowy na ten temat. Jak przeszła noc? Kolejne koszmary?

-Spałam jak dziecko.

Mgła rozviała się i zatrzymali się przy miejscu, które policjanci otoczyli jaskrawą taśmą.

-Nie rozumiem, jak Michael mógł przejść tędy i nic nie zauważyć.

-A ja rozumiem - odpowiedział poirytowanym głosem. - Widziałem jego oczy, kiedy wracał. To samo niewidzące spojrzenie skierowane prosto przed siebie. Teraz wrócimy do samochodu i pojedziemy do Londynu. Jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Ruszyli przed siebie. Paula zdała sobie sprawę z tego, że zderzowała Tweeda, co bardzo rzadko jej się zdarzało. Próbowwała zmusić się do myślenia o czymś obojętnym. Samochód zastali zaparkowany w tym samym miejscu, gdzie go zostawili, przy pubie. Paula nie odezwała się ani słowem, dopóki nie minęli Exeter,



a potem rzuciła Tweedowi krótkie spojrzenie. Po jego minie zorientowała się, że już się uspokoił.

-Wdzięki tej Lucindy zrobiły na tobie najwyraźniej wielkie wrażenie. Przynajmniej tak mi się wydaje. Jest też niezwykle inteligentna.

-To nie jej wdzięki mnie zainteresowały. Myślę, że dzięki niej mogę się więcej dowiedzieć o rodzinie Volesów i służbie.

Boże, pomyślała, znowu coś źle powiedziałam. Tweed mówił jednak dalej.

-Na tym etapie staram się zdobyć jak najwięcej informacji. Mam nadzieję, że w ten sposób wywęszę jakiś ślad.

-Mógłbyś zagrać tak. Odwiedź ją w fabryce Gantii, gdzie przecież pracuje. Będziemy przejeżdżać obok tego miejsca w drodze do Londynu. Możesz wtedy umówić się z nią na kolację.

-Szczерze mówiąc, też już o tym pomyślałem.

Ledwie skończył to mówić, gdy dostrzegli ciężarówkę stojącą po ich stronie drogi. Czerwony trójkąt ostrzegał, że pojazd jest uszkodzony. Tweed zatrzymał samochód, czekając, aż będzie mógł bezpiecznie wyminąć zawalidrogę.

Rozległ się brzęk tłuczonego szkła. W oknie obok Tweeda dostrzegli małą dziurę.

- Pocisk - szybko powiedział Tweed.

Wyminął ciężarówkę i zobaczywszy, że droga jest wolna, wcisnął gaz do oporu. Przez pewien czas gnał jak szalony, potem zwolnił i zatrzymał samochód w bezpiecznym sąsiedztwie przydrożnego baru. Dopiero wtedy rozluźnił się i opadł na oparcie fotela.

- Nic ci nie jest? - zapytał.

- Nic, nawet zadrapania. Tobie też nic się nie stało?

-Nie.

-Ten sam samolot, który leciał za nami nad Dartmoor, znowu się pojawił, kiedy mijaliśmy Exeter.

-Widziałem. Skąd wiesz, że to ten sam samolot?

-Miał charakterystyczny znak na ogonie.

-Chyba masz rację. Pilot też ten sam. Trafił nas, gdy staliśmy w miejscu. Podejrzewam, że chybił celowo, że zamierzał nas tylko

ostrzec. Ktoś nie chce, żebyśmy się zajmowali tą sprawą. Pytanie tylko kto?

## 10

rzadko odwiedzanej budce telefonicznej na bocznej uliczce w Hammersmith w zachodnim Londynie Charmian przeglądał listę numerów telefonicznych, które dał mu tajemniczy zleceniodawca.

W Pochodzący z Francji Charmian był jednym z najdroższych płatnych morderców w Europie. Jego nieznanemu zleceniodawcy, który ukrywał się pod pseudonimem M., dotarł do niego dzięki tajnym kontaktom w londyńskim Soho. Wysoka zaliczka została potem przelana na jego konto w banku w Zurychu. Charmian spojrzął na zegarek. Rozmowy z M. odbywały się o ściśle określonych porach.

Ukryty w torbie hełm lotniczy położył na podłodze budki. Jeszcze raz sprawdził godzinę i wybrał numer. Na drugim końcu linii ktoś natychmiast podniósł słuchawkę.

-Czy rozmawiam z M.? - zapytał płynną angielszczyzną.

-M jak meczet - zabrzmiał wcześniej ustalony odzew.

Charmian wziął głęboki oddech. Wiadomości, które musiał przekazać, nie były dobre.

-Właśnie wróciłem - powiedział. - Wylądowałem na lotnisku City.

-Mów dalej.

Charmian nie mógł zgadnąć, czy dziwny głos należał do kobiety, czy do mężczyzny. Pewnie rozmówca mówił przez chusteczkę.

- Zgodnie z planem porwałem ciężarówkę. Zatrzymałem ją jak autostopowicz, potem uspiłem kierowcę chloroformem, tak jak kazałeś. Kierowcę zostawiłem w krzakach przy A303. Pojechałem dalej i zaparkowałem ciężarówkę w wyznaczonym miejscu. Do tego momentu wszystko szło zgodnie z planem.

-To znaczy, że ci się nie udało?

-Wróciłem do samolotu, który czekał na pobliskim lotnisku. Z powietrza zlokalizowałem samochód, którym wracali z Abbey Grange Tweed i jego towarzysza. Byli w pobliżu miejsca zasadzki.

Czy mój angielski jest zrozumiały?

-Tak, mów dalej - nakazał głos M.

-Samochód Tweeda dojeżdża do blokującej drogę ciężarówki. Tak jak przewidywaliśmy, zatrzymał się. Strzeliłem raz. Chybi-

łem o kilka milimetrów. W tym momencie Tweed jedzie bardzo szybko dalej.

-Spartaczyłeś robotę.

Spartaczyć? Charmian nie znał tego słowa, ale z kontekstu mógł zgadnąć, co znaczy. Postanowił, że najlepiej będzie nic nie odpowiedzieć.

- Masz zabić Tweeda jak najszybciej. Inaczej - ostrzegął głos M. - nie licz na kasę.

Trzasnęła odłożona słuchawka. Charmian rzucił pod nosem kilka soczystych francuskich przekleństw. M. nie wydawał się zadowolony. Charmian nie mógł wiedzieć, że M. był w tym momencie przestraszony. Śledztwo dopiero się rozpoczęło, a Tweed był już blisko, stanowczo za blisko. Z tego, co powiedział Charmian,

wynikało, że odwiedził Abbey Grange.



# 11

Tweed zdecydował, że lepiej odczekać trochę w barze. Byli jedy-  
nymi klientami w ładnie urządzonym wnętrzu i Tweed wybrał  
stolik w głębi, przy którym mogli siedzieć plecami do ściany.

Nienagannie ubrana kelnerka przyjęła od nich zamówienie. Oboje poprosili o czarną kawę, a Paula dodatkowo wskazała na ciastko z kremem stojące w oszklonej chłodziarce. Zazwyczaj nie jadła słodczy, ale teraz potrzebowała cukru.

-Posiedzimy tutaj dłużej. Na wypadek gdyby zamachowiec zorganizował dodatkową zasadzkę na trasie do Londynu - wytłumaczył Tweed po kilku minutach. - Pomyśli, że odbiliśmy do Guilford albo jeszcze gdzie indziej. - Przerwał i spróbował kawy. - Dobra.

-Ciastko też - odpowiedziała Paula. - Świeży krem. Co dalej z tą sprawą? Dobrze, że zabraliśmy się z Dartmoor. W Abbey Grange zastanawiałam się, gdzie jest Drago Volkanian.

-To jedna z rzeczy, których chcę się dowiedzieć od Lucindy. Nie śpiesz się z tym ciastkiem, musisz odpocząć.

Po dłuższym czasie opuścili bar i wyszli na słońce, które tymczasem wyjrzało zza chmur. Kiedy dotarli do wielkiej fabryki Gantii, okazało się, że stalowa brama jest zamknięta. Tweed wysiadł, żeby zadzwonić z bramofonu. Gdy z uśmiechem na ustach wracał do samochodu, brama zaczęła się otwierać do środka.

-Nie zgadniesz - powiedział, kiedy wjeżdżali na teren zakładu. - Jak usłyszeli moje nazwisko, powiedzieli, że panna Voles uprzedziła ich, że mogę się pojawić.

-Cóż za przewidująca dama.

Ogrody przed niezwykłym budynkiem przypominały te w pałacu Hampton Court. Z obu stron alei ciągnęły się szpalery igła-

stych krzewów przyciętych w kształty ptaków i kul. Volkanian najwyraźniej dbał o wizerunek firmy.

Zaparkowali samochód i skierowali się do głównego wejścia po schodach z białego marmuru. Drzwi otworzyły się, zanim do nich dotarli, i przywitał ich strażnik w eleganckim mundurze i ze zdjętą czapką.

- Witamy w Gantii. Panna Voles powinna się zaraz pojawić. O, już nadjeżdża.

Usłyszeli ryk potężnego silnika i przez wciąż otwartą bramę z piskiem opon wjechało rozpędzone czerwone porsche. Strażnik, mężczyzna może pięćdziesięcioletni, zaśmiał się pod nosem.

- Trzeba przyznać, że panna Voles ma ciężką nogę i potrafi instynktownie unikać policyjnych radarów. Zaraz będzie do państwa dyspozycji, musi jeszcze zaparkować samochód w garażu.

Automatyczne drzwi uniosły się i zaczęły zamykać z powrotem, zaraz po tym jak porsche wślizgnęło się do środka. Tweed domyślił się, że inne wejście wiedzie zeń bezpośrednio do wnętrza *budynku*. Kiedy strażnik zaprowadził ich do dużego holu udekorowanego drogimi wazonami pełnymi kwiatów, Lucinda czekała już tam na nich, uśmiechając się ciepło, i ucisnęła na powitanie najpierw Tweeda, a potem Paulę.

-Tym razem pobiła pani rekord, panno Vbles - powiedział strażnik.

-Z daleka pani jedzie? - zapytała Paula.

-Nigdy nie mówię, z kim się właśnie spotkałam. Względny bezpieczeństwa - odparła Lucinda, uśmiechając się.

-Muszę państwa sprawdzić przed wejściem - oznajmił strażnik i nacisnął guzik.

-Zgodnie z procedurą - wytłumaczyła Lucinda.

Wyglądasz wspaniale, pomyślała Paula. Lucinda miała na sobie podkreślającą zgrabną figurę obcisłą czarną skórzaną kurtkę oraz skórzane spodnie. Na szyi Paula dostrzegła chustkę, chyba od Chanel. Kiedy strażnik podszedł do Tweeda, żeby go przeszukać, ten wyjął swojego walthera z ukrytej kabury, chcąc oddać broń do depozytu.

- Ken, nie zabieraj broni panu Tweedowi - nakazała Lucinda.

- Jest kimś znacznie ważniejszym nawet ode mnie, jeśli chodzi o bezpieczeństwo.

Paula domyśliła się, że przeszukująca ją umundurowana strażniczka została wezwana przez naciśnięcie guzika. Wyjęła z torebki browninga, a Lucinda również jej pozwoliła zatrzymać

broń. Strażnicy ustąpili im już z drogi, kiedy Lucinda nagle spo-  
ważniała i zaczęła strofować ich surowym tonem.

- Ken! Ile razy mam ci mówić, że wszyscy mają być przeszuki-  
wani przed wejściem do budynku? Wszyscy, to znaczy również ja.  
Mogłam przecież oszaleć i próbować wnieść do fabryki bombę.

Strażniczka, z wyrazem przerażenia na twarzy, podeszła do  
Lucindy i dokładnie ją przeszukała. Ken również był przerażony,  
ponieważ to jemu została udzielona nagana. Lucinda jeszcze raz  
dała im reprimendę, a potem ruszyła z Tweedem i Paulą w kie-  
runku windy.

- Sprawa zakończona, ale niech się to nie powtórzy.

Paula zawahała się, czy coś powiedzieć, kiedy Tweed z Lucinda  
wchodzili do windy.

-Panno Voles...

-Proszę, mów mi po imieniu.

-Chyba lepiej będzie, jak zaczekam na dole. Tweed chce chyba  
porozmawiać z tobą w cztery oczy.

-Proszę bardzo. Nie mam nic przeciwko twojej obecności, ale  
to miło, że zapytałaś. Ken zaprowadzi cię do naszej restauracji  
dla pracowników. Zamów sobie obiad, oczywiście na koszt  
firmy.

Winda cicho zatrzymała się na pierwszym piętrze. Lucinda  
wyszła z niej energicznym krokiem i poprowadziła Tweeda do  
swojego gabinetu. Pokój był urządzone ze smakiem, nie stracił  
jednak charakteru miejsca pracy. Ściany zdobiły reprodukcje ob-  
razów Gauguina, Matisse'a i innych malarzy francuskich. Gestem  
wskazała Tweedowi dużą kanapę i zaproponowała kawę, ale on  
odmówił.

-Jestem uzależniona od kofeiny - powiedziała, napełniając  
z dzbanka filiżankę i dolewając śmietanki. Tweed rozpoznał eks-  
kluzywną porcelanę Wedgewood. Lucinda usadowiła się obok  
niego, postawiła filiżankę i spodek na stoliku i zwróciła się ku  
niemu z czarującym uśmiechem.

-Zaczynaj. Domyślałam się, że to będzie przesłuchanie.

-Wolę słowo „rozmowa”. Po pierwsze, czy mogłabyś mi zdra-  
dzić, gdzie w tej chwili przebywa Drago Volkanian? Miałem na-  
dzieję spotkać go w Abbey Grange.

-W Nowym Orleanie. Przynajmniej był tam niedawno. Kiedy  
wróci, sam będzie chciał z tobą porozmawiać. Wciąż domaga się  
nowych informacji na temat śledztwa. Można go zrozumieć,  
w końcu przed jego domem znaleziono ludzki szkielet. Aha, by-

łam też u Michaela w pokoju. Nieprzyjemne przeżycie. Nie poznał mnie. Nie odezwał się również ani słowem. Jego oczy i twarz wyglądają dziwnie. Ile może potrwać ta amnezja?

Mówiła szybko, myśląc jednocześnie o kilku rzeczach. Miała doskonałą dykcję, a Tweedowi bardzo się podobał jej miękki głos. Odwróciła się na kanapie tak, żeby patrzeć prosto na niego, a jej kolano niemal dotykało jego uda.

- Jeśli chodzi o amnezję, opiekowało się nim już dwoje psychiatrów. Pierwszy i lepszy z nich to Bella Ashton. - Wyjął z kieszeni wizytówkę doktor Ashton i wręczył ją Lucindzie. - Możesz się na mnie powołać, może to coś da.

Lucinda sięgnęła po notes i pióro Mont Blanc leżące na biurku. Eleganckim charakterem pisma zanotowała szybko dane kliniki, oddała Tweedowi wizytówkę i podziękowała.

-Natomiast jeśli chodzi o to, jak długo może potrwać amnezja, doktor Ashton twierdzi, że nie można jednoznacznie odpowiedzieć na to pytanie. Mogę jedynie dodać, że pod włosami z prawej strony głowy znajduje się ślad po uderzeniu. Prawdopodobnie został ogłuszony ciężkim przedmiotem albo się przewrócił. To mogło być przyczyną utraty pamięci.

-Czy powinnam się skontaktować z lekarzem specjalistą?

-Pozostawiam to twojej ocenie. Podejrzewam, że szkoda fatygi. Badał go lekarz w Londynie. Może po jakimś czasie dojdzie do

siebie, choć trudno powiedzieć, ile to potrwa.

-Mój wuj, Drago, będzie chciał, żebyś mu to powtórzył.

-Sama możesz mu to powiedzieć.

-Nie ma mowy. - Poprawiła jasne włosy. - Drago będzie się domagał informacji z pierwszej ręki. - Uśmiechnęła się. - Nie lubi rozmawiać przez pośredników. Nawet przeze mnie. - Zdjęła z szyi chustkę, odsłaniając kolorowe korale, które również zdjęła i położyła na stoliku. -Te korale są jak różaniec, noszę je wtedy, kiedy mnie coś martwi.

-Więc jednak czasem się martwisz? Nawet jeśli nigdy tego nie okazujesz?

-Tylko czasami. Kiedy jestem pod presją. Osobowość Dragona - dodała po chwili - może cię przytłoczyć. Ale dasz sobie radę.

-Ta fabryka produkuje żywność. A gdzie znajduje się fabryka broni?

-Ach! - Znów się uśmiechnęła. -Tego sekretu nie mogę ci zdradzić. Gdybym to zrobiła, Drago wyrzuciłby mnie od razu. Naprawdę.

-Domyślałam się, że tutaj dyrektorem jest Larry?

-Tak. Już od dwóch lat. Na to miejsce miał trafić on albo Michael. Ale Michael powiedział, że nie chce tej pracy. Woli zajmo-

wać się handlem, podróżować po świecie.

-Jak długo trwają jego podróże?

-Różnie, czasem do trzech miesięcy albo jeszcze dłużej. Drogo wciąż na to narzeka, ponieważ Michael nie przysyła żadnych raportów. Nie wraca, dopóki nie przygotuje co najmniej dwóch dużych kontraktów. Czasem przywozi ich więcej. Twierdzi, że to jedyny sposób, w jaki potrafi pracować.

-Ach tak - powoli odpowiedział Tweed. - Więc kiedy nie mieliście od niego wieści przez trzy miesiące, zakładaliście, że jest za granicą. Mam rację?

-Właśnie. - Lucinda po raz kolejny położyła dłoń na jego dłoni. - Mam wrażenie, że to jest jednak subtelne przesłuchanie. Bardzo dobrze ci to idzie, Tweed. Mam nadzieję, że w Londynie umówimy się na kolację.

-Co powiesz na Santorini jutro wieczorem? - zaproponował Tweed. - Na przykład o ósmej. Wiesz, gdzie to jest?

-To ta wspaniała restauracja z widokiem na Tamizę. Robisz postępy, musiałam ci się spodobać, skoro proponujesz randkę w mie-

ście. Będę tam na ciebie czekać. Do ósmej zrobię się na bóstwo, że-

byś nie musiał się mnie wstydzić - powiedziała z lekką ironią.

-Chętnie spotkam się z tobą w przyjemniejszej atmosferze. - Przerwał na chwilę. - Zanim pójdę, powiedz mi, czy nie miałaś ja-

kichś dziwnych odwiedzin w ciągu ostatnich trzech lub czterech miesięcy? Kogoś, kogo nigdy przedtem ani potem nie widziałaś?

-Niech pomyślę, tylu ludzi tu przyjeżdża. Ach, zamierzałam zapytać cię o to wcześniej. Nieprzyjemna sprawa. Co z tym szkie-

letem, który znaleźliście na wrzosowisku? Kto to mógł być?

-Za wcześniej, żeby cokolwiek powiedzieć. Możliwe, że minie dużo czasu, zanim do czegoś dojdziemy w tej sprawie. Jeżeli dojdziemy.

-Na pewno ci się uda - zapewniła Lucinda. Tweed wstał, ona również. - Przypomniały mi się pewne dziwne odwiedziny. Jakaś kobieta zadzwoniła, a potem przyszła do nas późno wieczorem. Miała list od Dragona, osobiście przez niego podpisany. Była to pisemna zgoda na zbadanie rachunków firmy. Miałam jej udzielić wszelkiej potrzebnej pomocy, co zresztą uczyniłam. Słowo „wszelkiej” było wyraźnie podkreślone. Zostawiłam ją samą i sądziłam, że będę tutaj musiała spędzić całą noc, ale ona skończyła pracę nadspodziewanie szybko. Wyszła po siódmej, kiedy właśnie



zamykano fabrykę. - Lucinda sięgnęła po notes, podeszła do biurka i przejrzała małą kartotekę. - Oto ona. - Zapisała dane. - Ciekawa rzecz, zadzwoniła do mnie jej siostra, Annę. Pamiętam jej imię, ponieważ tak samo nazywała się moja nieżyjąca matka. Annę chciała się dowiedzieć, czy nie było tutaj jej siostry, kiedy ta już odjechała. Nie mogła się doczekać jej powrotu i obawiała się, że stało się coś złego. Dała mi swój adres i numer telefonu, zapiszę ci je.

Wręczyła mu złożoną kartkę papieru i wzięła go pod ramię. Razem udali się do windy, przed którą cmoknęła go na pożegnanie w policzek, a potem wróciła do swojego gabinetu. Czekaając na windę, Tweed rzucił okiem na nazwiska widniejące na kartce i oniemiał.

Kobieta, która odwiedziła Lucinę, nazywała się *Christine* Barton. Jej siostra nazywała się Annę Barton. Obie miały londyńskie adresy.

Czy to jest właśnie trzecie imię na liście znalezionej w kieszeni Michaela?

Zaczekał, aż znajdą się z Paulą w samochodzie, i dopiero wtedy jej wszystko opowiedział. Paula przyjrzała się kartce wręczonej przez Lucinę Tweedowi. Wyjechali przez bramę, którą otworzył im Ken, a potem skierowali się autostradą do Londynu.

-Kłopot w tym - zauważyła Paula - że Barton to popularne nazwisko.

-Intrygujące jest to, że według Anny, jej siostry, pani Barton zaginęła

-Christine mieszka na Yelland Street, która odchodzi od Fulham Road. Annę mieszka na Champton Place. To na pewno blisko Victoria Station.

-W takim razie najpierw pojedziemy na Yelland Street, a potem spróbujemy na Champton Place.

-Kawał drogi.

-Kiedy pracowałem w Scotland Yardzie, często właśnie podczas takich przejażdżek znajdowaliśmy nowy ślad.

## 12

Fulham Road skręcili w Yelland Street, na której stały rzędy eleganckich świeżo odnowionych domów. Ta część miasta została najprawdopodobniej wybudowana w czasach prosperity przed pierwszą wojną światową. W odróżnieniu od zapchanych samochodami ulic, którymi dojechali w to miejsce, na Yelland Street było pusto i cicho. Przy jednej z posesji stał zaparkowany rolls-royce. Dotarli do numeru 158, gdzie mieszkała Christine Barton. Tuż przy schodach wiodących do drzwi stał niebieski ford, którego kierowca palił papierosa.

Tweed zatrzymał się przy krawężniku i razem z Paulą wysiadł z samochodu. Ledwie weszli na schody, kiedy z niebieskiego forda wyskoczył kierowca i podbiegł do Pauli, która szła za Tweedem. Miał może czterdzieści lat, nosił ciemny garnitur, nie pierwszej świeżości koszulę i jaskrawobłękitny krawat.

- Dokumenty! - zawołał za nimi.

Paula poczuła do niego natychmiastową niechęć. Miał kościstą twarz, złamany nos i agresywną minę, która pasowała do tonu jego głosu. Tweed szybko zszedł ze schodów i stanął obok Pauli.

- A ty kim, do cholery, jesteś? - warknął.

Paulę zaintrygował sposób, w jaki to powiedział. Od czasu szkolenia na poligonie w Surrey Tweed stał się bardziej agresywny. Zaczepnym wzrokiem przyglądał się intruzowi.

- Nie gadać, tylko pokazywać dokumenty - napastliwym głosem zażądał mężczyzna.

- Nie, to ty pokazuj nam swoje - znowu warknął Tweed.

Złamany nos wyjął legitymację i podstawił ją Tweedowi pod nos. Tweed wyrwał mu ją i dokładnie obejrzał. Fotografia nie była



najlepszej jakości, ale można na niej było rozpoznać mężczyznę, którego nazwisko brzmiało Harper.

- Co to za jedna? - ze złośliwym uśmiechem zapytał Harper.  
- Pewnie dziwka? Droga, co?

Tweed bez ostrzeżenia trafił mężczyznę w zębra i kopnął go w piszczel. Facet krzyknął z bólu, cofnął się i niemal upadł. Tweed podążył za nim i włożył jego legitymację z powrotem do kieszeni marynarki. Ręką wskazał na niebieskiego forda.

-Wsiadaj i znikaj stąd. Jutro góra usłyszy, jak się zachowują ludzie Gallaghera. Oskarżyłeś wyższego stopniem funkcjonariusza o prostytutkę.

-Złożę raport... - zaczął Harper, kuśtykając do swojego samochodu.

Odczekali, aż zajął miejsce w niebieskim fordzie, w którym posiedział chwilę nieruchomo. Tweed machnął ręką, nakazując mu natychmiastowy odjazd. Kierowca zapalił silnik, ford ruszył powoli i minął ich, podążając w kierunku Fulham Road. Paula westchnęła.

-Wydział Specjalny zaczął zatrudniać jakieś szumowiny. Wyobrażam sobie, że ten wstrętny typ Gallagher czuje się świetnie w ich towarzystwie.

-Nie myśl o tym.

Z powrotem weszli na schody. Na metalowej tabliczce na ścianie zobaczyli napis CHRISTINE BARTON, FCA. Paula patrzyła na nią ze zdziwieniem.

-No, no! Członkini Korporacji Biegłych Rewidentów - myślał na głos Tweed. - Najwyższe kwalifikacje, najwyższe stawki. Dlatego mogła sobie pozwolić na mieszkanie tutaj.

-Dlaczego mówisz o niej w czasie przeszłym? - cicho zapytała Paula. - Mogła?

-Przejęzyczenie. Mam nadzieję. Tabliczka była niedawno polerowana. Zobaczymy, co nas tu spotka.

Zadzwonił do drzwi. Bez skutku. Kiedy zadzwonił pod raz drugi, Paula ukucnęła, żeby zajrzeć do środka przez szparę do wrzucania listów. Kiedy wstała, wyraz jej twarzy zdradzał zaniepokojenie.

-Ten dzwonek słychać chyba w całym domu. A w holu są pałeczyny. Wcale mi się to nie podoba.

-Ani mnie. Pojedźmy na Champton Place. Mam nadzieję, że jej siostra, Anne, jest w domu.

-Czy powiedziałaś Lucindzie o tarasującej drogę ciężarówce? - zapytała Paula, kiedy przedzierała się przez kolejne korki ku Champton Place.

-Nie, nie powiedziałam. A ona nie wspomniała o żadnej brakującej ciężarówce.

-To dziwne. A co z tym zagadkowym zdaniem, które tylko raz wypowiedział Michael: „Byłem świadkiem morderstwa”?

-Nie zamierzam nikomu o tym mówić, dopóki nie ustąpi amnezja Michaela. Jeżeli ustąpi.

Domy na Champton Place nie wyglądały tak elegancko jak na Yelland Street: tu po obu stronach ulicy ciągnęły się czteropiętrowe szeregowce, których ściany były zaniedbane, a zasłony w oknach stare. Wiatr unosił nad ulicą śmieci i kawałki papieru.

- No to jesteśmy na miejscu - powiedział Tweed, parkując przy drzwiach numeru 187. Tutaj zasłony na parterze były czyste, a schody prowadzące do drzwi ktoś starannie wyszorował, podobnie jak przycisk dzwonka. Tweed rozejrzał się, żeby sprawdzić, czy nie są śledzeni, a potem zadzwonił. Niedawno pomalowane zielone drzwi otworzyły się po chwili. Stała w nich kobieta może trzydziestoletnia, o miłej aparycji i schludnie wyszczotkowanych rudych włosach. Drzwi były zamknięte na łańcuch.

Tweed przedstawił siebie i Paulę, trzymając legitymację tak, żeby łatwo było ją przeczytać stojącej w drzwiach kobiecie, która bez wahania zamknęła drzwi, odsunęła łańcuch i wpuściła ich do środka.

- Mają państwo jakieś wiadomości o Christine? Jestem Annę, jej siostra. Proszę wejść.

Mówiła szybko. Kiedy znaleźli się w wąskim holu, Paula zwróciła uwagę na tanią wykładzinę, która niedawno została odkurzona. Wiszące na ścianie lustro było nieskazitelnie czyste. Pani Barton wprowadziła ich do niewielkiego saloniku i poprosiła, by usiedli. Jej twarz wyrażała oczekiwanie i obawę.

-Przykro mi, ale nie mamy nic konkretnego - szybko zaczął Tweed. - Zamierzamy dowiedzieć się, w jakich okolicznościach zniknęła. Czy wie pani może, gdzie widziano ją po raz ostatni? Może to pani ją wtedy widziała?

-Dziś mijają cztery miesiące. Pracowała u siebie w domu na Yelland Street. Przyniosła mi w prezencie ten piękny wazon ze szwedzkiego szkła, który stoi na parapecie. Musiał kosztować fortunę, ale ona zawsze była bardzo hojna. Od tamtego czasu jej nie widziałam.

Annę Barton miała około metra pięćdziesięciu wzrostu i była szczupłą kobietą o szarych oczach i przyjemnych rysach twarzy. Suknia z wzorzystej tkaniny i buty na wysokich obcasach dopełniały miłego widoku. Pani Barton wydała się Pauli osobą niezamężną, ale pozwalającą sobie czasem na kupno eleganckich, drogie butów. Stojące w saloniku meble, tanie, lecz gustowne, potwierdzały jej domysły. Annę zaczęła mówić.

-Bardzo mi miło, że państwo przyszli. To znak, że ktoś coś robi w tej sprawie. Miała wrócić tego samego dnia, po spotkaniu z ważnym klientem...

-Przepraszam - przerwał Tweed. - Czy zna pani nazwisko tego klienta?

-Nie. Christine nigdy nie mówiła za dużo o swojej pracy. Według niej wiele informacji było poufnych. Zawsze była ode mnie mądrzejsza, ale nie przeszkadzało to naszej przyjaźni. Była audytorem, jednym z najlepszych. Firmy, które chciały, żeby ktoś skontrolował ich finanse, często najpierw zamawiały ekspertyzę w wielkiej firmie audytorskiej, a potem jeśli wciąż były niezadowolone, trafiały do niej. Potrafiła wykryć nawet najbardziej pomysłowo ukryte nadużycia.

-Czy zgłosiła pani jej zniknięcie?

-Tak. - Annę wyprostowała się w fotelu i Paula wyczuła w jej głosie irytację. - Poszłam na policję, gdzie skierowano mnie do jakiegoś biura, w którym siedział ten idiota. Otworzył skoroszyt i zaczął zadawać mi pytania. Czy miała kochanka? Nie, odpowiedziałam. A jej rodzice? Może do nich uciekła? Powiedziałam, że nasi rodzice nie żyją. Widać było, że nie interesuje go, co mówię. Zrobił mi mały wykład na temat liczby ludzi, którzy znikają z róż-

nych powodów i nigdy się nie odnajdują. Powiedział, że wziął ode

mnie dane i założył jej teczkę. Byłam wściekła. Kiedy wróciłam do domu, ogarnęła mnie rozpacz.

-Co pani potem zrobiła? - zapytał delikatnie Tweed.

-Jaki pan domyślny. Zrobiłam to, co powinnam była zrobić od razu. Christina zostawiła mi klucz, żebym mogła zajmować się domem pod jej nieobecność. Kiedy weszłam tam, wszystko wyglądało normalnie. Poszłam prosto do jej szafy i sprawdziłam ubrania. Niczego nie brakowało. Były tam również jej torby podróżne. W łazience stał neseser. Gdyby miała zamiar wyjechać gdzieś na dłużej, nie zostawiłaby ich. Szkoda, że nie sprawdziłam tego przed wizytą na policji. Potem doszłam do wniosku, że na tym idiocie i tak nie zrobiłoby to wrażenia.

-Byliśmy na Yelland Street, zanim trafiliśmy do pani - wyjaśnił Tweed. - Tabliczka z jej nazwiskiem została niedawno wypolerowana.

-Tak, to ja - odpowiedziała Annę. - Nie mogłam na nią patrzeć, kiedy pokryła się patyną.

-Powiedziała pani, że ma klucz do jej domu - przypomniał sobie Tweed. - Jeśli nam go pani użyczy, pojedziemy i dokonamy przeszukania. Może coś znajdziemy.

-Tak? - Jej pobladła twarz się ożywiła. Sięgnęła do torebki stojącej na oparciu jej fotela, wyjęła z niej klucze i wręczyła im.

-Kiedy państwo skończą, proszę wrzucić je w tej kopercie do mojej skrzynki na listy. Tak będzie najprościej. Proszę tylko zadzwonić do mnie, jeśli państwo coś znajdą, byłabym bardzo wdzięczna. - Wręczyła Tweedowi wizytówkę. - Tu jest mój numer

telefonu.

-Zadzwońmy - obiecał Tweed. Dał jej też swoją wizytówkę. - Jeżeli przypomni pani sobie jakiś szczegół albo wydarzy się coś dziwnego, proszę od razu dzwonić do mnie pod ten numer. Nawet

jeśli informacja wyda się pani mało ważna. Na przykład zatelefonuje ktoś nieznanomy. Proszę to zanotować i zadzwonić.

-Nawet pan nie wie, jak bardzo jestem wdzięczna - powtórzyła.

Wyszli z domu pani Barton i już wsiadali do samochodu, kiedy nagle otworzyły się frontowe drzwi i wybiegła z nich Annę, ścisnąc w dłoni małą ramkę z fotografią. Paula natychmiast wsiadła z samochodu i uśmiechnęła się do niej, kiedy ta zdyszana zatrzymała się przy samochodzie.

-Przepraszam, że państwa zatrzymuję. Tutaj jest fotografia Christine. Nie pomyślałam o tym, kiedy rozmawialiśmy.

-To nie pani wina - zawołał z samochodu Tweed. - Sam powinienem pomyśleć o tym. Jestem ostatnio rozkojarzony.

-Nie sędę, panie Tweed - odrzekła Annę, uśmiechając się do niego. - Mam jeszcze inne jej zdjęcie, więc to mogą państwo zatrzymać tak długo, jak zechcą.

-Zwrócimy, gdy tylko będziemy mogli.

Chociaż oboje znali się na przeszukiwaniu pomieszczeń, po dwóch godzinach, w czasie których sprawdzili parter i sutereneę z sypialnią i łazienką, nie udało im się nic znaleźć. Tweed otworzył wytrychem stalowe szafki na akta stojące w gabinecie.

Znajdowały się w nich wypełnione dokumentami teczki, a na każdej widniało nazwisko klienta. Tweed wyjął notes i zapisał

wszystkie nazwiska. Nie spodziewał się, że naprowadzą go na jakikolwiek ślad. Były jedynie świadectwem wielkiej pracowitości Christine.

Zanim skończyli przeszukiwać dom, Paula po raz trzeci tego dnia zadzwoniła z telefonu komórkowego na Park Crescent, żeby powiedzieć Monice, gdzie teraz są. Koledzy i koleżanki w SIS zawsze niepokoiли się, kiedy jedno z nich nie dawało znaku życia przez dłuższy czas.

-Znalazłeś coś?

-Nic.

-Ani ja. Jeszcze kuchnia. Powinam od niej zacząć, przecież to miejsce, o którym pomyśli każda kobieta, kiedy chce coś ukryć.

Nie zdejmując gumowych rękawiczek, próbowała otworzyć ciężkie drzwi wielkiej amerykańskiej lodówki, ale bezskutecznie. Drzwi były zablokowane. Urządzenie wyglądało na nowoczesne i drogie. Otworzyła szuflady, z których jedna zacięła się w półotwartej pozycji. *Spojrzała na szafki i zobaczyła, że narożna ma drzwiczki zamykane na dwa banhamowskie zamki. Drzwiczki nosiły ślady próby włamania. Zawołała Tweedą i pokazała mu to.*

- Nie próbowali chyba zbyt mocno - skomentował. - Drzwiczki są cienkie, raczej nie schowała tam nic cennego. Zadzwonię po Harry'ego Butlera. Umie otworzyć każdy zamek i nie zostawia najmniejszego śladu.

Kończył rozmowę, kiedy zadzwonił telefon Pauli. To była Monica. Paula słuchała chwilę, poprosiła ją, żeby zaczekała na linii, i podała słuchawkę Tweedowi.

-Sądzę, że cię to zainteresuje.

-Tweed przy telefonie.

-Mówi Monica. Myślę, że powinieneś o tym wiedzieć. Zostaliśmy tutaj ofiarami najścia. Abel Gallagher po Szarpaninie z Geor-

ge'em na dole wszedł do gabinetu Boba Newmana i urządza mu tam w środku jakąś straszną scenę.

-Już jedziemy. Będziemy najdalej za piętnaście minut.

-Ta szuflada nie chce się otworzyć - głośno powiedziała Paula, kiedy Tweed rozmawiał przez telefon.

Spróbowała jeszcze raz, ale szuflada znów zablokowała się w pół drogi. Paula sięgnęła pod spód i przesunęła ją odrobinę do przodu. Palcami wyczuła grubą kopertę, którą odkleiła od dna szuflady i wyjęła. Koperta nie była zaklejona. Znajdował się w niej plik dokumentów pokrytych gęsto kolumnami liczb. Kilka

z nich zostało zakreślonych czerwonym kolorem, w tym jedna pozycja opiewająca na 400 min.

-Musimy wracać - ponaglał Tweed.

-Popatrz na to. Były dobrze ukryte. Nie mam pojęcia, co oznaczają te liczby, równie dobrze mogłoby tu być coś napisane po chińsku. Jak myślisz, co to jest?

Wziął od niej plik papieru, mimo że już zamierzał zdjąć rękawiczki. Zmarszczył czoło, wpatrując się w kolumny liczb. Dla niego też nic nie znaczyły. Paula wzięła dokumenty i schowała je z powrotem do koperty. Odwróciła ją i zauważyła, że Christine zaczęła na niej coś pisać: „Dr”. Zastanowiła się.

Zaczekała, aż wsiądą do samochodu. Tweed bocznymi ulicami jechał na Park Crescent. Kiedy zatrzymali się na światłach, pokazała mu napis na kopercie.

-Czy nie sądzisz, że zaczęła pisać Drago Volkanian?

-Mogła napisać cokolwiek. Abel Gallagher wtargnął właśnie do mojego pokoju, a przedtem szarpał się ze strażnikiem. Teraz Newman musi mu samotnie stawić czoło. Nie mogę się doczekać, kiedy osobiście się z nim policzę.

W drodze powrotnej Tweed poprosił Paulę, żeby zadzwoniła do jego przyjaciela Keitha Kenta, geniusza księgowości, i poprosiła go o przysługę. Miał jak najszybciej przyjść na Park Crescent i poczekać na nich na parterze w pokoju dla gości. Tweed chciał się z nim tam spotkać.

- Śmiał się - powiedziała Paula, kiedy zakończyła rozmowę. - Powiedział, że jeśli nie prosisz go o załatwienie czegoś na przedwczoraj, to na pewno nie jest to poważna sprawa. Zaraz pojawi się na Park Crescent. Teraz dzwonię do Anne Barton.

Telefon na Champton Place został natychmiast odebrany. Muszę teraz dobierać słowa, pomyślała Paula.

-Mówi Paula Grey. Przeszukaliśmy dom pani siostry. Znaleźliśmy ukryte dokumenty, które mogą nam coś powiedzieć, ale musi je najpierw sprawdzić ekspert. Przepraszam, ale to wszystko, co wiemy.

-Najważniejsze, że nie czuję się już tak osamotniona. Dziękuję za telefon. I za wszystko, co państwo dla mnie robią.

- Będziemy w kontakcie - zapewniła Paula i odłożyła słuchawkę. Potem przypomniała Tweedowi:

- Musimy poprosić Harry'ego Butlera o pomoc przy tej lodówce i przy zamykanej szafce. Nie mogłam ich otworzyć.

- Te wielkie amerykańskie lodówki - skomentował Tweed. - Może oni tam naprawdę jedzą więcej niż my? O patrz, tam stoi brązowe volvo Gallaghera.

Paula spojrzała we wskazanym kierunku, podczas gdy Tweed parkował przy Park Crescent. Miał zaciśnięte usta. Widać było, że jest zdenerwowany, ale kiedy George otworzył im drzwi, ton jego głosu był spokojny.

-Bardzo mi przykro z powodu tego, co się tutaj stało. Nic ci nie jest?

-Raczej nie. Gallagher uderzył mnie łokciem w zębra, a potem pobiegł na górę. Już mnie nie boli.

-Musi cię natychmiast zbadać lekarz. Zadzwoń po Westholma, teraz. To rozkaz.

Tweed, przeskakując po dwa stopnie, wbiegł po schodach na górę. Przez uchylone drzwi jego biura dochodziły głosy Boba Newmana i Gallaghery. Newman mówił spokojnie i z lodowatą uprzejmością:

-Naprawdę będę musiał nakazać swoim ludziom usunięcie pana z budynku.

-Tylko spróbuj! - krzyczał Gallagher.

Tweed powoli wszedł do gabinetu, a za nim Paula. Cały zespół już tam był. Z lewej strony przy drzwiach siedziała za biurkiem Monica i przyglądała się z oburzeniem całej scenie. Marler stał oparty o ścianę po drugiej stronie biura, z rozbawioną miną paląc papierosa. Harry Butler, który z kolei miał bardzo poważny wyraz twarzy, stał obok Newmana. Ich nieproszony gość, wielki mężczyzna o szerokich ramionach, stał plecami do Tweeda i Pauli. Miał na sobie ciemny garnitur. Palcem wskazywał na nieporuszonego Pete'a Nielda, który siedział na biurku Tweeda.

- Panie Gallagher - powoli i cicho odezwał się Tweed - proszę, żeby pan natychmiast opuścił mój gabinet.

Szef Wydziału Specjalnego odwrócił się i Paula po raz pierwszy mogła się dokładnie przyjrzeć jego twarzy. Zdecydowała, że Gallagher jest złośliwym, nieokrzesanym chamem. Nieuczesane, ciemne włosy, agresywne spojrzenie, złamany nos i szeroka szczeka. Spokojny ton Tweeda najwyraźniej zbił go z tropu, a kiedy odzyskał głos, nie mówił już tak głośno.

- Przyszedłem się dowiedzieć, co ty kombinujesz przy Abbey Grange.

Newman bezszelestnie podszedł do Tweeda i wsunął mu do ręki egzemplarz dziennika „Daily Nation”. Wielki nagłówek infor-

mował o „dwóch szkieletach znalezionych na Dartmoor”. Tweed wręczył gazetę Pauli i przemówił do Gallaghera tym samym spokojnym tonem:

-Kiedy pan wyjdzie, co nakazuję panu zrobić natychmiast, proszę kupić dzisiejszą gazetę. Najwyraźniej nie nadaża pan za najnowszymi wiadomościami.

-Co masz na myśli, do diabła?

-Jeszcze jedno - nie przerywał Tweed, zasiadając za swoim biurkiem. Pete Nield natychmiast zsunął się z blatu i stanął obok Newmana. - Jestem zmuszony poinformować ministra spraw wewnętrznych o tym, co przytrafiło się mojemu strażnikowi. Może pan go oczywiście przeprosić, wychodząc. Bob, otwórz panu Gal-

lagherowi drzwi.

Gallagher, który przywykł do bardziej wulgarnego języka, wpadł w osłupienie. Wyszedł przez drzwi, które usłużnie otworzył mu Newman, i szybko zszedł po schodach. W tym momencie zadzwonił telefon. Monica odebrała go i poinformowała Tweeda, że właśnie przyszedł Keith Kent.

- Wspaniale. - Tweed się uśmiechnął. - Poproś go do mnie.

Kiedy gość pojawił się w gabinecie, Tweed wstał, żeby podać mu rękę.

-Przyleciałeś chyba concorde'em. Jestem ci naprawdę bardzo wdzięczny.

-Wazeliniarstwem nie zjednasz mnie na długo - z ironicznym uśmiechem odparł Kent.

Keith Kent, mężczyzna po czterdziestce, nosił elegancki granatowy garnitur w prążki, miał porządnie przycięte ciemne włosy i młodo wyglądającą twarz, na której malowała się skromność i inteligencja. Usiadł na krześle, które wskazał mu Tweed, i rozejrzał się.

-Dzień dobry wszystkim. Nie wiem, jak możecie nadażyć za tym facetem, szczególnie po jego niedawnym treningu. O co chodzi tym razem? -Wziął kopertę, którą podała mu Paula, a potem spojrzął jej w oczy. - Musimy się umówić na kolację we dwoje.

-Kiedy tylko chcesz.

-Dziś wieczorem. W Ivy, o siódmej, możesz?

-Doskonale. - Położyła mu dłoń na ramieniu. - Tylko przelóżmy to na jutro. Tweed będzie wtedy ze swoją blond seksbombą.

-Nie sądzę, żeby Lucindzie spodobało się, jak o niej mówisz.

- Tweed się uśmiechnął.

-Przecież jest blondynką i ma w sobie tyle energii co bomba, prawda?



Kent studiował plik dokumentów pokrytych mrowiem liczb. Spojrzał na Tweeda i zmarszczył brwi.

-Jeśli chcesz jutro mieć raport, to się przeliczyłeś. To jest bardzo skomplikowana księgowość. Ktoś naprawdę dobry opraco-

wał to według własnej metody. A może opracowała?

-Opracowała. To była kobieta.

-Ale nie rzeczoznawca, rewident księgowy?

-Owszem.

-Tak pomyślałem. „400 min”. Czteryście milionów. Obroty tej firmy muszą być znacznie większe. Na razie tylko tyle potrafię powiedzieć. - Jeszcze raz rzucił wymowne spojrzenie Pauli, która siedziała teraz za swoim biurkiem po drugiej stronie gabinetu.

- O siódmej w Ivy?

-Pamięć jeszcze mnie nie zawodzi, Keith. Spóźnię się trochę.

-Kobiety zawsze się spóźniają. - Kent znów uśmiechnął się ironicznie. - Szczególnie inteligentne, jak ty.

Kiedy wyszedł, Harry Butler, jak zwykle ubrany w starą wiatrówkę i dżinsy, podszedł do biurka Tweeda i postawił na podłodze torbę ze swoimi narzędziami.

-Paula szepnęła mi ha ucho, że masz dla mnie pilną robotę. Mam sprzęt, mogę jechać.

-Wielka amerykańska lodówka, której nie potrafimy otworzyć. I szafka z cienkimi drzwiczkami i dwoma patentowymi zam-

kami. Zawiozę cię. Bob - Tweed zwrócił się do Newmana - zajmij

się wszystkim, kiedy mnie nie będzie.

-Jadę z wami - oświadczyła Paula tonem niezróżnicującym sprzeciwu.

Na Yelland Street było cicho i pusto tak samo jak wtedy, kiedy przebywali tam ostatni raz. Podczas gdy Tweed parkował przed domem Christine, Paula wyjęła z torebki aparat fotograficzny.

- Zamierzam skopiować to zdjęcie Christine, które dała nam jej siostra. Mówiła, że ma jeszcze jedno, ale jestem pewna, że to dla niej cenna pamiątka.

Kiedy znaleźli się w środku, Tweed zaprowadził Butlera do kuchni w głębi domu. Paula zajrzała do salonu, gdzie Tweed zostawił fotografię Christine na fortepianie. Zrobiła trzy zdjęcia fotografii, a potem włożyła oryginał pod pachę i dołączyła do kolegów.

- Dobre banhamowskie zamki - powiedział Butler, pracując małą maszynką przy szafce. Następnie specjalnym kluczem, któ-

ry przyniósł ze sobą, otworzył oba zamki. Odszedł na krok od szafki i zaprosił Paulę do jej otworzenia.

Zajrzała ostrożnie do środka i zamarła. W środku znajdował się stos półek, które najprawdopodobniej zostały wyjęte z szafy. Obok leżały starannie zapakowane paczuszki z jedzeniem. Paula cofnęła się o krok, ponieważ dochodził z nich nieprzyjemny zapach zgnilizny.

- Drzwi lodówki nie są zablokowane - zawołał Butler. - Trzeba po prostu przesunąć rączkę do dołu, a potem do góry.

Znów pozwolił Pauli otworzyć. Wytarła spocone dłonie o spodnie i podeszła do lodówki. Tweed w tym czasie po raz drugi sprawdził szafki. Pokonując wewnętrzny opór, Paula otworzyła drzwi zgodnie z instrukcjami Butlera. Przesunęła rączkę ku dołowi i zatrzymała się. Wzięła głęboki oddech, a potem przesunęła rączkę ku górze, ściskając ją dłonią w gumowej rękawiczce. Drzwi lodówki otworzyły się ciężko i po kuchni rozszedł się łatwy do rozpoznania odór rozkładającego się ciała.

- O, Boże! - jęknęła. - Tylko nie to!

Tuż przed sobą zobaczyła twarz Christine Barton. Głowa martwej kobiety spoczywała na plastikowej półce wewnątrz lodówki, gardło było poderżnięte od ucha do ucha. Jej zmasakrowane nagie ciało upchnięto na innych półkach lodówki. Strzępy podcinałych mięśni leżały starannie zapakowane w plastikowe torebki.

- Jezu! - krzyknął Butler.

Tweed, który już zdążył poczuć smród, odepchnął Paulę i zamknął drzwi lodówki. Obrzydliwy zapach wypełniał całą kuchnię. Tweed złapał Paulę za ramię.

- Z powrotem do salonu. Harry, zamknij drzwi do holu.

W salonie Paula opadła na fotel i głęboko odetchnęła świeżym powietrzem. Tweed trzymał rękę wyciągniętą w jej stronę, zastanawiała się po co.

- Twój telefon komórkowy - zażądał. - Dzwonię po Buchana. Mam nadzieję, że będzie mógł sprowadzić profesora Saafelda.

On zawsze chce obejrzeć ciało, zanim zostanie zabrane.

- Chyba powinnam... - wyjąkała nagle Paula - zadzwonić do Anny.

- Jeszcze nie. Mam nadzieję, że Saafeld będzie umiał zamaskować jakoś to poderżnięte gardło, kiedy ciało trafi do kostnicy. To okropne, ale Annę będzie musiała zidentyfikować zwłoki.

## 13

Godzinę później Tweed samotnie jechał na Park Crescent. Buchanan dotarł na miejsce przed jego odjazdem, razem z brygadą śledczą. Profesor Saafeld jakimś cudem mógł przyjechać kilka minut wcześniej. Koniecznie chciał zobaczyć ciało ofiary, zanim - jak to nie przebierając w słowach, wyraził - „ci rzeźnicy zniszczą wszystkie ślady”.

Paula siedziała z Anną na Champton Place. Tweed telefonicznie polecił Pete'owi Nieldowi, żeby jak najszybciej również tam pojechał. Zdecydował, że Pete, sympatyczny i spokojny mężczyzna, będzie właściwym człowiekiem na właściwym miejscu, kiedy Annę wróci z kostnicy, gdzie miał zabrać ją w wiadomym celu profesor Saafeld.

Jechał w godzinie szczytu, posuwał się więc w zółwym tempie. Kiedy dotarł wreszcie do zacisza swojego biura na Park Crescent, drzwi otworzył mu George. Tweed przyjrzał się mu, ale strażnik stał prosto i poruszał się normalnie.

-Zbadał cię lekarz?

-Tak, właśnie przejeżdżał w pobliżu. Okazało się, że na klatce piersiowej mam ranę, uderzyłem się o szafkę, kiedy Gallagher mnie popchnął. Lekarz zdezynfekował ją i założył opatrunek. Zostawił zaświadczenie, proszę, jest tutaj.

-Dziękuję, przyda się. Gallagher pewnie już się zastanawia, czy nie posunął się za daleko i czy zamierzam napisać o tym incydencie

raport do ministra. I niech się zastanawia. Jak się czujesz z tą raną?

-Gallagher może przyjść z powrotem, dam mu radę. Po raz drugi mnie nie zaskoczy.

Tweed wbiegł po schodach do swojego gabinetu, w którym stał część pracowników. Monica pracowała na komputerze. New-

man siedział przy biurku, czytając gazetę. Był to ponadczterdzie-  
stoletni, dobrze zbudowany blondyn o zdecydowanych rysach  
twarzy. Podobał się kobietom. Chuliganom na ulicach wystarcza-  
ło jedno spojrzenie, żeby omijali go z daleka.

Marler, człowiek o reputacji najlepszego strzelca w zachod-  
niej Europie, jak zwykle stał oparty o ścianę. Miał dobrze ponad  
trzydzieści lat, 1,85 m wzrostu i szczupłą sylwetkę, na której  
świetnie wyglądał szykowny granatowy garnitur, nieskazitelnie  
biała koszula i krawat od Hermesa. Poruszał się powoli, co stwa-  
rzało fałszywe wrażenie ociężałości. Na przystojnej twarzy zazwy-  
czaj malował się sardoniczny grymas.

Tweed zdjął płaszcz i powiesił go na wieszaku, a potem za-  
siedział za swoim biurkiem. Zwięźle poinformował obecnych o wy-  
darzeniach ostatnich dni, zaczynając od dziwnej amnezji Mi-  
chaela i podróży do Post Lacey, a kończąc na makabrycznych  
znaleziskach na Dartmoor i dziwnych mieszkańcach Abbey  
Grange, nie wyłączając służby. Monica przysłuchiwała się jego  
relacji.

Niewysoki, ale masywnie zbudowany Tweed był mężczyzną  
w nieokreślonym wieku. Przez okulary w grubej rogowej opraw-  
ce Monica widziała jego inteligentne oczy. Miał tę przydatną  
w swojej pracy cechę, że zupełnie nie wyróżniał się w tłumie.  
Ostatnio, po powrocie z morderczego treningu na poligonie  
w Surrey, wydawał się bardziej energiczny, a ton jego głosu stał  
się bardziej władczy. Na pewno wygląda teraz młodziej, doszła do  
wniosku Monica.

-To na razie tyle - zakończył Tweed.

-Nie wspomniałeś o kilku rzeczach - odezwał się Marler, któ-  
rego akcent zdradzał dobre wykształcenie. - Na zachód od fabry-  
ki Gantii dokonano na was z Paulą nieudanego zamachu. Ktoś  
nie chce, żebyście prowadzili tę sprawę.

-Tak, muszę przyznać, że ktoś do nas strzelał.

Marler wyjął z szuflady swojego biurka bardzo dokładną ma-  
pę, rozłożył ją i gestem wskazał Tweedowi.

-Czy mógłbyś pokazać, gdzie urządzono tę zasadzkę?

-Tak, ale po co?

-Po prostu pokaż mi to miejsce, proszę.

Tweed pochylił się nad mapą i szukał czegoś uniesionym nad  
nią piórem.

- Świetna mapa. Wydaje mi się, że to było gdzieś tu. - Zazna-  
czył miejsce krzyżykiem. - Świetna mapa - powtórzył. - Zauwa-

żyłem samotne wzniesienie po naszej lewej stronie, około stu metrów od drogi. Na szczycie rosła samotna jodła.

-To mi powinno wystarczyć. Jadę. Do zobaczenia.

-Zaczekaj! - zawołał za nim Newman. - Może byś nam tak powiedział, dokąd jedziesz?

-Ciekawski! Może i byłeś kiedyś słynnym korespondentem prasowym, ale teraz nie musisz wszystkiego wiedzieć.

Tweed, rozbawiony, usiadł z powrotem za swoim biurkiem. Newman i Marler byli wielkimi przyjaciółmi, ale często się sprzecali.

-Do widzenia - pożegnał się Marler. - Zamierzam sprawdzić miejsce, w którym omal nie straciliśmy naszego kochanego zastępcy dyrektora SIS. Tylko snajper umie rozpoznać metody drugiego snajpera.

-Nic tam nie znajdziesz, najwyżej trochę śmieci - żartował z niego Newman.

-Jeśli nie pojedę, tym bardziej nic nie znajdę.

Marler wyszedł, cicho zamknąwszy za sobą drzwi. Newman wrzucił ramionami i wziął gazetę, w której chciał coś pokazać Tweedowi. Zadzwoił telefon. Monica spojrzała na Tweeda i powiedziała, że dzwoni Paula.

-Słucham - odezwał się Tweed.

-Po pierwsze, przyjechał Pete i chyba Annę go zaakceptowała. Jestem na dole w sypialni w suterenie. Z Pete'em przyjechał Butler, który zabezpiecza teraz okna i drzwi. Chciałam ugotować Annę

coś do jedzenia, ale wzdrygnęła się tylko i odmówiła. Powiedziała,

że nie może nic jeść po wizycie w kostnicy na Holland Park. Jak wiesz, Saafeld osobiście nadzorował usunięcie i transport zwłok.

-Masz jeszcze coś?

-Przyszło mi coś do głowy - kontynuowała Paula. - Michael spędził dwa tygodnie w klinice doktor Ashton, a potem został przeniesiony do tej uroczej jaskini Saxona, który jest znacznie tańszy. To sugeruje, że tajemniczy zleceniodawca, który dzwonił do Belli, mężczyzna lub kobieta, nie dysponuje wielkimi sumami.

-No, to rzeczywiście zawęża nam pole poszukiwań - ironicznie skomentował Tweed. - Nie wiesz, ilu ludziom brakuje pieniędzy?

-Powiedziałam „wielkimi sumami” - obstawała przy swoim Paula.

-Wychodzę, muszę złożyć krótką wizytę Saafeldowi na Holland Park. Jak go znam, doszedł już do jakichś wniosków po zbadaniu dwóch ciał. Potem wracam tutaj. Bob chce mi coś pokazać w gazecie.

-Ja też pojedę na Holland Park. Pete świetnie daje sobie tutaj radę.

-Ta wiadomość w gazecie jest ważna, spójrz - domagał się Newman.

-Zaraz wracam. Jeśli możesz, to dowiedz się jak najwięcej o naszym przyjacielu Ablu Gallagherze.

Paula czekała już na Tweeda, kiedy przyjechał na Holland Park. Stała przed wielkim domem oddzielonym od ulicy rzędem drzew iglastych. Przed londyńskim kapuśniaczkim schroniła się pod parasolem.

- Przyjechałam taksówką - wytłumaczyła, kiedy Tweed powiedział, że nie spodziewał się jej tak szybko.

Kiedyś mogli po prostu otworzyć bramę i podejść krętą alejką do drzwi, ale teraz Saafeld miał szczególną ochronę. Musieli zadzwonić przez bramofon i przedstawić się. Saafeld odburknął, że nie pozostaje mu nic innego, jak ich wpuścić.

Brama otworzyła się do środka i zamknęła zaraz po ich wejściu. Ścieżka wijąca się wśród wielkich rododendronów zawsze robiła na Pauli ponure wrażenie, dodatkowo spotęgowane teraz przez ołowiane niebo, deszcz i bębnienie kropel rozbijających się o liście roślin. Paula była już przyzwyczajona do wizyt w nowoczesnie wyposażonym prosektorium, które Saafeld urządził w piwnicy swojego domu.

Przywitał ich w dużym holu wypełnionym stylowymi meblami. Przeszli do salonu i zasiedli w wygodnych fotelach, po chwili w pokoju pojawiła się żona Saafelda, niosąc srebrną tacę z herbatą i ciastkami, które postawiła na stoliku przy fotelu Pauli. Była wysoką, siwą kobietą o przyjemnym uśmiechu. Przyjrzała się gościom.

-Wyglądają państwo jakoś młodziej.

-To już jest szczyt pochlebstwa. - Saafeld zaśmiał się, kiedy jego żona podawała herbatę.

-Dobrze - zaczął. -Wasz potrójny morderca, prawdopodobnie w średnim wieku, nie starszy, jest osobą silną i sprawną fizycznie. Inaczej nie władałby nożem z takim zapalem.

-Potrójny?

-Tak, nie mam co do tego wątpliwości. Dwa szkielety na Dartmoor i ciało Christine w lodówce to dzieło jednej i tej samej osoby. Ten sam *modus operandi*. Ofiary zostały zaatakowane od tyłu,

głowę odciągnięto, gardło poderżnięto gładkim ostrzem, a potem

noż został odwrócony w ciełe i drugą stroną ząbkowaną częściowo przecięto kręgosłup. Głowy nie zostały oddzielone od reszty ciała. Gładkim ostrzem oddzielono strzępy mięśni. Ofiary zostały zabite prawdopodobnie trzy, cztery miesiące temu. Wszystko jasne?

Było to typowe rozpoznanie Saafelda. Mówił zwięźle, nie dodając ani jednego zbędnego słowa. Odmalował straszliwy obraz morderstwa bez odwoływania się do dramatycznych efektów. W czasie rozpraw sądowych, w których zeznawał jako biegły, nawet najlepsi adwokaci bali się zadawać mu pytania. Jeden z nich powiedział kiedyś Tweedowi, że może stawić czoło każdemu patologowi oprócz Saafelda.

-Wszystko jasne - odpowiedział teraz Tweed. - Proszę jeszcze o opinię. Psychopata?

-Psychopaty nie rozpoznasz na ulicy. Podejrzewam, że morderca ma cechy psychopaty. Tylko po co wykrawa kawałki ciała?

-Czy ofiary stawiały opór mordercy? - spytała Paula.

-Na ciałach pochodzących z Dartmoor nie można już nic znaleźć. Natomiast Christine Barton nie stawiała oporu. Jej paznokcie

są całe. Gdyby walczyła, znalazłbym pod nimi naskórek mordercy.

-Ofiara знаła mordercę? - zastanawiał się Tweed.

-Nie wiem, to już wasza działka.

-Fakt - kontynuował Tweed - że dwa ciała znaleziono na Dartmoor, a jedno w Londynie przeczy moim dotychczasowym teoriom. Czy wiesz coś o nożu, którego użył morderca?

-Raczej nie. - Saafeld wypił trochę herbaty i wzruszył ramionami. - Takie noże są prawie w każdej kuchni. Może jakieś narzędzie ciesielskie. Nie wiem.

-Bardzo dziękujemy za informacje.

-Nie ma tego dużo - powiedział Saafeld, pałaszując ciastko. Uśmiechnął się do nich, co zdarzało się niezmiernie rzadko. - Oczekiwaliście, że powiem wam, iż morderca to mężczyzna o wzroście 1,85 m, ciemnych włosach, kościstych nadgarstkach? Niestety nie mogę wyświadczyć wam tej przysługi.

-W takim razie już pójdziemy. Podziękuj w naszym imieniu pani Saafeld za poczęstunek. Te wspaniałe ciastka upiekła zapewne sama.

-Znalazłem jednak coś, co może wam pomóc. - Z kieszeni wyjął woreczek foliowy na materiał dowodowy. Tweed i Paula zo-

baczyli w środku złoty pierścionek z dużym brylantem. Saafeld kuszaco trzymał woreczek w palcach. Było to jedno z jego typowych zagrań, uwielbiał zaskakiwać. - Kiedy wrócicie do biura,

obejrzyjcie zawartość przez szkło powiększające. Na pierścionku jest napis.

-Czy można zapytać, gdzie to znalazłeś?

-To było w momencie, gdy już nabrałem pewności, że nic więcej nie da się zrobić. Karetki zabrały szczątki, Buchanan i reszta policjantów odlecieli śmigłowcem, został tylko lokalny posterunkowy, żeby pilnować ogrodzonego miejsca. Nie był zbyt bystry. Zaczął palić fajkę, a ja kazałem mu ją zgasić. Gdyby rozsypał z niej popiół, mógłby zostawić fałszywy ślad. Obraził się i odmaszerował ku Post Lacey. Zostawiłem rozkładaną drabinę, którą mogłem zabrać z powrotem swoim samochodem. Przeczucie nakazało mi zejść ponownie do szybu, w którym znaleziono ciało kobiety. Było już zupełnie jasno. Patykiem porzrzucałem jeszcze

leżące tam śmieci i wtedy znalazłem ten pierścionek.

-Czy znajdował się przedtem na palci zamordowanej?

-Prawdopodobnie tak. Morderca nie zauważył go, podobnie jak policja.

-Co jest na nim napisane?

-„Dla Lucindy od Lee”.

-To dziwne - zauważyła Paula, kiedy z Tweedem wracali do biura. - Lee może być imieniem zarówno mężczyzny, jak i kobiety.

-Owszem.

Tweed trzymał w kieszeni woreczek z pierścionkiem. Miał tam również dwa raporty, jeden zatytułowany „Twój szkielet”, a drugi „Szkielet z szybu”. Pierwszy z raportów zawierał oszacowany przez Saafelda wzrost, wiek i „prawdopodobną” masę ciała ofiary, którą znaleźli na szlaku, goniąc Michaela. Drugi - te same dane dotyczące zamordowanej kobiety z szybu, w tym przybliżony wiek ofiary.

-Nie zapomnij o swojej jutrzejszej randce z Lucindą - żartowała z niego Paula. - Włóż coś odpowiedniego. Do Lucindy będzie pasował ten szykowny szary garnitur.

-Nie, jest zbyt biurowy. A ty nie zapomnij o spotkaniu z Keithem Kentem. I nie spóźnij się, on jest wrażliwy na tym punkcie.

-Sama chciałam. Biedna Christine musiała być świetną księżową. Nigdy nie słyszałam, żeby Keith nie potrafił sprawdzić na poczekaniu jakichś rachunków.

-Przypomniałem sobie o jeszcze jednej rzeczy - powiedział Tweed, kiedy dotarli na Park Crescent. - Poprosiłem Newmana



o wykopanie dla nas kompletnego życiorysu Abla Gallaghera. Byłem zaniepokojony, kiedy wymknęło mu się, że słyszał o naszym pobycie w Abbey Grange. Skąd, u diabła, mógł się o tym dowiedzieć?

- Domyślam się, że ma tam jakąś wtyczkę. Ciekawe kogo.

Kiedy pojawili się w gabinecie, Newman natychmiast podszedł do Tweeda z gazetą, którą rozłożył przed nim na biurku.

-Znacie Drew Franklina, najważniejszego korespondenta politycznego w „Daily Nation“?

-Oczywiście - powiedziała Paula żartobliwym tonem. - Jest prawie tak inteligentny jak ty.

-Nie, mówię poważnie - przerwał jej Newman. - Oboje czytaliście pewnie w gazetach o Angorze, nowo powstałym nad Morzem Śródziemnym państwie buntowników. Waszyngton jest zaniepokojony niedawnym przejściem władzy w Angorze przez fundamentalistów muzułmańskich. Oczywiście nasz rząd stara się zbagatelizować zagrożenie. Przeczytajcie to.

#### RAKIETY ANGORY NAD LONDYNEM?

Poufne źródła informują, że Angora otrzymała od Korei Północnej sto rakiet o zasięgu 4000 kilometrów. Oznacza to, że rakiety te mogą z łatwością dolecieć do Paryża, Berlina albo Londynu. Pociski oczekują teraz na spodziewaną dostawę głowic bojowych również z Korei Północnej. Nasz rząd nie interweniuje.

Tweed przeczytał doniesienie dwukrotnie. Potem wstał z biurka i podszedł do okna, za którym rozpościerał się rozległy widok na Regent's Park. Jeszcze raz odtworzył w myślach wszystkie wydarzenia od pierwszej wizyty u dotkniętego amnezją Michaela. Przed oczami stanęły mu przeżyte niedawno wypadki. Dziwna podróż do Dartmoor z Michaeliem. Szkielety. Spotkam ludzi, strzępki rozmów. Przeznaczony dla niego pocisk, który chybił celu. Gantia. Lucinda. Annę Barton. Czwarte imię na liście znalezionej w kieszeni Michaela. Odwrócił się od okna.

- Mam przecucie, że sprawa tych morderstw sięga znacznie dalej i jest znacznie bardziej niebezpieczna, niż się nam dotychczas wydawało. Działają tutaj potężne, ukryte siły. Musimy ją szybko rozwiązać, zanim stanie się coś niewyobrażalnego.

## 14

Było już ciemno, kiedy Marler, a wkrótce po nim Harry Butler powrócili do biura. Marler rzucił na biurko Tweeda niewielki przedmiot. Newman i Paula podeszli, żeby też go zobaczyć. Był to duży magazynek, ale żadne z nich nie mogło rozpoznać typu broni, do której pasował.

-Wiem, kto chciał cię zabić na drodze A303 - rzekł Marler niedbałym tonem.

-Co to jest? - zapytał Tweed.

-Magazynek wykonany na specjalne zamówienie płatnego zabójcy, znanego jako Charmian. Jego tożsamość pozostaje nieznana. Wiadomo tylko, że jest bardzo niebezpieczny... i drogi.

-Jesteś pewien? - upewnił się Tweed.

-Oczywiście. Wiem to od jednego rusznikarza z Paryża, który podczas mojej ostatniej wizyty wypił za dużo. Niechcący wspomniał o Charmianie, kiedy w pośpiechu chował takie magazynki do szuflady. To, co mówię, jest ściśle poufne. Jeśli Charmian się dowie, od razu zabije rusznikarza.

-I gdzie to znalazłeś?

-W pniu samotnej jodły na tym wzgórzu, z którego do ciebie strzelał. Trochę głupio, nie? - Marler podszedł do ściany, oparł się o nią i zapalił papierosa.

-Co o tym wszystkim sądzisz?

-Przed powrotem spotkałem się z Marinem, moim najlepszym informatorem w Europie.

-Tak się nazywa?

' \* - Nie bądź naiwny. - Marler wydawał się rozbawiony. - To oczywiście jego pseudonim. Wiesz, jak starannie chronię swoich informatorów.

-Mam nadzieję, że przed północą dowiemy się, co ci powiedział? - ponaglił go Tweed.

-Powiedział, że ktoś na słynnej wyspie z zamkiem If koło Marsylii werbuje załogę na frachtowiec. Statek ma odebrać partię głowic raketowych z nieznanego miejsca w Europie. Angora, która staje się ostatnio państwem coraz bardziej wojowniczym, jakiś czas temu otrzymała od Korei Północnej rakiety dalekiego zasięgu. Ale Kim, szalony dyktator Korei, był zbyt sprytny i wysłał głowice do nich innym statkiem - a ten zderzył się na Morzu Japońskim z amerykańskim niszczycielem i zatonął. Kim zażądał, żeby Angora zapłaciła za utracone głowice i za statek, ale ta odmówiła i znalazła sobie inne źródło.

-Gdzie? - zapytał bardzo poważnie Tweed.

-Nie wiadomo. Marin wysłał mi umówiony sygnał i wtedy musimy się zjawić na wyspie. Natrafimy na silny opór.

-Byłem kiedyś w Marsylii. - Tweed wstał z za swojego biurka i podszedł do okien, trzymając ręce w kieszeniach. Paula wiedziała, co to znaczy. Był bardzo skoncentrowany. Zatrzymał się i spojrzał na Newmana.

-Widzisz, miałem rację. Te morderstwa to tylko wierzchołek góry lodowej. Wyczuwam w tym wielki spisek. Mam dużo śladów,

które muszę ze sobą połączyć w łańcuch wydarzeń. I chcę zlokalizować fabrykę zbrojeniową Gantii.

-Zapytaj o nią Lucindę w czasie jutrzejszej kolacji - zasugerowała Paula. - Gdzieś pod koniec. Keith Kent jeszcze raz potwierdził nasze spotkanie. Cały czas zmagają się z tym plikiem papierów, który znalazłam w mieszkaniu Christine.

-Idę do domu - zdecydował Tweed. - Muszę to wszystko dobrze przemyśleć.

-Zawiozę cię - zaofiarował się Newman. - Nie powinieneś teraz spacerować, nie po tym, jak o włos uniknąłeś śmierci z rąk Charmiana.

-Mam p-zecież „opiekunów” - rzekł Tweed.

-Bez dyskusji - odpowiedział Newman.

Następnego dnia, wbrew swoim zwyczajom, Tweed pojawił się w biurze dopiero wczesnym wieczorem. Popołudnie spędził na Champton Place u Anny. Wydawała się już spokojniejsza i przywitała go z uśmiechem.

- Bardzo dziękuję, że przysłał pan tu dwoje swoich ludzi - zaczęła. - Pete, to znaczy pan Nield, sprząta właśnie w kuchni. Przyrzą-

dził coś ciepłego do jedzenia. A Harry Butler zamienił to miejsce w prawdziwą twierdzę i czuję się teraz znacznie bezpieczniejsza.

Siedzieli w salonie. Annę mówiła szybko, całkiem swobodnie. Tweed unikał tematu wczorajszej wizyty w kostnicy Saafelda. Nield pojawił się, niosąc na tacy herbatę, ale zaraz wyszedł, zostawiając ich samych.

-Czuję się trochę głupio - kontynuowała Annę. - Jest coś, o czym powinnam panu powiedzieć wcześniej, ale zupełnie zapo-

mniałam o tym przez wczorajsze... wydarzenia.

-Lepiej późno niż wcale - pocieszył ją Tweed. - Proszę, niech pani mówi.

-To było ponad trzy miesiące temu, kiedy zaczęłam się martwić zniknięciem Christine. Zadzwoiłam do swojego byłego wielbiciela, policjanta, i poprosiłam, żeby zarekomendował mi jakiegoś prywatnego detektywa. Natychmiast podał mi dane niejakiego Johna Jacksona. Powiedział, że był kiedyś inspektorem, i to dobrym, ale zrezygnował z pracy w policji ze względów politycznych i założył własną agencję.

-Powiedziała pani *John* Jackson? - zapytał Tweed.

John to było czwarte imię na napisanej na maszynie liście, którą znaleziono w kieszeni Michaela.

- Tak. Dał mi jego adres i numer telefonu. Ma biuro przy Parson Street na Shadwell. To chyba gdzieś wśród doków. Zadzwoiłam do niego i przedstawiłam sprawę. Musiałam chyba mówić drżącym głosem, bo kiedy przyjechał, miał ze sobą bukiet kwiatów, co mnie wzruszyło. Odpowiedziałam na wszystkie jego pytania i dałam pięćdziesiąt funtów zaliczki. Mam pokwitowanie. Jego dane są na tej wizytówce.

Tweed spojrział na skromną, ale elegancką karteczkę, którą podała mu Annę.

Agencja Johna Jacksona. Prywatny detektyw.

Parson Street 159, Shadwell, East London.

Nie zajmujemy się sprawami małżeńskimi.

-Czy mogę to zatrzymać? - zapytał Tweed.

-Ależ oczywiście. Przysłał mi krótkie potwierdzenie, że występuje w moim imieniu. Od tamtej pory słuch po nim zaginął. Wyglądał mi na bardzo inteligentnego i uczciwego człowieka. Nie sądzę, żeby wziął pięćdziesiąt funtów, by zniknąć. Mam nadzieję, że nic mu się nie stało.

-Czy dzwoniła pani do jego biura, próbowała się z nim skontaktować?

-Dwukrotnie. Za każdym razem odpowiadała automatyczna sekretarka. Nie znoszę ich, więc nie zostawiłam żadnej wiadomości. Potem dałam za wygraną. - Annę uśmiechnęła się lekko.

- Czasami myślę, że zbyt łatwo się poddałam.

-Dwa razy pani spróbowała. Jak się panią opiekuje Nield?

-O, bardzo dobrze. Jest taki troskliwy. Będzie mi go brakowało, ale rozumiem, że jest wam potrzebny.

-Może jeszcze zostać dzień, dwa, ale muszę zamienić z nim kilka słów, zanim wyjdę.

-Oczywiście, ile jestem państwu winna za pracę pana Butlera? Wypiszę panu czek.

Tweed wstał.

- Odmawiam. Na takie okazje mamy specjalne fundusze, do mojej osobistej dyspozycji - skłamał. - Proszę natychmiast zadzwonić do nas, jeśli zdarzy się coś dziwnego albo niepokojącego.

Kiedy Tweed powrócił na Park Crescent, większość jego ludzi wciąż była w pracy. Zdjął płaszcz, pod którym miał szary garnitur. Była szósta po południu. Paula zmierzyła go wzrokiem.

-Lucinda zemdleje z wrażenia, kiedy cię zobaczy.

-Śmiem wątpić.

Przyjrzał się Pauli, ubranej w intensywnie niebieski kostiumik, przyozdobiony broszką w kształcie kwiatka, którego płatki były inkrustowane kamieniami półszlachetnymi. Dostała ją kiedyś od niego na urodziny.

-To raczej Kent nie będzie mógł od ciebie oderwać oczu.

-Jak już skończycie tę wymianę uprzejmości - protekcyjnym tonem zaczął Marler - poinformuję was o ostatnich postępach w sprawie.

-Mów - odpowiedział Tweed z za swojego biurka.

-Marin, mój informator, właśnie udał się na kontynent.

-To miłe, choć mało konkretne.

-Jeszcze nie skończyłem. Ocenia, że będziemy potrzebni w Marsylii za jakiś tydzień do dziesięciu dni. Pojedziemy pociągiem. Marin na to nalega. Francuskie służby specjalne fotografują wszystkich pasażerów wysiadających z samolotów, a ciebie z pew-

nością rozpoznają. Może nawet chcieliby nas śledzić.

-Cóż, chyba będziemy mieli sporo roboty - odrzekł Tweed,

zerkając na zegarek. - Za chwilę muszę się zbierać. Jest straszny ruch, a ja chcę być w Santorini punktualnie.

-Nie pozwól na siebie czekać hożej Lucindzie. - Paula się roześmiała. - Hoża Lucinda, to świetnie brzmi!

-Chyba mam was na dziś zupełnie dość - brzmiała odpowiedź Tweeda, wkładającego swój płaszcz z wielbłądziej wełny.

-Zaczekaj chwilę - powiedział Newman, który dotąd siedział w fotelu i nie zabierał głosu. - Dzisiaj miałem pracowity dzień. Poszedłem na East End do faceta, który pływa na barkach, a w sezonie dużo chodzi na wyścigi i wie wszystko o tym światku.

Zapytałem go o Abła Gallaghera. Uniósł ręce i powiedział: „Ten to dopiero siedzi w tym po uszy!”. Gallagher regularnie odwiedza

wyścigi. W zeszłym roku wciąż go tam było widać. Mój informa-

tor zna bukmachera, u którego nasz znajomy jest zadłużony na dwadzieścia tysięcy funtów. Zawsze obstawia złe konie. Bukmacher nie może odzyskać pieniędzy.

-Nazwisko tego bukmachera?

-Nie chciał mi podać. Gallagher, szef Wydziału Specjalnego, może wsadzić za narkotyki każdego, kto zacznie mówić.

-Idę na dół, porozmawiać z George'em - powiedział Tweed, stojąc w drzwiach. - Zaraz wracam.

-Dobrze - odrzekł Newman. - Ponieważ ja zamierzam zawieźć cię do restauracji. Nie musisz być na A303, żeby dostać ku-

lkę między oczy.

Paula podeszła do okna, za którym Londyn pogrążył się w mgłę. Nagle jednak coś zauważyła i odwróciła się do Newmana.

- Nie podwieszysz Tweeda. Właśnie wsiadł do samochodu.

Tweed dotarł do Santorini pięć minut przed czasem. Portier wyszedł z restauracji, żeby zaparkować jego samochód. Szef sali przywitał go wylewnie.

-Najlepszy stolik już czeka.

-Spodziewam się gościa, pewnej jasnowłosej damy.

-Oczekuje pana przy barze.

Przedtem, stojąc w korkach, Tweed zastanawiał się nad tym, co powiedziano mu w biurze. Marsylia. Czy ten trop dokądś prowadzi, do kogoś, kogo spotkał, lub czegoś, co widział? Czuł, że brakuje jakiegoś kawałka układanki. Potem ta historia z Gallagherem. Dwadzieścia tysięcy długu u bukmachera. Jakiemu klientowi można udzielić takiego kredytu? Odpowiedź była jas-

na. Bukmacher wiedział, że kiedyś, w trudnej sytuacji, będzie mógł oczekiwać protekcji Gallaghery.

„Szukamy kogoś, komu potrzebne są znaczne sumy”, tak powiedziała Paula, przynajmniej coś w tym rodzaju.

W barze, pustawym o tak wczesnej porze, Tweed znalazł Lucindę, siedzącą na stołku i pijącą szampana. Wyglądała oszalałymi. Miała aa sobie zieloną sukienkę z głębokim rozcięciem wzdłuż prawej nogi. Zieleń sukienki świetnie komponowała się z jej długimi jasnymi włosami. Na barze stał drugi kieliszek szampana, nietknięty.

W lustrze naprzeciwko baru zobaczyła, jak nadchodzi. Usiadł na stołku po jej lewej stronie, a ona odwróciła się do niego.

- Tweed, spóźniłeś się, a ja tak długo na ciebie czekam. Twoje zdrowie!

Podsunała mu szampana. Wziął go, poprawił się na stołku. Stuknęli się kieliszkami. Wielkim haustem połknęła połowę zawartości kieliszka, który został natychmiast dqpelniony przez barmana. Tweed sączył swojego szampana powoli.

-Nie spóźniłem się, przyjechałem dokładnie na czas. Za co pijemy?

-Za nas! Niech nasz związek trwa długo i będzie owocny!

-Za to wypiję.

Tweed pijał rzadko i z umiarem. Ale jeśli chciał, to mógł wypić wiele, zachowując przy tym trzeźwość i czujność. Spojrzał na nią i uśmiechnął się.

-Pozwolę sobie zauważyć, że wyglądasz wspaniale.

-Dziękuję. - Lewą ręką sięgnęła do rękawa jego marynarki.

-Ten garnitur na mnie działa, jest taki elegancki.

-Kelner powiedział, że stół już na nas czeka. Możemy zabrać szampana.

Kiedy szli przez przestronną, urządzoną ze smakiem salę restauracji, podążał za nimi barman ze srebrną tacą, na której stała butelka kruga. Usiedli przy narożnym stoliku i natychmiast pojawił się kelner. Po przejrzeniu karty dań złożyli zamówienia. Lucinda pochyliła się i zaczęła cicho mówić, mimo że w sali siedziała na razie oprócz nich tylko jedna para.

- Tego ranka, kiedy odwiedziłeś mnie w fabryce, jedna z naszych ciężarówek została porwana. Kierowca zatrzymał się na chwilę na trasie i został uśpiony chloroformem przez zamaskowanego mężczyznę, który pozostawił go ukrytego za żywopłotem. Ciężarówka została odnaleziona na autostradzie M3. Policja nie

zajmowała się tą sprawą zbyt wytrwale. Kierowca czuje się dobrze. Dziwne zdarzenie, prawda?

- Tajemnicze - odpowiedział Tweed.

Skończyli przekąski, a potem dania główne i postanowili zrobić sobie przerwę. Lucinda zapaliła papierosa. Szampana zostało już tylko pół butelki, przy czym większość brakującej połowy wypila ona.

-Powiedz mi coś o Larrym - zaproponował Tweed. - Co to za człowiek?

-Geniusz. Nieprzeciętny umysł. Umie podejmować decyzje. Nie znosi głupców. Potrafi być twardy. Kocha podróże zagranicz-

ne, często nie ma go przez dłuższy czas, kiedy rozmawia z ważny-

mi klientami. Zazwyczaj nie wiemy, gdzie jest. Bardzo niezależny.

-A jaki był Michael, zanim dostał amnezji?

-No właśnie. - Wycelowała w niego papierosem. - Wiedzia-  
łam, że to się zamieni w przesłuchanie.

-Po prostu interesuję się ludźmi.

-No dobrze. - Westchnęła i uśmiechnęła się kpiąco. - Michael jest jeszcze bardziej genialny od Larry'ego. Doskonały dyrektor handlowy. Mamy jeszcze dwóch innych, ale oni ledwie potrafiliby

utrzymać firmę na rynku. Brak im inicjatywy Michaela, ale jakoś dajemy sobie radę, panie detektywie. Czy zidentyfikowaliście już te dwa szkielety z Dartmoor?

Tweed wyjął z kieszeni jedwabną chusteczkę i pokazał Lucindzie schowany w niej pierścionek, który znaleziono przy jednym z ciał. Powiedział, żeby przeczytała napis na wewnętrznej stronie: „Dla Lucindy od Lee”. Zareagowała tak, jakby przeszedł ją prąd.

-O, Boże! Lee próbowała mi to podarować. Widzisz, jaki wielki kamień? Nie mogłam przyjąć takiego prezentu. Więc Lee nosi go sama. Gdzie go znalazłeś?

-Kim jest Lee? Jak brzmi jej nazwisko?

-Nie możesz przestać, prawda? Musisz przesłuchiwać. Używa panieńskiego nazwiska, Lee Charlton. Jest żoną jednego z naszych dyrektorów, Aubreya Greystoke'a.

-Jakim on jest dyrektorem?

-Boże! - Pociągnęła jeszcze trochę szampana. - Finansowym. Ich małżeństwo się rozpada. Co mnie nie dziwi... - Przerwała, zauważywszy kogoś przy wejściu do restauracji. - O wilku mowa, Greystoke właśnie nadchodzi ze swoją najnowszą przyjaciółką.



Tweed obrócił się na krześle. Greystoke, wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna, nosił czarny krawat. Miał trochę ponad pięćdziesiąt lat, było od niego samozadowolenie, kiedy władczym spojrzeniem omiatał restaurację. Gęste, czarne włosy miał starannie ułożone, na rzymskim nosie spoczywały okulary w złotej oprawce, miał zmysłowe usta i wystający podbródek. Lucinda opuściła wzrok, ale Greystoke dostrzegł ją i skierował się w ich stronę.

Obejmował niską, szczupłą dziewczynę o kruczoczarnych włosach, opadających na ramiona. Tweed nie dałby jej nawet trzydziestu lat. Głos Greystoke'a zabrzmiał wytwornie.

-Kogo ja tu widzę? Mamy małe zgromadzenie wielkiej rodziny! Poznajcie Martinę Martello.

-Jakieś wieści od Lee? - celowo nietaktownie zapytała Lucinda. Ton jej głosu był lodowaty.

-Ani widu, ani słyhu. Zresztą nie spodziewałem się wieści. A może ty wiesz, co u niej?

-Skąd miałabym wiedzieć? - odgryzła się Lucinda.

-Pewnie szuka szczęścia gdzieś w szerokim świecie.

-Ja też tu jestem, jeśli jeszcze nie zdążyliście zauważyć - wtrąciła się Martina.

Tweed wstał i przedstawił się, podawszy jej dłoń. Uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością. Greystoke się najeżył.

-Tweed? Ten dżentelmen, który zajmuje się nieszczęśliwymi wypadkami na Dartmoor?

-Owszem - odparł Tweed sucho. - Jeżeli można dwa brutalne morderstwa nazwać nieszczęśliwymi wypadkami.

-Miło było was spotkać. - Greystoke pomachał im wypielęgnowaną dłonią. - Martino, czas, żebyśmy zajęli nasz stół, zanim

ktoś nas podsiądzie.

Nie pasowali do siebie. Kiedy szli w kierunku stolika, Tweed obserwował duże, żyłaste dłonie Greystoke'a i jego chód, powolny i ostrożny.

-Kiedy rzuciła go Lee? - zapytał.

-Ponad trzy miesiące temu zostawiła mu wiadomość: „Niech cię diabli wezmą, Aubrey”.

-Kartkę?

-Nie, w komputerze.

-I od tego czasu nikt jej nie widział? Dlaczego chciała ci dać ten pierścionek? Musiał kosztować fortunę.

-Jeśli chcesz już wiedzieć, to byłam wtedy w podłym nastroju, bp Aubrey spóźnił się z przekazaniem mi pewnych rachun-

ków. Lee czekała na niego już od godziny. Miał ją zabrać na obiad na mieście. Powiedziałam, że może dzwoni do jednej ze swoich sikoreczek. Okazało się, że popełniłam błąd. Lee, moja bliska przyjaciółka, przyparła mnie do muru i zapytała o szczegóły, które jej oczywiście podałam. Uważałam, że czas już przemówić Aubreyowi do rozumu.

-Jak zareagowała?

-Zaskakująco spokojnie. Podziękowała mi i powiedziała, że idzie do toalety. Gdyby pojawił się Aubrey, miałam mu powiedzieć, że już poszła. Kilka minut później rzeczywiście mu to powiedziałam.

-A jak on zareagował?

-Wyciągnąłbyś informację nawet z niemowy. O, Boże, zupełnie zapomniałam o Michaelu. To było nietaktowne. Aubrey powiedział: „No i dobrze, ominął mnie nudny obiad”. Miałam ocho-

tę powiedzieć mu do słuchu, ale od razu wyszedł. I tyle. Może porozmawiamy o czymś przyjemniejszym, tak dla odmiany.

-Proszę o wyrozumiałość. Jeszcze kilka pytań. Jak skontaktować się z Larrym, kiedy jest w Londynie? Chciałbym z nim porozmawiać.

-Chyba przemaglować? - Uśmiechnęła się. Wyjęła z torebki pióro i na serwetce napisała mu drukowanymi literami adres. Złożyła serwetkę i podała mu. - To jest adres londyńskich biur firmy w Tower i jego prywatny numer telefonu. - Pochyliła się ku

niemu. - Coś jeszcze, panie detektywie?

-Chciałbym jak najszybciej porozmawiać z Dragonem Volkianem.

-To niemożliwe. Nie wiem nawet, w jakim jest teraz kraju.

- Zamilkła. - Ale mogę ci powiedzieć, że on również chce się skontaktować z tobą.

-Wie o Michaelu i amnezji?

-Nie mam pojęcia. Tweed, chciałam ci podziękować za wspaniałą kolację. Ale nie mam jeszcze ochoty na sen. Pojedźmy do mnie i napijmy się czegoś.

-Daj mi, proszę, chwilę.

Zapłacił rachunek. W drodze do wyjścia spojrzeli w kierunku stolika Greystoke'a. Martina głaskała go właśnie po policzku. Greystoke spojrzął na Tweeda i odwrócił wzrok, jakby go nie zauważył. Kelner przyniósł ich płaszcze.

- Pański samochód będzie zaraz czekał na zewnątrz, proszę chwileczkę poczekać - powiedział do Tweeda. - A pani porsche

stoi po drugiej stronie ulicy. Portier nie spuszczał go z oka i dorzucał monety do parkometru.

- Dziękuję - odpowiedziała z uśmiechem, wręczając mu duży napiwek.

Wyszli na siarczasty mróz. Samochód Tweeda jeszcze nie został podstawiony. Lucinda skinęła mu, żeby poszedł za nią, i przebiegła przez ulicę, kiedy nagle zatrzymało się przed nią wielkie czarne bmw z przyciemnionymi szybami. Otworzyły się drzwi kierowcy i z samochodu wyskoczył wysoki mężczyzna w garniturze, który najwyraźniej chciał Lucinę poderwać.

-Hej, kochanie! Właśnie takiej jak ty mi trzeba. Jadę do ScErgo, najlepszego klubu w mieście. Wskakuj do środka!

-Spadaj! - warknęła.

Złapał ją za ramię i zaczął wciąpać do samochodu.

- Nie bądź taka niedotykalska! - zawołał.

Tweed szybko przebiegł przez ulicę i już zamierzał rzucić się na napastnika, kiedy przed jego oczami rozegrała się niezwykła scena. Ruchy Lucindy były zbyt szybkie, żeby mógł zobaczyć, co dokładnie zrobiła. Złapała mężczyznę w pasie i odepchnęła od siebie tak, że jego głowa uderzyła o otwarte drzwi samochodu, co spowodowało, że stracił przytomność. Podniosła potem jego bezwładne ciało i wepchnęła do samochodu twarzą do dołu. Pochyliła się i sprawdziła tętno nieprzytomnego, a potem wyjęła kluczyki ze stacyjki i wrzuciła je do studzienki ściekowej.

-Eędzie żył - powiedziała spokojnie, kiedy nadszedł Iweed.

-Tętno ma regularne jak zegarek. Odprowadzisz mnie do domu?

-Oczywiście.

Zamierzał jej powiedzieć, że musi wracać na Park Crescent, ale teraz nie miał wyboru. Usiadł za kierownicą swojego samochodu, który już czekał przed restauracją. Usłyszał dźwięk silnika porsche i ruszył za wozem Lucindy, która pędziła jak szalona. Miał nadzieję, że nie trafią na policję.

Pustymi ulicami dotarli wkrótce do Park Lane i skręcili ku dzielnicy Mayfair. Lucinda zjechała w przecznicę, pilotem otworzyła drzwi podziemnego parkingu i dała mu znak, żeby wjechał za nią, zanim brama się zamknie. Zaparkowała na pustym miejscu, a obok niej wślizgnął się swoim samochodem Tweed.

-Świetnie sobie dałaś radę z tą małpą - powiedział, gdy wysiedli.

-Jujitsu. - Uśmiechnęła się z satysfakcją. - Bez trudu go obezwładniłam.

Poszedł za nią ku windom. Wezwała jedną z nich, a kiedy się otworzyła, wskoczyła do środka i nacisnęła przycisk przytrzymujący drzwi. Czekwała na niego ze splecionymi ramionami.

- Nie mogę się doczekać tego drinka. Chodź już, nie guzdraj się tak.

Tweed walczył z pokusą. Każdy mięsień jego ciała domagał się, żeby ruszyć ku windzie. Wziął głęboki wdech.

- Chciałbym - powiedział. - Naprawdę bardzo. Jesteś wyjątkowo pociągająca. Ale muszę wracać na Park Crescent. Oczekuję istotnych informacji dotyczących sprawy tych morderstw.

Wybiegła z windy i rzuciła mu się na szyję, przytuliła się i namiętnie pocałowała. On też ją objął i pocałował, ale jednocześnie delikatnie popychał z powrotem do windy. Wtedy wyjęła skądś swoją wizytówkę i wsunęła mu ją do kieszeni.

- Teraz będziesz wiedział, gdzie mnie szukać. Dziękuję za wspaniały wieczór.

Już miał wejść za nią do windy, kiedy Lucinda nacisnęła dwa *guziki*. Kiedy drzwi się zamykały, posłała mu *jeszcze* pocałunek. Na sztywnych nogach wrócił do swojego samochodu, zły na siebie, że nie poszedł za nią. Musiał jednak pamiętać, że również była osobą podejrzaną w tej sprawie. Nie mógł także zapomnieć, jak szybko i skutecznie obezwładniła zaczepiającego ją mężczyznę.

## 15

Kiedy Tweed wrócił do biura, nie było tam już nikogo poza Monicą, która spędzała tam chyba całą dobę. Właśnie przepisywała długi raport dla Buchanana, który wcześniej podyktował jej Tweed. Opowiadał on o wszystkim, co się dotychczas wydarzyło, poczynając od pierwszej wizyty u Arabelli Ashton oraz pierwszego spotkania z Michaeliem, a skończywszy na odnalezieniu w lodówce ciała Christiny Barton. Niektóre wydarzenia zostały w raporcie dyskretnie pominięte.

Monica pokazała mu kartkę, którą zostawiła dla niego Paula.

Mam nadzieję, że spędziłeś wspaniały wieczór. Ja świetnie się bawiłam z Keithem w Ivy. Wyszliśmy o dziesiątej. Keith wciąż usiłuje rozszyfrować liczby w dokumentach Christiny Barton. Pozdrowienia, Paula.

Zerknął na zegarek, była pierwsza w nocy. Czas do domu. Monica poradziła mu, żeby wziął taksówkę. Sześciokilometry marsz do domu na pewno nie był dobrym pomysłem i Tweed się zgodził.

Taksówkarz zawiózł go na Drayford Street, w części miasta znajdującej się daleko za Holland Park. Prysznic, który wziął ostatkiem sił, zwalczył senność i Tweed długo leżał w łóżku, myślami wracając do ludzi, z którymi rozmawiał w Abbey Grange, a potem w Santorini. Przed oczami nieustannie pojawiało się wspomnienie Lucindy. Znow zaczął się zastanawiać, czy popełnił błąd, kiedy nie wszedł za nią do windy i został sam w podziemnym garażu. Taka fascynująca kobieta, może powinien za nią pójść. W końcu zapadł w głęboki sen.

- Czy jadłeś śniadanie? - zapytała Paula, kiedy następnego ranka wchodził do gabinetu.

-Nie...

Wyszła i po półgodzinie wróciła z talerzem, który przyniosła z pobliskich delikatesów. Zdjęła metalową przykrywkę i odsłoniła jajecznicę z dwóch jaj na szynce i smażone pomidory.

Wszyscy obecni przyglądali się, jak pałaszuje swoje śniadanie, popijając kawą, którą przygotowała Monica. Poczł się jak nowo narodzony, kiedy wytarł serwetką usta i rozejrzył po gabinecie.

Newman siedział pogrążony w lekturze najnowszego numeru „Daily Nation”. Marler stał oparty o ścianę i palił papierosa. Obok niego Paula w skupieniu sporządzała jakiś spis. Harry Butler sprawdzał mechanizm leżącego przed nim walthera, a Pete Nield czytał kartki, które podawała mu Paula.

Tweed wstał i włożył płaszcz.

-Idziesz gdzieś? - zapytała Paula.

-Idę, a ty idziesz ze mną. Pamiętasz tego prywatnego detektywa, Johna Jacksona, którego wynajęła Annę Barton? Złożymy mu wizytę. Parson Street 159, dzielnica Shadwell.

-Shadwell? - Butler włożył pistolet do kabury na biodrze.

- Jeśli tam jedziecie, to nie będziecie sami. Pojedziesz z Paulą swoim samochodem, a my za wami: Pete, ja i Bob Newman.

-Czy to naprawdę konieczne?

-Jedziecie do Shadwell. To konieczne.

Zostawili w biurze Marlera i Monice. Na zewnątrz zastali ołowiane niebo i nieprzyjemny deszcz; londyńska pogoda w lutym nie zachęcała do spacerów. Kiedy Tweed zasiadł za kierownicą, Paula sprawdziła swojego browninga i upewniła się, że gładko wychodzi z kabury ukrytej w torebce.

-Harry chyba przesadza - narzekał Tweed.

-Nie sądzę. Dobrze zna te rewiry.

Wkrótce wyjechali z West Endu i atmosfera wokół się zmieniła. Ulice wypełniały rzędy brzydkich domków szeregowych, tylko od czasu do czasu widać było nowoczesne biurowce. Przejechali obok jakiegoś targu zastawionego kramami warzywnymi. Zadzwoiła komórka Pauli.

- Tu Harry. Jesteśmy już w Shadwell i mamy mieć oczy dookoła głowy.

- Przecież jadą za nami samochodem Newmana. Bob kieruje, Harry siedzi obok niego, a Nield z tyłu. Wyglądamy jak ban-

dyci w drodze na bitwę gangów - powiedział Tweed rozbawionym głosem.

-Harry wie, co robi - odcięła się Paula. - Zwolnij, zaraz będziemy skręcać w Parson Street.

-To miejsce wygląda okropnie - zauważył Tweed, wjeżdżając w nową ulicę. - Ale jako że John Jackson prowadził małą agencję, musiał się pewnie liczyć z każdym groszem.

Zaparkował przy rozpadającym się krawężniku wąskiej uliczki. Pod numerem 159 stał mizernie wyglądający domek szeregowy z przykręconą na ścianie tablicą: JOHN JACKSON, PRYWATNA AGENCJA DETEKTYWISTYCZNA. Witrazowe okno w drzwiach wejściowych było zaskakująco czyste. Drzwi otworzyły się akurat w chwili, kiedy Tweed z Paulą wysiadali. Tweed z przyjemnością stwierdził, że jego eskorta jest niewidoczna.

U boku Tweeda pojawił się wysoki jegomość w zniszczonym prochowcu i naciągniętej na czole czapce. Ochryplym głosem warknął:

- Panie szanowny, tu jest opłata pirdziesiąt funciaków za chodzenie po ulicy. Jak to się mówi, za ochronę.

Urwał nagle i wypuścił trzymany w prawej ręce nóż, kiedy poczuł na szyi luźny pistoletu Harry'ego.

- Panie szanowny - syknął Harry. - Zły adres. Już cię tu nie ma.

Rosły napastnik pobiegł szybko ulicą i znikł za ropiem. Harry kopnął nóż, który wpadł do studzienki ściekowej, i schował walthera do kabury.

Tweed odwrócił się do drzwi, które tymczasem zamknęły się, i nacisnął dzwonek, ale nikt nie otwierał. Dopiero za drugim razem zamknięte na łańcuch drzwi uchylły się. Zobaczyli czuprynę kręconych włosów dziewczyny, która mierzyła ich inteligentnym spojrzeniem.

-Widziałam kogoś z nożem - wyjąkała.

-Już poszedł - powiedziała zdecydowanym głosem Paula.

- Pan Tweed ma ochronę.

-Pan Tweed?

- To ja - włączył się Tweed, okazując swoją legitymację.

- Chcielibyśmy porozmawiać z panem Jacksonem.

- Jesteście z policji?

-Coś w tym rodzaju. Nie zajmiemy mu dużo czasu, tylko kilka minut.

-Ja sobie stąd idę, na zawsze. Proszę wejść - odparła dziewczyna, zapraszając Paulę i Tweeda do środka.

Kiedy weszli do wąskiego przedpokoju, ich oczom ukazało się stojące w rogu biurko ze starą maszyną do pisania. Dziewczyna, mająca najwyżej dwadzieścia pięć lat, poprowadziła ich do innego, większego biura. Paula zadrżała z zimna panującego w najwyraźniej nieogrzewanym domu.

-Gdzie jest pan Jackson? - zapytał Tweed.

-Nie ma go. Pewnie już nie wróci. Siedziałam tu, choć od pewnego czasu nie płacił mi pensji. Wyłączyli nam prąd, potem wodę. Tam leżą wszystkie niezapłacone rachunki. Pan Jackson to miły człowiek, nie chciałam go zostawić na lodzie, więc zostałam,

mimo że mi nie płacił. Nie rozumiem, co się mogło stać. Po prostu

poszedł i nie wrócił.

-Zniknął? - cicho zapytał Tweed. - Jak długo go już nie ma?

-Ponad trzy miesiące. Przychodziłam tu tak długo, jak mogłam, ale skończyły mi się pieniądze. Wczoraj znalazłam nową pracę.

Zostawiam mu kartkę z namiarami na dwóch klientów, którzy chcieli z nim rozmawiać. - Wskazała na kopertę leżącą na biurku.

- To był miły człowiek - powtórzyła. - Pracowałam tu przez rok.

-Czy mógłbym spojrzeć na tę kartkę z nazwiskami? - poprosił Tweed.

- Pewnie już dawno znaleźli sobie innego detektywa.

Wręczyła mu niezaklejoną kopertę, w której znajdowała się pełna ołówków notka, napisana na maszynie. Nazwiska nic mu nie mówiły. Pokazał kartkę Pauli.

-To nigdzie nie prowadzi - szepnęła.

-Czy to jedyne miejsce pracy pana Jacksona? - zapytał Tweed.

-Nie. Ma jeszcze baręk mieszkalną w Wensford. Często spędzał tam dzień lub dwa, badając szczegóły jakiejś sprawy.

-Gdzie jest Wensford?

-Jeździł tam autostradą M3. Rzeka, na której stoi barka, nazywa się Ley, tak mi powiedział. Potem łączy się z Wey.

-Przepraszam na chwileczkę - wtrąciła się Paula i szybko wyszła z kluczykami Tweeda. Wróciła, znalazłszy w samochodzie do-

kładną mapę hrabstw Surrey i Sussex. Rozłożyła ją na biurku.

-Orientuje się pani może, gdzie leży ta miejscowość? - zapytała dziewczynę. - Nie wiem, jak pani się nazywa - dodała z ujmującym uśmiechem.

-Jenny Oxtan. - Dziewczyna pochyliła się nad mapą. - John pokazał mi kiedyś to miejsce na mapie. Jedzie się M3, potem skręca, o tutaj, do Wensford. Earka jest przymocowana koło mostu na Ley.



-Czy jest jakaś dokumentacja kontaktów pana Jacksona z klientami? - zapytał Tweed.

-Zawsze wszystko zabierał ze sobą w teczce. Tutaj nic nie ma. Czy mogę z wami wyjść?

-Oczywiście. Jeśli pani chce, możemy panią podwieźć do domu.

-O, fajnie. Mój chłopak, Jedd, będzie na mnie czekać w kawiarni na rogu Parson Street.

Tweed oddał jej kopertę. Dziewczyna otworzyła szufladę i wyjęła z niej inną kopertę, a potem podniosła zniszczoną aktówkę. Spojrzała na Paulę.

- To moje rzeczy. Jak wyjdziemy, zamknę drzwi na klucz, włożę go do koperty i wrzucę do środka przez szparę na listy. Nic więcej nie mogę zrobić. Mam nadzieję, że Johnowi nic się nie stało.

Na zewnątrz zastali Harry'ego, który stał po drugiej stronie ulicy i udawał, że czyta gazetę. Newman i Nield nadjechali samochodem z drugiego końca ulicy i Harry wskoczył na tylne siedzenie. Kiedy Tweed podwiózł Jenny Oxtton na Parson Street, wsunął jej do ręki dziesięciofuntowy banknot i zbył pełne zaskoczenia podziękowania. Dziewczyna weszła do kawiarni i usiadła przy oknie naprzeciw rosnącego mężczyzny. Kiedy odjeżdżali, pochylała się właśnie, żeby go pocałować.

-Nie wszystkim żyje się tak łatwo jak nam - zauważyła Paula.

-Da sobie radę. Lubię takich ludzi. Każdy jest wart więcej niż stu Aubreyów Greystoke'ów. Teraz musimy znaleźć Wensford i tę barcę.

Zatrzymali się przy Park Crescent i Tweed pokłócił się z Newmanem, który chciał im towarzyszyć do Wensford. Musiał w końcu oficjalnie zabronić podwładnym jazdy z nim i Paulą.

Było południe, kiedy Tweed z Paulą pędzili autostradą M3 w kierunku Wensford. Wkrótce dotarli do odpowiedniego zjazdu i posuwali się dalej szosą wśród pól. Wcześniej Paula poprosiła, żeby zatrzymali się przy fabryce Gantii, gdzie szybko zrobiła kilka zdjęć. Po raz pierwszy od powrotu do biura po pamiętnym wieczorze Tweed przyłapał się na myśleniu o Lucindzie, a szczególnie o scenie w podziemnym garażu, kiedy ta próbowała go zwabić do swojego mieszkania. Powinienem pójść do niej, pomyślał z rozczarowaniem. Nie, podjąłem właściwą decyzję. A może jednak powinienem?

- O czym tak rozmyślasz? - zapytała Paula, kiedy schowała już aparat fotograficzny do torebki.

- Być może należało ostrzec Jenny Oxton, żeby nie wracała do biura Jacksona.
- Przecież wrzuciła klucz do środka przez szparę na listy.
- Ach, rzeczywiście. Zapomniałem.
- Czyżby? - spojrzała na niego jak dziewiętnastowieczna matrona.

Po przejechaniu kilku dalszych kilometrów dotarli do Wensford, wsi będącej skupiskiem nędznie wyglądających domów stojących rzędem po obu stronach szosy. Nie dostrzegli sklepów. Tweed wolniutko podjechał do starego, pokracznego mostu, obok którego na murowanym cokole widniała nazwa LEY BRIDGE. Zaparkował przy nieciekawie wyglądającym zajeździe po drugiej stronie.

- Wsiądźmy i rozejrzyjmy się trochę - zaproponował.

Przeszli przez pustą szosę i znaleźli się na biegnącej wzdłuż rzeki ścieżce holowniczej. Niedaleko znaleźli przycumowaną do dużego, stojącego na brzegu kamienia barcę mieszkalną. Na jaszkrawo pomalowanym dziobie widniała nazwa „Mary Lou”. Było bardzo cicho, z pustej szosy nie dochodził szum samochodów, słyszeli tylko posępne krakanie gawronów siedzących na pobliskim drzewie. Dźwięk ten nappełniał Paulę obawą.

-Pójdę sprawdzić barcę - oznajmił Tweed. - Zostań tu i ubezpieczaj mnie.

-Panie Tweed! - odrzekła Paula gniewnym tonem, oparłszy ręce na biodrach. - Myślałam, że pracujemy razem. Jak się poślizgniesz na tym trapie i wpadniesz do wody, to nie będę cię ratować.

-W porządku - zgodził się Tweed, kiedy zobaczył jej minę.

- Idziemy na pokład razem.

Wszedł na trap, który nawet się nie poruszył. Paula podążyła za nim. Rozejrzał się, szukając śladów stóp na pokładzie. Włożył gumowe rękawiczki, co Paula, która właśnie do niego dołączyła, uczyniła już wcześniej.

- Wejźdźmy do środka - powiedziała.

Podeszli do zamkniętych drzwi kabiny i spróbowali je otworzyć, klamka jednak ani drgnęła. Zajrzawszy przez szparę na dole, Tweed zauważył, że pod drzwi ktoś wsunął gruby drewniany klin. Rozejrzał się po pokładzie i zauważył solidny bosak w skórzanym pokrowcu na lewej burcie. Kiedy go wyjął, od razu zauważył widniejące na nim brązowe plamy, ale nic nie powiedział, tylko silnymi uderzeniami wybił klin.

- Chciałbym, żebyś została na pokładzie - mruknął do Pauli.

- Nie zaczynaj znowu - odpowiedziała.

Z zaciśniętymi zębami nacisnął klamkę i drzwi tym razem otworzyły się bez oporu. Do ich nozdrzy natychmiast dotarł obrzydliwy, dobrze znany im zapach, który mógł oznaczać tylko jedno. Tweed wyjął chusteczkę i przycisnął ją do nosa, a potem spojrzął na Paulę, która postąpiła podobnie. W ręku trzymała wyjętą z torebki silną latarkę.

W kabinie było ciemno, ale Tweed widział, że wchodzi do głównego pomieszczenia. Smród był wprost nie do zniesienia. Paula omiotła latarką pustą skórzaną kanapę stojącą po lewej stronie, a potem skierowała światło na drugą stronę kabiny, gdzie stała taka sama kanapa, tylko że ta nie była pusta. Leżał na niej szkielet, obok którego wałały się plastikowe woreczki z gnijącymi resztkami. Wycięte mięśnie. Tweed nie mógł oddychać, porażony dławiącym odorem. Paula pociągnęła go za ramię.

- Wychodzimy - powiedziała głosem stłumionym przez chusteczkę.

W kabinie panował chaos. Wszystkie szuflady były wyjęte, a ich zawartość wałała się po podłodze. Tweed potknął się i Paula złapała go za ramię, żeby nie upadł. Ruszyli ku drzwiom.

Kiedy znaleźli się na pokładzie, Tweed zatrzaskał drzwi i odetchnął głęboko. Paula szybko podeszła do prawej burty, bo zapewne zebrało się jej na wymioty, ale zamiast pochylić się, zniechęciła, wyjęła z torebki butelkę wody mineralnej i wypila z niej kilka łyków. Potem podała butelkę Tweedowi, który też czuł mdłości. Kilka haustów wody uspokoiło żołądek.

-Wychodzimy - wychrypiał.

-Uważaj na trapie.

Pospacerował trochę po pokładzie, żeby uspokoić drżące nogi, a potem szybko przeszedł po trapie i z niepokojem obserwował Paulę, która podążyła za nim. Z ulgą usiadł na ziemi przy ścieżce.

- Daj mi swój telefon komórkowy - poprosił Tweed. - Zadzwoń do Buchanana.

Kiedy Tweed opisywał Buchananiowi, co znaleźli, Paula próbowała rozprostować nogi, spacerując po ścieżce. Tweed zakończył rozmowę informacją, że będą czekać na Buchanana po drugiej stronie rzeki w zajeździe przy moście, a potem oddał jej telefon.

- Będą tu za kilka godzin. Ostrzegłem Buchanana, żeby nie jechał przez Wensford na sygnale. Nie chcemy tutaj gapiów.

-Czy nie powinniśmy wrócić na barcę i rozejrzeć się? Wydaje mi się, że coś zauważyłam w wodzie po drugiej stronie.

-Nie, lepiej nie. To już robota Buchanana.

Drzwi zajazdu otworzyła rumiana, przyjemnie uśmiechnięta kobieta. Tweed powiedział jej, że nic nie jedli od wielu godzin, ale gospodyni poinformowała, że obiadów już nie wydają, a kolacja zaczyna się dopiero za godzinę. Potem przyjrzała im się dokładnie.

-Rzeczywiście wyglądają państwo na wygłodniałych. Może przygotować kanapki z szynką?

-To na pewno wystarczy - odpowiedział Tweed. - Bylibyśmy bardzo wdzięczni. Czy dostaniemy też trochę kawy albo wody?

- Zaraz przygotowuję. Zaprowadzę państwa do jadalni.

Pomieszczenie znajdowało się w głębi budynku i było o tej porze jeszcze puste. Mały pokój wypełniały nakryte do kolacji stoliki, na półce nad kominkiem stały porcelanowe kubki, a za zasłoniętym firanką oknem widać było ogród na tyłach domu.

-Nie jestem pewna, czy mam ochotę na kanapki - powiedziała Paula.

-To nie jedz. Wypij trochę wody, jeśli nie możesz dojść do siebie.

-Mogę - zaprotestowała. - Za dużo widziałam już trupów, żeby się czemukolwiek dziwić. Stały się dla mnie częścią tutejszego krajobrazu.

Gospodyni przyniosła jedzenie i zostawiła ich samych, zamknawszy za sobą drzwi. Tweed wziął jedną kanapkę, a Paula drugą, którą, jak można się było spodziewać, szybko zjadła. Od razu poprawiło im się samopoczucie.

- To był ten Jackson, biedaczysko - powiedziała.

-Wpierw musimy go zidentyfikować.

-W takim razie jak daleko już jesteśmy?

-Jesteśmy w Wensford.

-Nie udawaj, że nie wiesz, o co mi chodzi. Ta lista z kieszeni Michaela. Czy to już wszystkie ofiary tego potwora?

-Ciało kobiety, które znaleźliśmy w szybie na Dartmoor, mogło należeć do Lee Greystoke, żony dyrektora finansowego Gantii. Dowiedziałam się o tym wczoraj w czasie kolacji z Lucindą. Lee podobno opuściła męża ponad trzy miesiące temu, ich małżeństwo się rozpadało. Lucinda rozpoznała ten kosztowny pierścionek z brylantem, podobno Lee chciała go dać jej w prezencie, ale ona odmówiła. Później ci powiem dlaczego.

-A Christine to, jak wiemy, ta księgowa. Do kogo w takim razie należał szkielet mężczyzny na Dartmoor?

-Nie mam pojęcia, kto to mógł być. Będziemy musieli się dowiedzieć.

-A John Jackson - kontynuowała Paula. - Leży martwy po drugiej stronie szosy, jestem pewna, że to on. Pozostaje tylko Ken.

-Na to wygląda - zgodził się Tweed.

-Christine i Jackson są blisko powiązani z Anną Barton - zastanawiała się Paula. - Ale to nie może być ona. Nie jest dość silna.

-Nie wyciągaj pochopnie wniosków - ostrzegł Tweed. - Kiedy" u niej byliśmy, zauważyłem, jak bez wysiłku podnosi bardzo ciężki

fotel, na którym usiadła. Uniosła go tak, jakby nic nie ważył.

Zamilkli, kiedy ponownie nadeszła gospodyni. Płacąc rachunek, Tweed dodał do niego sowity napiwek i zapytał:

-Przyjechaliśmy porozmawiać z właścicielem tej barki po drugiej stronie rzeki przy moście. Czy widuje go pani tutaj?

-Nie, nigdy do nas nie zaglądał. Zawsze zostawiał samochód na parkingu we wsi i pewnie szedł do siebie na piechotę. Mój mąż widywał światło palące się do późna w oknach barki, ale już od dość dawna ten pan się nie pokazywał.

-Czy może pamięta pani, kiedy ostatnio mąż dostrzegł na barce zapalone światło?

-To musiało być jakieś trzy miesiące temu... Przepraszam, ale ktoś dzwoni do drzwi.

-To pewnie policja - zauważyła Paula.

- Masz rację, słyszałem zajeżdżające samochody.

Przerwali, bo w drzwiach jadalni pojawiła się gospodyni, a za nią wszedł nadinspektor Buchanan. Przysunął sobie krzesło i dośiadł się do nich.

-Przyjechałem z całą brygadą śledczą. Jest też karetka. Mamy rozkaz nie dotykać ciała, profesor Saafeld jest już w drodze. Jego osobiste zalecenie.

-Ktoś od was mógłby przeczesać powierzchnię wody na prawo od barki. Zauważyłam, że tam coś pływa - zaproponowała Paula. -Wyglądało jak przedarta na pół karta identyfikacyjna.

-Ciało należy najprawdopodobniej do Johna Jacksona, prywatnego detektywa - dodał Tweed.

-Jackson! - Buchanan spojrział na nich z przerażeniem. - To był świetny inspektor w Scotland Yardzie. Lubilem go. Mógł dale-

ko zajść, ale zrezygnował mimo moich usilnych protestów. Nie znosił papierkowej roboty, której wymaga od nas ministerstwo.

Powiedział, że woli pracować sam i pomagać ludziom. Muszę tam pójść, zobaczyć ciało.

-Ważnie mieliśmy wracać. Wysłałem ci raport o dotychczasowych wynikach śledztwa.

-Dziękuję. Muszę już iść.

Ledwie wjechali na autostradę M3, kiedy z naprzeciwka nadjechał rolls-royce Saafelda. Profesor pozdrowił ich klaksonem.

-Buchanan z brygadą pojawili się bardzo szybko - zauważyła Paula.

-Prawdopodobnie pędzili autostradą na sygnale. Dobrze, że nie trafili na godzinę szczytu.

-Dokąd teraz jedziemy?

-Prosto na Park Crescent. Możliwe, że będą tam dla nas mieli coś nowego, ale wątpię w to.

Wątpliwości Tweeda okazały się nieuzasadnione.

-Sprawdziłem życiorys Abla Gallaghery - powiedział im na powitanie Newman. - Jest bardzo poplątany.

-Poplątany?

Monica siedziała przy komputerze, stukając w klawiaturę. Butler bawił się na podłodze granatem ręcznym. Paula udała przerażenie i zawołała:

-Mam nadzieję, że to coś nie jest odbezpieczone?

-Oczywiście, że jest - odparł Butler.

Nield siedział na krześle, wpatrując się w mapę Londynu. Spojrzał na Tweeda, kiedy ten się do niego odezwał.

- Widzę, że wróciłeś już z Champton Place. Jak się ma Annę?

-Zaskakująco szybko doszła do siebie. Odniosłem wrażenie, że nie łączyło jej z siostrą zbyt wiele i chyba czuła się przez nią zdominowana. Annę wymknęło się to w czasie jednej z naszych rozmów, ale zaraz zmieniła temat.

-Ja nie odniosłem takiego wrażenia - odrzekł zamyślony Tweed. - Spędziłeś z nią znacznie więcej czasu i zapewne przy to-

bie bardziej się otworzyła.

-To prawda, dobrze się nam rozmawiało - przyznał Nield.

-Pete uważa - śmiał się Butler - że kobiety mdleją na sam jego widok.

-Butler, jak wyjdziemy, to przypomnij mi, żebym ci dał w ten głupi pysk - odgryzł się Nield.

-Panowie, skończcie już - przerwał im Newman. - Chciałbym

wreszcie opowiedzieć wszystkim, czego dowiedziałem się o Ablu Gallagherze. Raczej nieprzyjemny typ. W szkole był przywódcą gangu terroryzującego uczniów. Potem zaciągnął się do najgorszej formacji w wojsku - zgłosił się do żandarmerii wojskowej i został przyjęty. Kiedy dochrapał się awansu na sierżanta, miał już ustaloną reputację. Jeśli nie spodobał mu się jakiś szeregowiec, natychmiast wynajdywał pretekst, żeby wsadzić go za palisadę.

-Co to jest ta palisada?

-Chodzi o odgradzony teren, na którym trzyma się niegrzecznych chłopców, żeby dać im wycisk. Biegają tam bez końca z cięż-

kimi plecakami. Gallagher kazał swoim wybrancom biegać tak długo, aż padali ze zmęczenia. Niektórzy trafiali potem do szpitala.

-Sadysta - skwitowała Paula.

-I to dobrze znany. Kiedy przeszedł do cywila, złożył podanie o pracę w Medford, międzynarodowej firmie ochroniarskiej. Kiedy

musi, to potrafi paść do nóg komu trzeba. Dostał pracę i po trupach

kolegów szybko wspiał się na szczyt. Umie grać wielkiego dzentel-

mena i jest bardzo przebiegły, kiedy więc szef Wydziału Specjalne-

go odszedł na emeryturę, Abel dostał się na jego miejsce. Plotka głosi, że skorzystał z protekcji wysoko postawionego polityka.

Oto

cały nasz Abel. Aha, jest znany z tego, że po pracy lubi grać w rzut-

ki nożami. Pomyślałem, że ten szczegół dużo o nim mówi.

-Czarująca osoba - znowu odezwała się Paula.

-Mówi się również, że jest niebezpieczny w kontaktach z kobietami - skończył swój raport Newman.

-Wygląda na to, że wszystkiego możemy się po nim spodziewać - zdecydował Tweed. - Lubi przemoc.

-Być może powinien dołączyć do kręgu podejrzanych o te morderstwa - zasugerowała Paula. -Ale jaki miałyby mieć motyw?

-Niezależnie od tego, kto zabił - wtrącił Tweed - podejrzewam, że motywem były pieniądze.

-No właśnie - odrzekł Butler. - Wszyscy wiemy, że Gallagher jest zadłużony po uszy u tego bukmachera.

-Musimy się jednak skoncentrować na czym innym - ostrzegł Tweed. - Wciąż nie znaleźliśmy związku łączącego wszystkich za-

mordowanych. Według opinii Buchanana są to przypadkowe ofia-

ry psychopaty, ale ja sędzę, że jest jeszcze coś, o czym nie

wiemy.

Być może coś niebezpiecznego.

Spojrzał na Monice, która odebrała właśnie jakiś telefon i zaczęła rozpaczliwie dawać mu znaki. Tweed bez entuzjazmu zapytał, o co chodzi.



- Dzwoni sekretarka Dragona Volkaniana i mówi, że on chce z tobą natychmiast rozmawiać.

Tweed usłyszał w słuchawce gromki głos, który mimo swojej siły nie brzmiał despotycznie. Głos kogoś obdarzonego nieprzeciętną charyzmą.

-Panie Tweed, musimy się jak najszybciej spotkać. Kiedy będzie panu wygodnie? Może jutro po południu? Na Jermyn Street.

-Chciałbym się dowiedzieć, o czym będziemy rozmawiać.

-Ach! - W słuchawce rozległa się salwa śmiechu. - Uważam pana za osobę o nieprzeciętnej inteligencji i przenikliwości. Niech pan pamięta, że nigdy nie uciekam się do pochlebstwa, które uważam za rodzaj hipokryzji. Sam muszę wciąż doświadczać prawdziwej powodzi bzdurnych pochwał pod swoim adresem. - Kolejna salwa śmiechu. - Słyszałem, jak pana sekretarka wymieniła moje nazwisko. Czy mógłby pan jej powiedzieć, że to nie ja dzwoniłem? Nie chciałbym, żeby ktokolwiek dowiedział się o naszej rozmowie i jutrzejszym spotkaniu.

-Zadbam o to - szybko odpowiedział Tweed.

-Liczę na pana dyskrecję. Byłbym bardzo zobowiązany, gdyby nikt nie dowiedział się o naszej jutrzejszej rozmowie. Będę czekał na Jermyn Street pod numerem 490, to kawałek za słynną perfumerią Floris. Czy pasuje panu czwarta po południu? Jeśli nie, to możemy...

-Na pewno mi pasuje - przerwał mu Tweed.

-Drogi panie, jestem pana dłużnikiem, bo rzadko kto wykazuje tak wielką gotowość do współpracy. Jeszcze jedno: czy mogłaby z panem przyjść ta niezwykła osoba, Paula Grey? Muszę przyznać, że to prawdziwe szczęście mieć tak wspaniałą asystentkę. - Jeszcze jeden wybuch tubalnego śmiechu. - W takim razie jutro o czwartej. Pozdrawiam bardzo serdecznie i proszę uważać na siebie. Żyjemy w niebezpiecznym świecie.

Słuchawka została odłożona, zanim Tweed zdążył odpowiedzieć. Usiadł za biurkiem i przez chwilę patrzył tępo przed siebie. Od dawna nie rozmawiał z osobą o tak silnym i ujmującym charakterze.

Paula przypatrywała się Tweedowi, który chyba od dziesięciu minut chodził tam i z powrotem po gabinecie. Czasami zatrzymywał się przy oknie i patrzył przez nie na Regent's Park. Zapadał już zmrok, a lśniące od mżawki chodniki zwiastowały raczej nieprzyjemny wieczór. Zdążający do domów ludzie chowali się pod

parasolami, przygotowując się na gehennę oczekiwania na nie-liczne pociągi bądź jazdę zakorkowanymi ulicami. Jedno wielkie nieszczęście. Tylko Paula zdawała sobie sprawę z tego, co się dzieje. Tweed podejmował ważną decyzję.

Drzwi otworzyły się i niedbałym krokiem wszedł przez nie Marler, ubrany w szykowny beżowy garnitur, którego Paula nigdy przedtem nie widziała.

-Mmm! - pozdrowiła go pełnym podziwu westchnieniem, kiedy przechodził obok niej.

-Za to - powiedział - będziesz musiała pójść ze mną na kolację do restauracji Savoy Grill.

-Nigdzie nie pójdziecie - przerwał im nagle Tweed. - Będzie mi potrzebnych pięć osób do przesłuchań.

Oparł się o biurko i przyjrzał uważnie wszystkim swoim ludziom. Zaczyna się, pomyślała Paula. Głos Tweeda był władczy i energiczny.

-Mamy coraz mniej czasu. Zdajecie sobie pewnie sprawę z tego, że prawdopodobieństwo *złapania mordercy zmniejsza się* z każdym mijającym dniem. A Saafeld potwierdził, że odnalezione dotychczas ofiary zostały zamordowane trzy, cztery miesiące temu. Musimy działać już dziś. Każde z was odwiedzi jednego z kluczowych podejrzanych i dokładnie przesłucha. Jeśli ktoś nie będzie chciał was wpuścić, wszyscy macie otwarcie korzystać ze swoich legitymacji SIS. Nie będziemy się tym razem ukrywać. Newman, twoim celem jest Larry Voles, dyrektor Gantii.

-Nie przesłuchiwałeś go jeszcze? - zapytał Newman.

-Nie. Możesz być brutalny, wszystkie metody dozwolone. Monica dała każdemu z was egzemplarz mojego raportu dla Buchana, więc dobrze znacie całą sprawę. Informacja ma być waszą bronią.

-Nie mogę się doczekać, kiedy się dowiem, do kogo mnie wysyłasz - odezwała się Paula.

-Będziesz musiała poczekać. Przydzielę podejrzanych w pewnej ustalonej kolejności. Nield, ty odwiedzisz Lucinę Voles i ostro ją przemaglujesz.

-Jeśli pozwolisz - cicho odpowiedział Nield - to wolę zastosować własne metody.

-Rób, co chcesz, byle skutecznie - beznamiętnym głosem przerwał mu Tweed. - Butler, ty jedziesz do Annę Barton. Wiem, że rozmawiałeś z nią tylko raz i to krótko. Nie daj się zwieść jej pozornej potulności.

-Przylapię ją, jeśli zacznie się plątać w szczegółach, zobaczysz.

-Marler, twoim celem jest Abel Gallagher. Będzie próbował zasłaniać się swoim stanowiskiem w Wydziale Specjalnym.

-Co raczej nie robi na mnie wrażenia - warknął Marler.

-Paula - burknął Tweed, poirytowany tym, że mu wcześniej przerwała. - Pójdiesz ze mną do Aubreya Greystoke'a, dyrektora finansowego Gantii - dodał, bo nie wszyscy wiedzieli, kim jest Greystoke. -I jeszcze jedna rzecz, o której macie nikomu nie mówić. Możemy być pewni, że ciało kobiety znalezione na Dartmoor

należało do Lee, zaginionej żony Greystoke'a.

-Wolałabym sama kogoś przesłuchać - zaczęła protestować Paula.

-Mam jeszcze jedną wskazówkę dla was - zignorował ją Tweed.

- Jak powiedziałem wcześniej, każde z was otrzymało kopię raportu, który sporządziłem na użytek Buchanana. Ale nieoceniony profesor Saafeld określił również przypuszczalny wiek, wzrost i masę ciała każdej z ofiar. Monica przekaże wam fotokopię tych danych, zanim wyjdziecie.

Newman otworzył usta, żeby zapytać, kiedy mają wyjść, ale Tweed go uprzedził.

- Na co czekacie? Do roboty.

Kiedy wszyscy wyszli, w pośpiechu odbierając przygotowane przez Monicę fotokopie, Paula postanowiła przedstawić swoje zdanie Tweedowi, który siedział spokojnie za biurkiem, zupełnie niepodobny do apodyktycznego i energicznego przywódcy sprzed kilkunastu sekund.

-,Czy mogę coś powiedzieć? - zapytała zaczepnie.

- Nie wygłupiaj się. Przecież zawsze lubię z tobą rozmawiać.

Podniosła wyściełane krzesło stojące przed biurkiem Tweeda i przenieśli ją tak, że mogła usiąść obok niego i patrzeć mu prosto w oczy.

-Czy mam zakładać, że ludzie, których będziemy przesłuchiwać, to podejrzani?

-Niekoniecznie. Potrzebne są nam tylko informacje, i to szybko.

-Nie jestem pewna, czy każdemu z podejrzanych przydzieliłam odpowiednią osobę. Czy Harry będzie odpowiedni dla Anne Barton?

-Świetnie się nadaje. Po pierwsze, ona wydaje się osobą zamkniętą w sobie. Poza tym można przypuszczać, że nie ma zbyt

wiele pieniędzy. Jeśli to prawda, to Harry, który również pochodzi z ubogiej rodziny, łatwiej nawiąże z nią kontakt, szczególnie że już raz się spotkali. Sądzę, że przed nim może się otworzyć.

-Wiesz co - rzekła z zawiścią. - Może powinnam pójść na jakiś kurs psychologii.

-Jesteś najbardziej przebiegłą kobietą, jaką kiedykolwiek poznałem. Nie musisz chodzić na żadne kursy, chyba że jako wykładowca.

-Będę siedzieć cicho, kiedy jutro pójdziemy do Greystoke'a.

-Nie. Jeśli chcesz mu zadać pytanie, zrób to. On ma słabość do atrakcyjnych kobiet. Od czasu gdy zniknęła jego żona, czyli od

jakichś trzech czy czterech miesięcy, wciąż skacze z kwiatka na kwiatek.

-Może to motyw?

-Żeby zamordować Lee. Ale co z innymi?

-Wysłanie Marlera, żeby zajął się Gallagherem, to rzeczywiście dobry ruch. Ten cham dostanie nieźle w kość, kiedy spróbuje mu podskoczyć. A Newman dobrze nadaje się do przesłuchania Larry'ego, biorąc pod uwagę to, co o nim już wiemy. Chyba rzeczywiście dobrze dobrałaś ludzi. Przepraszam, że byłam taka agresywna.

-W tym zawodzie zawsze trzeba być agresywnym.

Godzinę później zadzwonił pierwszy telefon. Zgłosił się Nield.

-Jak ci poszło? - zapytał Tweed. - Szybko skończyłeś.

-Bo nawet nie zacząłem. Lucinda nie zechciała mnie wpuścić do mieszkania. Powiedziała, że jeśli chcesz więcej informacji, to masz przyjść sam. Nie mogłem nic zrobić.

-Nie martw się. Gdzie zaparkowałeś samochód?

-W podziemnym garażu domu, gdzie ona mieszka. W dzień każdy może tam wjechać. Właśnie z niego dzwonię.

-Czy ona widziała twój samochód? Czy możesz zmienić wygląd, na wypadek gdyby pojawiła się w garażu?

-Mam ze sobą wielki śmieszny beret, parę fałszywych okularów i żółty szalik. Dlaczego pytasz?

-Pojadę do niej sam, a ty zostań na miejscu. Jeśli gdzieś pojedzie, masz ją śledzić. Znasz numer do Pauli? Dobrze. Czekaj na mnie, chyba że Lucinda opuści mieszkanie. To tyle. - Odwrócił się do Pauli. - Jadę do Lucindy.

-Może byś kupił wreszcie komórkę?

-Dzięki. Do zobaczenia. Ty i Monica zostajecie tutaj.

Kiedy Tweed wjechał do podziemnego garażu, większość miejsc parkingowych była pusta. Wydawało się, że nikt nie mieszka w budynku, ale najprawdopodobniej większość mieszkańców pracowała. Odnalazł niebieskiego forda Pete'a i na wszelki wypadek sprawdził numer rejestracyjny. W samochodzie nikogo nie dostrzegł. Co się stało?

Zaparkował i ostrożnie podszedł do forda. Pete położył siedzenie kierowcy i leżał w nim tak, że nie było go widać. Beret na jego głowie rzeczywiście był śmieszny, a w przebraniu nawet Tweed nie mógł go rozpoznać. Pete podniósł się i otworzył okno.

-Nie wychodziła, więc pewnie jest u siebie. Najprawdopodobniej sama.

-Trzymaj się, idę do niej.

W windzie nacisnął guzik trzeciego piętra. Zapamiętał, na którym piętrze zatrzymała się winda, kiedy Lucinda zostawiła go po kolacji w Santorini. Nie, to przecież on ją zostawił.

Korytarz na trzecim piętrze był wystawnie urządzone: puszyste dywany, wielkie lustra na ścianach, a przy jej drzwiach stolicek w stylu regencji. Spojrzał na siebie w lustrze, a potem odwrócił wzrok. Nigdy nie lubił swojego odbicia. Zadzwoił do drzwi, które ku jego zaskoczeniu natychmiast się otworzyły. Lucinda gestem zaprosiła go do środka.

Od razu doszedł do wniosku, że przychodząc tu, popełnił błąd. Lucinda miała na sobie biały sweter i spodnie tego samego koloru, talię podkreśliła złotym paskiem, a na stopach miała również złote pantofle. Kiedy wszedł, zamknęła drzwi na klucz.

-Pomogę ci zdjąć płaszcz - powiedziała cichym głosem, który Tweedowi tak bardzo się podobał. - Nie przysyłaj do mnie więcej chłopców na posyłki. Możesz zawsze przyjść sam, a ja dam ci wszystko, czego będziesz chciał - rzekła, uśmiechając się znacząco.

- Chcesz trochę brandy?

-Nie odmówię kieliszka chardonnay.

-Momencik. Usiądź na tym fotelu przy sofie.

Fotelu? Widać było, że Lucinda przygotowała meble specjalnie na jego wizytę. Oparcie fotela było głęboko cofnięte, a długie siedzenie nie pozwalało opuścić nóg na podłogę. Tuż obok fotela stała szeroka sofa przypominająca raczej łóżko. Lucinda przyniosła drinki, kiedy Tweed bezskutecznie starał się usadowić na fotelu tak, żeby w nim nie leżeć, co okazało się niestety niemożliwe. Umieściła drinki na stoliku przy fotelu, a sama rozłożyła się

wygodnie na sofie obok Tweeda. Podał jej brandy. Stuknęli się kieliszkami.

-Za nas! - powiedziała, uśmiechając się uwodzicielsko. - Powinniśmy częściej się tak spotykać.

-Lucindo - zdecydowanym głosem zaczął Tweed - przyszedłem zadać kilka pytań w sprawie tych morderstw.

-Dlaczego się nie odprężysz? Tak wielki umysł musi czasem odpocząć!

-Z tego, co pamiętam, dobrze znasz Lee Greystoke. Czy mogłabyś mi ją opisać? Wzrost, waga i inne podobne dane? Kolor włosów? Oczu?

-Nie podoba mi się to, jak ze mną rozmawiasz, ale niech ci będzie. Wzrost około 1,70 m, waga niecałe 45 kg. Włosy brązowe, zresztą bardzo ładne.

Tweed omal nie zakrztusił się swoim koniakiem, ponieważ liczby podane przez Lucindę dokładnie odpowiadały szacunkom Saa-felda, które przedstawił po zbadaniu szczątków kobiety znalezionych w szybie na Dartmoor. Lucinda zalotnie odgarnęła z twarzy kosmyk blond włosów i położyła Tweedowi rękę na piersi.

-Dlaczego pytasz?

-Te same pytania zadajemy wszystkim osobom zamieszanym w tę sprawę. Uzupełniamy po prostu kartotekę.

-Mam nadzieję, że Lee nic się nie stało - powoli powiedziała Lucinda.

-Cóż, Aubrey wie pewnie najlepiej. Kiedy opuściła go Lee?

-Myślałam, że już ci o tym mówiłam. Trzy, może cztery miesiące temu. Możliwe, że pojechała do Stanów. Ma przyjaciółkę w Richmond, w Wirginii.

-Czy Lee jest w jakiś sposób powiązana z Gantią? - Tweed wytrwale zadawał nowe pytania.

-Jesteś uparty jak osioł, wiesz? - odpowiedziała, przesuwając mu palcem po policzku. - Cudownie, gładko ogolony, tak jak lubię. To dla mnie, prawda? Związki Lee z Gantią? Jest w zażyłych stosunkach z Dragonem. Nie wiem czemu, ale on bardzo ją lubi i jej ufa.

-W jaki sposób to się objawia?

-Oprócz głównych dyrektorów, czyli mnie, Michaela, Larry'ego i Aubreya, Lee jest jedyną osobą, która ma uniwersalny klucz do fabryki. Potrafiła pojechać tam w środku nocy i sama, bez strażnika, sprawdzała, czy wszystkie biura są pozamykane.

-Wątpię, czy o tej porze jeździła tam tylko w tym celu.

-Wiem. Rzeczywiście, spędzała w nocy dość dużo czasu w fabryce. Być może poszukiwała dowodów licznych zdrad swojego męża. Tak mi się przynajmniej wydaje.

-Jaką jest osobą? Jaki ma charakter?

-Jest bardzo energiczna i inteligentna. Może trochę hałaśliwa, ale lubię ją. Pełna życia.

Teraz już nie jest pełna życia, jeśli się nie mylę, pomyślał Tweed. Lucinda chyba zauważyła zmianę wyrazu jego twarzy, ponieważ pogłaskała go po rękę i zapytała:

-Czym się tak martwisz? Chcę ci sprawić jakąś przyjemność. Jestem pewna, że masz w sobie jeszcze choć trochę radości życia.

-Nigdy o tym nie myślałem - odpowiedział Tweed, spojrzawszy na zegarek i aż podskoczył na fotelu. - Bardzo cię przepraszam, ale muszę już iść.

Wyraz twarzy Lucindy zmienił się nagle, teraz patrzyła wrogo. Tweed zmagał się ze sobą, nie wiedział, czy bardziej chce zostać z Lucindą, czy wyjść już z jej mieszkania. W końcu zdecydował, że nie zamierza rozpoczynać romansu z osobą znajdującą się na liście podejrzanych, nawet jeśli jest to bardzo atrakcyjna kobieta. Szybko poszedł do przedpokoju, chwycił swój płaszcz, włożył go pośpiesznie i wyszedł na korytarz, zamknąwszy za sobą drzwi.

Czas, który musiał spędzić na korytarzu, czekając na windę, dłużyl mu się bez końca. Odnosił wrażenie, że lada chwila otworzą się z trzaskiem drzwi jej mieszkania, nie dawała przecież tak łatwo za wygraną. Kiedy winda wreszcie przyjechała, Tweed wpadł do niej i niecierpliwie naciskał guzik, aż z ulgą zobaczył, że drzwi wreszcie się zamykają i winda jedzie na dół.

Otworzyła się w podziemnym garażu, gdzie w swoim samochodzie czekał na niego Pete. Pomachał mu.

- Dostałeś to, czego chciałeś? - zapytał Nield.

Tweed pokiwał głową w odpowiedzi i powiedział Pete'owi, że jedzie z powrotem na Park Crescent. Pete ruszył za nim. Tweed skręcił w szeroką arterię Park Lane, kiedy nagle zajęchało mu drogę brązowe volvo z przydymionymi szybami. Tweed szarpnął kierownicą i skręcił prosto na chodnik pełen pieszych.

O włos uniknął tragedii. Wyobraził sobie, jak jego samochód miażdży dziecięcy wózek, popychany przez jakąś kobietę, wjeżdża pomiędzy trzy nastolatki, zobaczył parę starszych ludzi patrzących na niego z przerażeniem w oczach. Krew na chodniku.

Nacisnął klakson i skierował samochód z powrotem w prawo, mając nadzieję, że uderzy w volvo, a nie w pieszych.

Droga przed nim była wolna, nieznanego samochodu znikł. Słysząc tylko klaksony stojących z tyłu samochodów. Wolno ruszył dalej, wypatrując volvo, ale w mrowiu samochodów sunących po Park Lane nie można go było dostrzec. Odetchnął głęboko i spojrzął w tylne lusterko, gdzie zobaczył wóz Pete'a Nielda. Razem dojechali do Park Crescent.

-To nie był przypadek - wychrypiął Pete, kiedy wchodzili do biura SIS. - Wyobraź sobie proces, nagłówki w gazetach. Twoja kariera ległaby w gruzach. Najwyraźniej załatwiłeś komuś skórę. -Ktoś chce mnie wyeliminować. Wzbudziłem w kimś wielki niepokój czymś, co nieopatrznie zobaczyłem lub powiedziałem. Tyle że nie mam pojęcia, co to mogło być - oświadczył Tweed. - Muszę zadzwonić do Lucindy - kontynuował, kiedy weszli do gabinetu.

-Nie dość długo u niej siedziałeś? - zapytała Paula.

-Zapomniałem zadać kluczowe pytanie - odpowiedział, podnosząc słuchawkę.

-Mówi Tweed, czy to Lucinda?

-Nie możesz przestać o mnie myśleć?

-Zapomniałem zapytać cię, gdzie mieszka Lee Greystoke.

-Tweed przyłapał się na tym, że chciał powiedzieć: „mieszkała”.

-Ma domek na wsi. Masz coś do pisania? Oto adres: Ivy Cottage, Boxton, Heel Lane. W Beaconsfield trzeba zjechać na drogę A355 w kierunku na Amersham. Mniej więcej w połowie drogi przed Boxton odbija się w prawo w Heel Lane. Domek stoi samotnie, Lee nie chciała mieć sąsiadów. Po prawej stronie drogi.

-Dziękuję. A tak przy okazji, jak się ma Michael?

-Według Larry'ego bez zmian. O ósmej rano, po śniadaniu idzie szlakiem do wsi, obraca się na pięcie i wraca do domu, gdzie udaje się prosto do swojej sypialni. Dużo czyta.

-Jakie książki?

-Nie mam pojęcia. Ostatnio nie byłam w Abbey Grange. Ta jego amnezja jest bardzo dziwna, nie rozumiem, co mu dolega.

-Każda amnezja jest dziwna. Muszę już, kończyć, dziękuję za informacje.

Gdy tylko odłożył słuchawkę, zadzwonił telefon. Monica przekazała, że na linii czeka Newmant

- Jak ci poszło, Bob?



-Nie za dobrze. Po pierwsze, odesłali mnie z kwitkiem. Larry ma okropną sekretarkę. Jest bardzo ładna, ale po krótkiej rozmowie z Larrym wróciła do mnie i powiedziała, że pan Voles jest bardzo zajęty i nie może mnie przyjąć. Kiedy zacząłem się stawić, zamknęła mi drzwi przed nosem.

-Trudno. Jaki jest adres jego biura?

-Marlow Street pięć. To boczna od Pall Mail, po południowej stronie.

Tweed powtórzył adres i kazał Newmanowi wracać. Kiedy wstał od biurka, Paula już ściągała z wieszaka jego płaszcz, pomogła mu go włożyć, a potem wzięła własny. Tweed popatrzył na nią pytająco.

-Jadę z tobą. Przecież Larry lubi towarzystwo kobiet.

-A ty skąd wiesz? - zapytał Tweed, kiedy szybkim krokiem schodzili na dół.

-Widziałam, jak na mnie patrzył w Abbey Grange. Nie jest z tych, co się obleśnie uśmiechają, ale widać było, że zwrócił na mnie uwagę.

Kiedy jechali pod wskazany przez Newmana adres, po raz kolejny zapadał tego dnia zmrok, nie dlatego że było już późno, tylko przez chmury, które wciąż przesłaniały słońce. Tweed znalazł miejsce, gdzie mogli zaparkować, a potem szybkim krokiem udali się na Marlow Street. Biuro Larry'ego miało ciężkie, czarne drzwi, nad którymi wisiała kamera ochrony. Tweed nacisnął dzwonek i nie puszczał.

Otworzyła im szczupła dziewczyna o wojowniczym spojrzeniu, ubrana w elegancki czarny żakiet.

-Czy musi pan tak długo dzwonić? Wystarczy raz nacisnąć.

-Musimy zobaczyć się z Larrym Volesem - przerwał jej Tweed, okazując swoją legitymację. -W bardzo pilnej sprawie.

-Nie są państwo umówieni.

-Nie umie pani czytać? - warknął. - Zgubiła pani okulary? Jeśli przyszedłem, to znaczy, że jestem umówiony. Proszę iść do niego i powiedzieć, że tu jestem, i to zaraz. Widzieliśmy się już wcześniej!

-To wcale nie znaczy...

-Niech pani nie marnuje więcej czasu albo każę panią aresztować za utrudnianie pracy służbom specjalnym. Zaczekamy w środku.

-Nie wolno wam...

-Przepraszam panią. - Tweed delikatnie, ale stanowczo usunął ją z drogi i wszedł do gabinetu, a Paula podążyła za nim.

Zamknął drzwi i ostentacyjnie spojrzął na zegarek. - Powiedziałem, proszę powiedzieć mu, że tu jesteśmy. Nie będę czekał cały dzień!

Otworzyła usta, ale zaraz je zamknęła, nie powiedziawszy ani słowa. Była pokonana i z zafrasowaną, niemal przestraszoną miną wycofała się do gabinetu Larry'ego.

-Nie trzeba było dziewczyny od razu tak straszyć - cicho zauważyła Paula.

-Nie będę się z nikim cackał. Czuję, że czas tym razem nie pracuje na naszą korzyść.

Sekretarka zapukała do drzwi gabinetu i znikła w środku. Potem pojawił się w nich sam Larry, ubrany w szykowny granatowy garnitur w prążki, i przywitał ich z uśmiechem.

- Proszę wejść - zaprosił. - Miło znowu cię widzieć, Paulo. - Złapał ją za rękę, ale nie trzymał za długo, tak jak niektórzy mężczyźni. Jego wielkie biuro było urządzone wygodnie, a jednocześnie z wielkim przepychem. Larry ustawił trzy skórzane fotele przed swoim cedrowym biurkiem i gestem poprosił, żeby usiedli. Zaproponował coś do picia, ale odmówili. Tweed nie chciał nawet zdjąć płaszcza, mimo że Larry zamierzał go wziąć i powiesić. Paula zaczęła się przyglądać siedzącemu naprzeciw nich gospodarzowi.

Niebieskie oczy Larry'ego rzuciły jej kilka przelotnych spojrzeń, pełnych zainteresowania, ale niekrepujących. Sposób, w jaki mówił, przywodził na myśl dyrektora, który grzecznie, choć stanowczo, rozmawia ze swoimi pracownikami.

-W czym mogę panu pomóc, panie Tweed? - zapytał z uśmiechem.

-Dowiedziałem się, że odprawiliście z kwitkiem mojego asystenta, Roberta Newmana. Dlatego musiałem przyjść sam.

-To moja wina, proszę nie winić Cherry. Kiedy usłyszałem, że jakiś mężczyzna chce ze mną rozmawiać, od razu pomyślałem, że to jakiś dziennikarz, prasa. Newman to przecież nazwisko znanego

reportera. Gdy już poszedł, pomyślałem dopiero, Jezus, przecież to z pewnością ktoś od Tweeda. Proszę go ode mnie przeprosić. - Zno-

wu się uśmiechnął. Paula zauważyła, że Larry bardzo często się uśmiecha. - W czym w takim razie mogę państwu pomóc?

-Chciałbym, żeby mi pan wyjaśnił więzy pokrewieństwa w rodzinie Volesów.

Przecież nie trzeba ci ich wyjaśniać, to tylko fortel, pomyślała Paula.

-Jak pan wie, Michael jest moim młodszym bratem, są między nami tylko dwa lata różnicy. Jego stan niestety wciąż jest taki sam. Kiedy tylko mogę, jadę zobaczyć, jak się czuje. Nie odezwał się jeszcze ani słowem, bardzo mnie to martwi. A jak nie mogę pojechać na Dartmoor, dzwonię do pani Brogan, ale, jak państwo zapewne się domyślają, nie można się od niej wiele dowiedzieć. - Kolejny uśmiech. - Lucinda to moja siostra.

-Czy wie pan, gdzie jest teraz Drago?

-Nie mam pojęcia. Może być w Ameryce, Francji, Szwecji, gdziekolwiek. Wysyłam mu zaszyfrowane raporty na adres w No-

wym Orleanie, ale to nie znaczy, że on tam teraz jest. Po prostu był tam niedawno. Po jakimś czasie pojawi się bez ostrzeżenia w najmniej oczekiwanym miejscu. To bardzo dziwny człowiek.

-Co pan ma na myśli?

Larry zaśmiał się i zaczął machać rękami.

-On jest wszystkim tym, czym sami chcielibyśmy być. Nie mogę tego opisać, po prostu niezwykła postać. Żeby to zrozumieć, musiałby pan go spotkać. Choć wątpię, czy dostąpi pan tego zaszczytu.

-Mam osobiste pytanie, panie Voles...

-Proszę mi mówić Larry.

-Dobrze, w takim razie Larry, czy jesteś żonaty?

-Owszem, a moje małżeństwo jest bardzo udane. Miałem naprawdę wielkie szczęście, kiedy dziesięć lat temu spotkałem Evelyn. Rodzina przyjęła ją jak swoją, ale Evelyn nie utrzymuje z nią bliskich kontaktów. Mieszkamy w apartamencie na najwyższym piętrze domu, w którym mieszka też Lucinda. Piętro nad nią.

-Naprawdę? W takim razie mieszkając w tak bliskim sąsiedztwie, Evelyn może przyjaźnić się z Lucinda.

-To oczywiście możliwe - odpowiedział Larry, głaszcząc się po podbródku, jakby zastanawiał się, ile może jeszcze wyjawić.

- Kiedy się spotykają, co zdarza się raczej rzadko, są dla siebie niezmiernie uprzejme.

-Czyli - cichym głosem wtrąciła Paula - tolerują się nawzajem, ale kiedy się spotykają, trudno im nawiązać bliższy kontakt.

Larry pochylił się i dotknął jej ręki spoczywającej na poręczu fotela, a potem szybko cofnął dłoń.

- Tylko kobieta potrafi wyjaśnić takie subtelności. Sam nie potrafiłbym tego równie dobrze ująć. Takie dziwne tarcia zdarzają się zarówno w najlepszych, jak i w najgorszych rodzinach. Lucinda jest bardzo niezależną kobietą, regularnie chodzi na siłownię

i uwielbia ćwiczyć boks ze swoim trenerem, którego zresztą raz znokautowała. Nasza Lucinda to zaciekle i skuteczna osóbką.

-Zaciekle?

-Tak, to prawdziwa tygrysyca. Wolałbym z nią nie walczyć.

-Larry - powiedział Tweed, wstając - bardzo dziękuję za czas, jaki nam poświęciłeś. Nawet nie wiesz, jak bardzo nam pomogły udzielone przez ciebie informacje.

Kiedy przebijali się przez korki na ulicach łączących West End z City, Paula zamknęła swoją torebkę na specjalny zamek, wynaleziony przez specjalistów z Park Crescent. Tweed oznajmił, że czeka ich tego dnia jeszcze jedno przesłuchanie; będą rozmawiać z Aubreyem Greystokiem, dyrektorem finansowym Gantii. Zadzwoił z telefonu komórkowego Pauli do jego siedziby w biurowcu nazywanym Tower. Paula podejrzewała, że panują tam ściśle przestrzegane reguły bezpieczeństwa.

Tweed od czasu do czasu sprawdzał w lusterku wstecznym, czy nikt ich nie śledzi. Paula zapytała go, dlaczego jest tak podejrzliwy.

- To tylko ostrożność.

Incydent z brązowym volvo na Park Lane naprawdę go tak przeraził, że nawet nie wspomniał o nim Pauli. Powoli sunęli zatłoczonymi ulicami, od czasu do czasu zatrzymując się w miejscach, gdzie korki nie pozwalały na dalszą jazdę. W jednej z takich chwil zauważył stojącego za nimi jaguara, którego kierowca wysiadł i podbiegł do okna samochodu Tweeda. Okazało się, że jest to Marler.

-Alarm. Marin chce, żebyśmy jutro byli w Marsylii. Jedziemy ekspresem Eurostar, a potem przesiadamy się do TGV\*. Będę potrzebował kilku godzin dla siebie w Paryżu, chodzi o broń. Spotykamy się po południu na dworcu Waterloo - cichym głosem powiedział Marler i pobiegł z powrotem do jaguara.

-Marsylia na nas czeka! - entuzjastycznie zawołała Paula.

- Nie ma się z czego cieszyć - odparł Tweed. - Marsylia to jedno z najmniejbezpieczniejszych miast Europy.

\* TGV - Train de Grandę Yitesse - superszybkie pociągi.

## IB

Pokonawszy londyńskie korki, dotarli wreszcie do Tower. Paula z nosem przyciśniętym do szyby przyglądała się gigantycznej budowli. Budynek podobny do ustawionej na sztorc wieży był tak wysoki, że ledwie widziało się jej stożkowaty wierzchołek. Kiedy Tweed zaparkował samochód przy ruchomych schodach wiodących do wejścia, pojawił się przy nich strażnik.

- Tutaj nie wolno parkować.

-Umiesz czytać? - opryskliwie zapytał Tweed, trzymając przed sobą legitymację SIS.

-Domyślam się, że ma pan zezwolenie na parkowanie w tym miejscu.

-Oczywiście, że mam, do cholery.

Tweed nienawidził sposobu bycia niektórych niższych rangą pracowników wielkich firm. U szczytu schodów legitymacja jeszcze raz utorowała im drogę, którą tym razem zamykał uzbrojony wartownik. W środku stawiała im czoło nieprzyjemna recepcjonistka, patrząca wilkiem na Paulę.

-Nie wolno pani wnieść tej torby do budynku.

-W takim razie zostawię ją u pani - odpowiedziała Paula, kładąc torebkę na ladzie.

-Jest zamknięta - zaprotestowała umundurowana recepcjonistka. - Muszę zajrzeć do środka, tam może być bomba.

-Pokazałam pani właśnie legitymację służb specjalnych. Niech pani jeszcze raz na nią spojrzy, a potem powie nam, gdzie znajdziemy Aubreya Greystoke'a.

-Trzeba było od razu mówić - narzekała dziewczyna, dokładnie przyjrawszy się legitymacji.

-Trzymam ją przed sobą cały czas, bez niej nawet byśmy nie weszli do tego architektonicznego monstrum. Torba ma zostać zamknięta na klucz w jednej z tych szafek za panią. Chcę też dostać pokwitowanie.

-Pokój pana Greystoke'a znajduje się na siódmym piętrze pod numerem siedemset pięćdziesiąt. Proszę pojechać windą z tamtej strony. Witamy w Tower, budynku nagrodzonym w licznych konkursach architektonicznych.

Pięć minut musieli czekać na windę w tym supernowoczesnym wieżowcu. Kiedy wysiedli na siódmym piętrze, naprzeciw windy ujrzeli drzwi oznaczone numerem 750. Tweed niecierpliwie zastukał, otworzyła elegancko ubrana, uśmiechnięta sekretarka.

-Czym mogę państwu służyć? Niestety mój komputer uległ chyba awarii i w tej chwili nie wyświetla żadnych umówionych spotkań

z panem Greystokiem - powiedziała dziewczyna i uśmiechnęła się czarująco.

-Nazywam się Tweed - odparł, pokazując jej legitymację. - Pani komputer działa prawidłowo, ale muszę się pilnie zobaczyć z panem Greystokiem. Spotkaliśmy się już wcześniej.

-Ach, jaka szkoda! - zawołała sekretarka, wpatrując się uważnie w legitymację. - Pan Greystoke wyszedł dosłownie dwieście minut temu na spotkanie i nie ma go w tej chwili w budynku. Przekażę mu, że państwo chcieli się z nim widzieć.

- Proszę nie zaprzętać sobie głowy - odrzekł Tweed z uprzejmym uśmiechem. - Jak tylko będę mógł, sam do niego zadzwonię.

Kiedy zatłoczonymi ulicami wracali na Park Crescent, Paula zapytała podczas kolejnego postoju w korku:

-Jakieś wnioski z przesłuchania Larry'ego?

-Choć nie rozmawiałem jeszcze z Greystokiem, mam już chyba dobre wyobrażenie o rodzinie Volesów.

-Dlaczego to takie ważne?

-Jestem przekonany, że rozwiązanie sprawy tych morderstw odnajdziemy w końcu gdzieś w pobliżu Abbey Grange. Dlatego każda informacja na temat członków tej rodziny i stosunków między nimi może się okazać ważną wskazówką.

-W takim razie musimy przesłuchać Dragona Volkaniana. To będzie na pewno bardzo ciekawa rozmowa.

-Tak, tylko że z tego, co o nim słyszałem, on jest mistrzem w ujawnianiu tego, co akurat chce ujawnić. A ja muszę poznać położenie jego fabryki zbrojeniowej.

-Sądysz, że to takie ważne?

-To jest najprawdopodobniej klucz do całej zagadki. Resztę dzisiejszego dnia powinniśmy spędzić na przygotowaniach do po-

dróży do Marsylii.

-Nie mogę się już doczekać.

-Kiedy już tam będziemy, pewnie zmienisz zdanie.

Marler, podobnie jak cała reszta, czekał na nich w biurze na Park Crescent.

-Właśnie wyjaśniałem całej grupie, co czeka nas w Marsylii. Musimy pojechać wszyscy. Według Marina im więcej ludzi, tym lepiej.

-Co powiedział? - spokojnym głosem zapytał Tweed.

-Może zacznę jeszcze raz od początku - cicho odpowiedział Marler. - Frachtowiec, który mamy sprawdzić, płynie z Andory i przybędzie na Ile des Oiseaux za dwa dni.

-To dlaczego tam nie polecimy?

-Nie przerywaj mi - burknął Marler. - Nie polecimy, ponieważ francuskie służby specjalne fotografują wszystkie osoby przylatujące na lotniska Charles'a de Gaulle'a i Orły. Ich szef na pewno rozpoznałby Tweeda, gdyby zobaczył go na zdjęciach, więc

musimy jechać Eurostarem. Będę potrzebował w Paryżu dwóch godzin, żeby kupić nam broń. Potem wsiadamy do TGV do Marsy-

lii. Zarezerwowałem dla nas hotel koło starego portu.

-Kiedyś tam mieszkałem - wtrącił Tweed. - Wtedy za lepszy uchodził hotel przy promenadzie.

-Marin polecił znaleźć lokum koło starego portu - kontynuował Marler stanowczym głosem. - Właśnie tam zamierza wynająć łódź, którą popłyniemy na Ile des Oiseaux. Będzie miała potężny silnik, żebyśmy mogli rozwinąć na morzu dużą prędkość.

-Wspaniale się zapowiada - skomentował Tweed, który bardzo nie lubił morza.

-Marin powiedział, że na wyspie może być spokojnie, ale wątpi w to. Będziemy musieli rozpoznać statek, którego używają, potem popędzić z powrotem do starego portu, a stamtąd na dworzec kolejowy. Złapiemy TGV, a potem Eurostar do Londynu. - Umilkł na chwilę. - Marin uprzedził, że na wyspie możemy napotkać najgorszych bandytów na świecie. Algierczyków i Marokańczyków. Jeżeli rzeczywiście będziemy z nimi walczyć, to nie bierzemy jeńców. Oni też na pewno nie będą mieli litości.

- To jest coś, co lubię - powiedział Harry.

Tweed spojrział na Newmana.

-Bob, ty zostaniesz na miejscu, żeby opiekować się interesem. Potrzebny mi tutaj ktoś obdarzony silnym charakterem i autorytetem. Możliwe, że Gallagher jeszcze raz spróbuje się wdrzeć, a ty sobie z nim świetnie dawałeś radę. - Przerwał, ujrawszy wyraz twarzy Newmana. - Bob, to rozkaz, rozumiano?

-Kiedy poszedłem do Wydziału Specjalnego, powiedzieli mi, że Gallagher wyszedł - poinformował Marler. Zaskoczony spojrział na Paulę, ale zanim zdążył coś powiedzieć, ta rzuciła mu się na szyję.

-Nie mów nic, chyba że chcesz, żebym cię udusiła. Jadę do Marsylii i już.



Rozmowa z Dragonem Volkanianem była jedną z najniezwykniejszych, jakie Tweed kiedykolwiek odbył w swoim życiu. O umówionej porze przybyli z Paulą na Jermyn Street pod numer 490 i Tweed nacisnął kwadratowy przycisk dzwonka u drzwi.

- Chciałem się z Volkanianem spotkać od momentu, kiedy o nim pierwszy raz usłyszałem - powiedział Tweed. - Jego obecność jest wyczuwalna w całej tej sprawie, mimo że ani razu go nie widzieliśmy.

Drzwi otworzyły się i ukazała się w nich majestatyczna postać Volkaniana. Paula uznała, że nigdy nie widziała osoby o tak imponującym wyglądzie: ponad 1,85 m wzrostu, szerokie ramiona, wielka głowa i siwe włosy. Rysy gładko ogolonej twarzy Volkaniana wyrażały zdecydowanie. Miał długi orli nos, zielone oczy, szerokie usta i wysuniętą szczękę, znamię wielkiej siły woli.

- Witam, wejdźcie państwo. Jesteście tacy punktualni, a ja bardzo szanuję punktualność. - Volkanian zaprosił ich gestem do środka. - Panno Grey, to bardzo miło, że zechciała pani przyjść. Pan, panie Tweed, jest osobą, z którą już od dłuższego czasu pragnąłem się spotkać. - Volkanian niemal zmiążdżył mu dłoń w powitalnym uścisku. - Proszę, proszę, chodźmy do mojego biura. - Zamknął za sobą drzwi i nacisnął dwa umieszczone przy nich guziki.

Kiedy weszli do jego gabinetu, poczuli się tak, jakby znaleźli się w innym świecie. Przestronne wnętrze zdobiły wiszące na ścianach perskie dywany, a oczom Pauli ukazała się wspaniała kolekcja stylowych angielskich mebli.

- Czy mogę zrobić uwagę na temat bezpieczeństwa? - zapytał Tweed, podczas gdy skośnooka dziewczyna z ujmującym uśmiechem pomagała im zdjąć płaszcze.

-Oczywiście, proszę bardzo - zadudnił potężny głos Volkiana. - Jest pan przecież ekspertem w tych sprawach.

-To bardzo miło z pana strony, że osobiście otworzył pan nam drzwi, ale Londyn nie jest w tych czasach zbyt bezpiecznym miastem. Przecież mogło się okazać, że za drzwiami stoi ktoś zupełnie inny.

-Ach! - Volkianian zachichotał. - Jestem panu bardzo zobowiązany, że tak przejmuję się pan moim bezpieczeństwem, ale zapewniam, że zupełnie niepotrzebnie. Gdyby raczył pan spojrzeć ponad drzwi, zobaczyłby pan specjalne panoramiczne lustro, w którym mogę zobaczyć osobę przy drzwiach i ewentualnych napastników czających się dalej od nich. Czym mogę panu służyć na rozgrzanie krwi? Ja sam będę się raczył doskonałą szkocką. Może wolałby pan kawę albo coś jeszcze innego?

-Z przyjemnością napiję się szkockiej - odpowiedział Tweed ku zaskoczeniu Pauli.

- Ja też - powiedziała, kiedy gospodarz spojrzał na nią pytająco.

*Yolkianian poprowadził ich do ustawionych w krąg wygodnych foteli, a potem usadowił się w jednym z nich. Jego wielkie cielsko ledwie mieściło się w niemałym przecież fotelu. Kiedy przyniesiono im drinki, Volkianian uniósł swoją szklanekę i uśmiechnął się szeroko.*

-Na pohybel naszym wrogom!

-Za to chętnie wypiję - odparł Tweed.

- Panno Grey, mieszka pani w przyjemnej okolicy Fulham Road, ale chyba bezpieczniej będzie skierować przesyłkę do pani biura przy Park Crescent.

Chce nam dać do zrozumienia, że wszystko o nas wie, pomyślała Paula. Z trudnością powstrzymała pokusę, żeby zapytać, o jaką przesyłkę chodzi. Była ciekawa, ale uznała, że takie pytanie byłoby niegrzeczne.

-Panie Volkianian... - rozpoczął Tweed.

-Będzie to dla mnie zaszczyt, jeśli oboje zechcecie się do mnie zwracać „Drago”. Panno Grey, czy wolno mi też mówić do pani „Paulo”?

-Ależ oczywiście.

Paulę wytrąciło to trochę z równowagi. Nigdy nie znajdowała się w obecności człowieka o tak potężnej charyzmie. Siła jego osobowości sprawiała, że biło od niego ciepło pozbawione cienia agresji. Miał na sobie szary garnitur, rozpięta marynarka odsłaniała obfity brzuch, na którym opinała się niebieska koszula ze

sztynnym kołnierzykiem. Volkanian nosił krawat z emblematem jednego z pułków armii brytyjskiej, Paula uznała, że musiał służyć kiedyś w wojsku. Nie nosiłby takiego krawata, gdyby nie miał do tego prawa.

- Drago - znów zaczął Tweed. - Bardzo by mi pan pomógł, zdradzając położenie pańskiej fabryki zbrojeniowej.

Drago wybuchnął tubalnym śmiechem, od którego trzęsło się całe jego potężne ciało. Wyjął z kieszeni chusteczkę, żeby otrzeć łzy z oczu, i jeszcze raz się zaśmiał.

-Jesteśmy ulepieni z tej samej gliny, Tweed. Wali pan prosto z mostu. Ale tej tajemnicy nie mogę wyjawić. Tylko pięć osób oprócz mnie wie, gdzie jest ta fabryka.

-Michael, Larry i Lucinda - szybko powiedział Tweed. - Zapewne również Audrey Greystoke. Piątej osoby nie znam, mogę tylko zgadywać.

Drago znów zaczął się śmiać, patrząc przy tym na Paulę.

-Pani szef, Paulo, jest bardzo sprytny - powiedział i nagle spoważniał. - Rozumiem, że Michael na tej liście już nie figuruje. Jego amnezja bardzo mnie niepokoi. Mogę wam powiedzieć tylko

jedną rzecz na temat tej fabryki. Kiedyś produkowała głowice do rakiet i pociski artyleryjskie na zamówienie Ministerstwa Obrony. Sam ją zaprojektowałem; może was to zdziwi, ale kiedyś byłem inżynierem. Wystarczy przerzucić jedną dźwignię, żeby maszyny przestały produkować pociski, a zaczęły - głowice. Potem zobaczyłem film przedstawiający skutki wybuchu takiej głowicy, podobno zawsze trafiającej do celu. Okazało się, że niektóre jednak chybają. Ta na filmie miała trafić w sztab wojskowy, ale uderzyła w pełen dzieci budynek szkoły. Zaprzeszałem produkcji głowic do rakiet. Artyleria przynajmniej strzela do dział nieprzyjaciela, to potrafię znieść. Mam nadzieję, że nic z tego, co mówię, nie wydobędzie się poza te ściany.

-Oczywiście - z naciskiem odrzekł Tweed. - Może pan zaufać zarówno Pauli, jak i mnie.

-Wiem. - Drago znów zachichotał i pociągnął łyżeczek whisky.

- Inaczej nie pozwoliłbym jej przyjść.

-Wydaje się, że wiele pan o nas wie - zauważyła Paula.

-Moja droga Paulo, informacja jest cenniejsza niż złoto.

-Zawsze o tym pamiętam.

-Tweed - powiedział nagle Drago, rzuciwszy mu badawcze spojrzenie. - Czy podejrzewa pan kogoś o te cztery okropne morderstwa?

-Cztery?

-Chyba jednak pan mnie nie docenia. Mam na myśli Christine Barton, genialną rewident, biedną Lee Greystoke, której szkielet znalazł pan w szybie górniczym na Dartmoor, Johna Jacksona, wynajętego przez siostrę Christine detektywa, i wciąż nieznanego mężczyznę, którego szkielet znaleziono na Dartmoor.

-Jeżeli sam pan będzie kogoś podejrzewał, to proszę mi koniecznie o tym powiedzieć - zażartował Tweed, żeby rozładować napięcie. - Zaczynam podejrzewać, że piątą osobą, która знаła położenie tej fabryki, była Lee Greystoke.

Kolejna salwa śmiechu wstrząsnęła ciałem Volkaniana.

-Na Boga, nie dziwię się, że ma pan reputację świetnego detektywa. Tak, piątą osobą była Lee. Bardzo jest mi jej brak, ale kto jest według pana podejrzany?

-Gdybym kogoś podejrzewał, powiedziałbym panu o tym - odrzekł Tweed i skończył swoją whisky. - Sądzę, że nie powinniśmy marnować pana cennego czasu. Bardzo dziękujemy, że poświęcił pan go nam aż tyle.

-Proszę jeszcze poczekać. Chciałbym usłyszeć pana opinię na temat Larry'ego.

-Bardzo kompetentny, sympatyczny, doskonale radzi sobie z pracownikami.

-A teraz o Lucindzie? - zapytał Drago i pochylił się ku Tweedowi.

-Nadzwyczaj kompetentna. Właściwa osoba na właściwym miejscu. Nie patyczkuje się z podwładnymi, którzy nie wypełniają swoich obowiązków.

-Michael?

-Nie odezwał się do mnie słowem. Skąd mam wiedzieć?

„Byłem świadkiem morderstwa”. Paula zastanawiała się, dlaczego Tweed nie wspomniał o tych trzech kluczowych słowach, które padły z ust Michaela. Nikomu o nich jeszcze nie powiedział. Tweed ruszył ku drzwiom gabinetu, a potem zatrzymał się jeszcze i zadał Dragonowi kolejne pytanie.

-Wydaje mi się logiczne, że te trzy osoby, które znają albo znały położenie fabryki, mają do niej również klucze. Także Lee.

-Pańskie przenikliwe rozumowanie jest prawidłowe. Jest jeszcze jeden szczegół, który może panu pomóc. Wszystkie te oso-

by mają w żyłach ormiańską krew. Ormianie przetrwali stulecia prześladowań dzięki instynktownej przebiegłości. Nigdy nie wol-

no przyjmować, że to, co mówi osoba o ormiańskich korzeniach, jest prawdą.

-Oczywiście pan jest wyjątkiem - grzecznie odparł Tweed.

- Sądzę, że żadna z osób, z którymi rozmawialiśmy, nie mówiła nam całej prawdy.

-Widzę, że jest pan bardzo czujny. Mądry z pana człowiek, Tweed. Na pewno nie widzimy się po raz ostatni. - Drago podał Tweedowi swoją wizytówkę. - Jeżeli będzie chciał pan ze mną poroz-

mawiać, proszę zadzwonić pod ten numer i przedstawić się. Będzie

pan musiał chwilkę poczekać, ale potem połączą pana ze mną.

Byli już w holu. Paula zauważyła przy drzwiach frontowych Saszę, która zamykała właśnie umieszczoną w ścianie kłapkę. Drago ujął Paulę pod ramię i zapytał:

-Spodobały ci się moje kobierce? Widziałem, jak je podziwiałaś. Który z nich zrobił na tobie największe wrażenie?

-Ten. Niezwykły wzór, jedyny w swoim rodzaju.

Kiedy zbliżali się do drzwi, Sasha podniosła kłapkę, za którą ujrzeli wyświetlony na ekranie widok Jermyn Street po obu stronach drzwi.

-Obserwowałam samochód pana Tweeda. Nikt się koło niego nie kręcił - dziewczyna poinformowała Dragona.

-To był bardzo dobry pomysł - podziękował jej Tweed. - Jestem pani bardzo wdzięczny.

Drago nacisnął dwa przyciski, żeby otworzyć drzwi, a potem ucisnął im dłonie na pożegnanie. Kiedy wyszli na ulicę, zamknął za nimi drzwi na klucz.

Kilka godzin później byli już w pociągu TGV, który pędził przez Francję jak lecący tuż przy ziemi concorde. Wagon pierwszej klasy, w którym siedzieli Tweed i Paula, był poza tym zupełnie pusty.

Nastał już marzec i za oknami świeciło wspaniałe słońce. Paula przyglądała się ciągnącemu się w oddali rzędowi nagich topoli, wyglądających jak kawalkada gigantycznych mioteł - za wcześnie było jeszcze na liście. Domyślała się, że drzewa rosną wzdłuż autostrady, od czasu do czasu mogła nawet dostrzec pędzące po niej samochody. Obok niej siedział milczący Tweed, który nie zwracał uwagi na widoki za oknem. Jednego wejścia do wagonu pilnował niewidoczny dla nich Marler, a drugiego Nield. Jego również nie było widać.

-Co tak siedzisz i nic nie mówisz? - odezwała się w końcu Paula.

-Zastanawiam się nad rzeczami, które widzieliśmy, i ludźmi, z którymi rozmawialiśmy. Wiem, że brakuje nam w tej układance jakiegoś kawałka. Miałem dziwny sen: w głowie były mi dzwony kościelne. Pastor, wielbny Stenhouse Darkfield, szedł na mnie z wielkim nożem o dwóch ostrzach, gładkim i ząbkowanym. Po tem obudziłem się i nie mogłem zasnąć. Dziwne, prawda?

-Sny są czasem pomocne. Można w nich przypomnieć sobie coś, czego się nie zauważyło na jawie. Sądzisz, że on może być podejrzany? Nie zapominaj o tej historii z sekta.

-To wykluczone. Czy jakaś sekta mogłaby kontrolować teren od Dartmoor do Champton Place?

-Tam mieszka przecież Annę Barton, a ty miałaś chyba na myśli Christine, jej siostrę.

-Oczywiście. To pewnie zmęczenie. Ale przecież taka sekta nie mogłaby działać również w Wensford, gdzie znaleźliśmy zwłoki

Jacksona, tego detektywa.

-Wciąż nie zidentyfikowaliśmy ciała znalezionego na wrzoso-wisku, tego, które przykrył śnieg. Myślę, że to ważne.

-Zgadzam się - odrzekł Tweed. - Być może jest to klucz do naszych poszukiwań. Nie mam pojęcia, jak zidentyfikować ten szkielet, ale po powrocie musimy się tym zająć w pierwszej kolej-

ności. W dodatku Keith Kent wciąż nie zdołał rozszyfrować tych arkuszy pokrytych liczbami, znalezionych w domu Christine pod szufladą. Musiała mieć skomplikowany system kodowania danych. Możliwe, że rozumie je tylko ten, kto ją wynajął.

-Kto to mógł być?

-Nie mam pojęcia.

Ekspres tak się rozpędził, że widok za oknami zaczął się zama-zywać. Podłoga pochyliła się na prawo, kiedy pociąg w szaleń-czym pędzie pokonywał długi zakręt.

-Jeszcze trochę i wypadniemy z torów - narzekał Tweed.

-Nie mów tak, tylko mnie denerwujesz. Zjadłeś właśnie do-bry obiad w restauracyjnym, prześpij się trochę.

Skończyła mówić, kiedy w wagonie pojawił się konduktor z wielką skórzaną torbą przewieszoną przez ramię. Z ręką scho-waną w torbie burknął po francusku:

*-Billets...*

Nagle jego ręka wynurzyła się z torby i zobaczyli w niej wiel-ki nóż skierowany prosto w pierś Tweeda. W tym samym momen-cie rozległo się głucho uderzenie kolby pistoletu, która trafiła fałszywego konduktora w głowę. To Marler bezszelestnie pojawił się za jego plecami i pozbawił napastnika przytomności. Z dru-giego końca wagonu nadbiegł Nield, ponaglony gestem przez Marlera, który ujął nieprzytomnego pod pachy.

Nield, nałożywszy gumowe rękawiczki, podniósł nóż i włożył go sobie za pas, podczas gdy Marler ciągnął bezwładne ciało kon-duktora do tyłu wagonu. Pete podbiegł mu pomóc i złapał kon-duktora za nogi. Zniknęli z ciałem tak szybko, jak się pojawili.

Paula była w szoku. Prawą ręką ścisnęła browninga schowane-go w torebce. Potem wyjęła z niej drżącą dłoń i starała się uspo-koić jej dygotanie. Powinna była zauważyć, co się dzieje, i ochro-nić Tweeda.

- Chyba to spie... Przepraszam cię. To się stało tak szybko, ale nie mam nic na swoje usprawiedliwienie. Przecież nie spałam...

Tweed zauważył, że jest w szoku, bo Paula prawie nigdy nie przeklinała. Chwycił ją mocno za ramię.

- To nieprawda - pocieszał ją. - Siedzę przy przejściu, a ty przy oknie, więc to ja powinienem go zauważyć. Zresztą siedziałaś za daleko, nie obwiniaj się.

Spojrzał na przejście, w którym pojawili się Marler z Butlerem. Marler usiadł w środku wagonu na fotelu naprzeciwko nich. Butler niósł ze sobą futerał na skrzypce.

-Co się stało z napastnikiem? - cicho zapytał Tweed. - Zabiliście go?

-Oczywiście, że nie. Siedzi w toalecie obok wyjścia. Nield zamknął go od zewnątrz specjalnym kluczem. Sprawdziłem mu puls, chodzi jak zegarek. Napoiliśmy go koniakiem.

-Naprawdę?

-Kiedy pociąg się znowu zatrzyma, staniemy przy wyjściu i wyrzucimy go na peron tuż przed zamknięciem automatycznych drzwi. Ludzie pomyślą, że to jakiś pijak nie zdążył wsiąść do pociągu.

-Sprytnie to wymyśliliście.

- Ktoś już wie, że jesteśmy w pociągu. To zła wiadomość.

-I co?

-Zapewne na dworcu w Marsylii czeka na nas komitet powitalny.

-Rozumiem, że Harry powali ich popisem gry na skrzypcach?

- zapytała Paula, która zdążyła się już uspokoić.

Harry podniósł futerał, tak żeby Paula mogła zobaczyć, co jest w środku, i otworzył. Paula z niedowierzaniem spojrzała na skrzypce, a potem na Harry'ego.

-To nie jest mój najlepszy dzień, ale naprawdę nie wiem, jak to nam ma pomóc, jeśli dojdzie do strzelaniny.

-Podnieś dno.

Powoli odsłoniła ukrytego pod skrzypcami stena i kilka zapasowych magazynków. Przeniosła wzrok na Marlera, który przyniósł ze sobą torbę do kijów golfowych, ale już nie zapytała, co w niej jest. W czasie dwugodzinnego przystanku w Paryżu Tweed zabrał ją taksówką z Gare du Nord na Gare de Lyon, gdzie razem z resztą grupy spędzili czas, siedząc w dworcowym bufecie i pijąc cafe creme. Potem zdała sobie sprawę z tego, że Marler miał wtedy dużo czasu na zakupy: ona dostała dziewięćmilimetrowego browninga, teraz schowanego w torebce, i beretkę, którą trzymała w kaburze ukrytej pod prawą nogawką spodni.



-Domyślcie się, skąd się wziął ten fałszywy konduktor? - zapytał Tweed.

-Podejrzewam - zaczął Marler - że złapał prawdziwego konduktora jeszcze w Paryżu i na zawsze uciszył go tym nożem. Po tem zabrał mu ubranie, torbę i dziurkacz do biletów. Wsiadł do TGV w ostatniej chwili, kiedy był pewny, że jesteście w środku. Oczekiwałem, że coś takiego się stanie.

-Dlaczego? - zapytała go Paula.

-Ponieważ jakiś motocyklista jechał za nami od Park Crescent aż do dworca Waterloo. - Marler nagle spowaźniał. - Marin powiedział mi, jak mamy wysiąść w Marsylii. Zaraz za nami jest wagon drugiej klasy. Kiedy będziemy dojeżdżać, pobiegniemy tam.

-Po co? - znowu zainteresowała się Paula.

-Wmieszamy się w tłum innych wysiadających pasażerów. Tweed, ty z Paulą wsiadacie na tylne siedzenie żółtego citroena, który ma tam na nas czekać. Pierwszego. Trochę dalej będzie cze-

kał drugi samochód, tej samej marki i koloru. Do niego wsiądę ja z Pete'em i Harrym. Marin będzie waszym kierowcą. Oba samochody są wyposażone w potężne zderzaki.

-Po co? - nie dawała za wygraną Paula.

-Jeśli wpadniemy w kłopoty w czasie jazdy do hotelu, to sama zobaczysz.

Marler zostawił ich, a za nim odszedł Harry. Nield wrócił na swoje wcześniejsze stanowisko przy wyjściu z wagonu. Tyle okropnych wydarzeń w taki piękny dzień, pomyślała Paula. Za oknami przesuwały się łagodne zbocza pokryte winnicami. W promieniach wiosennego słońca zapewne pojawiają się już w nich pierwsze listki.

Myśli Pauli zataczały coraz szersze kręgi. Dlaczego Tweed śnił o tych dzwonach, które słyszeli w czasie spaceru po Dartmoor? A potem ten pastor, Stenhouse Darkfield, idący na niego z nożem. Od chwili kiedy zobaczyła duchownego, wiedziała, że coś jest z nim nie w porządku. Spojrzała na Tweeda, który najwyraźniej drzemał. Ekspres zaczął zwalniać.

Pojawiły się bielone domy i wielkie ściany fabryk, przylegających do linii kolejowej. Na wpół zrujnowane mury źle utrzymanych budynków, zwykły krajobraz poprzedzający dworce w wielkim mieście. Tweed nie spał już, kiedy pojawił się Marler i przyzywał gestem Nielda.

- Czas iść.

Zdjął ich bagaże z półki, w tym swoją dużą, płaską walizkę. Paula znów się zastanawiała, co w niej jest, ale uznała, że na dzisiaj zadała Marlerowi dostatecznie wiele pytań.

- Idę pierwszy - komenderował Marler. - Przesuwajcie się spokojnie, nie ma pośpiechu.

Kiedy pociąg wjechał na peron, znajdowali się już w dość zatłoczonym wagonie drugiej klasy. Tweed mruknął pod nosem:

- No to jesteśmy. Marsylia. Meta dla szumowin z całej Europy.

Ekspres zahamował łagodnie. Paula starała się rozprostować nogi zeszywniałe po wielogodzinnej jeździe. Otworzyły się automatyczne drzwi i zaczął się z nich wylewać tłum pasażerów, wśród których najwięcej było biznesmenów i kobiet z prowincji w chustkach na głowach. Atmosfera panowała inna niż w tętniącym życiem Paryżu, w powietrzu wyczuwało się agresję.

Paula zapomniała o stopniach i omal się nie przewróciła przy wysiadaniu z wagonu, ale Marler przytrzymał ją.

- Na kontynencie budują wagony dla olbrzymów - powiedział z uśmiechem.

Chwycił ją pod ramię i szybko poprowadził ku wyjściu. Tweed ruszył za nimi, a Harry i Pete zamykali pochód. Paula rozglądała się po peronie, który wydawał się nie mieć końca, aż wreszcie Marler doszedł do pary zamkniętych podwójnych drzwi. Nacisnął klamkę i otworzył jedno z nich.

-Nie wolno tamtędy wychodzić! - krzyknął do nich po francusku mały człowieczek we wspaniałym mundurze. -To drzwi bagażowe.

-Policja - warknął na niego Marler, również po francusku.

- Nie zakłócać działań policji. Nie wrzeszcz tak, bo cię zgłoszę do raportu.

Paula знаła francuski dostatecznie dobrze, żeby zrozumieć każde słowo. Kolejarz otworzył usta, ale nic nie powiedział. Atak Marlera zupełnie zbił go z tropu. Wyszli szybko przed dworzec i zobaczyli żółtego Citroëna zaparkowanego po drugiej stronie ulicy. Kierowca, Arab, dawał im znaki, żeby się pośpieszyli. Paula miała w rękę tylko małą walizkę, bo nie przewidywała raczej pobytu w luksusowym hotelu, więc szybko przebiegła przez zalaną słońcem ulicę.

- Wszystko zgodnie z planem? - wyszeptła do Marlera, który biegł obok niej, niosąc dziwną, płaską walizkę w jednej ręce, a drugą przytrzymując przewieszoną przez ramię torbę na kije golfowe.

- Tak, wsiadaj z tyłu.

Kątem oka zauważyła wielkie zderzaki przymocowane z przodu i z tyłu samochodu. Wsiadła do rozgrzanego jak hutniczy piec citroena, położyła sobie walizkę na kolanach i spojrzała przez tylną szybę na Tweeda, który zaraz do niej dołączył. Marler zasiadł za kierownicą drugiego citroena, w którym jechali również Pete i Harry.

-Przygotuj się na ostrą jazdę - powiedział uśmiechnięty kierowca nieskazitelną angielszczyzną.

-Myślałam, że jest pan Arabem - odparła zaskoczona Paula.

-I o to chodzi. - Kierowca znów się uśmiechnął i włączył silnik. - Siedziałem tutaj tak długo, że wyglądam jak prawdziwy Arab. Opalenizna i ubranie pomagają mi wtopić się w tutejszą scenę, poza tym mówię płynnie po arabsku.

-Poznaj Philipa Cardona - odezwał się Tweed. - Od początku podejrzewałem, że Marin i Philip to jedna i ta sama osoba. Kiedyś dla mnie pracował i był świetny, niewielu potrafiło mu dorównać. Ale potem przeżył osobistą tragedię.

-Moja żona zginęła - wytłumaczył Cardon, sprawdzając w lusterku wstecznym, czy drugi citroen jedzie za nimi. - To było przed wielu laty, ale wspomnienia o tym wciąż mnie czasem nękają - dodał pozornie obojętnym głosem. - Jej urodziny, rocznica naszego ślubu, dzień jej śmierci.

Nagle podniósł głos i szybko zawołał:

- Macie zapięte pasy? Zaraz będę musiał przyśpieszyć i nagle zahamować.

Spokojnie jechał dalej, a Paula zaczęła oglądać przez okna ulice Marsylii. Nie zrobiły na niej zbyt dobrego wrażenia: niskie, brzydkie domy pomalowane na biało i małe sklepiki na parterach. Dzieci zajęte rozrywaniem opon na kołach wraków samochodów.

- Zaraz wjedziemy na główną ulicę miasta - poinformował Cardon. - Raczej nie przypomina Pól Elizejskich.

Rzeczywiście, pomyślała Paula. Wszędzie wałało się pełno śmieci, a artykuły zalegające w sklepikach wyglądały niewiele lepiej. Cardon wskazał coś ruchem głowy.

- Widzicie ten kantor po prawej? Niedawno jakiś Amerykanin chciał wymienić w nim trochę dolarów na euro. Najpierw poszedł do tamtego biura podróży, ale tam mu powiedzieli, że nigdy nie trzymają u siebie gotówki, bo to zbyt niebezpieczne. Wskazali mu kantor po drugiej stronie ulicy, kilka metrów dalej i ostrzegli, żeby bardzo uważał. Amerykanin rusza do kantoru, nagle

ktoś wbija mu nóż w plecy i zabiera portfel, przyjeżdża karetka, zabiera go do szpitala, ale on umiera po drodze. Marsylia wita.

-Czarujące - skomentowała Paula.

-Już dojeżdżamy do hotelu, jeszcze pięćset metrów. Jak to miło choć na chwilę zapomnieć o kilometrach. Uwaga! Trzymajcie się!

Paula spojrzała do tyłu, gdzie zobaczyła goniące ich czarne renault z przydymionymi szybami. Ani śladu drugiego citroena. Cardon przycisnął gaz i samochód wyrwał się do przodu, jakby startował w wyścigach Le Mans. Paula złapała mocno za uchwyt na drzwiach, ale nie mogła się oprzeć pokusie i jeszcze raz spojrzała do tyłu. Renault wciąż siedziało im na ogonie, zauważyła również drugiego citroena, który zbliżał się doń od tyłu.

- Teraz! - krzyknął Cardon.

Zahamował gwałtownie i czarne renault nabiło się na gigantyczny zderzak ich samochodu. Jednocześnie z drugiej strony staranował go i zgniótł w harmonijkę samochód Marlera. Tweed i Paula nie odnieśli obrażeń tylko dzięki pasom bezpieczeństwa. Spojrzała do tyłu. Zgniecione pomiędzy ich samochodami renault zmieniło się nie do poznania, wydawało się znacznie mniejsze. Przednia szyba rozsypała się na tysiąc kawałków, a w środku nikt się nie ruszał. Marler cofnął się trochę, wyskoczył z samochodu, zajrzał do wnętrza rozbitego renault i podbiegł do Tweeda, który otworzył okno. Nie patrząc na Tweeda, rzucił kilka słów do Cardona:

-Nie żyją. W środku pełno broni automatycznej. Co robimy?

-Jedziemy dalej.

Citroen ruszył na pełnych obrotach i Paula usłyszała chrobot zderzaka uwalniającego się ze zgniecionej chłodnicy renault. Po tem skręcili w następną ulicę i Tweed po raz drugi w życiu zobaczył stary port Marsylii.

Vieux Port, dawna przystań miasta, miał kształt ostrygi zapchanej mrowiem jachtów, od małych motorówek po całe pływające pałace. Tweed z trudem rozpoznawał to miejsce.

-Gdzie są wszystkie kutry? Z hotelu widziałem rano, jak w pływały na połów.

-Już tu nie cumują - wytłumaczył Cardon. - Muszą teraz korzystać z innego portu. Vieux Port, czyli stary port, jest teraz tylko

dla bogaczy. Można tu zobaczyć bardzo drogie jachty.

Po chwili Cardon skręcił w stromą uliczkę i zatrzymał się przed wejściem do hotelu górującego nad portem.

-Czy policja nie zacznie szukać sprawców, kiedy zobaczy to zniszczone renault?

-A gdzie. - Cardon uśmiechnął się ponuro. - Jak zobaczą w środku czterech Arabów, od razu pomyślą, że to porachunki gangów. Zabiorą tylko wrak, żeby nie szpecił przemijającej świetności Canebiere.

-Przemijającej świetności? - Paula nie zrozumiała.

-Kiedyś na Canebiere znajdowały się drogie sklepy, do których przyjeżdżały na zakupy nawet wielkie damy z Paryża. A teraz,

jak cała Marsylia, Canebiere zamieniła się w śmierdzący slums.

Tweed dostał ten sam pokój, w którym mieszkał przed laty w czasie swojej ostatniej wizyty w Marsylii. Oglądał właśnie panoramę miasta, kiedy do jego drzwi zapukała Paula. Zaprosił ją do środka i razem zaczęli podziwiać wspaniały widok za oknem.

-Może to nie Ritz, ale da się tu mieszkać. Oddajesz się wspomnieniom?

-Powiniennem był to przewidzieć. Wszystko się zmienia i to nie zawsze na lepsze. Kiedy ostatnio tu mieszkałem, uwielbiałem przyglądać się kutrom wychodzącym rano w morze, a potem ich powrotowi wieczorem. Co to był za widok. Teraz zniszczyli to

wszystko. Spójrz tylko na te koszarne pudła. Kiedyś takich nie budowali.

Ręką wskazał na stojące wokół portu szkaradne biurowce i bloki mieszkalne. Miasto straciło swój niepowtarzalny klimat i upodobniło się do dziesiątek innych metropolii. Również tutaj nieubłagane parł do przodu tak zwany postęp.

- Zastanawiam się, dlaczego Cardon wybrał właśnie to miejsce - głośno myślała Paula.

- Według Marlera nalegał, żebyśmy mieszkali w tym hotelu.

Przerwało im pukanie do drzwi, które Paula zamknęła za sobą na klucz. Z pistoletem w dłoni Tweed podszedł do nich i zapytał, kto to. Okazało się, że przyszedł do nich Philip Cardon, który teraz zupełnie nie przypominał Araba. Miał na sobie szykowny kremowy garnitur i rozpiętą koszulę.

-Co się stało z twoim arabskim kostiumem? - zapytała. -Teraz wyglądasz wspaniale.

-Kiedy odstawiłem was do hotelu, przebrałem się w pobliskim zaułku, żeby nie pojawiać się w tym miejscu jako Arab. To raczej niewskazane. Zapytałem wścibską recepcjonistkę o numery waszych pokoi, ale milczała uparcie, dopóki nie pokazałem jej swojej fałszywej legitymacji DST, francuskiego kontrwywiadu.

Poinformowałem ją, że rząd francuski ma z wami zawrzeć bardzo ważne umowy handlowe. Sprawdziłem w księdze gości, gdzie was szukać. Zauważyłem też, że Marler zajmuje pokój obok was z jednej strony, a Nield z drugiej. To bardzo przemyślane ustawienie.

-Dlaczego musimy mieszkać właśnie w tym hotelu? - zapytała Paula.

-Zawsze zadajesz kluczowe pytanie. - Uśmiechnął się ironicznie. - Widzicie to drugie moło od naszej strony? Zwróćcie uwagę na trzecią łódź od brzegu.

~ - No, widzimy.

-To ścigacz z potężnym silnikiem - zauważył Tweed.

-Podejrzany frachtowiec wpływa na redę Ile des Oiseaux jutro. Popłyniemy tam sprawdzić, jakie ma zamiary.

-Dlaczego podejrzany? - chciał się dowiedzieć Tweed.

-Wyłynął z Algierii jako „Bougie” i na pełnym morzu zmienił nazwę na „Oran”. Załoga jest podejrzanie liczna jak na piętnastotysięcznik, poza tym większość tych niby-marynarzy nie ma żadnego doświadczenia na morzu.

-Więc jutro rano wypływamy tym ścigaczem ku Ile des Oiseaux? - zapytał jeszcze raz Tweed.

-Właśnie. Pozwólcie, że zabiorę was teraz w miejsce, z którego będziemy mogli dokładniej przyjrzeć się wyspie.

Pojechali innym citroenem niż ten ze zderzakami. Kiedy Cardon ostrożnie ruszał spod hotelu, arabski chłopiec podbiegł do nich, machając brudnym zmywakiem do szyb. Cardon wychylił się przez okno i wrzasnął: - *Yallah!* - a potem cisnął zgnieciony banknot jak najdalej od samochodu.

-Co to znaczy? - zapytała Paula.

-„Idź sobie”, tylko znacznie bardziej wulgarnie. Rzuciłem mu euro, żeby się go pozbyć. Inaczej wysmarowałby nam całą szy-

bę tym świństwem.

-Cóż, chłopak musi przecież zarobić - odpowiedziała Paula.

-Słuchaj - odrzekł Cardon. - Dam ci dobrą radę. W tych czasach lepiej nie jeździć na wschód czy południe od Suez, do Azji, Afryki. Chyba że do RPA.

-Zgadzam się - zawołał z tyłu Marler. - Poderzną ci tam gardło, żeby ukraść jakieś grosze. A potem zedrą z ciebie ubranie.

-Terrorysty? - zapytała Paula.

-Niekoniecznie - dołączył do rozmowy Butler, który siedział obok Marlera. - Po prostu tak działa tam na ludzi biała twarz.

Szeroką promenadą wyjechali z Marsylii, z prawej strony mieli spokojną, skrzącą się tafłę morza, a z lewej ścianę białej skały. Cardon wskazał jej szczyt.

- Właśnie tam jedziemy. Widzicie ten kościół? Notre-Dame de la Gardę. Z tarasu przed nim rozciąga się wspaniały widok.

Spojrzawszy ku górze, Paula ujrzała zawieszony na skale kościół tak wielki, że mógłby być katedrą. Nie zmniejszając prędkości, Cardon zjechał z promenady w prowadzącą ku górze drogę i stromymi serpentynami zaczęli wspinać się ku świątyni, niebezpiecznie szybko pokonując kolejne zakręty.

Wkrótce znaleźli się na szczycie. Paula zmieniła swoje zdanie na temat Marsylii, kiedy wyszła z samochodu i jej oczom ukazała się zapierająca dech w piersiach panorama miasta. Kilka kilometrów od nich rozciągała się gigantyczna zakrzywiona ściana skalna, niby jakiś amfiteatr olbrzymów. Cardon pozwolił jej napawać się przez chwilę widokiem, a potem poprowadził wszystkich obok kościoła ku wielkiemu tarasowi wiszącemu nad morzem.

Kiedy stanęli przy sięgającej do pasa kamiennej barierze, Paula ujrzała daleko w dole promenadę, którą przyjechali, a potem uniosła wzrok ku rozciągającej się przed nimi turkusowej połąci Morza Śródziemnego, przeplecionej białymi grzywaczami. Zachwycona kolorem i ogromem morza w bezruchu, chłoneła te widoki, by móc je kiedyś przywołać z pamięci. Cardon, który stał obok Tweeda, wyjął lornetkę i wskazał coś ręką.

-Oto wyspy. Spójrzcie na tę, gdzie odbija się promień słońca. Tam stoi słynny zamek If, miejsce uwięzienia hrabiego Monte Christo. - Przekazał lornetkę Tweedowi, który skierował ją na skalistą wysepkę z zamkiem i nastawił ostrość.

-Widzisz ją. Dobrze - instruował go Cardon. - Teraz powoli przesun lornetkę w prawo i zobaczysz trójkątną wysepkę z białymi klifami.

-Widzę.

-Właśnie tam popłyniemy dzisiaj, jeśli tylko dostanę sygnał, że „Oran” zawinął do portu.

-Portu?

-Po drugiej stronie wyspy znajduje się niewidoczna dla nas mała przystań. Ale my wylądujemy po tej stronie, na którą patrzymy teraz. W jednym miejscu jest wąski wąwóz, którym może dojść do samego szczytu.

- Chyba go widzę. Wygląda stąd jak mała szczelina w skale.

- Tamtędy musimy się wspiąć na szczyt klifu, skąd rozciąga się dobry widok na przystań. Muszę was ostrzec, że może dojść do strzelaniny, jeśli natrafimy na Arabów patrolujących wyspę. Mają broń automatyczną i umieją walczyć. Miejmy nadzieję, że przybycie statku odwróci ich uwagę od wschodniej strony wyspy.

Paula przyłożyła do oczu podaną jej przez Tweeda lornetkę. Ile des Oiseaux odnalazła bez trudu i uważnie przyjrzała się skalnej rynnicy. Była bardzo stroma, ale na szczęście po obu jej stronach sterczały bloki wapienia, za którymi będą mogli się kryć.

Skierowała jeszcze lornetkę na horyzont i zamarła. W dali majaczyła sylwetka statku i obłoczek dymu nad nią. Statek najwyraźniej zmierzał ku Ile des Oiseaux. Przekazała lornetkę Gardonowi.

-Tam daleko widać nadpływający statek. Czy to może być „Oran”?

-Najprawdopodobniej tak - odparł. - Żaden inny statek nie płynie teraz ku wyspom z otwartego morza. Na Oiseaux możemy się dostać w ciągu kilku godzin, jeżeli natychmiast ruszymy do starego portu.

Kiedy się odwrócili, Paula zobaczyła Marlera stojącego z otwartą torbą na kije golfowe przy ścianie kościoła i Butlera na stanowisku po drugiej stronie tarasu, trzymającego u stóp otwartą torbę. Chronili Tweeda i resztę ludzi przed atakiem z tyłu. Nie zapominali, że są w Marsylii.



Pojechali prosto do łodzi Cardona zacumowanej w starym porcie. Była większa, niż się Pauli na początku wydawało. Na mostku zamocowano duży płat blachy, sięgający do szyi, tak że ponad nim można było wyjrzeć i zobaczyć, co się dzieje przed łodzią.

-Po co ta blacha? - zapytała Paula.

-Ochrona - wyjaśnił Cardon - przed pociskami z broni maszynowej.

-Zapowiada się ciekawie.

-Wątpię, czy będzie potrzebna - rzekł Cardon, sprawdzając jakieś nieznane jej części wyposażenia łodzi. Dopiero teraz wyczuła kołysanie zacumowanej łodzi, której kadłub rytmicznie wznosił się i opadał. Coraz więcej wielkich fal wpływało przez wejście do portu> mimo że słońce wciąż mocno świeciło, przypie-

kając jej szyję i ramiona.

-Zmiana pogody? - zastanawiała się.

-Upał o tej porze roku zdarza się mniej więcej raz na dziesięć lat i często towarzyszą mu silne wiatry. Kiedy wypłyniemy z portu, zaczniesz mocniej kołysać.

-Przepraszam, ale muszę zajrzeć do Tweeda. Zszedł pod pokład.

-Pierwsza kajuta po prawej u stóp schodów.

Znalazła Tweeda leżącego na koi, wyglądał jak siedem nie-szczęść. Kiedy zamknęła drzwi, z wysiłkiem uśmiechnął się do niej.

-Nawet w porcie ta łajba telepie się na wszystkie strony - mruknął ponuro.

-Kiedy wypłyniemy na pełne morze, będzie gorzej.

-Pocieszyłaś mnie.

Tweed nigdy nie czuł się dobrze na wodzie, kiedyś nawet narzekał, że w ogóle nie lubi morza. Nie chciało się uspokoić. Paula wyjęła z torby małą buteleczkę, wytrząsnęła z niej na dłoń jedną pigułkę, którą z poważnym wyrazem twarzy podała Tweedowi.

-Damamina - poinformowała, podając mu butelkę wody mineralnej. - Nie dyskutuj, tylko połknij.

-Głupio mieć chorobę morską przy takim wiatyku.

-Wielu ludzi to spotyka. Znacznie gorzej będzie, kiedy Morze Śródziemne pokaże, co potrafi, więc weź to - nakazała. - Chyba zaraz wypływamy.

Skrzywił się i połknął tabletkę, którą popił dużą ilością wody. Usiadła obok niego na koi i uśmiechnęła się wesoło.

- Jeśli martwisz się, że Marin, czyli Cardon, się dowie, to ja na pewno mu nie powiem. Teraz odpręż się, a ja obejrzę resztę łodzi.

Wszystkich członków ekipy, oprócz Cardona, znalazła w przestronnej kajucie głównej. Byli zajęci. Marler sprawdził swój karabin Armalite, a potem go załadował. Torba na kije golfowe, z której go wyjął, *leżała obok niego na kanapie. Butler przeladowywał* swojego stena. Niela schował glocka za pasem pod kurtką. Butler zanurzył rękę w przepastnej torbie i wyjął z niej niewielki przedmiot, który podał Pauli.

- Jajo. Może się przyda.

„Jajo” było granatem ręcznym. Sprawdziła go ostrożnie, a potem włożyła do torby. Podczas niedawnego szkolenia nowy instruktor kazał jej rzucić w mur trzema uzbrojonymi granatami, a kiedy nie spisała się dostatecznie dobrze, dał jej następną. W sumie musiała rzucać trzydzieści razy. „Ujdzie” - tak brzmiała ostateczna ocena instruktora. Potem usłyszała od Sarge'a, że to najlepsze, co można usłyszeć z jego ust. Sarge był innym instruktorem, który zazwyczaj ją szkolił, i wrócił z urlopu, zanim opuściła poligon.

-Gdzie byłeś, Pete? - zapytała Niela. - Nie pojechałeś z nami.

-Tweed kazał mi zostać i pilnować naszych pokoi. Patrolowałem hotel.

-Nie sądziłam, że jest tak podenerwowany.

-Nie jest podenerwowany. - Pete ścisnął ją za ramię. - Tylko ostrożny. Ktoś mógł podłożyć tam bombę podczas naszej nieobecności.

-Wszystko przewidział.

-I dlatego jeszcze żyjemy.

Nagle rozległ się warkot silnika i poczuli wibrację całej łodzi. Paula uznała, że czas zajrzeć do Tweeda i sprawdzić, jak się czuje. Kiedy weszła do jego kajuty, nie leżał już na koi, tylko przechadzał się energicznie, machając ramionami. Mrugnął do niej porozumiewawczo.

-Lepiej ci już?

-Zaraz idę na mostek. „Capulet” już wypływa z portu.

-Tak się nazywa nasz jacht?

-Tak, zauważyłem, kiedy wchodziliśmy na pokład. Cardon jest cichym wielbicielem „Romea i Julii”. Idziesz ze mną?

Kiedy znaleźli się na mostku, zauważyli Harry'ego na molo, zajętego odwiązywaniem cum, najpierw na dziobie, a potem na rufie. Zręcznie wskoczył na pokład łodzi, która powoli odpłynęła od mola. Paulę zawsze zaskakiwała gibkość ruchów Harry'ego, niepasująca do jego solidnej budowy.

- Kapitanat zezwolił na wyjście w morze i potwierdził, że tor wodny jest wolny - poinformował ich Cardon trzymający koło sterowe. Jedną ręką podał im dwa żółte sztormiaki. - Jeśli chcecie tu zostać, to je włożcie. Morze jest trochę wzburzone.

Kiedy wypłynęli z portu, fale były większe, niż Paula oczekiwała. Tweed kurczowo trzymał się relingu i spoglądał ponad pancerną płytą na morze. Mimo targających „Capuletem” fal chyba czuł się w swoim żywiole. Nasadził na głowę wodoodporny kapelusz. Mostek oblewały bryzgi wody, kiedy łódź staczała się z grzbietu kolejnej fali. Tweed zdjął okulary w rogowej oprawce i włożył je do kieszeni marynarki pod sztormiakiem. Już nieraz przekonał się, że całkiem dobrze bez nich widzi. Czasami nawet zastanawiał się, po co je właściwie nosi. Wyjął z kieszeni małą lunetę. Cardon zwiększył szybkość, łódź coraz bardziej oddalała się od stałego lądu.

Paulę oczarował rozpościerający się za nimi widok. Dopiero teraz wyraźnie zobaczyła gigantyczny wapienny amfiteatr otaczający miasto w oddali. Blask słońca odbity w skalnej ścianie był tak silny, że musiała zmrużyć oczy. Na pewno nie zapomni tej wspaniałej panoramy.

-Przyśpieszam - poinformował ich Cardon - ponieważ przyszło mi do głowy, że „Oran” może dotrzeć do Oiseaux wcześniej, żeby schronić się przed szkwałami.

-Możemy wpaść w tarapaty, kiedy będziemy się wspinać w wąwozie - ostrzegł ich Marler. - Przypuszczalnie będą pilnować

jedyne wejścia z tej strony. Jeśli to możliwe, powinniśmy uni-

kać strzelaniny - powiedział Butlerowi i Nieldowi, którzy dołączyli do stojących na mostku. -To zostawcie mnie.

- A co, ciebie nie usłyszą? - sarkastycznym głosem zapytał Harry.

Zamiast odpowiedzi Marler pokazał mu swój armalite. Paula zauważyła, że lufa jest nieco dłuższa niż wtedy, kiedy oglądała karabin. Marler poklepał koniec lufy.

- To najnowszy tłumik wynaleziony przez naszych specjalistów pracujących w piwnicy na Park Crescent. Udało mi się go przenieść przez bramkę na dworcu Waterloo. Wykrywacz metali nie zadziałał, bo owinąłem tłumik specjalnym materiałem. Jeśli więc trzeba będzie zabijać, biorę to na siebie.

Paula przyglądała się wyspie z zamkiem If, którą mijali od północy. Złowieszczo wyglądająca skała wynurzała się z morza, doskonale miejsce wybrane przez Aleksandra Dumasa na więzienie dla bohatera jego słynnej powieści. Potem ich oczom wyraźnie ukazał się trójkątny zarys Ile des Oiseaux. Tweed przyglądał się przez lunetę zbliżającemu się wąwozowi.

Cardon zwolnił, żeby nie robić hałasu. Znajdowali się już tak blisko wyspy, że postrzępiona rynna skalna była widoczna gołym okiem, ale Tweed wciąż obserwował przez lunetę jej nieregularny przebieg, od płaskiej platformy na dole aż po szczyt klifu.

-Ani śladu życia - poinformował wszystkich. - Co jakiś czas bloki wapienia, które mogą posłużyć jako wygodne strzelnice.

-Widziałam je z tarasu widokowego przy Notre-Dame - przypomniała sobie Paula. - Miejmy nadzieję, że ci bandyci nie czają się za nimi.

Na pokładzie łodzi rosło napięcie. Nikt nie okazywał zdenerwowania, ale Paula je wyczuwała. Cardon wytłumaczył im, że jacht trzeba będzie przycumować do platformy skalnej za pomocą wielkich haków, które zamocował do zestawu specjalnych cum.

Harry wyskoczył na brzeg z jedną liną, podczas gdy Marler, stojąc na dziobie, chwycił za drugą. Zakotwiczone w skale, pokryte rdzą pierścienie posłużyły do bezpiecznego przycumowania „Capuleta”.

- Ostrożnie posuwajcie się do przodu - ostrzegł ich Tweed, a potem zeskoczył na platformę z waltherem w rękę.

Na nieużywanej od dawna platformie było dziwnie cicho i spokojnie, co obudziło niepokój Tweeda. Nisko pochylony doskoczył razem z Marlerem do skalnej rynny i spojrzał w górę. Nie zatrzymując się, szedł dalej na czele swojego małego oddziału.

Na kamieniach zalegających na dnie rynny łatwo było skrócić nogę, tak dużo ich leżało pomiędzy zwężającymi się ścianami. Na wyspie wciąż panowała cisza.

Marler przesunął się do przodu, a za nim wspinali się Tweed i obok niego Paula. Kiedy dotarł do wielkiego jak dom bloku wapienia, zatrzymał się i wyjrzał zza niego, ale nie zobaczył nic oprócz wznoszącej się coraz wyżej stromej pochyłości wawozu. Zaczął się wspinać jeszcze szybciej, trzymając w ręku odbezpieczony karabin.

Pokonali odcinek ścieżki tak wąski, że musieli iść gęsiego, i okrążyli następny blok skalny. Marler często zatrzymywał się i nasłuchiwał, spoglądając ku górze. Jedyнным dźwiękiem, który dobiegał ich uszu, był plusk fal rozbijających się o platformę na dole.

Nagle znaleźli się na szczycie klifu - tak niespodziewanie, że Marler musiał się szybko pochylić, żeby schować głowę. Tweed i Paula ostrożnie wyjrzelni ponad krawędź i zamarli, gdy zobaczyli coś po drugiej stronie stromego wzniesienia wyspy.

-Był i odpłynął! - zawołała Paula.

-Przyplłynęli szybciej, niż sądziłem - powiedział Cardon, który dołączył do nich, pozostawivszy „Capuleta” bez opieki na dole.

-I zostawili tu ładunek. Dlaczego?

Z góry mieli dobry widok na skalną platformę przystani po drugiej stronie wyspy. Była zavalona wielkimi belami jakiegoś materiału, z których niektóre pękły, rozsypując swoją zawartość. Tweed obserwował „Orana” przez lunetę. Oddalający się od wyspy okazały frachtowiec był do nich zwrócony burtą.

-Na lewej burcie przy dziobie statek ma wgniecenie w poszyciu - zauważył. - Musieli kiedyś uderzyć o nabrzeże. Na pokładzie pełno Arabów, znacznie więcej, niż potrzeba, żeby obsadzić statek tej wielkości.

-Ale po co zrzucili ładunek? - nalegał Cardon. - Wygląda jak włóknisty surowiec, który muzułmanie wykorzystują w swojej kuchni po dodaniu różnych składników.

-Wzięli to na pokład w Algierze, żeby mieć formalny powód do wypłynięcia, ale myślę, że tak naprawdę załadują fracht gdzie indziej. Paulo, zwróć uwagę na ten duży trap, który zepchnięto do wody. Widać go, bo jest bardzo czysta.

Wiatr wzmagął się i wielkie fale zaczęły zalewać platformę, zabierając ze sobą bele. Tweed włożył do kieszeni lunetę i zwrócił się do Cardona:

-Chciałbym wrócić do motorówki. Musimy zacząć śledzić „Orana” z dużej odległości i dowiedzieć się, jaki kurs obierze.

-Ruszajmy jak najszybciej w dół - pospieszała ich Paula.

- Na wyspie zostali strażnicy.

Wszystkie oczy zwróciły się ku miejscu, gdzie spoglądała. W oddali z lewej strony zbliżało się do nich sześciu Arabów uzbrojonych w pistolety maszynowe. Cardon wydał szybko rozkaz:

- Co sił w nogach do łodzi. Wynosimy się stąd, i to migiem.

Harry, trzymając stena, ruszył pierwszy. Jego krótkie nogi pracowały jak tłoki lokomotywy i wkrótce zniknął wśród skał na dole. Tweed i inni ruszyli za nim. Bieg w dół skalnej rynn był trudniejszy niż wspinanie się. Wciąż ślizgali się na małych kawałkach wapienia. Marler pozwolił się wyprzedzić Pauli i został z tyłu. Nield biegł przed nią, ale wciąż nie widzieli Cardona, który ruszył w dół wąwozu jak lis uciekający przed sforą psów. Marler położył się na ziemi za małym głazem.

Sześciu Arabów podzieliło się na dwie trzyosobowe grupy. Biegli szybciej, niż można by się spodziewać. Marler skierował swój karabin na bliższą grupę po prawej i szybko wystrzelił trzy razy. Trzy pociski wystarczyły, żeby wszyscy padli martwi. Druga grupa tymczasem zdołała zlokalizować Marlera i ich pociski zaczęły padać niebezpiecznie blisko niego.

Podniósł się i ruszył ku wąwozowi. Zbiegł nim tak szybko, że nie zauważył Pauli, która poślizgnęła się na jednym z bloków skalnych. Miała nogę skrzywą w kostce. Została sama.

Spojrzała zza bloku wapienia na resztę oddziału, który rozproszył się na wąskim odcinku ścieżki. Usłyszała dźwięk kroków na kamieniach.

Trzech wielkich Arabów z pistoletami maszynowymi szybko zbliżało się do niej, idąc w dół rynn skalnej. Wystarczyło, że miną skałę, za którą się skryła, przebiegną kilka metrów i znajdą się w miejscu, z którego jedną serią będą mogli skosić wszystkich jej towarzyszy.

Sięgnęła do torby i wyjęła z niej „jajo”, które dostała od Harry'ego. Była pewna, że granat ma dużą siłę rażenia. Przez upadek cała była pokryta wapiennym pyłem i zdała sobie sprawę, że nie widać jej na tle kamienistego podłoża. Ból w kostce był nie do wytrzymania. Zaciśnęła zęby i mocniej ścisnęła granat w dłoni.

Najwyższy z biegnących wydał po arabsku jakiś rozkaz, z którego Paula nic nie zrozumiała. Zobaczyła jednak, że opuszczają lufy pistoletów, i zrozumiała, że zaraz dojdzie do jatki.

Zgodnie z instrukcjami Harry'ego nacisnęła czerwony guzik i wychyliła się zza skały. Arabowie stali z pistoletami maszynowymi wycelowanymi w postaci biegnące w dół. Rzuciła granat, zobaczyła, że upadł u stóp najwyższego z Arabów, i szybko schowała głowę za skałę.

Rozległ się ogłuszający huk wybuchu, który odbił się echem od ścian wąwozu. Nad skałą, za którą kryła się Paula, przeleciał kulisty przedmiot podobny do piłki i spadł gdzieś daleko w górze. Była to głowa dowódcy Arabów. Paula znów wyrzała zza skały i oczom jej ukazał się straszliwy widok rozerwanych ciał. Cofnęła głowę i oparła ją o skałę, a potem sięgnęła do torby i wyjęła z niej butelkę wody oraz swój szal. Zwilżyła go i wepchnęła głęboko do buta, co trochę uśmierzyło ból. Z trudnością wstała i z zadowoleniem stwierdziła, że może chodzić. Potykając się, ruszyła w dół wąwozu obok zmasakrowanych zwłok i dotarła do platformy, gdzie czekał zacumowany ścigacz.

-Gdzie, na Boga, jest Paula? - dopytywał się Tweed podniesionym głosem.

-Tu jestem, do cholery! - krzyknęła. - Co to ma być? Kobiety i dzieci na końcu?

-Myślałem, że pobiegłaś przed nami - tłumaczył się Tweed, spiesząc jej na pomoc.

-Pewnie zupełnie przestałeś myśleć, przyznaj się - odgryzła się Paula.

-Co to był za wybuch? - zapytał Harry.

-To twoje „jajo”. Zabiło trzech Arabów, którzy właśnie się szykowali, żeby was wyprawić na tamten świat.

-O rany! Przepraszam. - kajał się Tweed, podtrzymując ją, kiedy wchodziła na pokład łodzi.

-Jeszcze długo wam tego nie wybaczę! - krzyczała. - Cardon, dlaczego ta balia jeszcze tu stoi? Tweed chce przecież dogonić „Orana”.

Marler podbiegł do niej, kiedy usadowiła się na mostku. On jeden był wystarczająco przytomny, żeby nic nie mówić, tylko udzielić jej pierwszej pomocy. Delikatnie zdjął jej but i odwinął szal, a potem zbadał stopę i posmarował przyniesioną z apteczki maścią. Paula westchnęła z ulgą, poczuwszy kojący chłód na bolącej kończynie, i pochyliła się, żeby pocałować Marlera w czoło. Spojrzał do góry i puścił do niej oko, a następnie powoli owinął kostkę bandażem, a właściwie tylko jedną warstwą bandaża, tak że mogła z powrotem włożyć but, który miał usztywnić

kończynę. Nie patrzyła na Tweeda, który obserwował kurs ściągacza.

Cardon rozwinął już dużą szybkość i szerokim łukiem opływał wyspę, żeby znaleźć się na otwartym morzu. Marler powoli włożył stopę Pauli w but i gestem poprosił, żeby sprawdziła, jak jej będzie najwygodniej. Pochyliła się i centymetr po centymetrze wkładała nogę głębiej w wysoki but. Nie czuła bólu. Trzymając się relingu, powoli wstała, starając się utrzymać równowagę. Tweed co jakiś czas oglądał się, żeby sprawdzić, jak sobie daje radę, ale ona ani razu nie odwzajemniła jego spojrzenia. Marler pokręcił głową i Tweed uznał, że najlepiej będzie się nie odzywać i dać jej trochę czasu, aż przestanie się gniewać.

Wyspę mieli już za sobą i „Capulet” zbliżał się do „Orana”. Morze uspokoiło się i wyglądało jak wielki szafirowy talerz. Odległość pomiędzy zmieniającym kurs frachtowcem i ściągającą go łodzią stopniowo malała. Tweed, wychylony zza pancерnej płyty, niecierpliwie wpatrywał się w uciekający statek.

- Jest już dość daleko! - Usiłował przekrzyknąć ryk silnika.

- Płynie na południowy zachód. To oznacza, że zmierza do Cieśni-

ny Gibraltarskiej, na Atlantyk. Potem skręci na północ. Cel podróży jest gdzieś w Europie, teraz wiem.

- Mamy kłopoty - ostrzegł Cardon. - Dostrzegli nas i spuszcza ją właśnie na wodę szybką motorówkę. - Obserwował statek przez

lornetkę. - Na jej pokładzie pełno ludzi z bronią. Płyną po nas.

- Czas na naleśniki - zawołał Marler, podnosząc płaską walizkę.

- Naleśniki? - z niedowierzaniem zapytała Paula.

- Najnowszy model min morskich.

Marler uśmiechał się sardonicznie. Otworzył walizkę i wyjął z niej płaski, okrągły przedmiot z metalu, potem następny. Położył je u stóp i spojrzał na zbliżającą się do nich wielką motorówkę z dziobem wzmocnionym stalą jak taran. Jeśli uderzy w burłę ich łodzi, ta rozpadnie się na dwie części. Z zatrważającą szybkością wroga motorówka pruć jak torpeda po powierzchni wody. Arabowie na jej pokładzie już zaczęli strzelać ze swoich karabinów, zasypując pokład „Capuleta” gradem pocisków, które odbijały się od płyty pancерnej. Schowany za nią Tweed stanowczo położył dłoń na ramieniu Pauli i zmusił ją do przykucnięcia. Motorówka Arabów zbliżała się z szybkością pociągu ekspresowego.

- Pod żadnym pozorem nie odpowiadajcie ogniem! - krzyknął Marler. - Nie chcę, żeby zmieniali kurs.



- Zaraz nas staranują! - krzyknął Cardon, obserwując wszystko przez szczelinę ze szkła pancernego.

Paula nie mogła się powstrzymać i wyrzała ponad ramieniem Tweeda. Marler, korzystając z przerwy w ostrzale, stanął wyprostowany, trzymając w obu rękach miny. Rzucił pierwszą z nich tak, jak chłopcy puszczały kaczki na stawie, a potem to samo uczynił z drugą.

Stalowy dziób atakującej motorówki był uniesiony tak wysoko, że jej sternik na pewno nie zauważył działań Marlera. Cardon podczołgał się szybko do Pauli, chwycił ją za ramię i pociągnął za sobą z powrotem na drugą stronę.

- Popatrz przez szczelinę. Nie bój się, jest ze szkła pancernego.

Paula wcale się nie bała i natychmiast wyrzała przez niewielkie okienko. Motorówka znajdowała się dalej, niż się spodziewała, zbliżała się jednak bardzo szybko. Kątem oka zauważyła minę odbijającą się od małej fali, a chwilę później dziób wrogiej łodzi trafił prosto na nią. Eksplozja przerosła wszelkie oczekiwania. Stalowy dziób poleciał w górę jak rakietą, a reszta kadłuba rozpadła się na dwie części, z których jedna przewróciła się do góry dnem i znikła pod powierzchnią morza, a druga od razu stanęła w płomieniach. Płonący jak pochodnie członkowie załogi skakali do wody, próbując ratować życie. Wkrótce szczątki motorówki zatonięły, pozostała po niej jedynie plama ropy na szafirowym błękie morza.

- Wracamy - Tweed rozkazał Cardonowi.

Po powrocie do starego portu Marsylii natychmiast zeszli z łodzi i pobiegli do hotelu. Tweed, który znał rozkład jazdy pociągów na pamięć, powiedział, że jeśli się pośpieszą, to powinni zdążyć na TGV do Paryża.

Zapłacił za hotel, podczas gdy inni pobiegli do pokojów i znieśli bagaże. Tweed odliczył przedtem należność i położył teraz plik banknotów na ladzie, ale recepcjonistka, szybko licząc pieniądze, wsunęła sobie do kieszeni banknot o nominale dziesięciu euro. Kiedy zażądała od Tweeda brakujących pieniędzy, poradził jej, żeby dołożyła do nich skradziony przed chwilą napiwek.

Na zewnątrz Tweed poprowadził ich przez zalaną słońcem ulicę do sfatygowanej taksówki kierowanej przez jakiegoś Araba. Paula zatrzymała się i złapała Tweeda za rękaw.

- Czy ta taksówka będzie bezpieczna?

- No pewnie, przecież za kółkiem siedzi Cardon przebrany za Araba.

Na dworcu, zanim Paula ostatnia wyskoczyła z samochodu, szeptem zapytał Cardona:

-Zostajesz tutaj, Philip?

-Ani mi się śni - odszepnął. - Ruszam na Wschód, poderżnąć kilka gardeł.

Wsiedli do czekającego na peronie TGV niecałą minutę przed odjazdem. Pociąg łagodnie ruszył i wkrótce rozwinął pełną prędkość, zostawiwszy za sobą dworzec St Charles i przedmieścia. Cały oddział rozlokował się w pustym wagonie pierwszej klasy: Paula i Tweed usiedli obok siebie, a Marler i Nield tak jak poprzednio zajęli stanowiska na obu końcach wagonu.

Oczami duszy Paula wciąż podziwiała błękit morza, wielki skalny amfiteatr otaczający Marsylię, blask słońca oraz widok na He des Oiseaux, biały klin wapienny zanurzony w szafirowym błękicie. Chwyciła Tweeda za ramię.

- Chciałabym cię przeprosić za te okropne rzeczy, które wygadywałam tam u stóp wąwozu. Czuję się okropnie, nie mogę zapomnieć ani jednej z tych strasznych rzeczy, które wtedy powiedziałam.

Otoczył ją ramieniem, przytulił i spojrział głęboko w oczy.

- To ja powinienem cię przeprosić. Nie wiem, jak ci podziękować za to, że uratowałaś nam życie. Na sekundę przed wybuchem granatu spojrzałem za siebie i zobaczyłem trzech Arabów, którzy szykowali się do strzału. Nie byliśmy na to przygotowani. A kiedy zdałem sobie sprawę, że cię z nami nie ma, byłem przerażony i wściekły. W czasie tego strasznego wypadu trzy osoby dały z siebie wszystko: ty, Marler i Cardon. - Podał jej świeżą chusteczkę. - No już, nie płacz. Albo płacz, jeśli to ci poprawi samopoczucie...

Kiedy Paula przyszła do siebie, spytała Tweeda:

-Czy zdobyłeś potrzebne informacje?

-Tak. Ten frachtowiec, „Oran”, zmierza ku Cieśninie Gibraltarskiej. Kiedy przedostanie się na Atlantyk, odbierze nowe cargo gdzieś w Europie. Jestem pewien, że będzie to śmiercionośny ładunek.

Noc spędzili w hotelu w Paryżu, a potem złapali poranny ekspres do Londynu. Kiedy już dojeżdżali na dworzec Waterloo, Tweed ściszym głosem odezwał się do Pauli:

-Pójdiesz ze mną do wszystkich podejrzanych - mówił, powstrzymując zniecierpliwienie. - Musimy ich przycisnąć, zacząć prawdziwe polowanie na tego mordercę. Naszym pierwszym celem będzie Aubrey Greystoke, dyrektor finansowy Gantii.

-A więc on też jest na twojej liście podejrzanych?

-Oni wszyscy na niej są.

Na dworcu Waterloo podzielili swój bagaż pomiędzy Nielda i Marlera, a sami wzięli taksówkę, która zabrała ich do Tower, znanego im już wieżowca w City. Kiedy przebijali się przez korki, wspomnienia Morza Śródziemnego rozmywały się w pamięci Pauli, stłumione przez wcześniejsze wydarzenia.

Dziwna przejażdżka z Michaelem na Dartmoor, dwa odnalezione tam szkielety, Abbey Grange, tamtejsi dziwni służący - pani Brogan i Tarvin, szok po odnalezieniu ciała Christine Barton w jej lodówce, podróż do Wensford i równie ohydne znalezisko w kabinie mieszkalnej barki, wszystkie te okropności przewijały się przed oczami Pauli jak sceny z filmu grozy.

W Londynie był zimny poranek i stożkowaty wierzchołek budynku, do którego zmierzali, krył się przed oczami Pauli w nisko zalegających chmurach. Czekala na nich ta sama recepcjonistka co ostatnim razem i miała taką samą nieprzyjemną minę jak wtedy. Paula uprzedziła ją i zdjęła z ramienia torebkę.

-Tak, wiem, że nie mogę jej zabrać ze sobą. Proszę więc ją schować w jednej z tych szafek.

-Torebka jest zamknięta, muszę zajrzeć do środka.

-Może myśli pani, że mam w niej bombę?

-Nie umie pani czytać? - Tweed trzymał jej przed nosem legitymację SIS. - Proszę się nie wygłupiać. Przyszliśmy porozmawiać z panem Greystokiem.

-Gabinet pana...

-Gabinet pana Greystoke znajduje się na siódmym piętrze pod numerem siedemset pięćdziesiąt -. dokończył Tweed, naśladowując przemowę, jaką usłyszeli poprzednim razem. - Mamyjechać windą z tamtej strony. Witamy w Tower, budynku nagrodzo-

nym w licznych konkursach architektonicznych.

Zostawili osłupiałą dziewczynę i ruszyli ku windom. Na siódmym piętrze przeszli na drugą stronę pustego korytarza do pokoju 750. Tweed już miał zadzwonić, ale drzwi otworzyły się same i wyszła z nich szczupła blondynka z przewieszonym przez ramię płaszczem. Zamknęła drzwi za sobą i minęła ich na korytarzu.

Tweed popatrzył za nią, kiedy szła do windy, i zauważył, że zamek jej sukienki jest rozpięty do połowy kształtnych pleców. Podszedł do niej, zanim zdążyła ściągnąć windę.

- Przepraszam panią, ale na zewnątrz jest dość zimno, a pani ma nie do końca zasunięty zamek w sukience. Pozwoli pani. - Szybkim ruchem zapiął suwak. - Może pomóc pani włożyć płaszcz? Na zewnątrz będzie potrzebny.

Dziewczyna nie wydawała się skrupowana całą sceną. Jej zielone oczy wnikliwie spoglądały na Tweeda, kiedy pomagał jej włożyć płaszcz. Wprowadził dziewczynę do windy, nacisnął guzik parteru i wrócił do Pauli. Drzwi windy zamknęły się za nieznajomą.

-Jego najnowsza zdobycz - skomentowała Paula. - Powiedziałabym, że to bardzo wczesna godzina na takie rzeczy.

-Pamiętaj, że podejrzany jest obdarzony wielką siłą fizyczną i wytrzymałością - zauważył Tweed, naciskając dzwonek.

Musieli poczekać. Potem drzwi otworzyły się i mrugając oczami, wyjrzał zza nich Greystoke. Był w spodniach od garnituru i kamizelce, miał rozpięty kołnierzyk koszuli, brakowało krawata. Na prawą nogę wkładał właśnie but. Czuć było od niego whisky.

- Mogli... - wysapał - się państwo umówić.

-Badamy sprawę czterech morderstw.

-Czterech!? - zawołał, lustrując Paulę wzrokiem. - Pani jest Petulą Grey, tak?

-Paulą - poprawiła go. - Musimy porozmawiać.

-Skoro tak...

Cofnął się i pozwolił im wejść, a potem zamknął drzwi i wprowadził do wielkiego biura, które było jednocześnie salonem. Przy ścianie stało duże biurko zastawione elektronicznym „śmierciem”, którego tak nie lubił Tweed. Był też obity skórą fotel biurowy i gigantyczny ekran na ścianie ponad biurkiem.

W części pomieszczenia, która była salonem, stała długa skórzana kanapa - Paula zauważyła poduszki w pośpiechu poukładane w nierówne stosy. Zajrzała za niedomknięte drzwi, gdzie ujrzała kuchnię z nieczyszczonym od dawna blatem, na którym stała szklanka ze śladami szminki. Na niskim mahoniowym stoliku przy kanapie stała druga szklanka, w której było jeszcze trochę whisky. Obok szklanki Paula zauważyła do połowy opróżnioną butelkę szkockiej.

- Skoro państwo już tutaj są, proszę usiąść - zaproponował Greystoke.

Zataczając się, ustawił w krąg trzy fotele, z których jeden znalazł się w pobliżu szklanki i butelki. Machnął ręką i spojrzał wilkiem na Paulę.

-To kuchnia. Czy pani tak zawsze zagląda u obcych ludzi do różnych pomieszczeń?

-Chciałam się upewnić, że jesteśmy sami - odparła grzecznie.

-Właśnie skończyłem jedną z tych biznesowych burz mózgow. Biznesmeni potrzebują alkoholu, żeby naoliwić swoje tak zwane mózgi.

Biznes z blondynką, chciała powiedzieć Paula, ale powstrzymała się.

-Dobrze - zaczął Greystoke, kiedy goście usiedli, a on zajął miejsce w fotelu przy whisky. - O co państwu chodzi?

-Badam sprawę czterech makabrycznych morderstw - odpowiedział Tweed. - Wszystkie ofiary zostały zmasakrowane nożem,

odcięte kawałki ciała zapakowano do worków foliowych.

Greystoke sięgnął po karafkę z wodą, napełnił sobie szklankę i wypił duszkiem, a potem jeszcze raz nalał sobie wody i znów wypił. Chce szybko wytrzeźwieć, pomyślała Paula.

-Wygląda to na robotę jakiegoś cholernego psychopaty - powiedział Greystoke.

-Kiedy popełnia zbrodnię, jest nim. Sądzę jednak, że ten ktoś przez większość czasu zachowuje się całkowicie normalnie. Mógłby być nawet dyrektorem w dużej firmie. - Tweed pochylił się. - Z tego, co wiem, pana żona, Lee, zagięła jakieś trzy lub cztery miesiące temu.

-Ma swoje życie, a ja swoje. W końcu doszła do wniosku, że lepiej jej beze mnie. Nie przejmuję się tym.

-Panie Greystoke - Tweed zaczął mówić poważnym tonem. - Jeden ze szkieletów odnalezionych na Dartmoor to były szczątki Lee.

Paula osłupiała. Nie pamiętała, żeby Tweed kiedykolwiek przesłuchiwał kogoś w tak obcesowy sposób.

-Lee? To niemożliwe. Jest pan pewien?

-Mam świadka, który z całą pewnością zidentyfikował ciało. Lee miała na sobie biżuterię, która według świadka na pewno do niej należała. Lee nie żyje, to pewne.

-Kim jest ten świadek? - Greystoke nalał sobie whisky. - Poranny klin - wytłumaczył, kiedy połknął zawartość szklanki.

-Nie mogę zdradzić tożsamości świadka - szybko odrzekł Tweed.

Badawczo przypatrywał się podejrzanemu, przypominając sobie, jak wyglądał w Santorini, kiedy byli tam z Lucindą. Wysoki mężczyzna po pięćdziesiątce o rzymskim nosie, na którym spoczywały okulary w złotej oprawce, brązowe włosy miał teraz w nieładzie, niewątpliwie po niedawnej wizycie szczupłej blondynki. Aubrey przyciągał pewien typ kobiet i zdawał sobie z tego sprawę. Na czym polegała więc różnica? W restauracji roztaczał wokół siebie aurę samozadowolenia, a teraz, siedząc z naciśniętymi ustami, wydawał się zagubiony, z wysiłkiem próbował wziąć się w garść.

- To straszne... - powiedział nagle.

Raczej spóźniona reakcja, pomyślała Paula.

-Czy Lee miała jakichś wrogów? I czy miała przyjaciółkę w Stanach, dokładnie w Richmond w Wirginii?

-Po pierwsze - powiedział Greystoke, natychmiast odpowiadając na pytanie - nie przypominam sobie, żeby miała jakichkolwiek

wrogów. Po drugie, dziesięć lat temu wziąłem ją do Stanów i bardzo

się jej tam nie podobało. Nie byliśmy wtedy jednak w Wirginii.

-Sądzę, że to nam na razie wystarczy - zdecydował Tweed i wstał z fotela. - Jeśli dowiem się czegoś więcej, odwiedzę pana ponownie.

Paula ruszyła za Tweedem do wyjścia, a za nimi podążył Greystoke. Zanim otworzył im drzwi, powiedział wzruszonym głosem:

- Ja naprawdę kochałem Lee...

Tweed odwrócił się do niego.

- W takim razie dlaczego nie poinformował pan policji o jej zaginięciu?

-Cóż... - Greystoke prawie się jąkał. - Nie chciałem, żeby wśród ludzi w Gantii rozeszły się o tym plotki. W tej firmie nic się nie ukryje. Byłem przekonany, że...

-Dziękujemy panu za poświęcony nam czas - surowym tonem przerwał mu Tweed.

Sam otworzył sobie drzwi. Kiedy czekali na windę, nie słyszeli, żeby się zamykały, ale Tweed nie oglądał się i dopiero kiedy znaleźli się w windzie, zaczęli swobodnie rozmawiać.

-No i co? - zapytała Paula.

-Oni wszyscy kłamią - prychnął Tweed. - Nawet Greystoke zaraził się tą ormiańską obłudą. Jeśli nie kłamał, to przynajmniej coś ukrywał.

-Mnie się wydawało, że wszystkie jego reakcje były nieudolnie udawane. Powinien przecież chyba zapytać o to, co się stało z ciałem jego żony?

-No tak, powinien.

Kiedy taksówka zabrała ich spod Tower, Paula zapytała:

-Dokąd teraz? Kto jest następny na twojej liście?

-Lucinda.

-Mamy znów jechać do fabryki Gantii?

-Nie. Jedziemy do jej londyńskiego mieszkania. Jeśli będziemy mieli szczęście, to ją tam znajdziemy. Sądzę, że ona jeździ do pracy później, żeby uniknąć porannych godzin szczytu, a potem zostaje tam sama do wieczora.

-Dzięki czemu może swobodnie przetrząsać całą fabrykę.

-Tak myślę.

-Czy sądzisz, że Aubrey - wypowiedziała jego imię z groteskowym, arystokratycznym akcentem - mógłby popełnić te ohydne zbrodnie?

-Szukam podejrzanego, który na pierwszy rzut oka wygląda jak ktoś, kto może podejść do ofiary, mężczyzny czy kobiety, od tyłu, złapać ją za włosy i odchylić jej głowę, a potem poderżnąć nożem gardło. Następnie obrócić nóż wbity w ciało ofiary i ząbko-

waną stroną piłować szyję i połowę kręgosłupa. A potem tym samym nożem poćwiartować zwłoki.

-Brzmiało to wszystko przerażająco.

-Bo to jest przerażające.

Tweed nie odezwał się ani słowem przez resztę drogi na Park Crescent, gdzie przesiedli się do jego samochodu i pojechali do Mayfair. Zaparkowali na pustawym parkingu pod domem, w któ-

rym mieszkała Lucinda, i Tweed szybko ruszył ku windzie, a Paula z trudem dotrzymywała mu kroku.

-Czy to na pewno dobry pomysł, żebym szła z tobą? - zastanawiała się. - Może jestem ci potrzebna jako ochrona? - dodała kpiarsko.

-Idziesz ze mną. Ona nie będzie mieć wątpliwości, że to poważna sprawa.

W chwili gdy wysiadali z windy, drzwi mieszkania się otworzyły i wyszła Lucinda, ubrana w skórzaną kurtkę i spodnie. Paula miała na sobie płaszcz, ale mimo to dawał się jej we znaki chłód panujący w Londynie - nagły kontrast po upałach Marsylii.

-Miałam właśnie jechać do fabryki - powiedziała obcesowo Lucinda i odgarnęła z twarzy kosmyk włosów.

-Możesz pojechać trochę później - odparł niezbyt uprzejmie Tweed. - Badamy sprawę serii morderstw. Fabryka może poczekać.

-Skoro tak mówisz. Wejdźcie.

Zapowiada się interesująco, pomyślała Paula. Lucinda nie jest w najlepszym humorze. Kiedy weszli do środka, gospodyni trzasnęła drzwiami, zdjęła kurtkę i rzuciła ją na fotel. Tweed i Paula bez zaproszenia zdjęli płaszcze, które Tweed zawiesił na znajdujących się obok drzwi wieszakach.

Lucinda usiadła za biurkiem, zapalając włożonego w lufkę papierosa. Tweed przesunął trzy fotele tak, że utworzyły krąg, podobnie jak uczynił to przedtem Greystoke.

-Chcę, żebyś była bliżej mnie - zwrócił się do Lucindy.

-Naprawdę? A Paula będzie się nam przyglądać? - odparła ze złośliwym uśmieszkiem. Odchyliła się na oparcie fotela i puściła kółko z dymu.

-To bardzo miło, że przyszlście - powiedziała nagle cichym i uwodzicielskim głosem.

-Dlaczego? - zapytał badawczo Tweed.

-Miałam gościa, który raczej nie jest moim przyjacielem ani nie zachowywał się zbyt elegancko. Pana Abla Gallaghera, z Wydziału Specjalnego. Był agresywny, niegrzeczny, bez pytania nalał sobie whisky z barku i wytrąbił całą szklanekę jednym haustem. Jeśli takie typy zamierzają mnie teraz częściej odwiedzać, to chyba będę musiała założyć grube zamykane wrota na barek, zamiast tych szklanych drzwiczek.

-Kiedy on tu był? - zapytał Tweed.

-Dzisiaj rano, przed wami.

. - I czego chciał? - Ton głosu Tweeda złagodniał.



-Pytał o postępy w waszym śledztwie. Powiedziałam mu, że nie jestem twoją podwładną. Poradziłam, żeby zapytał ciebie, co mu się nie spodobało. Groził mi.

-Jak?

-Powiedział, że jestem podejrzana o dokonanie tych morderstw i jeśli nie będę współpracować, to każe mnie aresztować. Powiedział też, że na pewno wiem, gdzie teraz jest Lee Greystoke i że według jego źródeł łączyły mnie z nią bliskie stosunki, zaznaczył przy tym, że słowo „bliskie” można różnie interpretować. Miałam ochotę złapać butelkę whisky i rzucić w niego, ale jakoś się opanowałam.

-Czy mówił coś jeszcze?

-Chciał wiedzieć, gdzie jest Michael. Powiedziałam, że nie mam pojęcia. Miałam już tego dość i szlag mnie trafił, wstałam i kazałam mu się wynosić, bo jak nie, to go wyrzucę. Zaczął się śmiać, bo przecież to kawał chłopa.

-I co się potem stało?

-Wstałam i zastosowałam parę sztuczek jujitsu. Przycisnęłam faceta do drzwi, otworzyłam je i wyrzuciłam go na korytarz, tak że padł na twarz. Potem zamknęłam drzwi na klucz, i tyle.

Tweed nie wiedział, co robić. Zamierzał bez litości przesłuchać Lucinę, ale usłyszawszy jej relację o Gallagherze, zaczął się zastanawiać, czy aby na pewno jest to najlepsza taktyka.

-Trochę się zaniepokoiłem - zaczął cicho - kiedy się okazało, że mnie okłamałaś.

-Okłamałam? - Lucinda osłupiała. - O czym ty mówisz?

-Jako możliwy powód zaginięcia Lee podałaś fakt, że ma ona przyjaciółkę w Richmond, w Wirginii. Miała jakoby pojechać do niej. Niedawno rozmawiałem z Greystokiem, który powiedział, że jego żonie nie podobało się w Stanach, kiedy zabrał ją tam dziesięć lat temu. Ponadto w czasie swojej podróży nawet nie zbliżyli się do Wirginii. Obawiam się, że nie będziesz z przyjemnością wspominać tego poranka. Lee nie żyje - mówił łagodnym tonem.

- **Jej ciało** zostało znalezione w szybie kopalni na Dartmoor.

- **O, Boże!** - Lucinda siedziała chwilę nieruchomo, zanim zareagowała na słowa Tweeda. - To po prostu okropne. - Wstała. - **Muszę się napić** czegoś mocniejszego. - Przyniosła sobie szklaneczkę **whisky** i usiadła z powrotem.

- **Może lepiej** napijesz się najpierw wody - doradziła Paula.

**Lucinda** dołała do szklanki wody z karafki i wypła wszystko kilkoma wielkimi haustami. Potem nalała jeszcze i znowu wypła.

Wzięła kilka głębokich wdechów, a potem do tej samej szklanki naalał whisky i zaczęła sączyć ją małymi łyčzkami.

-Aubrey kłamał o Lee i podróży do Ameryki - rzekła wreszcie.

-Ktoś kłamie - odpowiedział na to Tweed.

-Będziesz musiał w takim razie zdecydować, które z nas jest tym kimś. Czy on zajął się organizacją pogrzebu?

-Nie sądzę.

- W takim razie ja to zrobię. Biedna Lee. Gdzie ona teraz jest?

Tweed wyjął z kieszeni marynarki jedną z wizytówek profesora Saafelda.

-Powołaj się na mnie. Ten pan będzie wiedział, o co chodzi. Czy Aubrey dużo podróżuje? A szczególnie czy podróżował wiele

w czasie ostatnich trzech, czterech miesięcy?

-O tak, dla niego każdy pretekst jest dobry. Trzy, cztery miesiące temu był w Stanach, podobno sprawdzał koszty naszych dostawców.

-Wyjeżdżałaś wtedy?

-Prawdopodobnie. Tak, oczywiście, byłam nawet w Stanach, jak on. Staram się dotrzymywać kroku postępowi w mojej branży, a Amerykanie mają wiele świetnych, choć też wiele marnych, pomysłów w tej dziedzinie. Czy mogę już pójść? Powinnam być w fabryce.

-Tak. Przykro mi, że musiałem ci powiedzieć o Lee i dziękuję za cierpliwość - odpowiedział Tweed, wstając.

-Napij się jeszcze trochę wody przed jazdą samochodem - poradziła jej Paula. - Na wypadek gdyby złapała cię policja.

-No i jakie wnioski? - zapytała Paula, kiedy zjeżdżali windą do garażu.

-Najważniejsze jest to, że tak łatwo poradziła sobie z Gallagherem, który jest przecież silny i sprawny fizycznie.

-Pamiętam, że zanim trafiliśmy do Lucindy, mówiłaś o szukaniu kogoś, kto jest zdolny złapać ofiarę i odchylić jej głowę do ty-

łu. Zastanawiam się, czy to mogła być Lucinda - głośno myślała Paula.

Kiedy wchodzili do podziemnego garażu, zadzwonił telefon komórkowy Pauli. Tweed otworzył samochód i usiadł za kierownicą, czekając, aż Paula do niego dołączy.

- Następny na liście jest Larry Voles - oznajmił, kiedy wsiadła. - Zdaję sobie sprawę z tego, że niedawno go przesłuchiwalismy, ale teraz wiemy znacznie więcej.

-Zaczekaj - powstrzymała go Paula, kiedy sięgnął ku dźwigni zmiany biegów. - Dzwoniła Monica. Keith Kent przyszedł na Park

Crescent i chce się z tobą natychmiast widzieć.

-W takim razie najpierw pojedźmy do biura.

Kent siedział i czekał na nich, kiedy pojawili się na Park Crescent. Na kolanach trzymał skórzaną aktówkę, a na niej drugą, z niebieskiego kartonu. Wstał, żeby przywitać się z Paulą, ale położyła mu rękę na ramieniu i posadziła z powrotem na krześle.

-Daj spokój z tymi ceremoniami, Keith. I tak zawsze masz nienaganne maniery.

-Czy doszedłeś do czegoś z tymi rachunkami? - zapytał niecierpliwie Tweed. - Jestem pewien, że motywem popełnienia tych straszliwych zbrodni była władza i pieniądze. Christine Barton musiała się dowiedzieć czegoś niezmiernie istotnego.

Podczas gdy Tweed sadowił się za swoim biurkiem, Kent wstał i rozłożył przed nim kilka arkuszy papieru. Większość była pokryta cyframi, ale dwa zawierały jego sprawozdanie. Uśmiechnął się.

-Masz rzeczywiście niezłego nosa. Złamałem szyfr Christine. Według jej szacunków Gantia jest warta ponad dwa miliardy. Wszystko to jest w rękach Dragona. Niestety, znikło czterysta milionów.

-Czterysta milionów! - wyjąkała Paula. - Masz na myśli czterysta milionów funtów?

-Tak właśnie. To pokaźna suma nawet dla miliardera.

-Jak do tego doszło? - zapytał Tweed z błyskiem w oczach.

- Czy potrafisz to wyjaśnić?

-Gantia ma gigantyczne rezerwy finansowe. Wiem, że ta wielka suma została przelana na konto fikcyjnej firmy o nazwie Livingston, Antilles, Cockcroft and Keyforf, w skrócie LACK. Ktoś

potajemnie wykupił za półdarmo udziały w LACK i przelał na konto tej firmy pieniądze. Wkrótce potem pieniądze zostały z niej zabrane przelewem elektronicznym i znikły. Operacji dokonywała osoba ukrywająca się pod referencyjnym numerem AB200017X, ale nie wiem, kto to był.

-Kiedy to się działo? - szybko zapytał Tweed.

-Daty są niepewne, ale dość dawno.

-A tych czworo zamordowano według Saafelda trzy, cztery miesiące temu. - Tweed energicznie spacerował po pokoju. - I kto został zamordowany? Christine Barton, rewident, która spo-

rządziła rozszyfrowane przez ciebie bilanse. Wynajął ją ktoś, kto podejrzewał, że dokonano jakiegoś grubego oszustwa...

-Drago Volkanian, który był wtedy za granicą? - zasugerowała Paula.

-Bardzo możliwe. Potem ten detektyw, John Jackson, dostaje od jej siostry zlecenie, żeby znaleźć Christine, i sam zostaje zamordowany. Potem Lee Greystoke, której podobno Drago ufał we

wszystkim, zaczyna myszkować w nocy po fabryce Gantii i również zostaje zamordowana. Zaczyna się to nam układać w logiczny ciąg.

-Co to jest fikcyjna firma?

-To taka - tłumaczył Kent - która zbankrutowała albo zaprzestała działalności. Takie firmy można tanio kupić. Finansiści robią to, żeby szybko rozpocząć nowe przedsięwzięcia. A tak przy

okazji, te arkusze - wskazał na bilanse leżące na biurku przed Tweedem - są oryginałami. Nie sądzę, żeby osoba, która wynajęła

Christine, kiedykolwiek je widziała.

-Drago - przerwała mu Paula.

-Możliwe, że masz rację - zgodził się Tweed.

-Co w takim razie teraz robimy? - zapytała.

-Przypomniał mi się ten porzucony trap, który widzieliśmy pod wodą na Ile des Oiseaux.

-Nie rozumiem. - Paula się zdziwiła.

-No to jest nas już dwoje.

-Dziękuję bardzo.

-Musimy ograniczyć krąg podejrzanych - mówił Tweed, wciąż kręcąc się jak tygrys w klatce. - Musimy wśród nich znaleźć kogoś, kto dostatecznie dobrze zna się na księgowości, żeby robić takie sztuczki.

-Chyba że współpracowały dwie osoby - dodała Paula. - Morderca i księgowy. Kiedy oszustwo doprowadzono do końca, morderca zabił współpracownika.

-To mało prawdopodobne. Musimy się przede wszystkim dowiedzieć, kto szybko potrzebował czterystu milionów funtów. Już

od pewnego czasu podejrzewam, że morderca jest w opałach: wy-

eliminuje każdego, kto mógłby ujawnić motyw zbrodni.

Kent spojrział na zegarek i wstał.

- Zrobiłem wszystko, co mogłem, a praca nad tymi papierami zabrała mi czas, który muszę przeznaczyć dla swoich stałych klientów. Przyślę wam rachunek.



-Oczywiście - powiedział Tweed.  
-To będzie słony rachunek, spędziłem nad tym kilka nocy.  
-I należą ci się gratulacje za to, że zdołałeś to rozgryźć, Keith. Zapłacimy co do pensa.  
-Moje honorarium trzeba raczej liczyć w funtach - odpowiedział Kent. Podszedł do Pauli, uściskał ją i pocałował. - Współczuję ci. Widać, że w Tweedzie znowu doszła do głosu natura upartego tropiciela.  
-No więc - odezwała się znów ze zniecierpliwieniem w głosie, gdy Kent wyszedł - co teraz roDimy?  
-Jedziemy do Gantii. Potrzebuję więcej informacji od Larry'ego.  
-Zanim znikniesz - wtrąciła Monica - powinieneś wiedzieć, że dzwonił profesor Saafeld. Chce ci osobiście przekazać jakieś dane. Powiedział, że to może być ważne. Powinieneś do niego na-  
nychmiast zadzwonić.  
-W porządku. - Tweed westchnął niecierpliwie. - Połącz mnie. Mówi Tweed - powiedział do słuchawki, siedząc na biurku.  
- Podobno do mnie dzwoniłeś.  
-Należą ci się przeprosiny, obawiam się, że nie jestem nieomylny. Kiedy zadzwoniłeś do mnie z domu, mówiłeś, że dobrze by było, gdybyśmy mogli zidentyfikować to czwarte ciało, tego mężczyzny znalezionego w śniegu na Dartmoor.  
-Zgadza się.  
-Jeszcze raz obejrzałem ciało - kontynuował Saafeld. - Badał je przedtem głównie jeden z moich asystentów i okazało się, że przeoczył pewien szczegół. Prawa kostka uległa złamaniu na pewien czas przed śmiercią. Ktoś ją nastawił, najlepiej jak się dało, ale zamordowany mężczyzna prawdopodobnie kulał.  
-Rozumiem, to bardzo ważne. Przeprosiny nie były konieczne. Muszę już iść.  
-Zaczekaj, jeszcze nie skończyłem. Zacząłem wszystko jeszcze raz od początku. Pod paluchem prawej stopy znalazłem niewielką kulkę, był to zmięty skrawek papieru. Poszukałem fachmana od takich rzeczy i razem udało się nam ten papierek wysuszyć, rozprostować i odczytać pod mikroskopem część napisu: „Jacko Kenwood, makler, Haldon Street”.  
-Jesteś genialny. Masz u mnie obiad w najlepszej restauracji w mieście. Zadzwonię do ciebie, kiedy będę miał więcej czasu. - Wstał. - Znajdź mi, proszę, na Haldon Street miejsce, gdzie pracu-

ją jacyś maklerzy - poprosił Monice, otwierając drzwi. - Akcje, obligacje i tak dalej.

-Jakbym nie wiedziała, kim jest makler - odgryzła się Monica.

-Gdzie idziecie? - zapytał Harry Butler.

-Czy nie można stąd wyjść bez tłumaczenia się? - warknął Tweed.

Monica wstała zza biurka i dała upust swojemu wzburzeniu:

-Wiem, że *jestes tutaj szefem, ale nie pracujesz sam. Przypominę ci, że stanowimy zespół.*

-Pojedziemy autostradą M3 - poinformował ich Tweed. - Chcemy porozmawiać z Larrym Volesem, przesłuchać go. Podob-

nie jak innych, jeżeli ktoś na miejscu wyda mi się podejrzany.

Paula odczekała, aż oddalą się od miasta, i dopiero wtedy się odezwała. Zbliżali się już do fabryki.

-Nie zapominaj, że twoi podwładni wiedzą o tym zamachu na autostradzie, kiedy kula przeleciała kilka cali od twojej głowy. Wszyscy bardzo martwią się o *twoje bezpieczeństwo.*

-Wiem. Masz rację. Ale staram się jak najszybciej podążać śladem tego potwora. On, lub ona, działa bez litości. Chcę dopaść mordercę.

Brama fabryki była zamknięta. Tweed mruknął niezadowolony:

- Nie zamierzam tracić czasu na ich bramofon.

Nacisnął klakson i go nie puszczał. Paula zacisnęła usta. Zobaczyli w końcu, jak ktoś otwiera okno na pierwszym piętrze i spogląda w ich stronę. Paula położyła Tweedowi dłoń na ramieniu.

- To chyba Lucinda, zobaczyła nas. Zaraz otworzy bramę.

*Zanim skończyła mówić, brama samoczynnie otworzyła się do środka.* Tweed ruszył z piskiem opon, rozrzucając na wszystkie strony alejki żwir, a potem gwałtownie zatrzymał się przed głównym wejściem. Paula, która tylko dzięki pasom nie wpadła na przednią szybę, poirytowana wzniosła oczy do nieba.

Drzwi fabryki otworzyły się i uśmiechem przywitała ich Lucinda.

-Zaczynam się już przyzwyczajać do tego, że wciąż pojawiacie się bez uprzedzenia. Witam w Gantii.

-Przyjechaliśmy porozmawiać z Larrym. To pilna Sprawa.

-Widzę, że z każdą godziną robi się pilniejsza - odparowała Lucinda. - Larry jest w swoim gabinecie. Zaraz was zaprowadzę.

-Dziękuję - odpowiedział Tweed, kiedy wsiadali do windy. W budynku było ciepło, więc zdjął płaszcz. Lucinda pomogła mu,

a potem spojrzała na Paulę, ale ta potrząsnęła przecząco głową. Potem ruszyli długim korytarzem, którego ściany były obwieszane reprodukcjami obrazów van Gogha.

-Lubię van Gogha - zauważył Tweed. - Kto wybierał te reprodukcje?

-Oczywiście Larry - odparła Lucinda, pukając do zamkniętych drzwi. Doszedł ich wyraźny głos Larry'ego:

-Proszę wejść.

Nie powiedział tylko „wejść”, pomyślał Tweed, który bardzo nie lubił, kiedy tym jednym niegrzecznym słowem zapraszano go do środka. Takie zaproszenie zdradzało arogancję osoby, która uważała się za nie wiadomo kogo. Lucinda włożyła do szczeliny przy drzwiach kartę magnetyczną i otworzyła je, zapraszając ich gestem do środka.

Larry energicznie wstał zza zwróconego ku frontowym oknom biurka i ruszył im na spotkanie. Miał na sobie biały sweter z kołnierzykiem polo i spodnie tego samego koloru, wydawał się ucieleśnieniem nieformalnej swobody. Jest taki przystojny, pomyślała Paula, ma ujmujący uśmiech, a jednocześnie rozciąga wokół siebie aurę przywódcy. Doskonały dyrektor wielkiej firmy.

- Widziałem, jak nadjeżdżaliście - powiedział, całując Paulę na powitanie w policzki. - Miałem nadzieję, że przyjechaliście mnie odwiedzić. Usiądźcie, proszę. Czego się napijecie? Kawy, może czegoś mocniejszego? Słońce zachodzi.

Oboje poprosili o kawę i Lucinda wyszła, żeby przynieść napoje. Larry wskazał im miejsca na wielkiej kanapie i przysunął sobie fotel, żeby usiąść naprzeciw nich. Zachowuje się bardzo swobodnie, pomyślała Paula.

-Jak mogę wam pomóc? - zapytał Larry, podczas gdy Lucinda wróciła z filiżankami na tacy, postawiła ją na stoliku i wyszła.

-Sprawa zrobiła się poważna, szukamy sprawcy czterech morderstw - ponuro zaczął Tweed. - Muszę więc zadać panu kilka pytań natury osobistej. Na przykład, w jakich miejscach przebywał pan trzy, cztery miesiące temu?

-Czy to oznacza, że jestem na liście podejrzanych? - z uśmiechem zapytał Larry.

-Krań podejrzanych jest bardzo szeroki - uspokoił go Tweed.

-Nie muszę nawet sprawdzać w terminarzu, żeby odpowiedzieć na pana pytanie. - Na twarzy Larry'ego pojawił się kolejny uśmiech. - Byłem w podróży handlowej w Stanach, odwiedziłem



kilku ważnych klientów. Postanowiłem sam zadbać o nasze kontakty po tym, jak zaginął nasz najważniejszy handlowiec, Michael. Mamy jeszcze dwóch innych dyrektorów handlowych, ale to nie są ludzie jego kalibru. Połowa klientów, z którymi chciałem się spotkać, była nieobecna - turnieje golfowe. Uwierzylibyście państwo? Ale zostawiłem im listy, żeby wiedzieli, że się o nich troszczymy.

-Nie ma więc pan alibi?

-Zgadza się. Ale mogę dać listę ludzi, których odwiedziłem.

-To nie jest konieczne - rzekł nagle Tweed. - Jeszcze jedno pytanie. Kto ma w nocy dostęp do wszystkich biur?

-Ja, Lucinda oraz Michael, ale domyślam się, że wszystko, co miał przy sobie, trafiło w ręce osoby, która zostawiła go przy White-

halj. Był u mnie nadinspektor Buchanan.

-Ktoś jeszcze? - szybko zapytał Tweed.

-Tak. Aubrey Greystoke prosił o taki sam uniwersalny klucz. No i... - Urwał. - To smutne. Lee Greystoke miała klucz, który, jak przypuszczam, dał jej Drago. Poza tym nikt. Lucinda nalega na jak najlepsze zabezpieczenie budynku.

- Kto z dyrektorów Gantii zna się na księgowości?

Larry odchylił się do tyłu, marszcząc brwi.

- To dziwne pytanie, ale nie będę dociekał, czemu pan je zadał. Po pierwsze, ja sam sporo wiem o rachunkowości, ze względu na moją funkcję w firmie. Trudno mnie jednak określić jako kwalifikowanego księgowego. Aubrey jest oczywiście licencjonowanym księgowym, jak każdy dyrektor finansowy. Lucinda nie lubi zajmować się tymi rzeczami, ale ma dobre kwalifikacje. No i oczywiście Michael, który również jest licencjonowanym księgowym. Zdobył licencję w rekordowym czasie, inni muszą się szkolić dwa razy dłużej. To dla niego typowe, ma przenikliwy umysł. Nie lubił się tym zajmować, więc jak najszybciej pochłoniął potrzebną wiedzę.

Tweed wypił trochę kawy i cichszym głosem zapytał:

-Jak się czuje Michael?

-Na razie niestety bez zmian. Nic nie mówi. Jego stan niepokoi mnie i smuci.

-A co robi w ciągu dnia? Domyślam się, że jest cały czas w Abbey Grange?

-Z tego, co wiem, to tak. Punktualnie o ósmej wychodzi i idzie szlakiem do Post Lacey tak jak kiedyś, kiedy tu pracował. Potem wraca do domu. Dużo czasu spędza, czytając dziwne książki.

• - Dziwne?

-Tak. Atlas anatomii Greya jest jedną z jego ulubionych lektur.

-Proszę mi powiedzieć, co pan myśli o Lee Greystoke.

Paula uśmiechnęła się do siebie. Widziała już wcześniej, jak Tweed przesłuchuje, kiedy jest w wojowniczym nastroju. Nagle, nieoczekiwane zmiany tematu.

-Lee? Lubilem ją. -Wstał. - Sądzę, że dobrze mi zrobi odrobina whisky. Nalać też państwu?

-Nie, dziękuję - odmówiło każde z nich.

Larry wrócił z dużą szklanką szkockiej, wypił połowę, a potem postawił ją na stoliku.

-Lubilem ją - powtórzył. - Nie znałem jej zbyt dobrze, jeden raz rozmawialiśmy ze sobą dłużej. Uderzyła mnie jej niezwykła inteligencja. Państwo zapewne wiedzą, że Aubrey nie potrafi się oprzeć żadnej atrakcyjnej kobiecie. To tragiczne. Dla Lee. Kiedy więc ona zaginęła, wszyscy sądziliśmy, że wreszcie go opuściła. Nieprzyjemna sprawa.

-Zgadza się. - Tweed wstał. - To chyba wszystko. Przynajmniej na razie. Dziękujemy za poświęcony czas.

-Jeśli będą chcieli państwo dowiedzieć się czegoś jeszcze, proszę się ze mną niezwłocznie skontaktować.

Charmian, płatny zabójca z Francji, zsiadł z motocykla i ukrył go za żywopłotem. Upewniwszy się, że nikogo nie ma w okolicy, wszedł do rzadko odwiedzanej budki telefonicznej.

Przed umówioną porą rozmowy z M. przymocował do telefonu metalowe pudełko, dzięki któremu, jeśli ktoś próbowałby go namierzyć, numer budki zmieniłby się na numer niejkiej pani Wilson. Ta nieświadoma niczego dama mieszkała w Hammersmith, bardzo daleko od miejsca, z którego dzwonił. Charmian wybrał numer jej telefonu na chybił trafił z londyńskiej książki telefonicznej.

Telefon zadzwonił o umówionej godzinie. Tak jak poprzednio nie było wiadomo, czy głos w słuchawce należy do mężczyzny, czy do kobiety.

-TuM.

-M.? - zapytał Charmian.

-M jak meczet. Czy zlokalizowałeś Tweeda?

-Jest na M3 z tą swoją kobietą. Chyba jadą do fabryki Gantii.

-Zabij Tweeda. Natychmiast. Jest zbyt blisko.

-Zależy, gdzie postawi samochód. Wkrótce się ściemni, więc nie widzę problemu.

-Jeśli chcesz dostać drugą połowę swojego honorarium, musi ci się tym razem udać.

-Zawsze mi się udaje.

Zapadał już zmrok, kiedy Tweed i Paula wyszli od Larry'ego i na korytarzu wpadli prosto na Aubreya Greystoke'a, stojącego podejrzanie blisko biura Larry'ego.

-Dzień dobry, Aubrey - grzecznie powiedział Tweed. - Podsluchujesz?

-Nie wiem... o co ci chodzi. Chodźmy do mojego biura, jest zaraz obok.

Greystoke poprowadził ich powolnym i ostrożnym krokiem, uważnie stawiając jedną stopę dokładnie przed drugą. Tweed przypomniał sobie ten jego sposób chodzenia, który zaobserwował już w restauracji Santorini podczas kolacji z Lucindą.

-Jest pijany - wyszeptła Paula. - Od razu wyczułam, że śmierdzi od niego whisky.

-Ćśś - szepnął Tweed.

Nie był wcale pewien, czy Aubrey jest pijany. Podejrzewał, że jest to raczej poza, którą chce uśpić czujność ludzi wokół siebie. Powolny, jakby marszowy krok wydawał się zbyt wystudiowany. Kiedy weszli do gabinetu Aubreya, usytuowanego z przodu budynku z widokiem na główne wejście, Tweed zgodnie ze swoimi oczekiwaniami zauważył na biurku butelkę szkockiej whisky, a obok niej opróżnioną do połowy szklaneczkę. Może to jeszcze jedna część maskarady?

- Siadajcie, mili państwo.

Usiadł na fotelu, wytarł sobie czoło chusteczką i uśmiechnął się głupawo.

- Zauważyłem przez okno, jak wjechaliście. Robi się ciemno.

Przeszedł przez pokój i nacisnął jakiś guzik. Automatyczne żaluzje się zamknęły, a Tweed zdążył jeszcze spojrzeć przez okno na swój samochód. Aubrey postawił dwie szklaneczki na szklanym sześcianie, który jak się domyślała Paula, miał być stolikiem, i dopiero usiadł w fotelu.

-Whisky dla wszystkich. Świętujemy.

-Co świętujemy? - zapytała Paula.

- Cokolwiek - odpowiedział z kolejnym głupawym uśmiechem. Napełnił swoją szklanekę, uniósł ją i zaczął sączyć małymi łydkami. Paula zauważyła mokrą plamę na przodzie jego koszuli. Czy tam rozlał whisky, żeby roztaćzać wokół siebie odór alkoholu?

-Byłeś kiedyś w Stanach? - zapytał nagle Tweed.  
-Cały czas tam latam. Kto, jeśli nie ja, sprawdzi koszty, które nam narzucają ci Amerykanie? -Wyprostował się w fotelu. - Jestem tutaj dyrektorem finansowym.  
-A trzy, cztery miesiące temu? - dopytywał się dalej Tweed.  
-Tak, wtedy byłem w Stanach.  
-A możemy w takim razie dostać listę firm, które odwiedziłeś?  
-To wam nie pomoże. Jestem tam dobrze znany i recepcjonistki rzadko kiedy zapisują, że przybyłem.  
-W takim razie to by było wszystko, przynajmniej na razie - poinformował go Tweed, wstając. Obejrzał się jeszcze, kiedy byli już przy drzwiach.  
-Lucinda zajmie się organizacją pogrzebu Lee.  
- To dobrze, bo nie przepadam za taką robotą.  
Zimny drań, pomyślała Paula, ale nic nie powiedziała.

Charmian wykonał swoje zadanie. Pod osłoną ciemności umieścił w samochodzie Tweeda silny ładunek, który miał wybuchnąć w momencie włączenia silnika.

Kiedy biegł na tyły budynku, potężne światła oświetlające przednią ścianę były już zapalone. Jego cień pojawił się przez chwilę na ścianie pod oknami, a potem morderca zniknął.

Charmianowi obejście zabezpieczeń nie sprawiło trudności. Przyjechał motocyklem ukrytym teraz w pobliżu autostrady i przywiózł ze sobą składaną drabinę, która mieściła się w bagażniku. Ponieważ drabina była pokryta gumą, drut pod napięciem wieńczący szczyt płotu nie stanowił dla niego żadnej przeszkody.

Na tyłach budynku znalazł miejsce, którego nie było widać z wewnątrz. Zawsze bez trudności znajdował takie miejsce, tym razem na tylnej ścianie, w jej pozbawionej okien części. Kiedy wspął się na szczyt ogrodzenia, nacisnął guzik i z drabiny wysunęła się kolejna jej część, która po naciśnięciu dźwigni opuściła się po drugiej stronie ogrodzenia, otwierając mu dostęp do fabryki.

Po podłożeniu bomby wrócił do drabiny. Charmian był człowiekiem o zdecydowanych rysach twarzy, upiększonej wąskim czarnym wąsikiem wygiętym ponad kącikami srogich ust. Jego oczy spoglądały lodowato. Na szczycie drabiny przeszedł na drugą stronę ogrodzenia, znowu nacisnął dźwignię i zaczekał, aż wysuwana część schowa się do tej, na której stał. Potem szybko zeskoczył na ziemię.

Po naciśnięciu kolejnego guzika drabina złożyła się w mały czworokąt, który Charmian włożył do skórzanej torby przerzuconej przez ramię. W tej torbie wiozł przedtem bombę. Spojrzał na podświetlone wskazówki zegarka. Piętnaście minut. Dokładnie tyle czasu wyznaczył sobie na wykonanie tego zadania.

Do motocykla szedł okrężną drogą przez łąki, a gładkie gumowe podeszwy jego butów nie zostawiały żadnych śladów. Przy autostradzie zatrzymał się i zaczął nasłuchiwać. Nic nie jechało.

Szybko przebiegł przez pustą drogę i znalazł się na polach po drugiej stronie, a potem pośpieszył do motocykla. Ponieważ był zawodowcem, nie czekał, aż bomba wybuchnie. Zawsze starał się znaleźć jak najdalej od miejsca wybuchu.

Kiedy Tweed i Paula szli korytarzem do windy, gotowi wyjść już z budynku fabryki, natrafili na Lucinę, która wychynęła ze swojego gabinetu i zastąpiła im drogę.

- Wychodzicie tak, nie zamieniwszy ze mną słowa? Myślałam, że mnie polubiliście.

Zaprosiła ich gestem do swojego biura. Mimo że żaluzje były zasłonięte, przebijało przez nie ostre światło reflektorów. Lucinda naląła z karafki wody do trzech szklaneczek, a potem napełniła trzy filiżanki kawą z ekspresu.

-Czujcie się jak u siebie w domu - poprosiła, siadając na obrotowym taborecie, świetnie eksponującym jej długie nogi, założone jedna na drugą.

-Siadajcie, proszę - powiedziała.

Usiedli przy niej w fotelach, pomiędzy którymi stał stolik z kawą. Tweed sięgnął po swoją filiżankę, a po kilku łykach wybornej kawy poczuł przyływ sił. Paula wypila trochę wody.

-No - zażądała Lucinda z uśmiechem - powiedz mi, kogo dzisiaj słownie rozkładałeś na łopatki. Ze wszystkimi szczegółami.

- Lucinda była najwyraźniej w wesołym nastroju.

-Odbiliśmy długą i ciekawą rozmowę z Larrym. Jest bardzo bystry.

-O tak, przejawia się to na wiele sposobów. Michael, w co trudno uwierzyć, jest jeszcze bardziej inteligentny. To znaczy był przed amnezją. Zastanawiam się, co ją wywołało.

-Na głowie miał okropny guz i lekarze podejrzewają, że on może być przyczyną. Ktoś go mógł uderzyć.

- - To brzmi podejrzanie.

-Cała ta sprawa jest bardzo podejrzana i pełna znaków zapytania.

-Masz jakieś wątpliwości?

-Lucindo, na tym etapie śledztwa zakładam, że wszyscy wokół mnie kłamią. I że wszyscy są podejrzani.

-A motyw?

-Pieniądze i władza - powiedział Tweed, pochylając się ku niej.

-Nie zapominaj, że mnie tego akurat nie brakuje - odparła po chwili ciszy. Sięgnęła po swoją filiżankę i zaczęła sączyć kawę,

wpatrując się w Tweeda. - Nie oświecisz mnie?

-Nie, nie zamierzam tego robić. - Pochylił się ku niej jeszcze bliżej. - Zidentyfikowaliśmy już ostatnie ciało, ofiarę numer cztery. Mężczyznę znalezione przy szlaku na Dartmoor.

-I kim on był?

-Nikommu tego jeszcze nie wyjawię.

-Sądysz, że właśnie on okaże się rozwiązaniem zagadki? - dopytywała się Lucinda.

-Tak, to możliwe. Wiem teraz znacznie więcej niż w czasie wizyty w Abbey Grange, kiedy widziałem wielbego Stenhouse'a Dark-

fielda, bez przerwy bijącego w dzwony przykościelnej wieży.

-Uważasz, że to ma jakieś znaczenie? - zapytała Lucinda zdziwiona.

-Na tym etapie wszystko, każdy szczegół, może mieć znaczenie. Minęliśmy tam z Paulą rząd wiejskich domów dotykających się ścianami. To pewnie jakaś wieś. Jak się nazywa?

-O, ten koniec świata nie ma nazwy, są takie miejsca na Dartmoor.

Tweed dopił kawę i wstał.

-Robi się późno i spodziewam się, że zamknęliście już fabrykę. Nigdy nie byłem w środku.

-Pokażę wam - zaproponowała Lucinda, zdejmując z wieszaka futro z norek. Włożyła je i pogładziła ręką. - Kupiłam za bezcen w bankrutującym sklepie przy Bond Street. Chodźcie.

Ruszyła przed nimi korytarzem, w pewnym momencie nagle się zatrzymała. Jednym ze swoich kluczy otworzyła ukryty zamek i odsunęła część ściany, zapraszając gestem, żeby zajrzeli do środka.

Patrzyli na wielką halę fabryczną, w której szerokie przejścia przedziały rzędy czystych, białych półek. Światła wciąż się paliły, ale w hali nie było śladu robotników, a na półkach zalegały kolorowe opakowania z produktami żywnościowymi. Przez otwór

w ścianie sączyło się do korytarza zimne powietrze i Paula doszła do wniosku, że cała hala musi być klimatyzowana.

Dokładnie przyjrzała się jednemu z przejść sześć metrów niżej. Biegły wzdłuż niego szyny, na których stała nieruchomo mała lokomotywa ze sznurem plastikowych wagonów. Wskazała na dziwny pociąg.

-Co to jest?

-To kolejny genialny pomysł Larry'ego. Ciężarówki z dostawami podjeżdżają z tyłu hali, a stamtąd jest bardzo daleko do tego miejsca. Kiedyś pracownicy musieli nosić przywieziony towar,

teraz wystarczy, że zapakują go na wagoniki i lokomotywa wiezie

wszystko na miejsce, gdzie następuje rozładunek. - Lucinda zasunęła otwór w ścianie i zamknęła go na klucz. - Nie powinno to być otwarte za długo.

-Chodźmy już - zaproponował Tweed.

Lucinda odwróciła się i podeszła do Tweeda tak blisko, że dobiegł go zapach drogich perfum.

- Teraz powiedz mi, kim była czwarta ofiara - szepnęła. -Wiesz przecież, że możesz mi zaufać.

Podeszła do niego jeszcze bliżej, ale Tweed się nie poddawał.

-Tożsamość tej osoby jest ściśle poufna.

-Cóż, przynajmniej się starałam. - Ruszyła z powrotem do swojego biura. - Właśnie sobie przypomniałam, że nie mogę z wa-

mi wyjść. Muszę jeszcze sprawdzić, czy tylne drzwi są zamknięte.

Na parterze umundurowany strażnik otworzył im drzwi i życzył dobrej nocy. Na tarasie i schodach przed wejściem było zimno i Tweed już z daleka otworzył pilotem drzwi samochodu. Kiedy Paula sadowiła się na miejscu pasażera, obiegł samochód i wskoczył za kierownicę. Zamknął za sobą drzwi i włożył kluczyk do stacyjki.

## 21

Nagle ktoś zapukał natarczywie w okno Pauli. Wyrzała i zobaczyła twarz Harry'ego Butlera, który wsunął głowę do środka, kiedy opuściła szybę.

-Lepiej nie przekręcaj kluczyka - z uśmiechem powiedział do Tweeda.

-Dlaczego?

-Coś tu macie.

Pochylił się i podniósł małą metalową skrzynkę, którą położył na krawędzi okna Pauli. Otworzył zatrzask i podniósł pokrywę, pod którą kłębiły się różnokolorowe druty: czerwony, niebieski i czarny. Paula zajrzała do środka. Na końcu każdego przewodu znajdowała się mała wtyczka, a pod nią płatanina innych drutów. Wzdrygnęła się.

-Wygląda zupełnie jak bomba.

-Bo to jest bomba - odrzekł Harry. ^ I to niezwykle silna. Wystarczyłaby nie tylko, żeby rozerwać samochód na strzępy, ale również żeby zniszczyć połowę frontowej ściany tego budynku za

mną. Bardzo skomplikowany mechanizm. - Uśmiechnął się do Pauli. - Nie bój się, usunąłem detonator. Ktoś sprytny włożył to cudo pod pedał, który Tweed by nacisnął pewnie jeszcze przed przekręceniem kluczyka w stacyjce.

Paula wytarła spocone dłonie o spodnie, a Tweed pochylił się, żeby spojrzeć Harry'emu w oczy.

-Jak to się stało, że tutaj jesteś?

-Śledziłem was. Ktoś przecież musi się wami opiekować.

-Opowiedz, co widziałeś.

Harry położył rozbrojoną bombę na ziemi.

- Zobaczyłem wasz wóz stojący samotnie na otwartej przestrzeni. To niebezpieczne. Byłem za bramą, kiedy usłyszałem nad-



jeżdżający od strony Londynu motocykl, który zatrzymał się kilkaset metrów przed fabryką, zjechał z drogi i zniknął. Potem nic. W tych ciemnościach z trudem obserwowałem wasz samochód, ale potem zapalili reflektory wokół fabryki. Zobaczyłem na ścianie czyjś cień, ten ktoś znikł na tyłach budynku. Podejrzana sprawa.

-Nie każ nam czekać - ponagliła Paula.

-Podszedłem do bramofonu i powiedziałem strażnikowi, że jestem z SIS. Otworzył mi, pobiegłem alejką do wejścia, pokazałem strażnikowi legitymację i powiedziałem, że będę na zewnątrz pilnował samochodu. Poszedł z powrotem do środka. Najpierw z latarką wczołgałem się pod samochód, bo podwozie to ulubione miejsce do umieszczania bomb. Nic tam nie znalazłem.

-Byłeś bardzo skrupulatny - skomentował Tweed.

-Potem w świetle latarki sprawdziłem w środku. Dobrze znam się na samochodach i pod pedałem gazu zobaczyłem coś, czego tam nie powinno być. W mgnieniu oka otworzyłem wytrychem drzwi pasażera, wsiadłem do środka i znalazłem bombę. Na szczęście jestem również saperem, więc wyjąłem szczypce i przyciąłem odpowiednie druciki, choć przedtem musiałem wziąć głęboki oddech i się pomodlić. Przy cięciu liczy się odpowiednia kolejność.

-Rozumiem, że udało ci się dobrze zgadnąć - powiedziała Paula.

-Jeśli chce się dłużej żyć, nie ma w tym zawodzie możliwości zgadywania. To nowy model francuski. Niedawno jeden z informatorów Marlera dał mi dokładne fotografie tej bomby. Obejrzałem je razem z naszymi specjalistami w piwnicy. Domyślili się, jak to działa, a ja miałem szczęście.

-To my mieliśmy szczęście - dodał Tweed. - Mieliśmy szczęście, że za nami pojechałeś. Wielkie dzięki, uratowałeś nam życie.

-Taką już mam pracę. Jedziecie z powrotem na Park Crescent? W takim razie pojedę za wami. Wskoczę na razie na tylne siedzenie i powiem wam, gdzie się zatrzymać. Samochód zaparkowałem na polu zaraz po zjeździe z M3.

-Morderca najwidoczniej lubi te okolice - rzekła zamyślona Paula, kiedy brama fabryki się otworzyła i wyjechali na autostradę. - Ten pocisk trafił w nasze okno niedaleko stąd.

-To nam nie pomoże - odparł Tweed, zatrzymując samochód we wskazanym przez Harry'ego miejscu.

-Zauważyłam, że Lucinda uznała za konieczne wytłumaczyć, dlaczego nie może wyjść i pojechać razem z nami - kontynuowała Paula, kiedy czekali. - Osoba, która wynajęła mordercę, mogła przecież wiedzieć o bombie.

-To samo przyszło i mnie do głowy - mruknął Tweed.

Frachtowiec „Oran” przepłynął Cieśninę Gibraltarską i, oddalony o 250 kilometrów od wybrzeża Portugalii, obrał kurs na północ. Noc była bardzo ciepła jak na tę porę roku, a niezwykle spokojne morze błyszczało w świetle księżyca jak wielkie niebieskie jezioro.

Abdul, potężny Arab, wyglądał ponad relingiem z lewej burty. Na zawieszonym na niej trapie pracowało dwóch innych Arabów, którzy zamazywali nazwę „Oran”. Abdul pomyślał, że jak dobrze pójdzie, zdążą wymalować nową nazwę, zanim statek wpłynie na niespokojne wody Zatoki Biskajskiej.

Ponad pokładem niemrawo powiewała na maszcie nowa bandera. Na Morzu Śródziemnym statek płynął pod flagą Liberii, a teraz zawieszono inną tanią banderę, panamską.

Mimo że Abdul prowadził swój statek z dala od uczęszczanych szlaków handlowych, nakazał jednak rozmieszczenie obserwatorów po obu stronach pokładu, na którego obchód właśnie się wybierał. Zaczął od lewej burty i nagle się zatrzymał, ponieważ jeden z obserwatorów osunął się na deski i spał przytulony do burty. Abdul zacisnął wąskie usta.

Cicho zawołał dwóch Arabów, którzy podbiegli na dźwięk jego komendy. Ręką wskazał śpiącego marynarza i beznamytnym głosem wydał rozkaz. Posłuchali go bez wahania, pochylili się, wzięli śpiącego pod ramiona i podnieśli go do pozycji stojącej.

- Ali - syknął Abdul po arabsku - jesteś obrazą dla Allaha. Takich nierobów jak ty nie potrzebujemy na pokładzie.

Skinął głową na trzymających go ludzi, którzy podnieśli Alego jeszcze wyżej i przechylili ponad relingiem. Abdul wyjął zakrzywiony nóż, zbliżył się i poderżnął Alemu gardło od ucha do ucha.

- Nie zabrudźcie mi pokładu krwią - powiedział cicho.

Dwóch Arabów, nie ociągając się, przerzuciło ociekające krwią ciało nad relingiem. Abdul nakazał im powrót na posterunki. Był doświadczonym kapitanem i wiedział, że ciało będzie dryfować coraz dalej od wybrzeża Portugalii, ku zimnym prądom Atlantyku.

Spojrzał na zegarek. Do celu dotrze po zapadnięciu zmroku, zgodnie z planem. Będą punktualnie. Spod galabii wyjął kartkę

papieru, na której znajdowały się instrukcje jego nieznanego zleceniodawcy, przekazane mu przez pośrednika.

Ma dotrzeć do Angory w ciągu dziesięciu dni ze statkiem wyposażonym śmiertelnościami głowicami do rakiet. Wówczas wyznaczone cele zostaną unicestwione.

Tweed i Paula dojeżdżali już do Park Crescent, a tuż za nimi podążał Harry, w każdej chwili gotów wyrwać się swoim peugeotem do przodu. Pod płaszczem na przednim siedzeniu położył pistolet maszynowy, by w razie zagrożenia łatwo po niego sięgnąć.

-Czy zbliżamy się do mordercy? - zapytała Paula.

-Sądzę, że zetknęliśmy się z nim już co najmniej raz.

-Zacieśniłeś więc krąg podejrzanych?

-Nie, jeszcze nie. Czy masz jeszcze trochę sił?

-Oczywiście. Jedziemy do biura, a potem czeka nas zapewne kolejna wizyta.

-Właśnie. Ivy Cottage, Heel Lane, Boxton, hrabstwo Berkshire. Przy drodze do Amersham.

-Kto mieszka w takiej dziurze?

-Mieszkała, niestety. Lee Greystoke. Sądzę, że mogła znaleźć coś ważnego w czasie swoich nocnych wizyt w fabryce Gantii. Bę-

dąc kobietą, łatwiej może znajdziesz coś, co ewentualnie ukryła w domu.

-Czym będzie owo „coś”?

-Nie mam pojęcia.

-Nie mogę się doczekać. Przecież zaraz zrobi się ciemno. Będziemy po ciemku szukać tego domu, a potem też po ciemku w nim buszować. Prawdopodobnie po trzech miesiącach odcięli już dopływ prądu.

-Jeszcze jakieś zastrzeżenia? - zapytał poirytowany Tweed.

- Zawsze mogę poprosić kogo innego, żeby ze mną pojechał. Może jesteś zmęczona? Jeśli tak, to raczej nie powinnaś jechać.

-Tracisz pamięć? - przerwała mu. - Przed chwilą powiedziałam ci, że mam dość sił. Powinniśmy jednak poprosić Monice, że-

by kupiła nam coś do jedzenia w całodobowych delikatesach, zanim pojedziemy. Nie jedliśmy nic od wielu godzin.

-To dobry pomysł - przyznał Tweed łagodnie. - Chciałbym, żebyś właśnie ty ze mną pojechała. Z każdym dniem trop tego mordercy staje się coraz bliższy. Poza tym przeczuje mi podpowiada, że powinniśmy działać jak najszybciej.

-Zaraz znajdę na mapie trasę do Berkshire i będę cię pilotować. - Uśmiechnęła się i wyższociła. - Robię to lepiej od ciebie.

-Na pewno.

Reszta ekipy czekała na nich w biurze, Monica zaciągnęła już zasłony na ciemnych oknach. Harry natychmiast zaczął ze swadą opowiadać o bombie, cc bardzo poruszyło Marlera. Z rozniewanym wyrazem twarzy wstał zza biurka.

-To już koniec. Powiedziałeś, że to był francuski model bomby? "Właśnie. To znaczy, że Charmian znowu zaatakował. - Zaczął

chodzić po pokoju, tak jak czasem czynił to Tweed. - Musimy szybko pozbyć się tego typu. Przypuszczam, że ukrywa się teraz gdzieś w Londynie. Ten szczur pewnie śledził Harry'ego, kiedy zo-

baczył, jak Tweed wyjeżdża z biura.

-Nie widziałem, żeby ktoś mnie śledził - bronił się Harry. - Aż do fabryki na M3 byJ wciąż wielki ruch.

Marler go nie słuchał.

- Idę porozmawiać z moimi boginiami nocy. Muszę ich odwiedzić jak najwięcej. Te panie są bardzo spostrzegawcze i dużo słyszą. Do zobaczenia.

Marler złapał długi skórzany futerał z napisem „Slazenger” i przewiesił go sobie przez ramię. Paula chwyciła go za ramię.

-W tej torbie raczej nie masz kija golfowego, prawda?

-Karabin.

Marler wyszedł, cicho zamknąwszy za sobą drzwi. Paula uniosła brwi i spojrzała na Tweeda.

-Nigdy nie widziałam go w tak wojowniczym nastroju.

-Ani ja. Myśliwy stał się teraz zwierzyną.

Newman wstał i włożył lekki płaszcz, ale nie zapiął go, żeby w razie potrzeby łatwiej wyciągnąć trzydziestkę ósemkę smith & wesson. Idąc ku drzwiom, powiedział:

- Idę za Marlerem. Mamy różnych informatorów.

Peter Nield również skierował się ku drzwiom. Zanim wyszedł, rozejrzał się po biurze.

-Marler pójdzie do Soho. Ja, tak jak Harry, znam ludzi na East Endzie. Ktoś na pewno będzie wiedział, że w dzielnicy jest nowy, i w dodatku Francuz. Dorwiemy go jeszcze dzisiaj...

-Ja do nich nie dołączę - oznajmił Harry. - Wyczuwam, że Tweed i Paula zamierzają gdzieś pojechać, Paula cały czas siedzi nad wojskową mapą Berkshire. Będę jechał za nimi. Paulo, dasz mi kanapkę? Słyszałem, jak wysyłałaś Monice do delikatesów.

- A ja zgadłam, że będziesz chciał pojechać za nami. Zamówiłam dla nas trojga.

Tweeda zaskoczył tłok na drodze o tak późnej godzinie. Czy to się nigdy nie skończy, to ciągle wleczenie się w korkach? Dopiero za Beaconsfield zmieniła się pogoda. Deszcz i ciemności Londynu ustąpiły miejsca bezchmurnemu niebu, z którego księżyc rozlewał światło po krystalicznie czystych, skutych mrozem polach.

- Ale cicho - zauważyła Paula. - A tak przy okazji, jesteśmy na drodze A355, więc powinniśmy uważnie się rozglądać. Pomogłoby mi, gdybyś zwolnił. - Rozłożyła sobie mapę na kolanach. Kanapki zakupione w delikatesach pomogły zwalczyć senność.

- Zjechać mamy na prawo, tak ci powiedziała Lucinda?

- Tak. Minęliśmy jednak kilka nieoznaczonych zjazdów, to niezmiernie pomocne.

Zwolnił, kiedy mijali kolejne skrzyżowanie, tym razem z wiejską szosą porośniętą z obu stron lasem iglastym. Paula poklepała Tweeda po ramieniu, a ten zwolnił do trzydziestu kilometrów na godzinę.

-To tutaj - powiedziała szybko. - Heel Lane, Boxton.

-Teraz musimy tylko dojechać do Ivy Cottage - odrzekł Tweed.

- Lucinda powiedziała, że dom stoi samotnie.

- Więc jedź powoli.

Szose, na której zaczęła ścielić się mgła, otaczał z obu stron gęsty las. Tweed chrząknął i skoncentrował się na drodze, gdyż ledwie widział zakręty w świetle reflektorów. Paula obserwowała prawą stronę drogi, ale nie zauważyła śladu ludzkich siedzib, żadnego znaku życia ani ruchu na drodze. Spojrzała do tyłu na wyjątkowo długi prosty odcinek drogi. Nic.

-Harry chyba przegapił skrzyżowanie. Jesteśmy sami.

-Mam walthera - uspokoił ją Tweed.

-A ja browninga i beretę w nogawce. I jeszcze to. - Z pochwy przypiętej do prawej nogi wyjęła nóż. Tweed spojrzał nań szybko i zmarszczył brwi.

-Skąd go wzięłaś?

-Kiedy byłam na poligonie w Surrey, dał mi go ten nowy instruktor. Kazał mi ćwiczyć walkę z nożem na skórzanym maneki-

nie. Był zadowolony dopiero wtedy, kiedy sześć razy z rzędu wbi-

łam nóż aż po rękojeść.

-Mnie też chciał coś takiego dać, ale odmówiłem.

-Jeśli ktoś zaatakuje cię nagle z bliska, nóż jest niezastąpiony.

Nie skończyła mówić, kiedy usłyszeli nadjeżdżający motocykl, którego zbliżający się reflektor zaczął ich oślepić. Tweed mignął światłami, ale bezskutecznie. Paula kątem oka zauważyła sylwetkę ubranego w czarny skórzany kombinezon motocyklisty w wielkim hełmie z zamykaną szybą. Nie było widać, czy jest to mężczyzna, czy kobieta. Motocykl wkrótce zniknął.

Paula zamruwała kilka razy, żeby odzyskać wzrok, a potem spojrzała na Tweeda, który wciąż jechał w ślimaczym tempie. Złapała go nagle za ramię.

-Zatrzymaj się! Chyba znalazłam.

-Nic nie widziałem - odpowiedział, naciskając hamulec.

-W takim razie wysiadźmy i sprawdźmy.

Zamknął drzwi na klucz i poszedł za nią. Rozpadająca się drewniana furtka stała uchylona, a Paula świeciła latarką na zaczynającą się za nią wąską ścieżkę, którą wyznaczało tylko kilka kamieni wśród błota. Paula miała rację - dalej było widać stary, kryty gontem wiejski dom z wąskimi oknami. Najwyraźniej dawno nie był malowany. Wokół otoczonego wielkimi jodłami domu panowała grobowa cisza.

- To tutaj - wyszeptała Paula.

Światło latarki zatrzymało się na zaniedbanej tabliczce na frontowej ścianie: IVY COTTAGE. Tweed spojrzał znad okularów i stwierdził, że od dłuższego czasu nikt nie czyścił tej tabliczki.

- Co za głupie miejsce na umieszczenie nazwy domu - mruknął. - Nikt z drogi nie zobaczy tej tabliczki. Wygląda na %, że Lee nie chciała, żeby ktokolwiek ją tutaj znalazł.

Paula stała nieruchomo, przyłożywszy dłoń do ucha. Miała bardzo dobry słuch i w oddali usłyszała warkot motocykla zbliżającego się z tej samej strony, z której oni przyjechali. Tweed też go usłyszał, był coraz bliżej, aż umilkł około stu metrów od domu. Tweed dał Pauli znak, żeby zgasila latarkę, co natychmiast uczyniła. W tej samej chwili wyciągnęła swojego browninga.

- To ten sam motocyklista, który nas minął - szepnęła.

Klaustrofobiczna atmosfera domu, otoczonego ze wszystkich stron jodłami, kazała jej ściszyć głos.

-Skąd wiesz? - sceptycznie zapytał Tweed. - W tej głuszy pewnie wielu ludzi jeździ motorami.

-Ale tamten miał jakiś podrasowany silnik, który wydawał charakterystyczny stukot. Tak jak ten, który teraz wrócił.

-Może w środku będziemy bezpieczniejsi - zasugerował Tweed.

Paula odwróciła się i podniosła zardzewiałą zasuwę, ale okazało się, że ciężkie drewniane drzwi były przez cały czas uchylone. Otworzyli je i Paula ostrożnie postawiła stopę na surowych deskach podłogi. Wnętrze było bardzo skromnie urządzone. Tweed wszedł za nią i przymknął drzwi, pozostawiając wąską szparę, żeby w razie czego mogli szybko wyjść.

W domu powiał ich zapach stęchlizny. Przeszli ponad stosikiem kopert, które wrzucono przez szczelinę na listy, i Paula zapaliła latarkę, osłaniając światło ręką. Ostrzegła Tweeda, żeby nie zapalał jeszcze światła.

Szukając ręką drogi wokół drewnianych krzeseł i stołów, obezła wszystkie okna i delikatnymi pociągnięciami zasunęła zasłony. Potem zawołała do Tweeda, żeby znalazł wyłącznik światła. Ku jego zaskoczeniu zapaliły się stare przenośne lampy, zawieszane na hakach wzdłuż ścian. Lamp takich używało się kiedyś, żeby w nocy ostrzec kierowców o przeszkodach na drodze.

Wnętrze wypełniło się czerwonym światłem. Tweed przyjrzał się lampom i zauważył łączący je wszystkie przewód. Kiedy włączył światło, usłyszał również delikatny warkot uruchamianego generatora prądu.

-Lee dobrze to wymyśliła - powiedział. - Doskonale wiedziała, że nie da rady za często tu przyjeżdżać, a kiedy wróci po długiej nieobecności, prąd i woda będą odcięte. Co zrobiła? Kupiła te stare lampy oraz przenośny generator i połączyła jedno z drugim tymkablem. Musiała mieć smykałkę do techniki.

-Zauważyłeś, w jakim stanie jest to miejsce?

Uwagi Tweeda nie umknął panujący wszędzie bałagan. Cały parter zajmowało jedno wielkie pomieszczenie z małą kuchnią prowadzącą do alkowy. Ktoś powyciągał wszystkie szuflady ze starych, stojących pod ścianami drewnianych szafek i rozrzucił ich zawartość na podłodze. Przy kuchence stały pootwierane i opróżnione puszk i słoiki. Z jednoosobowego łóżka pod boczną ścianą zdjęto materac.

-Spustoszone, podobnie jak mieszkalna barka detektywa - skomentował Tweed. - Od czasu do czasu pomieszkiwała tutaj kobieta. Gdzie mogłaby ukryć coś ważnego?

-Pytasz teraz, kiedy ktoś już przetrząsnął to miejsce? - z wyrzutem odezwała się Paula.

-Zakładam, że włamywacz nie znalazł tego, czego szukał albo szukała. Spróbuj, a ja w tym czasie wyjdę i sprawdzę, czy z zewnątrz nie widać światła.

Szybko prześlizgnął się przez drzwi i obszedł dom dookoła, starając się omijać rosnące wszędzie cierniste krzewy. Lee dobrze to wymyśliła. Zasłony były grube i światło lamp elektrycznych nie było widoczne z zewnątrz. Musiała być niezwykłą osobą. Szkoda, że nigdy jej nie poznał.

Wrócił do drzwi, ale gdy wchodził, potknął się na drewnianym progu i upadł na podłogę, w tym samym momencie ze świstem przeleciał pierwszy pocisk, z hukiem rozbijając okno po drugiej stronie domu.

Tweed leżał przyciśnięty do podłogi, podczas gdy kolejne pociski wlatywały przez otwarte drzwi. Wyciągnął walthera, w ciemności udało mu się również dostrzec błysk wystrzału. Zaczął strzelać w kierunku jednej z jodeł, za którą ukrywał się napastnik. Paula podczołgała się do drzwi i leżała teraz na brzuchu obok Tweeda. Również ona zobaczyła w ciemności błyski wystrzałów, więc zaczęła, aż Tweed opróżni magazynek, wycelowała i sama zaczęła strzelać, najpierw w prawo, potem w lewo, a potem jeszcze raz z obu stron drzewa. Zgadywała, że przeciwnik poruszał się w jedną albo w drugą stronę, żeby kontynuować ostrzał z innego miejsca.

Wsunęła właśnie nowy magazynek, kiedy zdała sobie sprawę, że nikt już do nich nie strzela. Odczekała chwilę, podobnie jak Tweed, który też się zorientował, że zagrożenie minęło. Panowała głucha cisza.

Nieruchomo leżeli jeszcze przez pewien czas obok siebie. Kilka minut później usłyszeli ruszający z rykiem motocykl i oddalający się warkot podrasowanego silnika. Motocykl jechał w kierunku drogi do Beaconsfield.

-Ledwie uszliśmy z życiem - powiedziała Paula, kiedy wstali  
- ale nie zamierzam przerwać poszukiwań.

-Życzę szczęścia.

Po kilku minutach dotarła do małej lodówki, której zawartość wałała się po podłodze. Otworzyła ją, pochyliła się i zajrzała do środka. Z pustego wnętrza uderzył ją straszliwy smród, ale prze-mogła się i gołymi rękami sięgnęła ku tylnej ściance. Lodówka była kremowa, a Pauli wydało się, że z tyłu kolor jest jaśniejszy.

Jej palce dokładnie zbadały wnętrze lodówki i odkryły przyklejoną z tyłu cienką, plastikową płytę, za którą znalazła kremową kopertę. Wyjęła ją i zawołała Tweeda.

- Może właśnie tego szukamy?



Włożył gumowe rękawiczki i otworzył kopertę, z której wyjął arkusz pokryty wydrukowanymi na komputerze liczbami. Spojrzał na Paulę i uśmiechnął się szeroko.

-To jest kluczowy dokument potwierdzający teorię na temat tych morderstw, którą budowałem już od dłuższego czasu. Jest dowodem na to, że ktoś przelał czterysta milionów funtów z Bonę

w Angorze na konto w Wielkiej Brytanii. Numer, pod którym ukrywa się właściciel konta, jest taki sam jak na dokumentach odszyfrowanych dla mnie przez Kenta. To tutaj jest zapewne wydrukiem potwierdzenia przelewu, wysłanym pocztą bądź kurierem do osoby, która otrzymała te pieniądze.

-Ale po co?

-Kimkolwiek jest ta osoba, ludzie z Angory chcieli ją w ten sposób uspokoić.

-Ale przecież odbiorca tak wielkiej sumy musiał już wiedzieć, że ją otrzymał.

-Nadawca w Bonę chciał się o tym upewnić i dodatkowo posłał to potwierdzenie. Znalazła je Lee, przeszukując biura dyrektorów w Gantii. Była inteligentna. Bojąc się, że morderca będzie próbował odzyskać potwierdzenie, ukryła je w swoim domu na wsi, gotowa oddać je Dragonowi, kiedy ten powróci z podróży zagranicznej.

-W takim razie odbiorca tej fortuny, nazwijmy go X, fantastycznie się wzbogacił, sprzedając Angorze coś, co ma wielką wartość dla tego państwa.

-Właśnie tak - odrzekł Tweed. - Ale przypuszczam, że to nie było takie proste. Zanim to wszystko się stało, X moim zdaniem, musiał wcześniej, że tak powiem, pożyczyć sobie te czterysta milionów z kasy Gantii, a potem utracić całą sumę. Po to, żeby

zwrócić ją do rezerw Gantii, zanim Drago odkryje jej brak, X w desperacji sfinalizował umowę z Angorą.

-X ukradł czterysta milionów z kasy Gantii, stracił je, a potem musiał jakoś zdobyć te pieniądze, żeby je oddać.

-Właśnie tak.

-Ale czy wiesz, kim jest morderca?

-Nie, tego nie wiem, ponieważ nie wiem, do kogo należy ten numer.

Nagle ich uszu doszedł trzask gałązki złamanej przez kogoś, kto skradał się do frontowych drzwi. Paula wycelowwała w ich kierunku trzymanego oburącz browninga.

- Nie strzelajcie do anioła stróża, choć może na to zasługuje - rozległ się głos Harry'ego Butlera.

Stał tuż przed drzwiami z przewieszonym przez ramię uzi. Ręce trzymał podniesione. Z ponurym wyrazem twarzy opuścił je i wszedł do środka.

-O czym ty mówisz? - zapytała Paula. - Zasługujesz na to, żeby cię zastrzelić?

-Jechałem za wami od Park Crescent, starając się utrzymać między nami odstęp jednego samochodu. Potem, kiedy wjechaliśmy na drogę do Beaconsfield, jakiś samochód zajął mi drogę, zatrzymałem się w ostatniej chwili. Kiedy dotarłem do A355, byłem już daleko za wami i nie zauważyłem miejsca, w któ-

rym z niej zjechaliście. Dotarłem prawie do Amersham, zawróciłem i w końcu znalazłem Heel Lane. Zanim dojechałem do was, minął mnie motocyklista pędzący jak pocisk w kierunku Londynu. - Nagle zamilkł i spojrzął za nich. - O, co tu się działo? W oknie z tyłu są dziury po pociskach.

Tweed krótko zdał mu relację z niedawnej strzelaniny. Butler zareagował natychmiast: podbiegł do drzwi frontowych i zamknął je. Dopiero kiedy położył przy nich ciężkie, przewrócone krzesło, wrócił do Tweeda i Pauli.

-Wiecie co? Ten motocyklista musiał mnie śledzić, kiedy zobaczył, że odjeżdżacie z Park Crescent. A ja ani razu go nie dostrzegłem na autostradzie. Raczej marny ze mnie ochroniarz.

-Och, przestań. - Paula go uścisnęła. - Pamiętaj, że to właśnie ty znalazłeś bombę i ocaliłeś nas koło fabryki. Poza tym ja też prawie minęłam Heel Lane, kiedy tu jechaliśmy.

-Coś mi się wydaje - odezwał się Harry - że Newman, Marler i Pete marnują czas. Przeczesują Soho, East End i różne rewiry Pete'a, szukając tego, jak mu tam...

-Charmiana - odpowiedziała mu Paula.

-Po pierwsze - tłumaczył dalej Harry - na autostradzie M3 też usłyszałem motocykl, zanim ten Francuzik podłożył bombę w waszym samochodzie. A po drugie, tutaj strzelał do was właśnie motocyklista, prawda? No właśnie. To nie zostało dobrze pomyślane. Morderca obserwował nasze biuro i prawdopodobnie trzymał swoją maszynę ukrytą w krzakach przy głównej ulicy za Park Crescent.

- Brzmi rozsądnie - zgodził się Tweed. - Teraz, skoro Paula znalazła to, czego szukałem, wracajmy jak najszybciej do biura.

- Oni na pewno nie znajdą tego Francuza - powiedział Harry, kiedy wychodzili.

Marler chodził wytrwale jak maszyna. Było już dobrze po północy, a on wciąż przemierzał ulice Soho, rozmawiając ze swoimi informatorkami. Wypytał już ponad tuzin, niczego się jednak nie dowiedział. Charmiana albo nie było w Soho, albo znalazł sobie nieznaną nikomu kryjówkę.

Wszedł do kolejnego obscurnego „klubu” i próbował się rozejrzeć po wypełnionym kłębami dymu wnętrzu. Czekające na klientów panienki siedziały przy tanich, pokrytych laminatem stolikach i udawały, że sączą drinki ze szklaneczek wypełnionych tak naprawdę kolorowaną lemoniadą. Niektóre targowały się z mężczyznami.

Tęgi jegomość w koszuli i szelkach złapał Marlera pod ramię i groźnym głosem zaczął się domagać pieniędzy.

-Te koleś, chcesz wejść, to dawaj pięćdziesiąt funciaków.

-Nic z tego - cicho odrzekł Marler, podtykając mu pod przyszczytę nos swoją legitymację. - Jak mi będziesz przeszkadzać, to naślę na ciebie inspektorów sanitarnych.

Wszedł do zadymionego klubu, odnalazł tępo wyglądającą blondynkę i usiadł obok niej. Zanim się odezwała, zmierzyła badawczym wzrokiem twarz i ubranie Marlera.

-Nie przyszedłeś się zabawić, widać od razu. Pewnie jesteś z Wydziału Specjalnego. I wcale nie mnie szukasz.

-Pewnie masz rację. Szukam jednego faceta, ale nie potrafię opisać, jak wygląda. Siedzi w okolicy od niedawna i nie lubi towarzystwa. Mówi po angielsku, ale z francuskim akcentem. Ma motor, i to dobry. Kojarzysz kogoś takiego?

-Kojarzę za pieniądze. Podobasz mi się, ale ja i tak kojarzę tylko za pieniądze.

Marler sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej cztery banknoty pięćdziesięciofuntowe. Przedtem wyjął je z portfela, którego w tej okolicy lepiej nie pokazywać. Dziewczyna zgasiła papierosa w małej popielniczce i zapaliła następnego.

-Ten motor to mi się kojarzy - spojrzała sobie na ręce - ale nie dostałam jeszcze sałaty.

-Powiedz mi, a ja ocenię, czy to coś warte. Jeśli będzie naprawdę dużo warte, to dostaniesz wszystko, co trzymam w ręku.

-Jest taka jedna, pani Hogg. Strasznie pazerna na forszę, prowadzi hotelik, ale ja bym nigdy nie poszła spać do takiej dziury. Masz tu adres...

Charmian wyjechał z Heel Lane i pędem ruszył w kierunku Londynu. Był niezadowolony, po raz trzeci spartaczył robotę. Jeszcze nigdy mu się coś takiego nie zdarzyło - zawsze wykonywał zadanie za pierwszym podejściem.

Rozpędził swojego harleya davidsona, baczynym okiem wypatrując miejsc, gdzie mógł się czaić policyjny patrol. Niech diabli wezmą ograniczenia prędkości. Karabin z usuniętymi numerami fabrycznymi, z którego za pierwszym razem próbował zabić Tweeda, leżał teraz na polu, gdzie Charmian go porzucił.

Zanim wyruszył na kolejną próbę, zgolił wąsik i ukrył ciemne włosy pod czapką. Rozkładana drabina, dzięki której dostał się do fabryki Gantii, spoczywała teraz na dnie oddalonego o wiele kilometrów stawu. Karabin, z którego strzelał do Tweeda w Ivy Cottage, zatonął w błocie w miniętym niedawno jeziorze. Charmian był profesjonalistą.

Kiedy dotarł wreszcie do Londynu, powoli przejechał przez zatłoczone ulice Soho, z którymi zapoznał się wcześniej tego samego dnia. Spragniony alkoholu, zajrzał do kilku klubów, w tym również do tego, w którym pracowała informatorka Marlera. Tuż tam popełnił swój pierwszy i jedyny błąd.

Podeszła do niego jedna z dziewczyn, ale odepchnął ją, rzucając pogardliwie:

- Stać mnie na kogoś lepszego...

Blondynka, z którą rozmawiał Marler, ruszyła więc za nim, żeby sprawdzić, dokąd pójdzie, i okazało się, że trafił do pani Hogg. Upewnił się, że nikt go nie śledzi, i wtoczył motocykl na podwórze za hotelikiem, a następnie poszukał wzrokiem schodów przeciwpożarowych prowadzących do pokoju na pierwszym piętrze. W rękawiczkach zaczął majstrować przy motocyklu, żeby go unieruchomić. Jutro i tak wrzuci go do Tamizy.

Wąskim zaułkiem wrócił do wejścia i spojrzał na szyld polecający POKOJE DO WYNAJĘCIA - NA GODZINY LUB NA CAŁĄ DOBĘ. To oczywiste zaproszenie pozwalała pani Hogg zatrzymać lokalny policjant, któremu regularnie płaciła.

Charmian wszedł i znalazł się w małej recepcji. Za drewnianą ladą stała gruba kobieta w taniej sukience. Nic nie mówiąc, zmierzyła go chciwym spojrzeniem i czekała, aż sam coś powie.

—Potrzebny mi pokój na trzy dni - zaczął Charmian. - Na pierwszym piętrze, ten z drabiną przeciwpożarową. Boję się ognia.

- To będzie pięćset funtów. Gdzie dziewczyna?

-Nie ma dziewczyny. - Charmian pochylił się nad ladą, co nie spodobało się pani Hogg. Cofnęła się nerwowo. - A pięćset funtów to za dużo, przecież nikt tyle nie zapłaci - powiedział cicho.

-Trzysta - wydusiła z siebie wreszcie. -Więcej nie mogę opuścić. I nie myśl sobie, że uda ci się sprowadzić dziewczynę schodami przeciwpożarowymi. Na dole są zamknięte na kłódkę.

-Chcę się tylko wyspać - odparł Charmian, który już wyjął portfel i położył na ladzie trzy banknoty stu funtowe. - Przecież mówię, głupia babo, że chcę się tylko przespać.

-Zawsze możesz iść gdzie indziej! - odkrzyknęła pani Hogg, kiedy złapała już pieniądze. - Pokój numer dziesięć, pierwsze piętro. Na górze - przedrzeźniała jego cudzoziemski akcent.

-Zamknij się, głupia Angolico.

Z wręczonym mu przez gospodynię kluczem w rękę ruszył środkiem trzeszczących schodów. Pokój numer dziesięć był mały, ale miał dwuosobowe łóżko - łatwo było zgadnąć dlaczego - oraz małą łazienkę. Zapalił czterdziestowatową żarówkę i w jej lichym świetle podniósł z łóżka materac z pościelą i potrząsnął, żeby sprawdzić, czy nie ma karaluchów. Potem pośpiesznie ułożył pościel z powrotem, zgasił światło i podszedł do okna.

Ostrożnie odsunął zasłonę i spojrzął w dół na nieoświetlony zaułek, gdzie dostrzegł swój motocykl, kiedy jego oczy przyzwyczaiły się do ciemności. Spróbował podnieść odsuwane okno, ale było zablokowane. Wziął głęboki oddech i ze wszystkich sił szarpnął nim do góry. Tą drogą zamierzał opuścić pokój następnego dnia rano. Trzysta funtów dla pani Hogg miało ją przekonać, że zostanie dłużej.

Ściągnął czapkę, kurtkę i spodnie ze skóry, pod którymi miał jasnoniebieski garnitur. Nie zdejmując go, zrzucił buty i sięgnął po nóż znajdujący się w pochwie przyczepionej z tyłu do paska. Zostawił nóż na stoliku nocnym, położył się i natychmiast zapadł w głęboki sen, nie gasząc nawet światła.

Marler, przebrany nie do poznania, wszedł do małego holu, w którym za ladą recepcji stała pani Hogg. Na ścianie za nią wisiała stara tabliczka z nazwiskiem: MRS DINA HOGG.

Przebrał się w toalecie na tyłach klubu, gdzie dostał od blondynki adres hotelu. Swoją ciemną kurtkę odwrócił na lewą stronę i włożył ponownie. Miał teraz na sobie jasnoniebieską wiatrówkę z żółtymi kłapami, o wyraźnie sportowym fasonie. Na głowę nałożył kryjącą włosy czapkę, a na oczy - parę okularów

w kwadratowych oprawkach. Nie poznał samego siebie, kiedy obejrzał się w lustrze nad umywalką. Przez ramię przerzucił czarny futerał z karabinem Armalite i wyszedł z toalety do klubu, w którym nikt nie zauważył jego przemiany. Ci, którzy widzieli, woleli nie zadawać żadnych pytań.

Podniósł przegrodę zamykającą wyjście i zniknął w ciemności. W kilka minut dotarł do hoteliku pani Hogg.

-Co, następny bez dziewczyny? - wychrypiąła.

-Wydział Specjalny - wysyczał Marler, - Czy masz tutaj gościa, który mówi po angielsku z francuskim akcentem?

-A jak mam, to co?

-Nie słyszałaś, skąd jestem? Nie mam ochoty sprowadzać ekipy, która przeszuka całą tę dziurę - ostrzegł srogim tonem.

-No... tak, mam - wyjąkała. - Pokój dziesiąty, narożny, ze schodami przeciwpożarowymi.

- Nie próbuj dzwonić do niego do pokoju, kiedy stąd odejdę.

Z niesmakiem spojrzął na podniszczone drewniane schody i zaczął wspinać się po nich powoli, stawiając kroki tak szeroko, jak to było możliwe. Nie trzeszczały. Doszedł do końca wąskiego korytarza, obrócił się w lewo i zatrzymał przed drzwiami pokoju numer 10. Skoro są schody przeciwpożarowe, nie ma sensu gmerać przy zamku, to zbyt niebezpieczne.

Tak samo ostrożnie wrócił na dół, gdzie pani Hogg wciąż trzęsła się ze strachu jak galareta i wycierała o sukienkę spocone dłonie. Marler skinął jej głową i zanim wyszedł, powiedział:

- To niebezpieczny przestępca. Jeśli do niego zadzwonisz, nie tylko zginiesz, ale jeszcze narobisz kłopotów wielu ludziom...

Na zewnątrz szybkim krokiem przemierzył pustą ulicę i wrócił do zaułka, ale niestety nie mógł stamtąd strzelić z karabinu. Pani Hogg na pewno usłyszałyby huk wystrzału.

W zaułku panowała zupełna ciemność. W świetle latarki sprawdził, czy w pobliżu leżą jakieś puszki po piwie, które mógłby niechcący kopnąć i w ten sposób obudzić Charmiana. Marler włożył na lewą dłoń rękawiczkę i chwycił nią kłódkę, którą zaczął otwierać trzymanym w prawej wytrychem- Kłódka była duża, a takie najłatwiej otworzyć, toteż już po kilku sekundach Marler ostrożnie położył ją razem z łańcuchem na ziemi, starając się zrobić to jak najciszej.

Oczy Marlera przyzwyczyły się już do ciemności i kiedy spojrzął w górę, dostrzegł szeroko otwarte okno, co było zaskakujące w tak chłodną noc. Skrzywił się, bo nie lubił w czasie akcji żad-

nych odstępstw od normalności. Ostrożnie stawiając kroki, zaczął się wspinać, przeskakując co drugi stopień poręczowych schodów. Karabin trzymał gotowy do strzału. Przed zasłoniętym oknem zatrzymał się.

Nasłuchiwał, starając się uchwycić jakikolwiek dźwięk: chrapanie, oddech śpiącego czy skrzypienie sprężyn, kiedy ktoś wstaje z łóżka. Nic. Będzie musiał go uderzyć lufą karabinu, najlepiej w czoło, ewentualnie w kolano.

Delikatnie rozsunął zasłonę i przez wąską szparę zajrzał do środka. Słaba lampka nocna na stoliku przy łóżku była zapalona. Dawała dość światła, żeby Marler zobaczył, że pokój jest pusty, a pościel rozrzucona po podłodze. Przez okno wszedł do pokoju i zajrzał do małej łazienki. Jej drzwi były otwarte. Nic. Ptaszek wyfrunął.

Przypomniało mu się, że na korytarzu leciusięko zaskrzypiała pod jego stopą podłoga, i pewnie to zaalarmowało Charmiana, który ponownie potwierdził swoją reputację zawodowca w każdym calu. Marler sprawdził jeszcze drzwi prowadzące na korytarz. Zamknięte.

Wrócił do okna i ostrożnie wyjrzał na zewnątrz, a potem zbiegł po schodach, wkładając karabin z powrotem do futerału. Niedbałym krokiem, pogwizdując, wszedł do recepcji, gdzie pani Hogg stała w tym samym co zawsze miejscu. Wydawało się, że nigdy się nie rusza z za swojej lady.

-Ten gość spod dziesiątki... - zaczął Marler.

-Poszedł. Ubrany, z torbą, powiedział, że musi iść się napić.

-Dziękuję - odrzekł Marler.

-Ale wróci - zawołała za nim, kiedy wychodził. - Zapłacił za trzy dni z góry.

-Nie wróci - Marler mruknął do siebie ponurym głosem.

Charmian był więc dalej na wolności, Bóg jeden wie gdzie. Zapewne po raz czwarty próbuje zabić Tweeda. Marler miał tylko nadzieję, że potrafi temu zapobiec.

## 22

Tymczasem na Park Crescent w środku nocy panował ożywiony ruch. Kiedy Tweed i Paula powrócili z Ivy Cottage, okazało się, że wszyscy są jeszcze w biurze. Marler natychmiast opowiedział im o swojej nieudanej próbie zabicia Charmiana.

-Nie zrezygnuje - zakończył.

-W takim razie - powiedział Newman - musimy się postarać, żeby zawsze było przy Tweedzie kilkoro z nas.

-Nie - kategorycznym tonem przerwał mu Tweed. - Muszę działać sam albo z Paulą.

-To zmień samochód - nie dawał się zbić z tropu Harry.

-Nie - znowu sprzeciwił się Tweed. - Charmian nie może nam dyktować, jak mamy żyć. Jestem przyzwyczajony do swojego samochodu.

-Dobra - nie ustępował Harry. - Ja jestem najmniejszy. Będę za tobą jeździł schowany na tylnym siedzeniu, czy ci się to podoba, czy nie.

-Nie zapominaj - wtrąciła Paula, zwracając się do swojego szefa - że Harry już raz uratował nam życie, kiedy rozbroił tę bombę. Musisz go słuchać.

- Tak, musisz go słuchać - rozległ się ochrypły głos Marlera.

-I posłuchasz - dodał Nield.

-W porządku. - Poirytowany Tweed załamał ręce. - Zgadzam się, jeśli ma to was uszczęśliwić.

-Z chodzenia pieszo do domu też będziesz musiał zrezygnować - poszła za ciosem Paula. - Przynajmniej dopóki Charmian nie znajdzie się w kostnicy.

-Na razie muszę zadzwonić do Lucindy - zdecydowanym głó-



sem przerwał rozmowę Tweed. - Chciałbym, żeby pojechała do Abbey Grange i sprawdziła, jak się ma Michael.

- Michael? Dlaczego? - spytała Paula.

Tweed, nie odpowiadając, sam wybrał numer do Lucindy. Znał go na pamięć. W słuchawce odezwał się jej zaspany głos.

-Mówi Tweed. Mam nadzieję, że cię nie obudziłem.

-Nie, nie mogę zasnąć. Wciąż myślę o tych okropnych morderstwach. Szkoda, że nie mam się czym zająć.

-Już masz. Chciałbym, żebyś rano pojechała do Abbey Grange i sprawdziła, w jakim stanie jest Michael.

-Mogę pojechać już teraz, byłabym tam wcześniej rano. Dotychczas nie odezwał się ani słowem. Dzwoniłam do pani Brogan.

Jeśli masz nadzieję, że on ze mną porozmawia...

-Nie. Chcę, żebyś ukradkiem go obserwowała. Potem opowiedz mi, jakie odniosłaś wrażenie.

-Zaraz jadę...

-Zaczekaj. Byłem w Ivy Cottage w Boxton. Ktoś włamał się do domu i dokładnie go przetrząsnął. Tak samo jak barękę, w której znaleźliśmy ciało detektywa Jacksona.

-Zaraz jadę - powtórzyła Lucinda.

-Nie powiedziałaś jej o kopercie, którą znalazłam w lodówce - skomentowała Paula.

-Naprawdę?

-Nie rozumiem, dlaczego wysyłasz Lucindę, żeby obserwowała Michaela.

-Wszyscy oprócz mnie już o nim zapomnieli. Chcę się przekonać, jak ona opíše sytuację w Abbey Grange.

-Świetnie. - Paula uśmiechnęła się ponuro. - Dalej mów do mnie zagadkami.

-Teraz sprawdzimy, czy uda się nam wyprosić jakąkolwiek pomoc od Ministerstwa Obrony. - Znowu wybrał numer na swoim

staroświeckim telefonie. - Tu Tweed, zastępca dyrektora SIS. Chciałbym natychmiast rozmawiać z komandorem Wellsem, on ma zazwyczaj dyżur nocny. Mój kod? Nie marnuj mojego czasu, bo wyrzucę cię z pracy. Po prostu połącz mnie z komandorem Wellsem!

-Kto mówi? - odezwał się po dłuższej chwili uprzejmy głos.

-Tweed. David, powiedz mi...

-Nie podałeś kodu.

-W cholerę z kodem. Znasz przecież mój głos. Czy to jest bezpieczne połączenie?

-Z naszej strony tak. Nie wiem, czy z twojej...

-Chciałbym, żeby twoje okręty patrolowe i samoloty sprawdziły akwen na północ od Gibraltaru. Mają szukać frachtowca, wysłużonej krypy, około piętnastu lub szesnastu tysięcy ton. Poje-

dynczy komin. Nazwa statku „Oran”. Płynie pod banderą Liberii.

-To, co teraz powiem, jest ściśle tajne. Patrolowce są już na morzu, ale w rejonie Cieśniny Kaletańskiej i na północ od niej. Natomiast Amerykanie wysłali poszukiwawczą flotę z wielkiej bazy w Neapolu i przeczesują wschodnie wody Morza Śródziemnego. Zadowolony? - Ton głosu Davida wydawał się znudzony.

-Szukacie w złym miejscu - burknął Tweed. - Podaliśmy wam dokładny opis. Załoga składa się w całości z Arabów.

-Czyżby? W takim razie statek zostałby zatrzymany i przeszukiwany przez jedną z korwet w Cieśninie Kaletańskiej.

-A jeśli wcale tam nie płynie?

-Cóż, nie możemy być wszędzie. A w Neapolu nie posłuchają naszych propozycji.

-Pogratulować współpracy. Jeszcze jedno pytanie. Wiemy, że Angora otrzymała z Korei Północnej dużą dostawę rakiet dalekiego zasięgu, ale nie ma do nich głowic. Ile kosztuje taka głowica?

-Nie rozumiem, po co ci to. Jedna to około miliona funtów.

-Milion funtów za jedną głowicę? - powtórzył Tweed.

-Tak. Ten paranoik Kim, dyktator Korei Północnej, wysłał rakiety wcześniejszym statkiem, a potem załadował głowice na następny, który wkrótce po opuszczeniu portu zderzył się z amerykańskim niszczycielem na Morzu Japońskim. Tokio poinformowało nas, że ich nurkowie znaleźli w zatopionym wraku czterdzie-

ści uzbrojonych głowic. Uzbrojonych! Tylko szaleńcy wysłaliby uzbrojone głowice, ale Kim jest szalony.

-W takim razie Angora desperacko potrzebuje teraz głowic, ponieważ wciąż nie może odpalić rakiet w kierunku wielkich miast Europy?

-Tak przypuszczam. - Komandor Wells urwał nagle. - Tweed, ty nie oszalałeś, prawda? Gazety są pełne doniesień o tym, że zajmujesz się sprawą jakichś okropnych morderstw. Nie widzę związ-

ku pomiędzy twoimi pytaniami a tropieniem seryjnego zabójcy.

-A ja już widzę. - Tweed powstrzymał się, żeby nie trzasnąć słuchawką. - David, chciałbym ci podziękować, bo naprawdę bar-

dzo mi pomogłeś.

-Zawsze do usług, stary...

-Zanim się rozłączysz, czy jest jakaś szansa, że wyślecie patrolowce na wody wokół Portugalii, Hiszpanii i Francji?

-Nie ma mowy. Wysłaliśmy już wszystko, co mamy.

Podczas tej rozmowy Paula przyniosła notes, na wypadek gdyby Tweed chciał coś zapisać. Przysłuchiwała się ostatniej części rozmowy, siedząc z założonymi rękami na brzegu biurka.

-Przepraszam, ale nie mogłam się powstrzymać i podsłuchiłam to, co powiedziałeś o związku pomiędzy tym frachtowcem i morderstwami. Ja nie widzę żadnego powiązania pomiędzy tymi dwoma sprawami.

-Właśnie dlatego ja siedzę tutaj, a twoje biurko jest tam.

-Rozumiem - odrzekła cicho.

Wstawała już, kiedy pochylił się i złapał ją za ramię.

-Przepraszam, to było nie fair z mojej strony. Wybacz.

-Nie musisz przepraszać. - Uśmiechnęła się ciepło. - Wszyscy wiemy, że jest ci bardzo ciężko, właściwie wciąż czekamy, kiedy wybuchniesz. - Uśmiechnęła się ponownie, wróciła do swojego biurka i spojrzała za okno, odsuwając zasłony o kilka centymetrów. - Jest całkiem ciemno - poinformowała, siadając. - Chmury zasłaniają księżyc. Może ktoś powinien wyjść i sprawdzić, czy na zewnątrz nie czeka Charmian, tak jak wcześniej, kiedy wyjeżdżałam z Tweedem do Boxton?

-Powiniennem był o tym pomyśleć - odpowiedział jej Marler.

- Zaraz pójde na *shufti*. - Zauważył zaskoczenie na twarzy Pauli.

-To po arabsku. rozejrzeć się.

-Pójde z tobą. - Harry dołączył do Marlera.

Napięcie ujawniło się, kiedy Marler wyjął swojego walthera i wsunął go do kieszeni płaszcza, a Harry założył kastet na palce prawej ręki.

Mimo że na ulicy świeciły latarnie, poza kręgami ich światła panowała nieprzenikniona ciemność. Marler pierwszy zauważył jakąś postać przycupniętą na chodniku po drugiej stronie głównej ulicy. Rozdzielili się i Marler zaczął się zbliżać do nieznanego z lewej strony, a Harry z prawej. Tajemnicza postać nie poruszała się. Z bliska dostrzegli, że jest to jakiś bezdomny w starym płaszczu, kiedyś najwyraźniej czarnym, teraz wypłowiałym i zniszczonym.

-Co tu robisz? - groźnym tonem zapytał Marler.

-Siedzisz tu już od dłuższego czasu - dodał Harry, chociaż wcale tego nie wiedział,

- Ma pan może pięć funtów? - zapytał bezdomny. - Nic nie jadłem przez cały dzień.

Marler zmarszczył brwi. Zaskoczył go akcent włóczęgi, zdrażający staranne wykształcenie. Kim był ten człowiek?

-Niezłą masz wymowę jak na włóczęgę - powiedział surowym tonem. - Jak się nazywasz?

-Ken. -Włóczęga zawahał się. - Ken Millington. Albo lord Ken Millington, jak się do mnie zwracano kiedyś, bardzo dawno temu.

To nazwisko przywołało w pamięci Marlera jeden z zabawnych artykułów o ekscentrykach, napisany przez słynnego dziennikarza Drew Franklina.

Włączył latarkę i skierował jej światło na twarz włóczęgi. Miał około czterdziestu lat, długi i ostro zakończony nos, twarz pokrytą zarostem. Najwyraźniej od wielu dni się nie golił. Na rękach miał stare, dziurawe wełniane rękawiczki. Jego sfatygowane buty z braku sznurówek były zawiązane kawałkiem sznurka.

-Skoro jesteś lordem - napastliwie zapytał Harry - to dlaczego poszedłeś na taką poniewierkę? Nigdy nie widziałem włóczęgi, który mówiłby tak jak ty. Gadaj, zanim się zdenerwuję. Kto cię najął, żebyś obserwował nasz budynek?

-Zaczekaj, Harry - przerwał mu Marler. - Niech pan się wytłumaczy, bo inaczej mój przyjaciel się do pana zabierze.

-Takich jak ja jest więcej - zaczął tłumaczyć Millington. - W moim wypadku przyczyną była nuda. Nudził mnie styl życia, ja-

kie chciała prowadzić moja żona. Co wieczór przyjęcia. Towarzystwo idiotów. Potem opuściła mnie z jakimś milionerem. Postano-

wiłem wybrać wolność, chciałem żyć własnym życiem. Bez zobowiązań. Pewnego dnia kazałem swojej chciwej rodzinie iść do

diabła, zapisawszy wcześniej cały majątek na cele dobroczynne. Po-

dobą mi się życie, które wybrałem. To jest wolność - powtórzył.

-Za pięćdziesiąt funtów, a nawet więcej, możemy panu dać pracę - zaproponował Marler.

-Wyskoczyłbym ze skóry, żeby dostać pięćdziesiąt funtów. Robota będzie uczciwa? - zapytał podejrzliwie.

-Mojego szefa - kontynuował Marler - chciał zamordować jakiś drań, ale mu się nie udało. Wynajęła go nasza konkurencja. Mówi z francuskim akcentem. Nie potrafię dokładnie opisać, jak wygląda, ale niedawno zgolił czarne, zakręcone wąsy. Jest Francuzem. Bardzo niebezpieczny. Jeżeli zauważy pan kogoś kręcącego się po okolicy, kto obserwuje nasze biuro...

-Tę firmę ubezpieczeniową na Park Crescent?

Wskazał tabliczkę z nazwą firmy przy drzwiach centrali SIS. Nazwa brzmiała GENERAL & CUMBRIA INSURANCE i była przykrywką, pod którą ukrywała się agencja. Harry wciąż był podejrzliwy.

-Jak zdołałeś dostrzec nazwę z tak daleka?

-Zawsze obchodzę okolice przed położeniem się spać. Szukam najlepszego miejsca. Tutaj będzie najwygodniej, mogę oprzeć głowę o ogrodzenie.

x - Tu jest pięćdziesiąt funtów - przerwał mu zniecierpliwiony Marler. - Jeśli pojawi się tu ktoś podejrzany, powoli podejdź do budynku ubezpieczalni i trzy razy zadzwoń do drzwi. Otworzy strażnik, który mnie wezwie.

-To za dużo - protestował Millington. - Wezmę dziesięć, a resztę, jeśli panu rzeczywiście pomogę.

-Proszę wziąć wszystko.

Po powrocie wytłumaczyli Tweedowi, co się stało. Tweed był bardziej zadowolony, niż Marler oczekiwał.

-To był świetny pomysł. Potrzebny nam uśmiech losu.

-Mnie się wydawało, że on udawał - skomentował wciąż nieufny Harry.

-Tacy ludzie istnieją naprawdę - powiedziała mu Paula. - Kiedy znudzą im się bogactwa, tęsknią za wolnością i chcą żyć tak, jak mają *na to ochotę*. Dokładnie taką *historię* opowiedział ten Millington.

-Lucinda jedzie do Abbey Grange - odezwał się Tweed zamyślony. - Ciekawi mnie jej relacja stamtąd.

-Wciąż nie rozumiem, po co tam ją wysłałeś - naciskała Paula.

-Skoncentrowaliśmy się na tylu innych aspektach tej sprawy - wytłumaczył Tweed - że zupełnie zapomnieliśmy o Michaelu. A przecież to od niego wszystko się zaczęło. „Byłem świadkiem morderstwa”. Jeżeli rzeczywiście cierpi na amnezję...

-Nie wierzysz psychiatrom? - domyślała się Paula.

-Nie wierzę *nikomu, z kim dotychczas rozmawiałem w tej sprawie*. Natomiast psychiatrzy... Winston Churchill nazywał ich cyrkowymi cyklistami.

-Ale czy Michael zdołałby nie odezwać się ani słowem przez cały ten czas? - nie dawała za wygraną Paula.

-Mało prawdopodobne, ale możliwe. A wtedy, kiedy dokonano tych morderstw, przebywał podobno gdzieś w Stanach, czyli znowu nie ma murowanego alibi. Poza tym mamy do czynienia z ormiańską obłudą. To przecież część ich charakteru. Larry,

Lucinda i Michael są dziećmi Ormianina, chociaż matka była Angielką.

-W takim razie możemy wykluczyć Aubreya Greystoke'a - argumentowała Paula.

-Nie, nie możemy. Pracował z Ormianami dość długo, żeby przejąć ich sposób myślenia.

Frachtowiec płynął w odległości dwustu pięćdziesięciu kilometrów od wybrzeża Francji. Pochylony nad mapą Abdul zdał sobie sprawę, że muszą z daleka ominąć wychodzącą daleko w głąb Atlantyku Bretanię oraz wyspę Ouessant. Zmienił kurs, kierując statek dalej na północny zachód.

Było jeszcze ciemno, ale na wschodzie pojawił się już srebrno-różowy blask świtu. Wbrew prawu morskiemu Abdul płynął bez świateł. Wpatrując się w morze przed dziobem, spostrzegł mały francuski kuter rybacki. Bez wahania wydał rozkaz, żeby zwiększyć szybkość. Kuter może po powrocie powiadomić o spotkaniu z jego statkiem.

Francuzi na pokładzie kutra dostrzegli niebezpieczeństwo dopiero wtedy, kiedy wielki dziób frachtowca zamajaczył w ciemności tuż ponad nimi. Chwilę potem wbił się w ich łódź i rozciął ją na dwoje. Obie części natychmiast zaczęły tonać. Abdul zauważył tylko jednego rybaka, który zdążył wyskoczyć za burtę.

Chwycił megafon i obrócił się, żeby wydać rozkaz dwójce swoich ludzi na pokładzie. Skoczyli do wody przez bakburkę, wypłynęli i potrząsnęli głowami, a następnie odnaleźli Francuza płynącego w kierunku odległego wybrzeża. Zapewne miał nadzieję, że uratuje go inny kuter rybacki. Jeden z Arabów, który był doskonałym pływakiem, dogonił rybaka, wyciągnął zza pasa duży, zakrzywiony nóż, wziął potężny zamach i odciął Francuzowi głowę.

Na mostku Abdul pokiwał głową z zadowoleniem. Arabowie podpłynęli z powrotem do statku, z którego opuszczono już drabinę. Abdul zauważył czerwoną plamę krwi na powierzchni morza w miejscu, gdzie znikł francuski rybak. Przeszła nad nią mała fala i rozmyła krew, tak że nie został najmniejszy ślad.

Abdul zauważył również, że silny prąd znosi szczątki kutra na otwarte morze. W tym samym kierunku popłyną ciała rybaków i odcięta głowa jednego z nich, która kołysała się wciąż na powierzchni wody.

- Chwała Allahowi - powiedział głośno, składając ukłon na wschód. - Niech ześle nam spokojne morze, kiedy będziemy wracać.

-Idziemy do Volkaniana - Tweed poinformował Paulę.

-Kiedy? -Wstała i ostrożnie rozsunęła zasłony. - Dopiero świta.

-Teraz. Jermyn Street 490 nie jest daleko.

-Ale przecież on będzie spał. Raczej nie powita nas z uśmiechem.

-Tak jak ja, on pewnie też nie potrzebuje dużo snu i ma wiele zmartwień. Zdaje sobie sprawę, że dzieje się coś niedobrego, ale nie sądzę, żeby wiedział, co dokładnie.

-A ty wiesz?

-Tak. Jak również to, że mamy coraz mniej czasu. Zbliża się ostateczny termin i kładę nacisk na „ostateczny”.

Oboje włożyli już płaszcze, kiedy nagle zadzwonił telefon. Odebrała Monica i zaraz spojrzała porozumiewawczo na Tweeda.

-Nie uwierzysz, kto czeka na ciebie na dole.

-Uwierzę, tylko powiedz.

-Abel Gallagher, szef Wydziału Specjalnego - warknęła, przedrzeźniając Gallaghera.

-Płaszcz zdjęć - rozkazał Tweed. - Poproś go.

Tweed siedział za biurkiem, studiując dokumenty. Paula również zajmowała swoje stałe miejsce, kiedy otworzyły się drzwi gabinetu. Zdecydowanym krokiem wkroczył przez nie potężny Gallagher. Tweed wskazał mu gestem krzesło.

-Czemu zawdzięczam ten zaszczyt? - zapytał sarkastycznie.

-Martwimy się o ciebie. Martwi się o ciebie rząd. Twoim zadaniem jest badanie sprawy tych morderstw ze szkieletami. Szczegóły można znaleźć na pierwszych stronach wszystkich gazet. Opinia publiczna jest zaniepokojona. A ty czym się zajmujesz? Wyjeżdżasz z kraju, jedziesz, cholera, za granicę. Twoje miejsce jest tutaj!

-Kto tak powiedział?

-Ja tak mówię.

-A ta domniemana podróż za granicę?

-Mój agent na Waterloo widział was, jak wsiadaliście do Eurostara. Z Londynu do Paryża - a potem Bóg jeden wie dokąd. W co ty, do cholery, grasz?

-Wykrzyczałeś się już, Abel? - cicho zapytał Tweed. - Po pierwsze, nic ci do tego, jak ja pracuję. Po drugie, twój urząd nie ma zwierzchności nad SIS. Po trzecie, kto w rządzie się tak zde nerwował?

-Minister spraw wewnętrznych - triumfalnie obwieścił Gallagher.

-W takim razie zadzwonię do premiera i porozmawiam z nim. Powołam się, rzecz jasna, na ciebie.

-Ja tylko wykonuję swoją pracę - ze skargą w głosie odparł Gallagher.

-W takim razie idź i wykonuj ją dalej - nieprzyjemnym tonem zaproponował Tweed. - A mnie pozwól zająć się moją pracą. Drzwi są tam.

Gallagher wyszedł jak wielki pies z podkulonym ogonem.

-Świetnie dałeś sobie z nim radę - powiedziała z uznaniem Paula, wstając, żeby włożyć płaszcz. - Skapitulował, kiedy wspomniałeś o telefonie do premiera.

-Teraz na Jermyn Street - odrzekł Tweed.

Szarym świtem odjechali z Park Crescent, wioząc ze sobą Harry'ego, który ukryty na tylnym siedzeniu trzymał w ręku gotowe do strzału walthera. Paula rozglądała się na wszystkie strony.

-Millie wciąż tu jest - poinformowała.

-Millie? - zapytał Tweed.

-To przezwisko Kena Millingtona. Gallagher prawdopodobnie wysłał swoich ludzi, żeby nas śledzili. Wiemy, że siedzi po uszy w długach u jakiegoś bukmachera. On zapewne nie jest podejrzany, ma zwrócić tylko jakieś dwadzieścia tysięcy funtów. Szukamy kogoś, kto potrzebował czterystu milionów.

-Ta suma wróciła już do finansowych rezerw Gantii - powiedział jej Tweed. - Sprawdziłem w dokumentach, które znalazłaś w Ivy Cottage. Jest to fotokopia listu z Bonę w Angorze, z numerem referencyjnym AB200017 X. To ten sam numer, który znaleź-

liśmy w mieszkaniu Christine Barton. Sądzę, że Lee Greystoke była bardzo sprytna. Przeszukując biura w fabryce Gantii, znalazła oryginał w biurku jednego z dyrektorów i skopiowała go, żeby

ta osoba się nie zorientowała, że ktoś szperał w jej gabinecie.

-I ta osoba jest tym wstrętnym mordercą?

-Może, nie wiem. Musimy się dowiedzieć, kto kryje się pod tym numerem.

-Czyli wciąż jesteśmy w drodze do rozwiązania zagadki.

-W drodze jest też „Oran”. Stąd ten „ostateczny” termin.

Drago otworzył im sam - choć na pewno sprawdził przedtem w umieszczonym nad ich głowami zwierciadło, kto idzie. Zwalisty Ormianin był już ubrany w szary garnitur, którego marynarka opinała się na szerokich ramionach. Uśmiechając się ciepło, zaprosił ich do środka. Śniadej dziewczyny, która wpuściła ich w czasie



poprzedniej wizyty, nigdzie nie było. Zostali zaprowadzeni do salonu przez Dragona, którego tubalny głos nie milkł ani na chwilę.

- Proszę pana, imponują mi ludzie, którzy wcześniej wstają. To oni nadają bieg sprawom o światowym znaczeniu, podczas gdy reszta ludzi śpi. Coś do picia? Kawy? Tak myślałem.

Gigantycznych rozmiarów zaparzac do kawy zajmował miejsce na stojącym obok ich foteli stoliku, na którym był rozstawiony kosztowny serwis z porcelany Rosenthala: trzy filiżanki ze spodkami i talerzykami. Oprócz kawy były także bułeczki, Paula nigdy jeszcze takich nie widziała. Spróbowała jedną z nich. Smakowała wspaniale. Drago nalewał kawę.

- Panno Paulo, panie Tweed, w czym mogę wam pomóc? Jest pan człowiekiem ulepionym z tej samej gliny co ja - nie może pan usiedzieć spokojnie. W gazetach wciąż piszą tylko o tej strasznej sprawie, którą pan bada.

Nietuzinkowa osobowość Volkaniana, tak jak poprzednio, nasycała pokój aurą potęgi i żywotności. Tweed poczęstował się bułeczką i wypił trochę kawy. Nagle spojrzał gospodarzowi w oczy i przez dłuższą chwilę nie odwracał wzroku.

-Sprawdzam wszystko jeszcze raz. Ile osób ma klucz do pańskiej fabryki zbrojeniowej?

-Larry, oczywiście, potem Lucinda, Michael i Greystoke. Klucz miała również biedna Lee. Tak mi jej brak.

-Dlaczego Greystoke? - zastanawiał się głośno Tweed. - Przecież jest księgowym.

-Bardzo dobre pytanie. Może się to wydać dziwne, że Aubrey został włączony do kręgu wtajemniczonych. Pod moim nadzorem dokonano pewnych - bardzo drogich - modyfikacji w systemie. Potrzebna więc była ocena kosztów. Aubrey sprawdzał je na bieżąco razem z postępem prac. Zawsze ostrożnie obchodzę się z pieniędzmi.

-Rozumiem - cicho odrzekł Tweed, jakby nie było to nic ważnego - że za pomocą jakiejś dźwigni można przestawić maszyny z produkcji pocisków artyleryjskich na głowice raketowe.

-Tak, proszę pana. Dźwignia jest chroniona kodem.

-Kodem?

-Sam to zaprojektowałem. Zabezpieczenie jest bardzo proste, jeśli ktoś wie, na czym polega. - Drago podniósł palec wskazujący, przesunął nim w powietrzu poziomo, potem pionowo w dół, a w końcu pod kątem prostym w prawo. - To, oczywiście, nie jest kod, ale daje wyobrażenie o tym, jak działa.

-Kto zna ten kod?

-Ci sami ludzie, którzy mają klucze do fabryki. Lucinda, Larry, Greystoke i Michael.

-Kiedyś zdecydował pan, żeby nie produkować więcej głowic raketowych i że w fabryce będą powstawać wyłącznie pociski artyleryjskie.

-Zgadza się. Całkowity zakaz produkcji głowic. Na zawsze.

-Rozumiem. - Tweed zamilkł i przez chwilę popijał kawę. - Zapewne będzie pan bardzo niezadowolony z informacji, że ktoś przestawił tę zabezpieczoną dźwignię i fabryka wyprodukowała niedawno dużą liczbę głowic raketowych.

Ta informacja odniosła niesamowity skutek, Drago zmienił się nie do poznania. Jego zazwyczaj życzliwy wyraz twarzy ustąpił miejsca dzikiej furii. Szeroka szczęka zacisnęła się, usta zwęziły tak, że prawie nie było widać warg, rysy twarzy wyostrzyły się, a zmrużone oczy wyglądały jak u drapieżnej bestii.

-Skąd wiecie, że ktoś popełnił taką zbrodnię?

-Informacje zdobywamy z różnych źródeł i w różnych miejscach, ale można z nich wyciągnąć tylko jeden wniosek. W fabryce powstało - albo właśnie powstaje - około czterdziestu głowic.

- Tweed poszedł za ciosem. - A czy zdaje pan sobie sprawę z tego, że na pewien czas znikło z pana rezerw czterysta milionów funtów?

-Czterysta milionów?

Twarz Dragona wyglądała coraz gorzej. Paula doszła do wniosku, że patrzyli w tym momencie na prawdziwego Volkaniana, człowieka, który wydostał się z piekła Armenii, bez wahania unieszkodliwiającego każdego, kto stanął mu na drodze. Tweed sięgnął po zaparzaczkę do kawy, dolał Pauli i sobie, a następnie spytał Dragona, czy chce więcej kawy. Ten potrząsnął tylko w odpowiedzi swoją wielką głową. Czekali, popijając w milczeniu.

Widać było, że Drago z trudnością panuje nad sobą. Stopniowo jednak uspokoił się i zanurzył głębiej w wielki fotel. Rzucił Tweedowi krótkie spojrzenie, a potem oparł głowę na trzęsącą się dłoń i czekał, aż odzyska mowę.

-Czy wiedzą państwo, kto dopuścił się tej zdrady?

-Jeszcze nie. Możliwe, że dojdę do tego po moim następnym spotkaniu.

-W takim razie ja natychmiast pojedę do... do fabryki.

-Na Dartmoor?

-To moja rzecz, gdzie jadę.

- Chwileczkę. - Tweed pochylił się do przodu. - Powiem panu, co teraz powinien pan zrobić. Zostanie pan na Jermyn Street, dopóki się nie odezwę. Czy wyrażam się jasno? - zapytał. - W tej sprawie ważną rolę odgrywają międzynarodowe powiązania, o których pan nic nie wie. Pana interwencja mogłaby pokrzyżować moje plany. - Tweed wstał nagle, cały czas mówiąc tym samym surowym tonem. - Ufam, że zastosuje się pan do mojego polecenia. Proszę nie ruszać się stąd na krok. Nie wie pan dostatecznie dużo, a ja tak. Dziękujemy za pańską gościnność. Muszę się spieszyć, bo czas niestety nie pracuje na naszą korzyść.

Paula również wstała i miała już wyjść, kiedy Drago delikatnie złapał ją pod ramię. Wyszepiał do niej tak, że Tweed nic nie usłyszał:

- Posłuchaj, moja droga, gdyby Tweed był wolny, zatrudniłbym go, żeby kierował Gantią. Za duże pieniądze.

Kiedy wsiadali do samochodu, niewidoczny Harry odezwał się do nich z wnętrza.

-Nikt nie podchodził do auta podczas waszej nieobecności. Zrozpaczeni entuzjaści dopiero wyszli na ulicę i na piechotę śpieszą do pracy.

-Zrozpaczeni entuzjaści?

-To ludzie, których szefowie przychodzą do pracy o ósmej i sprawdzają, kto już jest.

-Skąd wiesz, że tak się na nich mówi? - dopytywała się Paula.

-Mam kumpla od kieliszka, który pracuje w korporacji. Powiedział mi, że sam tak robi. Opowiadał, że żyje jak w kieracie i że kilka lat w takim tempie wystarczy, by wysłać połowę pracowników do domu wariatów albo szpitala.

-Ma rację - zauważyła Paula, kiedy przemierzali opustoszałą Pall Mail. - Jakość pracy się nie liczy, ważna jest dla nich tylko szybkość, szybkość i jeszcze raz szybkość.

-A do tego - zakończył Harry - niektórzy z tych ludzi muszą piechotą iść kilka mil do pracy, bo pociągi i metro kursują coraz gorzej.

-Czy jedziemy do tego maklera? - zapytała Paula. -Tego, którego nazwisko profesor Saafeld znalazł na kulce papieru u pierwszej znalezionej przez nas ofiary?

-Jesteś bardzo domyślna.

-Poprowadzę cię - odpowiedziała, trzymając już w rękach plan Londynu. - Haldon Street to boczna od Threadneedle Street.

-Kiedy otwierają biuro? Jest bardzo wcześnie - zastanawiał się Harry.

-Jeśli będzie zamknięte, to znajdziemy miejsce na parkingu i poczekamy.

-To ten budynek po prawej - uprzedziła Tweeda, kiedy wlekli się wzdłuż Haldon Street.

W żadnym razie nie udałoby się im uniknąć korków. Nawet o tak wczesnej porze ruch był na tyle duży, że poruszali się z szybkością dziesięciu kilometrów na godzinę. Tweed zatrzymał się i włączył lewy kierunkowskaz, ponieważ zobaczył buicka opuszczającego miejsce parkingowe. Kierowca jadący za nimi, który też ostrzył sobie zęby na to miejsce, trąbił na nich ze złością.

-Histeria zaczyna się od samego rana - powiedziała Paula zamyślonym głosem, podczas gdy Tweed wślizgnął się na zwolnione

przez buicka miejsce. Trąbiący na nich kierowca posłał im kilka przekleństw, które przypisał wulgarnym gestem, i odjechał. Tweed zignorował go, wysiadając przy budynku z podwójnymi drzwiami i szyldem zawieszonym w oknie: DORTON, KENWOOD & SMYTHE, MAKLERZY GIEŁDOWI. Dostrzegli w biu-

rze światło. Prawdopodobnie nigdy go nie gaszono - Haldon Street

to wąska ulica, otoczona wysokimi budynkami i słońce pewnie nigdy nie docierało do tego miejskiego wąwozu.

-Postaramy się uwinąć jak najszybciej - Tweed poinformował Harry'ego przed zatrzaśnięciem drzwiczek.

Paula naciskała już wielki, staroświecki przycisk dzwonka. Musieli poczekać dłuższą chwilę, aż drzwi z lewej strony otworzyły się ze zgrzytem zawiasów i wyrzła zza nich człowiek drobnej postury, najwyraźniej niezadowolony z tego, że ktoś go niepokoi.

-Państwo chcą zainwestować? - zapytał, siłąc się na uprzejmy ton.

-Chcemy zainwestować w informacje - odpowiedział Tweed z ujmującym uśmiechem na twarzy, trzymając przed sobą legitymację SIS.

-SIS? Chyba państwo zabłądzili.

-Nie, nie zabłądziliśmy. Czy mógłby pan się przedstawić?

-Tweed wskazał na szyld. - Nie pracuje pan sam.

-Nazywam się Smythe i zostałem tu już sam. Cóż, niech państwo wejdą, proszę, pani przodem. Proszę siadać - trzeba przedtem zdjąć papiery z krzesel.

Tweed nie potrafił rozpoznać jego akcentu. Nie był to cockney ze wschodnich przedmieść Londynu, ale jego mowa przypominała trochę akcent Harry'ego, a przy tym zdradzała gruntowne wykształcenie. Smythe nie odpowiadał powszechnym wyobrażeniom o wyglądzie maklera mieszkającego w ekskluzywnej dzielnicy Surrey. Miał na sobie koszulę z rozpiętym kołnierzykiem i był nieogolony, ale spodnie miał elegancko wyprasowane, a buty wypastowane. Dziwna mieszanka elegancji i niedbałości.

Paula usiadła na dużym hebanowym stołku, tyle że przedtem ostrożnie usunęła stos papierów, które starannie ułożyła od razu na szafce przy ścianie. Przygotowała również miejsce dla Tweeda. Kiedy siadali, Smythe zabrał stos papierów z innego krzesła i położył go byle jak na podłodze.

-Wszystko śmieci - wyjaśnił. Odwrócił sobie krzesło, usiadł na nim, kładąc ramiona na oparciu, i zmierzył ich badawczym spojrzeniem.

-Pan jest Smythe - zaczął Tweed. - A co się stało z Dortonem?

-Wycofał się z interesu, kiedy był największy boom. Siedzi teraz na Bahamach z jakąś panienką. W niektórych sprawach był bardzo sprytny, ale w innych głupi. Ta dama zapewne już przepu-

ściła połowę jego fortuny.

-A pan Kenwood?

-Nagle znikł jakieś trzy, cztery miesiące temu. Bez uprzedzenia przestał przychodzić. To do niego niepodobne. Nie wiem, co się z nim dzieje od tego czasu.

-Czy mógłby pan nam opisać Kenwooda? Wzrost, waga, wiek, inne tego typu dane?

Tweed słuchał zaskakująco dokładnego opisu, który podawał Smythe. Wszystkie szczegóły pasowały do danych przekazanych przez profesora Saafelda po zbadaniu pierwszego szkieletu z Dartmoor, znalezione go przy szlaku. Tweed zrozumiał, że wreszcie udało mu się zidentyfikować czwarte ciało.

-Czy mógłby pan ogólnie opisać swoją pracę i klientów?

-To poufne. - Smythe uśmiechnął się ironicznie. - Może pan schować tę legitymację. Kenwood pracował z wielkimi inwestora-

mi i rzadko wyjawiał tożsamość klientów. I tak właśnie powinno być w tej branży. Każdy z nas miał swoich własnych klientów.

-Jak wielcy byli ci inwestorzy?

-Cóż, z nas wszystkich tylko on wciągnął swoich klientów w giełdową klęskę branży internetowej. Źle się wyraziłem, bo on ich zawsze ostrzegał, że ten rynek załamie się z wielkim hukiem,

ale niektórzy nalegali, żeby zagrać na nim naprawdę dużymi pieniędzmi.

-Tak dużymi jak czterysta milionów?

-O Boże! - Smythe zawołał, unosząc ręce. -To by była przesada. - Zapalił papierosa. - Był ktoś, kto chyba miał fabrykę pieniędzy i wszedł w rynek spółek internetowych na taką skalę, jakby pieniądze nie miały dla niego znaczenia. Woody, tak nazywaliśmy

Kenwooda, wyjawiał mi kiedyś po pijanemu, że ma nadzieję, iż ta osoba się na tym nie przejedzie.

-Czy była to kobieta, czy mężczyzna?

-O ile pamiętam, nigdy nie mówił o tym kliencie inaczej jak „osoba”, więc mogła to być też kobieta. Tak, to niewykluczone. Ken był specjalistą od pań. Jeśli przychodziły do nas klientki, właśnie on się nimi zajmował.

-Zapewne prowadzili panowie rejestr klientów dla urzędu skarbowego - delikatnie zasugerował Tweed.

Smythe wypił trochę zimnej kawy z wciąż pełnego kubka. Odstawił go na brzeg biurka, podszedł do szafki stojącej obok miejsca Pauli i otworzył jedną z szuflad. Wyjął z niej mały, oprawiony w skórę notes i pomachał nim.

-Wszystkie szczegóły są tutaj. Ściśle poufne.

-Chcielibyśmy to pożyczyć, panie Smythe. Badamy sprawę morderstwa.

-A macie nakaz rewizji? - z ironicznym uśmiechem zapytał Smythe, pewny, że zabił im ćwieka.

-Nie, nie mamy - przyznał Tweed.

-W takim razie nie możecie wtykać nosa w życie naszych, a teraz moich, klientów.

Wrzucił notes z powrotem do szuflady, zamknął ją i wrócił do miejsca, gdzie stał Tweed. Wykorzystując chwilę nieuwagi gospodarza, Tweed rzucił Pauli porozumiewawcze spojrzenie, a ta odpowiedziała skinieniem głowy. Łokieć Tweeda zahaczył o stojący na brzegu biurka kubek pełen zimnej kawy, który spadł na podłogę i roztrzaskał się na kawałki.

- Przepraszam najmocniej. - Tweed zdjął z biurka tacę, pochylił się i zaczął zbierać na nią porozrzucone kawałki porcelany. Smythe ukucnął obok niego i zaczął pomagać. Tweed jeszcze raz przeprosił.

Paula w tym czasie cicho otworzyła szufladę, wyjęła z niej notes i wsunęła go do torby, a następnie zamknęła szufladę. Do podobnych sztuczek uciekali się już przedtem, choć tylko wtedy,

kiedy musieli zdobyć bardzo ważne informacje.. Kiedy obaj panowie wstali i Smythe obejrzał się na Paulę, ta spojrzała znacząco na zegarek.

-Teraz muszę iść po mop, żeby zetrzeć całą tę kawę - narzekał Smythe.

-Jeszcze raz przepraszam - odezwał się Tweed. - Sądzę, że musimy już iść.

-Nie zatrzymuję państwa - odburknął Smythe.

-Chyba zdobyliśmy klucz do zagadki! - powiedziała Paula z rzadko u niej spotykanym entuzjazmem, kiedy wsiadali do samochodu.

-Jeśli ten notes wyjawia nam, kto zainwestował czterysta milionów w spółkę internetową, która zbankrutowała, to masz rację - zgodził się Tweed. - Ale nie wiem, czy rzeczywiście się tego dowiemy.

Paula zaproponowała, że pokieruje, żeby Tweed mógł od razu przejrzeć notes z danymi klientów. Zgodził się. Kiedy usiedli na swoich miejscach, szeptem odezwał się z tyłu Harry:

-Wszystko w porządku. Nikt nie podchodził do samochodu.

-Czy wiesz, gdzie jesteśmy? - zapytał go Tweed.

-Doskonale. Na końcu tej ulicy jest jeden z moich ulubionych pubów. Czemu pytasz?

-Ponieważ wyślemy cię jako kuriera, żebyś zwrócił ten notes osobie, u której właśnie byliśmy. Wręczając go, nie odpowiadaj na żadne pytania i odejdz jak najszybciej.

Paula wracała z City do zachodniej części miasta inną trasą niż ta, którą przyjechali. Siedzący obok niej Tweed nałożył gumowe rękawiczki i otworzył notes, który Paula położyła mu przedtem na kolanach. Nie mogli zostawić odcisków palców. Ruch na ulicach przybrał na sile, co zmuszało ich do częstych przystanków, podczas których Tweed dokładnie studiował zawartość notesu.

Dane były bardzo dokładne: nazwisko klienta, data zakupu akcji, nazwa firmy, w którą zainwestowano, cena zakupu i sprzedaży, zysk lub strata, data sprzedaży, inicjały maklera, który przeprowadził transakcję, oraz pobrana przez niego prowizja. Tweed streścił Pauli zawartość notesu.

-To prawdziwa kopalnia złota - zawołała.

-Jeszcze nie. Nazwiska klientów są ułożone alfabetycznie. Sprawdzalem pod V, czy nie ma jakiegoś Volesa. Nic. Teraz G, jak

Greystoke. Też nic. - Przewertował wszystkie strony i zaskoczony

zauważył nazwiska bardzo znanych osób, które korzystały z usług

maklerów. Wrócił do początku. Paula, jadąc bocznymi ulicami wokół Covent Garden, pokonała już dość dużą odległość, kiedy Tweed mruknął coś pod nosem.



- Znalazłeś coś? - zapytała niecierpliwie.

Pod literą X odnalazła się poszukiwana transakcja. Ktoś zainwestował czterysta milionów funtów w akcje spółki z branży internetowej, o której Tweed czytał kiedyś w gazetach. Cena zakupu - pięćset funtów za akcję. Pamiętał historyczne doniesienia w prasie na temat tej firmy, której los na giełdzie był symbolem krachu całej branży internetowej.

-Nazwisko klienta brzmi X - powiedział Pauli.

-No to rzeczywiście bardzo pomocne - skomentowała.

-Zaczekaj. Inicjały maklera, który obsługiwał klienta, to AJK. To musi być Kenwood, Panie świeć nad jego duszą. Czterysta milionów funtów zainwestowane w firmę Orlando Xanadu.

-Nic mi to nie mówi.

-Pamiętam, że czytałem o niej. Kiedy weszła na giełdę, akcje kosztowały trzysta funtów. X zakupił je, kiedy kosztowały pięćset. Kurs szedł w górę jak rakieta, aż osiągnął osiemset funtów za akcję. X, podobnie jak wielu innych optymistów, nie sprzedawał. Później kurs zaczął raptownie spadać i sięgnął dna, kiedy doszedł do dwóch pensów za akcję. Wkrótce potem wstrzymano obrót tymi akcjami.

-Więc X stracił, albo straciła, wszystko. Czterysta milionów funtów wyrzucone w błoto. Nie potrafię sobie wyobrazić, jak można tak szybko stracić tyle pieniędzy.

-Ani ja. Jest jeszcze trochę danych. Przed X jest ciekawy numer referencyjny: AB2000017X.

-Ten sam numer widniał na papierach, które znalazłam pod szufladą w mieszkaniu Christine, i na dokumentach ukrytych w lodówce w Ivy Cottage.

-Zgadza się. To jest krok naprzód. Wiemy, że w tę transakcję jest wplątany ktoś z Gantii. Wszystko to działo się dość dawno te-

mu, ale X musiał potem jakoś odzyskać te czterysta milionów i zwrócić je do rezerw firmy.

-Smythe musi mieć więcej danych na temat transakcji. Jestem pewna, że trzyma jeszcze jakieś inne dokumenty.

-Jestem tego samego zdania. Pożycz mi swój telefon.

-Nie znosisz komórek, a wciąż pożyczasz moją. - Podczas jednego z przystanków w korku sięgnęła do torebki i podała mu telefon.

-Na szczęście zdążyłem zauważyć jego numer telefonu na papierze firmowym - rzekł, wybierając numer. - Pan Smythe? Mówi Tweed. Przepraszam, że ponownie niepokoję, ale czy nie było kiedyś przypadkiem włamania do pańskiego biura?

- Było, pewnie, że było. Dawno temu. Przyszedłem do biura i zastałem straszny bałagan. Wszędzie porozrzucone teczki klientów, pootwierane łomem szafki. Potem przez kilka tygodni doprowadzałem wszystko z powrotem do ładu. Nie wiedziałem zbyt wiele o transakcjach Kenwooda, więc nie udało mi się uporządkować jego papierów. Po prostu wepchnąłem wszystko do szafki i tak zostawiłem. - Jego zdenerwowany głos zmienił się i zabrzmiała w nim nuta uprzejmości. - A może państwo coś o tym wiedzą?

- Obawiam się, że nie. Bardzo dziękuję za współpracę. Rozłączył się, mimo że Smythe wciąż coś mówił, i z westchnieniem oddał Pauli telefon. Spojrzała na niego.

-No i co?

-To samo co w innych miejscach, które odwiedziliśmy, włączając baręk mieszkalną Jacksona. Ktoś włamał się i przetrząsnął biuro Smythe'a w poszukiwaniu dokumentów na temat X. Sądzę również, że detektywa torturowano, zanim został zabity.

-O! - wzdrygnęła się Paula. - Ale wciąż nie mamy pojęcia, kim jest ten potwór X?

-Nie, ale wiemy, że cała sprawa kręci się wokół Gantii i Abbey Grange.

Na pokładzie frachtowca Abdul czuwał na mostku, rzadko kładąc się spać. Statek znajdował się daleko na zachód od wyspy Ouessant. Abdul cyrkłami zmierzył na mapie odległość i spojrzał na zegarek. Musiał koniecznie dotrzeć do celu po zapadnięciu zmroku.

Rozpoczął zmianę kursu. Wkrótce frachtowiec zaczął powoli zmierzać na północny zachód. Abdul poszedł na drugi koniec mostka i skontrolował grupę Arabów, którzy nie mieli zadań związanych z żeglugą. Wykrzyczał do nich kilka rozkazów.

Mieli leżeć w swoich śpiworach i odpoczywać. Chciał, żeby byli wypoczęci przed ciężką pracą przy załadunku frachtowca, kiedy ten dotrze do celu. Tylko Abdul znał położenie miejsca, do którego zmierzał statek.

Spojrzał jeszcze raz na mapę. Sprawdził prędkość i oszacował odległości. Morze było coraz bardziej wzburzone. Powinien być na miejscu dobrze po zapadnięciu ciemności, około dziesiątej wieczorem. Statek płynął wyznaczonym kursem i wkrótce miał minąć przylądek Land's End, a potem trzymając się północnego wybrzeża hrabstwa Devon, wejść do Kanału Bristolskiego.

Ten włóczęga wciąż tam siedzi - zauważyła Paula, kiedy wjechali na Park Crescent. - Powinnam chyba zanieść mu trochę jedzenia z naszych delikatesów. I termos gorącej herbaty.

- Nie - odparł Tweed. - To zadanie dla Moniki. Ona umie się poruszać po mieście tak, że nikt jej nie zauważa.

Kiedy wracali z City, padał rześisty deszcz, który przeszedł teraz w delikatną mżawkę. Na ulicach nie było pieszych. Tweed wysiadł natychmiast po tym, jak Paula wyłączyła silnik, i pobiegł do drzwi, gdzie zaczął naciskać dzwonek. Pędem minął George'a, który otworzył mu drzwi, i wbiegł po schodach na górę. Paula i Harry, którzy podążali za nim, nie mogli się nadziwić nowemu przyływowi energii szefa.

-Widzę, że wszyscy są - zauważył, zrzucając płaszcz i zsiadłszy za swoim biurkiem. - Nikt ma nie wychodzić bez mojego zezwolenia. Zrozumiano? Harry i Pete, sprawdźcie nasze dwa land-rovery i upewnijcie się, że są w pełni sprawne i mają pełne baki. Dziś wieczorem będziemy nimi jeździć po trudnym terenie.

-Są w porządku - odrzekł Newman. - Sprawdziłem dzisiaj wszystkie nasze pojazdy. Dlaczego właśnie land-rovery?

-Powiedziałem ci - przerwał mu Tweed. - Ponieważ świetnie się nadają do jazdy po trudnym terenie.

-Ale gdzie? - nie dawał za wygraną Newman.

-W zachodnich hrabstwach Anglii. Teraz dajcie mi spokój, muszę odbyć ważną rozmowę telefoniczną. A właściwie dwie.

Tweed był tak zaaferowany, że nie zauważył, jak Paula staje przed Monicą, która wciąż sprzeczała się z nadinspektorem Buchananem. Po raz piąty cierpliwie odpowiadała:

- Tweed nie może odebrać, rozmawia przez drugi telefon. Nie, nie mam żadnych informacji na temat postępów śledztwa.

Paula wyszła, napisawszy szybko krótką notkę: „Poszłam do delikatesów, nakarmić włóczęgę”.

Tweed wykręcił numer Smythe'a.

- Znowu pan do mnie dzwoni - warknął Smythe, kiedy Tweed się przedstawił. - Właśnie załatwiam delikatną transakcję. Proszę zadzwonić kiedy indziej, jeśli pan musi.

- Smythe, pana wspólnik, Kenwood, ten, który zaginał, nie żyje.

-Co?! Gdzie? Jak...

-Czy doznał kiedyś jakiegoś uszczerbku na zdrowiu? Chodzi mi o trwałe uszkodzenie fizyczne.

-No... tak. Przed laty złamał kostkę, jeżdżąc na nartach w Dolomitach. Skomplikowane złamanie, potem przeszedł operację.

-Jaki był jej wynik? A dokładnie, jak on potem chodził?

-Kulał. Jeden z jego tak zwanych kolegów mówił nawet na niego „Kulas”. Ale ja chciałbym się dowiedzieć...

-Zadzwoń do pana, mam drugi telefon.

Rozejrzał się i nie dostrzegł Pauli, uznał, że musiała wyjść do toalety. Obwieścił wszystkim, nie kryjąc przy tym satysfakcji:

-Czwarte ciało zostało z całą pewnością zidentyfikowane. To, które znaleźliśmy z Paulą na Dartmoor. To był makler nazwiskiem Kenwood. Stanowi ostatnie brakujące ogniwo w odtwarzanym przeze mnie łańcuchu straszliwych wydarzeń. Harry, wciąż przygotowujemy się do wyjazdu przed zapadnięciem zmroku. Prawdopodobnie dojdzie do starcia z bezwzględnym przeciwnikiem. Musimy być dobrze uzbrojeni.

-Zrozumiałem - powiedział Harry, wstając, i ruszył ku drzwiom. - Czy mogę załadować broń do land-roverów, a potem ich popilnować? To będzie prawdziwy arsenał.

-Będzie nam prawdopodobnie potrzebny. Pilnuj samochodów.

-Może byłoby lepiej - zabrzmiał ochryply głos Marlera - gdybyśmy uzgodnili kilka szczegółów.

-Później. Teraz jeszcze muszę gdzieś zadzwonić. - Skorzystał z drugiej linii, bo na pierwszej Monica wciąż sprzeczała się z Buchananem. Znowu z pamięci wybrał numer Abbey Grange. Odebrała Lucinda.

-Mówi Tweed.

-Co za niespodzianka! Sprawdzasz mnie? - zapytała sarkastycznym tonem.

-Jesteś zdenerwowana.

-Ib przez długą jazdę. Cały czas był duży ruch. Jakiś bydlak zajechał mi drogę i musiałam nagle zahamować, betoniarka znajdująca się tuż za mną ledwie zdołała się zatrzymać. - Jej głos złągodniał. - Co mogę dla ciebie zrobić?

-Po pierwsze, chciałem się upewnić, że bezpiecznie dotarłaś do Abbey Grange. Po drugie, jak czuje się Michael?

-Dziwnie się zachowuje. Ze swojego pokoju wychodzi tylko na posiłki. Raz zaczęłam walić w drzwi i Michael mnie wpuścił. Zobaczyłam wtedy, że na sztaludze do rysunków przekopiował ilustracje z „Anatomii” Graya. To przerażające.

-Czy wydarzyło się coś jeszcze? Rozumiem, że Michael nadal się nie odzywa?

-Ani słowem. Wydarzenia? Larry właśnie tutaj jedzie, wkrótce powinien być. Na dodatek przyjedzie jeszcze sam Aubrey.

-Greystoke? Czego on, u diabła, chce? Czy często przyjeżdża?

-Nie, raczej nie. Tylko czasami. Sądziłam, że zamierza spotkać się z Larrym, ale jego sekretarka powiedziała mi, że Larry nie ma żadnych umówionych spotkań.

- Dzwoniła do ciebie z informacją, że Larry przyjeżdża?

Chwila ciszy.

- Nie, na pewno nie dzwoniła. To ja dzwoniłam do niej, żeby uprzedzić o ważnej dostawie, o której zapomniałam im powiedzieć. Kazałam jej siedzieć w pracy choćby całą noc i czekać, aż nadejdzie. Nie była zadowolona - ma nowego chłopaka. Ale kazałam jej zostać. Kiedy wrócę do Londynu, czy moglibyśmy się spotkać, pogadać, napić się czegoś? Na przykład u mnie w mieszkaniu?

- Dziękuję bardzo. Na pewno znajdziemy chwilę dla siebie.

Odłożył słuchawkę i rozparł się na krześle, bo dopiero teraz zdał sobie sprawę, że siedział tak prosto, jakby kij połknął. Rozejrzał się po biurze.

-To dziwne. Wszystkie cztery podejrzane osoby będą dziś wieczorem w Abbey Grange.

-Wszyscy czworo? - zapytał Newman.

-Larry Voles, Lucinda, Michael i ten księgowy, Aubrey Grey-stoke. To dziwne. Bardzo dziwne.

-Monica wciąż walczy, próbuje powstrzymać Buchanana - zauważył Nield, wskazując na sekretarkę, która cały czas rozsierdzonym głosem rozmawiała przez telefon.

-A czego on chce, do diabła?

-Prawdopodobnie chodzi mu o to. - Newman pomachał najnowszym wydaniem dziennika „Daily Nation”. - Ich słynny re-

porter, Drew Franklin, zajął się tą sprawą w ekscentrycznym stylu, jak zwykle.

Podał Tweedowi gazetę rozłożoną na pierwszej stronie.

## CZWARTE MORDERSTWO RZEŹNIKA SZKIELETÓW

Policja

bezsilna

Po odkryciu dwóch zmasakrowanych zwłok na Dartmoor, trzecie odnaleziono na barce mieszkalnej w Wensford, przy autostradzie M3 ... Teraz w niebezpieczeństwie jest Londyn ... Szczątki czwartej ofiary, bieglej rewident, znaleziono w jej mieszkaniu

w dzielnicy Fulham ... Bezsilna policja przekazała sprawę Tweedowi, wicedyrektorowi SIS, ostrzegając: „Dokładnie zamykać okna i drzwi. Nie otwierać nikomu po zmroku. Każdy może zostać ofiarą numer 5”.

-Tego Franklina powinni rozstrzelać! - wykrzyknął Tweed. - Wszędzie wywoła panikę. Zmienił też kolejność odnalezienia ofiar. Ta w Fulham była trzecia.

-Pewnie zrobił to celowo - cynicznie odpowiedział Newman.

- Dzięki temu artykuł jest bardziej sensacyjny. Cały Londyn drży ze strachu. Drew wie, jak napisać dobry reportaż, nawet jeśli musi

nagiąć trochę fakty.

-Gdzie jest Paula? - zapytał Tweed, który nagle zdał sobie sprawę, że już od dłuższego czasu nie ma jej w biurze.

-Wyszła do naszych delikatesów, kupić trochę jedzenia dla tego włóczęgi - poinformowała go Monica. - Ja nie mogłam pójść, bo byłam zajęta sprzeczką z Buchananem, który koniecznie chciał z tobą rozmawiać.

-Kiedy to było? - kategorycznym tonem zapytał Tweed, wstając zza biurka.

-Już jakiś czas temu - przyznała Monica, która sama zaczynała się niepokoić. - To musiało być ponad trzy kwadranse temu. Albo i dłużej.

-Natychmiast ruszajcie! Musimy ją znaleźć! - krzyknął zdenerwowany Tweed. - Wszyscy jak tu stoicie. Już! Ja zajmę się telefonem.

Paula wyszła z biura i skierowała się w kierunku Baker Street do delikatesów. Rozejrzała się, ale nie dostrzegła nikogo oprócz włóczęgi po drugiej stronie ulicy. Rzęsisty deszcz na pewien czas przegnał ludzi z ulic.

Z torbą dyndającą na ramieniu szybkim krokiem skręciła w najbliższą przecznicę. W momencie kiedy sięgnęła do paska torby, żeby lepiej ułożyć go sobie na ramieniu, czyjaś ręka złapała ją za ramię i pociągnęła w głąb zaułka po lewej stronie. Torba ześlizgnęła się z ramienia Pauli i upadła na chodnik. Paula poczuła nagle zapach chloroformu, szarpnęła głową, żeby go uniknąć, i wzię-

ła głęboki oddech. Ktoś przyciskał jej do nosa kawałek szmaty. Ręka na lewym ramieniu zaciskała się z wielką siłą.

Ten przeklęty browning był w torbie daleko na chodniku. Jak namiot otoczyła ją okazałych rozmiarów biała szmata. Jakiś ciężki przedmiot uderzył ją w głowę i ześlizgnął się. Częściowo zamroczona uderzeniem, próbowała wydostać się spod krepującej ruchy płachty.

Ktoś szybko kilka razy owinął wokół niej linę, która przycisnęła jej ręce do tułowia. Potem lina owinęła się wokół nóg i została mocno zaciśnięta. Napastnik podniósł związaną Paulę i przez otwarte drzwi wrzucił ją na tylne siedzenie samochodu. Poczuła na sobie czyjeś ciało.

Pod płachtą ręka przesuwiała się wzdłuż jej nóg do góry. Pomyślała, że to gwałt. Ręce sięgnęły do jej rąk i siłą ułożyły je razem, a potem na nadgarstkach zacisnęły się plastikowe kajdanki i szczerknął zatraskiwany zamek. Następnie nieznajomy zrzucił ją z siedzenia na podłogę samochodu. Leżała cicho w nadziei, że napastnik pomyśli, iż chloroform zadziałał. Ale on sięgnął ku jej

twarży. Otworzyła usta, żeby zacząć krzyczeć. Błąd. Włożył jej w usta szmaciany knebel i zawiązał go z tyłu. Teraz nie wydobydzie z siebie głosu.

W końcu poczuła, że nieznajomy kładzie na niej jakby kołdrę. Zgadła, że miała ją ona ukryć przed kimś, kto zajrzałby do samochodu. Ciężkie ciało leżącego na niej mężczyzny podniosło się i rozległ się trzask zamykanych drzwiczek. Po chwili zawarczał silnik i samochód ruszył. Paula wyczuła, że skręcił w Baker Street. Zamiast marnować siły na daremne próby uwolnienia się, zaczęła poruszać głową na boki, dzięki czemu łatwiej jej było oddychać.

Kiedy samochód się rozpedził, Paula zdała sobie sprawę, że porwano ją w najgorszej dla niej chwili. Godziny szczytu jeszcze się nie rozpoczęły i kierowca mógł jechać z dość dużą szybkością. Próbowwała oswobodzić nadgarstki, ale kajdanki były zbyt mocno zaciśnięte. Wiedziała, że tych wynalezionych niedawno kajdanek nie można rozerwać ani rozluźnić.

Pół godziny później Newman wrócił do biura, trzymając w ręku torbę Pauli. Tweedowi na ten widok strach ścisnął wnętrzności.

-Gdzie to znalazłeś? - spytał cicho.

-W pobliżu. Wyszedłem na Park Crescent, skręciłem w lewo, a potem znalazłem ją przy wylocie zaułka. Leżała na chodniku.

-Czy ktoś widział, co się stało? - zapytał, z wysiłkiem kontrolując głos.

-Nie. Sprawdzalem w domach przy wylocie zaułka. W pierwszym nikogo nie było. Po drugiej stronie ulicy otworzyła mi jakaś

starsza pani. Widziała wcześniej zaparkowany tam niebieski samochód. Zapytałem o markę, ale nie miała pojęcia. Nie zna się na samochodach.

-I oczywiście nie zapisała numeru rejestracyjnego?

-Nie zapisała. Paulę porwano, nie trzeba być jasnowidzem, żeby domyślić się, kto to zrobił.

-Charmian - powiedział Marler, który właśnie wrócił.

-O, Boże - jęknął Tweed. - Czego chce?

-Pewnie ciebie - ponurym głosem odparł Marler. - Czekaj na telefon.

Poprzedniego wieczora, zgodnie z umową, Charmian znów zadzwonił do M. Nie opowiedział swojemu anonimowemu zleceniodawcy o niepowodzeniu pod Ivy Cottage. Starał się nie utra-



cić zaufania klienta i nie wspomniał o nieudanych próbach zamachu.

- Mówi M. - rozległo się w słuchawce.

Charmian nie próbował już dojść, czy głos należy do kobiety, czy do mężczyzny. Domyślał się, że M. mówi przez jedwabną chusteczkę owiniętą wokół słuchawki.

-M.? - zapytał.

-M jak meczet. O co chodzi?

-Czy jest coś, co ma dla Tweeda większą wartość niż sukces w pracy?

-Jego zaufana asystentka, Paula Grey. Szczupła, czarne włosy, wzrost 1,65 m. Ona...

-Wiem - przerwał Charmian. - Widziałem ją. Zgłoszę się za kilka dni.

Jak dotąd wszystkie próby zabicia Tweeda kończyły się fiaskiem. Strzał do samochodu z pola przy drodze A303. Próba wywołania wypadku, kiedy zajechał mu drogę volvo. Bomba przed fabryką Gantii. Oblężenie Ivy Cottage. Czas na zmianę taktyki.

Możliwe, że tym razem znalazł odpowiednie rozwiązanie. Porwać Paulę Grey. Spędził w słońcu długie godziny, ukryty w krzakach niedaleko miejsca, gdzie siedział włóczęga. Padało, ale Charmian miał na sobie ciężki płaszcz przeciwdeszczowy i rybacki kapelusz.

Charmian był nieskończenie cierpliwy. Potrafił czekać w bezruchu na cel, nawet jeśli miał cierpieć skrajne niewygody. Następnego dnia, po południu, na ulicy pojawiła się idąca samotnie Paula. Zrzuciwszy płaszcz i kapelusz, Charmian chwycił za plastikowy worek, w którym znajdowała się gruba płachta, i ruszył za Paulą.

Kiedy czekali na telefon od Charmiana, w biurze Tweeda panowała nieznośna, pełna napięcia atmosfera. Marler nie miał żadnych wątpliwości, że morderca zadzwoni. Paula była przynętą, celem - Tweed.

Z pozoru Tweed wydawał się najbardziej z nich wszystkich opanowany. Siedział za biurkiem z założonymi rękami. Z jego twarzy nie można było nic wyczytać, Marlerowi przypominał kamienny posąg. Wcześniej, pomimo targającego nim niepokoju, wydał swoim podwładnym rozkazy.

• - Kiedy zrobi się ciemno - albo o zmierzchu - wszyscy wsia-

dziecię do land-roverów i skierujecie się do zachodniej Anglii. Trasę pokazałem wam na mapie, jechaliśmy tamtędy z Paulą, gdy wybieraliśmy się do Abbey Grange. Zanim dotrzecie do Exeter...

Przerwał i odczekał, aż Marler i Newman rozłożą mapę i pochyliły się nad nią. Marler niewielkim metalowym wskaźnikiem podążał na mapie za wskazówkami Tweeda.

-Autostradą M3 aż do zjazdu numer osiem. Tam skręcamy w A303 i jedziemy prosto do interesującego nas miejsca na zachodzie.

-Dobrze - powiedział Tweed. - Za Exeter droga jest bardziej skomplikowana, ale będę was pilotował.

Jeśli wciąż będziesz żył, pomyślał Marler.

-Zakładam - cicho kontynuował Tweed - że w samochodach znajduje się całe uzbrojenie, jakie może się nam przydać.

-Już pytałeś - odpowiedział mu Harry.

-Rzeczywiście, mówiliście, że tak.

Nagle zadzwonił telefon. Wszyscy oprócz Tweeda zeszytnieli. Paula była bardzo lubiana przez cały zespół. Monica posłuchała chwilę, a potem przekazała słuchawkę Tweedowi.

-To do ciebie - rzekła grobowym głosem.

-Kto?

-On. Jestem pewna.

-Mówi Tweed.

-Jak już pewnie wiesz, mam Paulę.

-Daj jej słuchawkę, niech coś powie. Będę wiedział, że jest...

-Zamknij się i słuchaj - wysyczał głos w słuchawce. Miał *ślad francuskiego akcentu i brzmiał groźnie*. - *Przyjedziesz po nią sam. Swoim normalnym samochodem. Jeśli ktoś z tobą będzie, ona natychmiast zginie. Trzymam lufę pistoletu w jej ustach.*

-Jeśli coś jej się stanie, to obiecuję ci powolną śmierć.

-Nie groź mi! - krzyknął głos w słuchawce. - Pojedziesz sam w wyznaczone miejsce. Stonehenge. Wiesz, gdzie to jest?

-Tak.

-Natychmiast po przyjeździe wysiądziesz z samochodu. Sam. Jeśli zobaczę kogoś z twoich ludzi, zabiję ją w kilka sekund.

-Ton

głosu stał się sarkastyczny. - Nie sądzisz, że marnujesz czas? Jedź. Wejść mas główną bramą.

-W nocy będzie zamknięta. O tej porze roku...

-Będzie otwarta. Marnujesz czas.

Połączenie zostało przerwane. Tweed powoli oddał Monice słuchawkę. Spojrzał na zaniepokojone twarze współpracowników.

-Trzyma ją w Stonehenge.

-Co? - zawołał Marler.

-Tak, w Stonehenge. Ze wszystkich miejsc w Anglii musiał wybrać właśnie słynny zabytek. Ale to jest nam na rękę. Stonehenge jest przy naszej trasie.

-Skończmy z tym łajdakiem raz na zawsze - warknął Harry.

-Nic takiego nie zrobicie. Charmian jasno zaznaczył, że mam przyjechać swoim samochodem i sam. Jak zobaczy kogoś innego, to od razu zabije Paulę. Pojedziecie przede mną i po drodze macie nawet nie spojrzeć w stronę Stonehenge. W pobliżu Wylye, zaraz za dwupasmową drogą, zatrzymacie się w zatoczce parkingowej i zaczekacie na mnie. Dołączę do was później.

- Przerwał na chwilę. - Każdego, kto nie posłucha rozkazu - wyrzucę.

Monica była przerażona. Nigdy nie słyszała, żeby Tweed mówił w ten sposób. Szybko wstała z za biurka.

- Zanim pojedziecie, wypijcie przynajmniej łyk herbaty. Kiedy wyszła z pokoju, Marler skoczył na równe nogi i podbiegł do biurka Tweeda. Odezwał się rozkazującym tonem:

- Daj mi osobisty numer Lorienta w Paryżu.

Tweed, który usiłował przypomnieć sobie topografię Stonehenge, zapisał numer na kawałku papieru. Marler chwycił go i podbiegł do biurka Moniki. Usiadł za nim i wybrał numer. Miał nadzieję, że Lorient zostanie w biurze.

-Kto mówi? - odezwał się Lorient.

-Marler. Pamiętaj mnie pan?

-Mój drogi, oczywiście, że tak. - Szef francuskiego kontrwywiadu od razu przeszedł na angielski, którym władał doskonale.

- Kiedy będziemy mieli przyjemność...

Marler mu przerwał.

-Proszę posłuchać. Sytuacja jest bardzo poważna. Muszę dowiedzieć się jak najwięcej o Charmianie, tym zabójcy.

-Zabija z zimną krwią, za pieniądze. Jest najlepszy w branży. Nie wiemy nawet, jak wygląda. To prawdziwy lis.

-Czy jest religijny? - szybko zapytał Marler.

-Jest katolikiem, ale niepraktykującym. Sądzymy, że nawet jeśli nie chodzi regularnie do kościoła, to przystępuje czasem do

spowiedzi. W tej chwili prawdopodobnie znajduje się w Wielkiej Brytanii.

-Czy zabiłby księdza za odpowiednią cenę?

-O, nie! -W głosie Loriota było słychać przerażenie. - Nawet za całe złoto w Fort Knox.

-Dziękuję. Muszę jechać. Mamy coraz mniej czasu.

-O co ci chodziło? - zapytał Newman.

Marler go zignorował. Włożył płaszcz przeciwdeszczowy i ruszył do drzwi, wołając w biegu do Tweeda:

- Potrzebuję piętnastu minut, Tweed. Zaczekaj na mnie. On też zaczeka, bo to ty jesteś jego celem.

Nie bacząc na deszcz, Marler zbiegł po schodach na dół i odpiął harleya davidsona ukrytego przy suterenie. Wciągnął motocykl na górę i po chwili pomknął szybko Park Crescent.

Pojechał do pobliskiego składu kostiumów teatralnych, którego właściciel chwalił się, że potrafi znaleźć dla aktora każde ubranie, jakiego ten sobie zażyczy. Wszedł do środka z plastikowym workiem w jednej ręce i plikiem dwudziestofuntowych banknotów w drugiej.

Powiedział właścicielowi, o jaki kostium chodzi, i poprosił o znalezienie go w pięć minut, wliczając czas na przymiarkę i poprawki. Właściciel wiedział, co ma w magazynie i gdzie tego szukać. Marler ściągnął płaszcz przeciwdeszczowy i po chwili przymierzył kostium, który zamówił. Pasował doskonale.

Zapytał o cenę, położył na ladzie banknoty i wrzucił zakupione rzeczy do plastikowego worka. Potem wybiegł ze sklepu, wepchnął worek do bagażnika motocykla i ruszył z powrotem.

Dotarł do Park Crescent, wyciągnął worek z bagażnika, a motocykl odstawił na miejsce. Kiedy wszedł do budynku, pobiegł na tyły, w pośpiechu napisał wiadomość dla Harry'ego, którą przymocował na karoserii pierwszego land-rovera, a sam wsiadł do drugiego.

Tweed dopijał herbatę, kiedy Harry wbiegł do biura, machając kawałkiem papieru. Był niezwykle podekscytowany. Zatrzymał się przed biurkiem Tweeda i próbował złapać oddech.

- Marler odjechał jednym z land-roverów. Drań jeden, zostawił mi informację.

Tweed podniósł kartkę, którą Harry rzucił na jego biurko. Wiadomość najwyraźniej została napisana w wielkim pośpiechu,

ale mimo to była czytelna: „Przepraszam cię, Harry. Dostałem cynk i jadę. Marler”.

-Nie napisał nawet, co za cynk - denerwował się Harry. - A my mamy się teraz tłoczyć w jednym land-roverze aż do Wylve...

-Uspokój się - cicho rzekł Tweed, obmyślając szybko nowy plan działania. - Harry, ty będziesz kierować, tak jak powiedziałem. Dla Newmana i Nielda wciąż będzie dużo miejsca. W swoim land-roverze macie dość broni, prawda? Dobrze. Kiedy będziecie mijać Stonehenge, wszyscy oprócz ciebie mają się schować i przy-

kryć jakąś płachtą. Czy możecie już jechać? To ruszajcie. Już!

Monica odezwała się dopiero wtedy, kiedy wszyscy wybiegli z biura. Na jej twarzy malowało się zdziwienie.

-Widziałam, że wzięłaś komórkę Pauli, kiedy Marler wybiegł. Po co ci ona, skoro twoi ludzie będą czekać kilka mil dalej, w Wylve? Sprawdzalam na mapie.

-Nigdy nic nie wiadomo - odparł, wkładając płaszcz. - Jeszcze jedno. To mało prawdopodobne, ale jeśli zadzwoni Charmian i będzie chciał ze mną rozmawiać, powiedz, że jakiś czas temu gdzieś wyszedłem. Nie podawaj żadnych konkretnych informacji.

-Powodzenia - drżącym głosem pożegnała go Monica.

Przez umysł Tweeda, wyjeżdżającego z Londynu autostradą M3, przewijały się różne scenariusze nadchodzących wydarzeń. Ulice niedawno opustoszały po godzinach szczytu, chociaż było już ciemno. Czy Paula jeszcze żyje? Powstrzymał falę gwałtownych uczuć. Zwiedził Stonehenge przed kilkoma laty i dzięki swej doskonałej pamięci mógł teraz odtworzyć kształt niezwykłego kręgu prehistorycznych megalitów, które przed wiekami miały służyć jako miejsce kultu tajemniczych bogów.

Monolity były gigantycznymi blokami kamienia, stojącymi pionowo i wznoszącymi się nawet na osiemdziesiąt stóp. Dla zabezpieczenia przed wandalami cały teren otoczono wysokim ogrodzeniem z siatki. Zabytek znajdował się na wzgórzu w pobliżu miejsca, gdzie zbiegały się dwie drogi. Szosa A344 odbijała w prawo na północny zachód, a A303 zmierzała dalej na południowy zachód.

Jedyne wejście do Stonehenge znajdowało się przy drodze A344, a była to solidna brama, przy której sprzedawano bilety wstępu. Po zmroku brama powinna być zamknięta - prawdopodobnie o tej porze roku jest zamknięta przez cały dzień. Mimo to Charmian kazał Tweedowi wejść właśnie przez tę bramę. Praw-

dopodobnie wyłamał już kłódkę. Jeśli wejdę tamtędy, pomyślał Tweed, to już po mnie.

Pomyślawszy o tym przed wyjazdem z Park Crescent, Tweed poprosił George'a, strażnika, o parę mocnych szczypiec. Był pewien, że Charmian będzie na niego czekał przyczajony na szczycie wzgórza, na którym stoi Stonehenge. Pomyśli więc, że Tweed zabłądził, kiedy ten minie skrzyżowanie i pojedzie dalej drogą A303.

Zaparkuje zaraz za skrzyżowaniem. Pamiętał, że od tej strony znajduje się koło drogi porośnięte trawą wzgórze, na którego szczycie stoją megality. Szczypcami wytnie w ogrodzeniu dziurę, przeczołga się przez nią i powoli wejdzie na szczyt.

Zatrzymał się na stacji benzynowej na M3, sprawdził walthera i włożył do niego pełny magazynek. Oczekiwał, że prawdopodobnie zginie zaraz potem, jak wynurzy się zza wierzchołka wzgórza. Miał jednak nadzieję, że uda mu się załatwić Charmiana w tej samej chwili, kiedy ten do niego strzeli.

Później, kiedy zjeżdżał z autostrady na węźle numer osiem, zobaczył, że ma drogę tylko dla siebie, i dodał gazu. Myślami przeniósł się w okolice Dartmoor. Przed wyjazdem zadzwonił z biura do przyjaciela, emerytowanego eksperta do spraw żeglugi. Nie podając zbyt wielu szczegółów, poprosił go o wyliczenie prawdopodobnego położenia „Orana”. Dzięki takim danym, jak wyporność frachtowca, prawdopodobna prędkość oraz data i przypuszczalna godzina przejścia przez Cieśninę Gibraltarską, ekspert potrafił podać Tweedowi szacunkowy czas przybycia statku na zachodnie wybrzeże Anglii.

Według jego orientacyjnej prognozy statek miał tam dotrzeć tego dnia wieczorem lub w nocy. Tweed miał podstawy, żeby zaufać tym obliczeniom, kiedy usłyszał od Lucindy, że wszystkie osoby zarządzające Gantią zmierzały w tym czasie do Abbey Grange.

Larry, Lucinda, Michael oraz Aubrey Greystoke. Jedno z nich, Tweed był tego pewien, dokonało bestialskich morderstw. Ta sama osoba stała za nielegalną produkcją głowic, ponieważ musiała zarobić czterysta milionów funtów na pokrycie strat poniesionych na giełdzie. Trzeba było oddać skradzioną sumę, przelaną z rezerw Gantii.

Tweed uznał Michaela za jednego z podejrzanych, ponieważ nigdy do końca nie uwierzył, że ten rzeczywiście cierpi na amnezję. Profesor Saafeld, aktualnie najlepszy w kraju ekspert od medycyny sądowej, powiedział Tweedowi, co myśli o ludziach,

których Churchill nazwał kiedyś cyrkowymi cyklistami. „Znałem wielu z nich. Wszyscy są stuknięci. Dlaczego? Ponieważ zbyt wiele czasu spędzają, zajmując się nie zrównoważonymi pacjentami, i zaczynają się do nich upodabniać. Są stuknięci”.

Tweed, zatopiony w myślach, kierował jak automat. Bardzo się niepokoił o Paulę, ale teraz musiał zachować zimną krew. Był zaskoczony, kiedy zobaczył po prawej stronie drogi kierunkowskaz do Andover. Od Stonehenge dzieliło go niecałe 30 kilometrów.

## 2B

Około dwudziestu potężnych megalitów Stonehenge sterczało w świetle księżyca jak strażnice posepnego zamczyska z filmu grozy. Były tak monumentalne, że wydawało się, iż będą tutaj stać wiecznie. Kilka z nich przewróciło się i leżało na porośniętym krzakami szczycie wzgórza iak gigantyczne ławy. Od zachodu wiał lodowaty wiatr.

Paulę niepokoiła złowroga cisza w tym złowieszczym i upiornym miejscu. Dziękowała Bogu, że przed wyjściem do delikatosów narzuciła płaszcz. Wciąż była odrętwiała ze strachu i chłodu.

Kiedy przyjechali, Charmian zaparkował za jakimś żywopłotem przy drodze A344, niedaleko skrzyżowania. Potem zaniósł spętaną i zakneblowaną Paulę do bramy wejściowej. Jednym strzałem z dziesięciomilimetrowego glocka uporał się z zamkiem. Dźwignął Paulę i zaniósł ją do znalezionej wcześniej kryjówki.

Posadził ją na jednym z przewróconych megalitów i przywiązał do niego kawałkiem liny. Siedziała wyprostowana, a jej nogi ledwie sięgały ziemi. Charmian chciał, żeby Tweed ją zobaczył, zanim dosięgnie go pierwsza kula. Potem zamierzał zabić również Paulę.

Ze swojego miejsca doskonale widziała drogę z Londynu, ale Charmian, który obawiał się, że dostrzegą ją przejeżdżający tamtędy kierowcy, usadził ją za dużym kamieniem tak, żeby była od tej strony zasłonięta. Wiedziała, że Tweed przybędzie na ratunek i właśnie tego najbardziej się obawiała. Porywacz panował ze szczytu wzgórza nad całym otaczającym je terenem.

Gwiżdżący ponuro wiatr ucichł i zapadła okropna cisza, przerywana od czasu do czasu warkotem przejeżdżających samochodów. Dźwięk silnika jednego z nich był tak głośny, że Paula posta-



nowiła zaryzykować i całym ciężarem oparta się o stojący przed nią kamień, który zsunął się z megalitu. Hałas wywołany przez samochód i podmokła trawa stłumiły dźwięk jego upadku. Charmian, obserwujący przez lornetkę przejeżdżające samochody, był tak zaaferowany, że nawet tego nie zauważył.

Paula robiła, co mogła, aby nie zeszywnieć jak otaczające ją kamienie. Co jakiś czas zginała i prostowała związane w kostkach nogi. W miarę możliwości próbowała też rozruszać nadgarstki i ramiona, ale szybko uznała, że nigdy nie zdoła się uwolnić. Była przestraszona, bezsilna i zziębnięta. Zwilżyła knebel śliną, ale i on nie dawał się ruszyć. Usłyszała nadjeżdżający powoli samochód i zobaczyła, że jest to land-rover, ale za opuszczoną osłoną przeciwsłoneczną nie dostrzegła twarzy kierowcy. Land-rover wolno przejechał przed Stonehenge i skręcił w drogę A303. Chwilę później z donośnym trąbieniem wyprzedziła go pędząca ciężarówka.

Charmian, pewien, że jego ofiara nie zdoła się uwolnić, nawet na nią nie spojrział. Ukryty za jednym z megalitów pilnie obserwował drogę przez mocną lornetkę. Przejechało jeszcze kilka samochodów i ciężarówek, większość drogą A303, a potem pojawił się kolejny land-rover, tym razem poruszający się znacznie szybciej. Przez lornetkę dostrzegł, że w środku jest tylko kierowca. Z tyłu kabiny leżało coś przykryte płachtą, zapewne jakiś ładunek.

Czas mijał, Paula czuła, że jej wytrzymałość się kończy. Rozluźniła mięśnie; równo i głęboko oddychając, pokonała zbliżający się atak hysterii.

Charmian był ubrany odpowiednio do warunków - miał na sobie sweter i wiatrówkę z wełnianą podpinką, a także wełnianą czapkę. W prawej dłoni trzymał glocka, z którego można odstrzelić człowiekowi głowę. Od czasu do czasu popijał z trzymanej w kieszeni butelki. Pauli nie częstował; ostatecznie potrzebował jej tylko do wykonania zadania.

Paula zacisnęła zęby. W dali, na drodze z Londynu, ukazał się samochód Tweeda. W desperacji zaczęła rozglądać się za czymś, czym mogłaby narobić hałasu. Spojrzała pod nogi, i w miejscu, gdzie stopami dotykała ziemi, dostrzegła leżący na małym kopczyku odłupany kawałek megalitu.

Charmian drgnął, kątem oka dostrzegł bowiem za sobą jakiś ruch. Obejrzał się i osłupiał. Po szczycie wzniesienia od strony szosy wolno nadchodziła wysoka postać ubrana na czarno. Długa

szata sięgała jej do kostek. Głowę przykrywał tego samego koloru kapelusz z szerokim rondem. Wokół szyi jaśniała biała koloratka. W lewej ręce postać trzymała stożkowane naczynie wiszące na cienkim łańcuszku. Delikatnie kołysała nim z prawa na lewo. Charmian nie mógł uwierzyć własnym oczom. Książdz?!

Wiedział co nieco o Stonehenge. Kilka lat temu wysiadł z pociągu w pobliskim Salisbury. Zlecenie: dokonać zamachu na byłego premiera. Natychmiast po przyjeździe zorientował się, że jest w niebezpieczeństwie. Ktoś zdradził jego plany. W całym mieście roіło się od policji - patrole piesze i w samochodach wolno sunących po ulicach. Wślizgnął się do najbliższego pubu, żeby zniknąć im z oczu. Spotkał tam jakiegoś rolnika i ten zaczął mu opowiadać o Stonehenge, które przed wiekami zbudowano jako miejsce kultu. Uznał widać Charmiana za turystę, bo zaproponował, że podwiezie go, do tego miejsca, ponieważ było mu po drodze.

Charmian z ulgą się zgodził, wiedząc, że w ten sposób bezpiecznie wydostanie się z Salisbury. Samotny piechur wzbudziłby podejrzenia, a dwóch ludzi w samochodzie z miejscową rejestracją nikogo nie zaniepokoi. Na opustoszałej drodze do Stonehenge powiedział, że musi wysiąść za potrzebą. Kiedy samochód się zatrzymał, udusił kierowcę. Zwłoki wrzucił do głębokiego stawu, a sam pojechał do Newhaven. Złapał tam prom odpływający do Francji.

Teraz przypomniał sobie o tamtym wydarzeniu, w osłupieniu patrząc na wysoką postać, kroczącą powoli i kołyszącą dziwnym naczyniem, z którego wyciekała woda. Zapewne z jakichś powodów książdz święcił ziemię. Paula również wpatrywała się w przyszła, który wydał się jej dziwnie znajomy.

Nadjechał samochód Tweeda, co odwróciło uwagę Charmiana. Ku jego zaskoczeniu samochód nie skręcił w szosę, tylko powoli sunął drogą A303. Po chwili się zatrzymał. Charmian podniósł glocka i wycelował w najwyższy punkt wzgórza.

Tweed wysiadł z samochodu. Na tle rozświetlonego księżycem nieba dostrzegł sylwetkę Pauli, samotnie siedzącej na przewróconym megalicie. Przynajmniej jeszcze żyła. Ze zdziwieniem spojrział szybko na land-rovera z błyskającego światłami awaryjnymi, którego zaparkowano nieco dalej na szosie. Ruszył w górę stoku pochylony, nisko trzymając głowę i ściskając w prawej ręce walthera. Wiedział, że kiedy dotrze do szczytu wzniesienia, wszystko

się rozstrzygnie. Jeżeli w ogóle będzie miał wtedy jakąkolwiek szansę, to tylko jedną.

Paula wiedziała, że Tweed idzie do nich. Nerwy miała napięte do ostateczności. Odetchnęła chłodnym powietrzem, starając się opanować strach. Musiała zgadnąć, kiedy nadejdzie odpowiednia chwila, żeby zacząć działać. Z determinacją wyciągnęła przed siebie prawą nogę, najdalej jak mogła. Lina, którą Charmian przywiązał ją do megalitu, wpiła się jej głęboko w ciało. Liczyła w myśli, usiłując odgadnąć, ile kroków będzie musiał postawić Tweed, żeby wspiąć się na szczyt.

Charmian przywarł do wielkiego megalitu, za którym się ukrywał. Oburącz ścisnął pistolet. Poruszał nim nieznacznie w lewo i w prawo, starając się odgadnąć, w którym miejscu pojawi się Tweed. Cisza zalegająca nad Stonehenge wydawała się jeszcze głębsza. Drogą nie jechało nic.

Prawa stopa Pauli dotknęła wreszcie leżącego na małym kopczyku kamienia. Wzięła głęboki oddech, a potem wszystko stało się tak szybko, jakby to przedtem przećwiczyli. Paula kopnęła kamień, a ten stoczył się z kopczyka i zatrzymał. Hałas na ułamek sekundy odwrócił uwagę Charmiana, który zdekoncentrował się, patrząc w jej kierunku, ale zaraz ponownie spojrzął przed siebie. Tweed pokonał ostatnich kilka kroków dzielących go od szczytu wzniesienia i nacisnął spust. W tym samym momencie tajemniczy ksiądz wyszarpnął spod sutanny karabin, błyskawicznie wycelował i wystrzelił pocisk eksplodujący w twarz mordercy, widoczną na przecięciu nitek celownika. Jednocześnie, ułamek sekundy przed tym, nim Charmian wystrzelił z glocka, pocisk Tweeda trafił go w brzuch, a kula karabinowa przebiła mu czoło tuż nad nosem. Głowa Charmiana rozpadła się na kawałki, obryzgując megalit krwią oraz kawałkami ciała, kości i mózgu. Bezgłowy tułów osunął się na ziemię. Marler, nie wypuszczając z rąk karabinu, zrzucił sutannę i ściągnął z głowy kapelusz. Paula otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale nie zdołała wydobyć z siebie głosu i wyczerpana osunęła się na kamień.

Tweed zaczął biec w kierunku Pauli, ale pierwszy dotarł do niej Marler. Scyzorykiem rozciął sznury, którymi przywiązano ją do przewróconego megalitu, a potem pęta krępujące jej nadgarstki i stopy. Paula ześlizgnęła się z kamienia; próbowała się

podnieść, ale znów straciła równowagę. Tweed złapał ją **wpół**. Oparła głowę na jego piersi, bezskutecznie starając się coś powiedzieć, aż w końcu Marler wyjął jej z ust knebel.

-Boże! Tak się o ciebie martwiłam... Tak bardzo, że o **mało** nie... oszalałam.

-Mówisz zupełnie do rzeczy - szybko wtrącił Marler. - Chcesz trochę wody?

-O tak, poproszę - wychrypiała.

Marler wyjął z kieszeni butelkę. Zanim podał ją Pauli, powiedział surowym tonem:

- Słuchaj uważnie. Wypij tylko kilka małych łyków, a potem zaczekaj. Potem znowu kilka łyków i przerwa. Później będziesz mogła wypić więcej.

Skinęła głową na znak, że zrozumiała, chwyciła butelkę i zmusiła się, żeby wypić tylko kilka odmierzonych łyków. Poczowała łaskotanie wody spływającej wysuszonym gardłem. Zaczęła kaszleć, odczekała chwilę i wypiła kolejnych kilka łyčzków, które nie wywołały już ataku kaszlu. Znów chwilę odczekała, a potem powoli zaczęła pić już normalnie. Czowała, jak wszystkie części jej ciała powracają do życia.

- Dziękuję - powiedziała już normalnym głosem, oddając butelkę. - Tego mi było trzeba.

Stojąc w miejscu, kilkakrotnie zgięła nogi w kolanach i wkrótce poczuła, że bez trudności może już utrzymać równowagę. Zrobiła kilka kroków tam i z powrotem, rozmawiając z Marlerem i Tweedem, którzy szli po obu jej stronach.

-Krok tego księdza wydał mi się jakby znajomy, ale nigdy bym nie zgadła, że to ty, Marler.

-Ale po co się tak wystroiłeś? - zapytał Tweed, starając się nadać głosowi żartobliwe brzmienie.

-Dzwoniłem do Paryża. Lorient powiedział, że Charmian jest katolikiem. Nie chodził co prawda regularnie do kościoła, ale przystępował do spowiedzi. Zaryzykowałem, sądząc, że nie będzie strzelał do księdza, i miałem rację. Powinniśmy tutaj posprzątać, usunąć ślady.

-Jak? - spytał Tweed.

-Chodźcie za mną. - Marler, przyjrzawszy się Pauli, uznał, że trzeba czymś zająć jej uwagę, nawet jeśli będzie to niezbyt przyjemna praca. Wyjął z kieszeni kurtki białą płachtę folii i podał ją Pauli. - Mogłabyś posprzątać ten bałagan przy megalicje? **Potei!** przykryj tą płachtą ciało.

Marler wiedział, co robi. Paula, która jeszcze nie wyszła z szoku, z wdzięcznością przyjęła zadanie. Kątem oka zerknęła na trupa, nad którym stała, wycierając ścianę megalitu. Wiedziała, że zginęłaby zaraz po Tweedzie.

Tweed przeszedł kilka kroków i dołączył do Marlera, który stał na szczycie wzgórza, przyglądając się czemuś pod nogami. Znajdowała się tam kwadratowa dziura, przykryta metalową kratką, zamkniętą z jednej strony na kłódkę. Marler z kieszeni wyjął wytrych, który zawsze nosił przy sobie. Nałożył rękawiczki i jedną ręką chwycił kłódkę, żeby nie wpadła przez kratkę do dziury. Otworzył ją wytrychem.

-Kanał odpływowy - mruknął. - Musi tutaj strasznie lać.

-Rzeczywiście często leje tu jak z cebra - powiedział Tweed.

- Jaki masz plan?

Marler nie odpowiedział od razu. Chwycił leżący w pobliżu spory kamień i rzucił go w głąb kanału, podniósłszy wcześniej kratkę. Nasłuchiwali. Po dłuższej chwili usłyszeli odległy plusk wody.

- Jest dostatecznie głęboki. Idę po ciało.

Podniósł sutannę z ziemi. Już wcześniej odpruł z niej metkę składu kostiumów teatralnych. Idąc w stronę Pauli, dostrzegł, że oczyściła już powierzchnię megalitu z resztek Charmiana. Zdążyła się też trochę uspokoić. Marler wyjął z jej rąk białą płachtę i położył na szyi zakrwawionego ciała. Podniósł je, a Paula wsunęła pod nie sutannę, tak jak kazał Marler. Owinął nią nieboszczyka, szczególnie starannie zabezpieczając resztki szyi. Potem podniósł trupa za pas i zaniósł do kanału. Paula szła za nim.

-Co to jest? - zapytała, wpatrując się w kwadratowy otwór w ziemi.

-Kratka ściekowa kanału. Prawdopodobnie prowadzi do większego niż ten.

- Świetne miejsce dla takiego jak on - powiedziała.

Ustawił ciało pionowo i wrzucił je do otworu. Czekali. Znowu wydawało się, że cisza trwa nieznośnie długo, aż w końcu usłyszeli odległe pluśnięcie. Marler podniósł z ziemi czarny kapelusz, włożył do niego wiszące na łańcuszku naczynie i również wrzucił do dziury.

- Już po wszystkim.

Tweed przeszedł na drugą stronę otworu i w rękawiczkach podniósł kratę, a następnie przykrył nią wylot kanału. Marler zamknął ją na kłódkę i wstał.

Spojrzał na otaczające ich gigantyczne kamienne bloki, a następnie rozejrzał się uważnie po ziemi wokół, upewniając się, czy czegoś nie przeoczyli.

-U podstawy megalitu zostanie trochę krwi - powiedział - ale wkrótce zbrązowieje.

-Prędzej wypłucze ją następna ulewa - zauważył Tweed. - Teraz musimy jak najszybciej jechać do Wylye, gdzie czeka reszta. Paula, ty jedziesz z Marlerem. Ja zaparkuję niedaleko Wylye i przesiadę się do land-rovera. Musimy się śpieszyć. Przed nami ciężka noc.

Tweed jechał przed nimi. Paula usiadła w land-roverze z przodu. Marler od czasu do czasu spoglądał na nią i dostrzegł, że zamykają się jej oczy. Zatrzymał samochód na parkingu. Zdjął płaszcz, złożył go i powiedział Pauli, żeby przeniosła się na tylne siedzenie, gdzie złożony płaszcz posłuży jako zaimprovizowana poduszka.

-Wyciągnij się i prześpij trochę - polecił.

-Dzięki - odpowiedziała z uśmiechem.

Zanim samochód ruszył, Paula już spała. Tymczasem rozświetlone przedtem księżycem czyste niebo nad Stonehenge zasnuły ciemne chmury. Pogoda zmieniła się gwałtownie. Chmury zasłoniły księżyc. Marler zastanawiał się, czy przeszkodzi to w realizacji nieznanego mu jeszcze planu Iweeda. Dopiero gdy dołączą do reszty grupy, miał im wyjaśnić, jaki będzie ich następny ruch.

Jadący przed nimi Tweed zwolnił, kiedy zbliżali się do Wyllye. Zjechał z drogi na parking, na którym zauważył stojącego land-rovera. Samochód okazał się pusty. Wokół nie było żywego ducha. Ostrożnie wysiadł ze swojego samochodu, ściskając w rękę pistolet.

- Nie strzelaj do przyjaciół - odezwał się znajomy głos, należący do Harry'ego.

Nie wiadomo skąd pojawił się nagle u boku Tweeda, trzymając w rękach uzi. Za nim wyłonili się z mroku Newman i Pete Nield. Tweed wpatrywał się w nich zaskoczony - wszyscy uzbrojeni. Co się, u diabła, stało?

- Czekaając na ciebie, uznaliśmy, że ostrożności nigdy za wiele - wytłumaczył Newman. - Z bocznej drogi wyjechało kilka wyładowanych policjantami radiowozów. Zobaczyliśmy je w lusterku

wstecznym i ledwie zdążyliśmy dojechać do tego miejsca i wyłączyć światła. Nie zauważyli naszego land-rovera, tylko popędzili na sygnale w kierunku Exeter.

- Co się dzieje? - mruknął Tweed.

W tej chwili nadjechał Marler. Paula już się obudziła, wyczuwszy, że samochód zwalnia. Tweed powtórzył im, co usłyszał Newman. Paula się ożywiła.

- Jak myślicie, co się mogło stać?

Tweed już otwierał usta, by odpowiedzieć, kiedy zadzwonił telefon komórkowy Pauli. Tweed zaklął po nosem, przystawił aparat do ucha i cicho zapytał:

-Kto mówi?

-Nadinspektor Buchanan - zagrzmiął głos w słuchawce.

- Gdzie jesteś? Numer tej komórki podała mi Monica. Powiedziałem jej, że masz kłopoty...

-Jakie kłopoty?!

-Tylko tak mogłem wydobyć od niej ten numer. Gdzie jesteś?

- powtórzył agresywnym tonem.

-Chyba jesteś wściekły. Co się stało?

-Nie czytałeś tych wielkich nagłówków w gazetach? Sugerują, że policja nic nie robi w sprawie tych bestialskich morderstw. Że jesteśmy bezradni. Bezradni, do diabła! I że ty zajmujesz się śledztwem, ale do niczego nie doszedłeś. Postanowiłem przejąć tę sprawę.

-Nie możesz - odpowiedział Tweed stanowczym tonem. - To ja ją prowadzę, a ty siedzisz po uszy w tych manewrach antyterrorystycznych.

-Gdzie jesteś, u diabła? - wrzeszczał Buchanan.

-Właśnie zamierzam odkryć tożsamość ostatniej znalezionej na Dartmoor ofiary - skłamał rozwścieczony Tweed.

-Czytałem twój raport na temat postępów w śledztwie, jeśli można to nazwać postęпами. Wysłałem oddział, który ma areszto-

wać Michaela jako podejrzanego o morderstwo; skorzystałem z podanych przez ciebie danych.

-Natychmiast odwołaj ten rozkaz. W tej chwili zatrzymaj swój oddział. Narobisz więcej szkody, niż będzie z tego pożytku. Poza tym od kiedy podejmujesz decyzje na podstawie nagłówków w prasie? Chcesz dokonać tego aresztowania tylko po to, żeby chronić swój tyłek. Zabraniam ci ingerować w prowadzoną przeze mnie sprawę.

-Pamiętaj, że mam poparcie ministra spraw wewnętrznych.



-Czyżby? Rozkazał ci zaaresztować Michaela?

-No... nie. Decyzję w tej sprawie pozostawił mnie, więc...

-Buchanan - Tweed starał się mówić spokojnie - jeżeli nie odwołasz rozkazu aresztowania Michaela i nie wycofasz swoich ludzi, to natychmiast zadzwonię do premiera.

W słuchawce zapadła cisza. Buchanan wiedział, że Tweed w razie potrzeby może zawsze liczyć na poparcie premiera. Paula, trzymając ręce w kieszeniach wiatrówki, z wyraźnym zadowoleniem przyglądała się wyrazowi twarzy swego szefa. Nie miała wątpliwości, kto wygra w tym starciu.

-Jesteś tam jeszcze, do cholery?! - krzyknął Tweed.

-Tak. Uspokój się. W porządku, skontaktuję się przez radio z moim oddziałem i przekażę ludziom, że rozkaz aresztowania został odwołany i mają wracać do bazy. Sam się martw o resztę.

-W tym śledztwie od dawna jestem sam. Dajesz słowo? Oczekuję jednoznacznej odpowiedzi.

-Tak - odrzekł Buchanan. - Powiedziałem, że niezwłocznie odwołam całą operację. Mam tylko nadzieję, że wiesz, co robisz.

-Przynajmniej jeden z nas wie...

Rozłączył się. Cały jego zespół zgromadził się wokół, kiedy w skrócie tłumaczył, co się stało. Gdy skończył, Paula nieśmiało podsunęła:

-A może Buchanan ma rację co do Michaela?

-Dowiemy się i tego, prawdopodobnie jeszcze dzisiaj - odparł Tweed, a następnie krótko opowiedział o wydarzeniach w Stonehenge i śmierci Charmiana. Harry zmarszczył brwi i spojrział na Paulę.

-Kiedy ostatni raz coś jadłaś?

-Szczerze mówiąc, umieram z głodu, ale jakoś wytrzymam.

-Zaraz coś wymyślę - powiedział Harry. Na chwilę zniknął w drugim land-roverze. Wrócił z hermetycznym pojemnikiem na żywność. Wyjął z niego przygotowane przez Monice, owinięte w papier kanapki, torebkę z owocami i butelkę wody. - Którym wozem jedziesz?

-Ze mną - kategorycznie rzekł Tweed. - Usiądziemy z tyłu, żebym mógł w spokoju pomyśleć.

-Ja poprowadzę - powiedział Marler.

-W takim razie ja biorę drugi samochód - obwieścił Harry.

- Pete i Newman będą moimi pasażerami.

- - Zaczekamy tutaj kilka minut - zarządził Tweed, zabierając

Harry'emu pojemnik na żywność i prowadząc Paulę do samochodu.

- Myślałem, że się spieszymy - zauważył Marler.

Na tylnym siedzeniu land-rovera Paula pałaszowała kanapki jedną po drugiej, jakby od kilku dni nic nie jadła. Tweed spojrział na zegarek.

-Damy im dziesięć minut - postanowił.

-Komu? - zapytała Paula, która pociągnawszy z butelki kilka dużych łyków wody, zabierała się właśnie do owoców.

-Zobaczysz sama, jeśli przyjadą.

Kilka minut później ujrzeli radiowozy pędzące w kierunku autostrady M3. Tweed uśmiechnął się ponuro i powiedział, wskazując je ruchem głowy:

-Buchanan posłuchał. Wycofał oddział, który przedtem wysłał do Abbey Grange. Teraz możemy zaczynać. Marler, n^szaj, a Harry niech jedzie za nami. Będę cię pilotował, przy Exeter trasa jest trochę skomplikowana. Celem jest droga A30, potem skęcimy w A382 i dojedziemy aż do Moretonhampstead. Tam jeszcze raz skęcamy w prawo, w drogę, która doprowadzi nas do Abbey Grange.

-Nie jedziemy do Post Lacey? - zdziwiła się Paula.

-Nie. Pierwsze zadanie to sprawdzić Abbey Grange. Muszę zobaczyć, kto tam teraz jest. Poza tym rzucimy okiem na wieś, którą Lucinda nazwała Końcem Świata. Natomiast przy drugim zadaniu będzie nam potrzebna ta cała artyleria, którą zabrał dla nas Harry.

-Chodzi ci o te dziwne, połączone ze sobą domy? - dopytywała się Paula.

-Właśnie. - Spojrzał jeszcze raz na zegarek. - Jedziemy. Ruszajcie się, wszyscy!

Marler utrzymywał dobre tempo, szczególnie na dwupasmych odcinkach, a Harry rozsądnie trzymał się dość daleko z tyłu. Ruch na drogach był niewielki, a noc zupełnie ciemna z powodu gęstych chmur.

-Zawsze chciałam cię o coś zapytać - odezwała się Paula, powstrzymując ziewanie. - Odnoszę wrażenie, że według ciebie wszyscy Ormianie są podstępni. Dlaczego?

-Niektórzy - poprawił ją. - To zrozumiałe, jeśli spojrzeć na ich historię, którą pamięta dziś niewielu ludzi. W czasie pierwszej wojny światowej, mniej więcej od 1915 do 1916 roku, Turcy,

k którzy nienawidzą Ormian, urządzili im straszną rzeź. Rodzaj ludobójstwa. Wymordowali ponad milion Ormian. Niektórym udało się przetrwać, ale tylko dzięki temu, że stali się bardzo podstępni. Tylko w ten sposób mogli utrzymać się przy życiu. Świat zapomniał o tych okropnościach.

Spojrzał na Paulę. Widać było, że oczy same się jej zamykają, więc teraz on złożył płaszcz w rodzaj poduszki, którą umieścił na siedzeniu pomiędzy nimi, i poradził jej, żeby zwinęła się w kłębek i spróbowała zasnąć. Słyszał, że wcześniej Marler zrobił podobnie.

Paula natychmiast zapadła w głęboki sen, ale po jakimś czasie obudziły ją koszmary - śniło jej się, że ogromne bloki kamienia maszerowały, żeby zdeptać ją na śmierć. Mrugając powiekami, usiadła i wyjrzała przez okno. Potężna masa Dartmoor, groźnie wznosząca się na horyzoncie, nie była już pokryta śniegiem tak jak podczas ich ostatniej tu bytności. Przytłaczający płaskowyż rósł powoli po ich lewej stronie, w miarę jak się doń zbliżali.

-Gdzie jesteśmy? - spytała.

-Daleko za Exeter, na drodze A30. Zaraz odbijemy w lewo na szosę do Moretonhampstead. Potem wjedziemy na drogę prowadzącą prosto do Abbey Grange. Kazałem Marlerowi zaparkować około stu jardów przed wjazdem do posiadłości. Dzięki temu przybędziemy niespodziewanie.

-To może być trudne - zauważyła.

-Nie, nie będzie. Teraz, kiedy księżyc wyszedł już zza chmur, łatwo zobaczymy na tle nieba wzgórze Hooked Nose Tor. Przylega

do wschodniej granicy posiadłości.

-Widzisz? - zażartował Marler. -Trochę tutaj knuliśmy, kiedy ty spoczywałaś w objęciach Morfeusza.

Wkrótce dojechali do zabytkowego miasta Moretonhampstead. Paula wyglądała przez okno. Ulice były o tej porze puste, a wszystkie sklepy zamknięte. W domach paliły się światła.

-Bardzo malownicze miasteczko. Z charakterem. Wygląda, jakby było tu od wieków.

-Bo jest - odrzekł Tweed, kiedy skręcali w drogę do Abbey Grange.

Wkrótce wyjechali z miasteczka, a po obu stronach drogi rozpostarły się pustkowia Dartmoor. Nawet w świetle księżyca wyglądały niegościnnie i bezbarwnie. Paula spojrzała przed siebie, podczas gdy Marler parkował samochód. Przed nimi na tle roz-

swietlonego księżycem nieba ciemniała sylwetka Hooked Nose Tor. Skalisty szczyt dziwnie przypominał profil głowy mężczyzny, co nadawało scenerii jeszcze bardziej niesamowity wygląd. Jakieś dziesięć jardów za nimi zaparkował land-rover Harry'ego. Tweed wysiadł i podbiegł do drugiego samochodu.

- Wszyscy zostajecie tutaj, dopóki nie wrócę. Możecie rozprostować kości, ale nie zbliżajcie się do Abbey Grange.

Biegiem wrócił do zaparkowanego na pustej drodze przy murze posiadłości land-rovera, w którym czekała Paula. Marler wychylił się przez okno i cicho spytał:

- Mam zostać i pilnować samochodu? Dobra. Do zobaczenia...

Tak cicho - powiedziała Paula, kiedy zbliżali się do podwójnej bramy domostwa. - Nikogo nie ma. Jakoś tu strasznie.

- To Dartmoor - odrzekł Tweed, otwierając furtkę z lewej strony. Za nią znajdowała się ścieżka prowadząca wokół domu na *taras*.

Kiedy doszli do jej końca, na tarasie pojawiła się Lucinda ubrana w luźne białe spodnie z nienagannie wyprasowanym kaniem oraz biały golf z grubej wełny.

- Kogo ja widzę? - zawołała, uśmiechając się. - Powrót wielkiego detektywa. Przyjechaliście znaleźć kolejne zwłoki?

- Mam nadzieję, że nie. Gdzie są wszyscy?

Lucinda zaczęła wyliczać, wskazując palcem:

- Michael włączy się gdzieś po wrzosowisku; Larry przyjechał, ale nie wiem, gdzie jest; natomiast jego wysokość Aubrey jest zajęty swoim drinkiem, nie pierwszym dzisiaj, tego jestem pewna.

Lucinda uściskała ich oboje na powitanie, Paula zauważyła, że jej długie blond włosy są dokładnie wyszczotkowane i opadają na ramiona złotą kaskadą. Kiedy wchodzili do środka, pojawiła się pani Brogan, jak zwykle z niezadowoloną miną.

-Przyjeżdżają i przyjeżdżają. Oczywiście bez uprzedzenia - narzekwała. - To dla ilu mam w końcu gotować?

-Nie będziemy jeść - zapewnił ją Tweed. Spojrzał na wzgórze za tarasem. - Czy jest stąd ścieżka na szczyt Hook Nose Tor?

-Są dwie - burknęła pani Brogan. - Jedna do góry, a druga na dół. Ale nie radzę tam łązić. - Ubrana w fartuch gospodyni podniosła swoje mięsiste ramię i wskazała wzgórze. - Ścieżki są wąskie. Wystarczy wejść na górę, poślizgnąć się na szczycie i zostać z pana na dole tylko kupa mięsa na szaszłyki.

- Dziękuję za ostrzeżenie - odpowiedział z uśmiechem Tweed.
- Kiedyś trochę chodziłem po górach.
- Może chcesz skorzystać z łazienki, Paulo? - zapytała Lucinda. - Na górze, trzecie drzwi po lewej.
- Rzeczywiście, dobrze by mi zrobił prysznic - przyznała Paula.
- Nie musisz się śpieszyć - powiedział Tweed. - Trochę zajmie mi wejście na to wzgórze.

Po stopniach zszedł z tarasu. W oknach od strony wrzosowiska paliły się wszystkie światła. Starał się nie patrzeć w tamtą stronę, żeby nie odzwyczaić oczu od ciemności, a chwilę później wyjął latarkę. Kiedy dotarł do stóp wzgórza, znalazł się na rozstajach dwóch dróg. Wybrał tę po lewej stronie, bo wydawała się mniej stroma.

Latarkę trzymał w lewej ręce, prawą mógł więc swobodnie badać stromy kamienisty stok przed sobą. Wąska ścieżka biegła łagodnym łukiem wokół skalistego szczytu. Tweed miał powód, żeby wybrać się na tę przechadzkę, ale nie powiedział o nim nikomu. Przypuszczał, że ze szczytu wzgórza będzie miał wspaniały widok i zdoła dostrzec dzwonnice, kościół i leżącą dalej wieś, nazwaną przez Lucindę Końcem Świata.

Spojrząwszy w górę, dostrzegł ponad swoją ścieżką szeroki występ, którym prawdopodobnie biegła druga, wiodąca na dół. Z zachodu wiał delikatny wiatr, powietrze było bardzo rześkie. Nie dowierzając światłu księżyca, Tweed znów włączył latarkę. Po jego prawej stronie pięła się ku górze strzelista ściana granitu. Był już bardzo blisko szczytu. Spojrzał w dół i w oddali zobaczył duże igły skalne u podnóża stoku. To dlatego pani Brogan mówiła o mięsie na szaszłyki.

Tweed oparł się o skałę, wyjął lornetkę i nastawił ostrość na dzwonnice. W jej ostrołukowym oknie paliło się światło. Dziwne, o tej porze? Ponownie spojrzął w dół. Nic sobie nie robił z przygotowującej o zawrót głowy otchłani, nad którą stał. Z trudnością znosił choćby najkrótszą podróż morską, ale nigdy nie doświadczył lęku wysokości.

Zerknął na występ skalny, podobny do zakrzywionego nosa. Ustawił w lornetce ostrość na kościół. Wszystkie okna ciemne. Skierował lornetkę na wieś nazywaną Końcem Świata, a potem na drogę biegnącą przed rzędem domów. Dwie wielkie czarne plamy oleju, dość szeroko rozstawione i świeże. Zmarszczył brwi.

Nagle kątem oka dostrzegł za sobą biały kształt i w tej samej chwili poczuł silny cios w plecy, a następnie ktoś popchnął go

w kierunku przepaści. Stracił równowagę i zatoczył się; pochyłony w przód, szukając prawą ręką czegoś, za co mógłby się złapać. Udało mu się dłonią w rękawicy chwycić za podstawę występu w kształcie nosa. Walther tkwił w kaburze na lewym biodrze, nie mógł go teraz wyjąć - natychmiast poleciałby w dół.

Ból od uderzenia w plecy minął. Nogi przestały być miękkie i znów mógł na nich stanąć. Postanowił jednak sprawdzić, czy wszystko z nimi w porządku, najpierw stając na prawej i zginając lewą w kolanie, potem odwrotnie.

Bał się puścić skalny występ.

- Nie będę przecież stał tak całą noc - powiedział na głos.

Zacisnąwszy zęby, puścił skałę i ruszył małymi krokami wijącą się wokół wzgórza ścieżką. Po jakimś czasie zaczął stawiać dłuższe kroki, ale tylko o kilka centymetrów. Czuł się już lepiej. Ścieżka skręciła, a potem się rozwidliła. Jedna z odnóg prowadziła do góry, prawdopodobnie na szczyt, a druga w dół.

Zejście okazało się zaskakująco trudne. Bolały go naciągnięte mięśnie łydek. Wciąż trzymał się blisko skalnej ściany, pomagając sobie w ten sposób w utrzymaniu równowagi. Ani razu nie spojrzął w dół. W tej chwili nie byłby to dobry pomysł. Starał się po prostu skoncentrować i nie popełnić błędu.

Był zaskoczony, że tak szybko znalazł się na dole. Usiadł na płaskim głazie, żeby przemyśleć to, co się stało. Mimo wszystko był zadowolony, że poszedł na wzgórze. Z wysoka dostrzegł słabe światło w tajemniczej wsi. Zauważył również zapalone światło w dzwonnicy, co go zdziwiło. Czas ruszyć dalej.

Dochodził właśnie do stopni tarasu, kiedy parę kroków przed nim pojawił się Larry, jakby właśnie nadszedł szlakiem. Tweed patrzył na niego w osłupieniu. Larry miał na sobie elegancki biały garnitur: biała marynarka, takie same spodnie, koszula, krawat i dobrane do tego eleganckie buty.

- Tweed, kto by się spodziewał! - przywitał go Larry, jak zwykle przyjaźnie uśmiechnięty. - Mamy przyjęcie, proszę do nas dołączyć - kontynuował, kiedy obok siebie wspinali się po stopniach. - Wszyscy będą zachwyceni, że pan przyszedł. Przynajmniej porozmawiam z kimś inteligentnym, zamiast pozwalać Aubreyowi zanudzać się na śmierć.

W otwartych drzwiach tarasu pojawiła się Lucinda trzymająca w ręku kieliszek szampana.

. - Pan Tweed dołączy do nas! - zawołał ochoczo Larry.

-To świetnie... - zaczęła Lucinda.

-Niestety, nie mogę - przerwał jej Tweed. - Mam ważne sprawy do załatwienia.

-Udało ci się?

-Co miało się udać? - zapytał Larry, kiedy Lucinda podawała mu kieliszek szampana, który wzięła z tacy stojącej tuż za drzwiami tarasu.

-Wspinaczka na Hook Nose Tor, oczywiście - odpowiedziała wesoło, obracając się do Tweeda.

-Tak, z trudem, ale jakoś dałem sobie radę.

-Co? - W głosie Larry'ego słychać było przerażenie. - Wspinaczka na tego potwora jest diabelnie niebezpieczna nawet w dzień! W nocy to prawie samobójstwo.

-Dałem sobie radę - powtórzył Tweed.

W drzwiach pojawiła się Paula, również z kieliszkiem szampana, który, jak zauważył Tweed, był prawie pełny. Była rozbawiona i spozrzała na Tweeda z błyskiem w oku, ale wyraz jej twarzy zmienił się nagle, kiedy dokładniej mu się przyjrzała. Odstawiła kieliszek na stół i wybiegła na taras.

- Prawy rękaw masz cały w piachu - powiedziała - Pozwól...

Włożyła rękawiczkę i otrzepała go. Kiedy głowa Pauli zasłoniła jego twarz, Tweed mrugnął porozumiewawczo, ostrzegając ją, żeby nie zadawała żadnych pytań. Larry przekroczył próg i odwrócił się.

-A może jednak pan do nas dołączy? - rzekł wesoło. - Przepraszam na chwilę, ale muszę się odświeżyć.

-Świetny pomysł - podjęła Lucinda uwodzicielsko. - Moglibyście usiąść obok mnie, Paula z jednej, a ty z drugiej strony.

-Podziękuj Larry'emu za zaproszenie, ale, jak już powiedziałem, mamy ważne sprawy do załatwienia. Jeśli można zapytać, to z jakiej okazji wydajecie to przyjęcie?

-Przejdźmy się po tarasie - zaproponowała Lucinda, biorąc Tweeda pod ramię. - Ty też, Paulo! - zawołała do tyłu. Ściszyła głos. -To się nazywa Białe Przyjęcie. Dlatego jesteśmy tak ubrani. Od czasu do czasu Larry wpada na irytujący pomysł, żeby urządzić dla dyrektorów firmy przyjęcie w nagrodę za ich ofiarną służbę. To jego słowa, nie moje. Larry nalega, żeby przebierać się na przyjęcia - tym razem obowiązują białe stroje. W zeszłym roku mieliśmy Przyjęcie Nowoorleańskie, coś okropnego. Musiałam się dowiedzieć, jakie ubrania nosi się w Vieux Carre, jak tam nazywają dzielnicę francuską.



- A gdzie jest reszta? - zapytał Tweed.

Usłyszeli powolne kroki kogoś, kto wchodził właśnie na taras od strony wrzosowiska. Był to Michael, ubrany w coś, co wyglądało jak biały strój wizytowy, tylko że nosił do niego swoje normalne buty.

- Gdzie byłeś? - zawołała Lucinda. Potem cicho zaklęła i dodała: - Wciąż się łapię na tym, że do niego mówię, a przecież on nie odezwał się jeszcze ani słowem. Okropna ta amnezja.

Tweed obserwował Michaela, który szedł nienaturalnie wyprostowany. Tylko raz widzieli z Paulą jego chód, gdy opuszczali razem klinikę psychiatryczną w Londynie, i potem jeszcze podczas marszu po wrzosowisku. Nic nie wskazywało na to, żeby rozpoznał kogokolwiek, kiedy wchodził do środka. Tweed, co mu się rzadko zdarzało, zapalił papierosa, poczęstował też Lucinę, kiedy ta poprosiła, i podał jej ogień.

-Zastanawiam się - zauważył lekkim tonem - skąd Michael wie, jak ma się ubrać.

-Rzeczywiście to się może wydać dziwne - odrzekła Lucinda.

- Wszystkie ubrania kładę mu na drugim łóżku w jego pokoju. Inaczej nie wiedziałyby, co począć.

-Zanim pójdziemy, czy jest coś jeszcze, o czym powinienem jeszcze wiedzieć? - zapytał.

-Najwspanialszą rzecz zobaczysz w środku - powiedziała sarkastycznym tonem. Złapała go za ramię. - Wejdźcie, musicie to zobaczyć...

W przestronnym salonie ujrzeni stół nakryty do kolacji dla czterech osób. Zdobiły go wazon z białych róż; muszą być z jedwabiu, pomyślała Paula. W fotelu przy stoliku z butelką szkockiej whisky, siedział rozparty Aubrey Greystoke.

Miał na sobie kompletny biały admiralski mundur, w którym nie brakowało niczego, najdrobniejszej ozdóbki. Mankiety były haftowane złotą nicią. Paula musiała zasłonić usta, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Wyglądał komicznie.

-Powinieneś pić białego szampana - nieprzyjemnym tonem odezwała się Lucinda. - Larry wpadnie w furję, kiedy zobaczy butelkę szkockiej.

-Właśnie skończyłem... bu-utelkę szampana, moja droga. Wiesz, tam leży, trafio-ona i zatopiona. Teraz należy mi się popitka, prawda? Myślałem, że mamy przyjęcie. - Dostrzegłszy Tweeda i Paulę, wstał energicznie z fotela, strącając łokciem pusty kieliszek. Zanim spadł na podłogę, Aubrey złapał go w powietrzu i postawił na stoliku.

Refleks masz niczego sobie, nieważne, ile wypileś, pomyślała Paula.

- No patrzcie tylko! - przywitał ich. - Wspaniała zabawa! Widzę, że wy dwoje też chcecie się przyłączyć do imprezy. Świetnie! Pójdę uprzedzić panią Brogan. Dwa nowe nakrycia do kolacji. - Uśmiechnął się ironicznie. - Stara flądra na pewno będzie zachwycona, kiedy to usłyszy, ale przecież to tylko służba.

Mówił takim tonem, jakby chodziło o czeladź w folwarku.

-Dziękujemy, panie Greystoke - wtrącił Tweed - ale nie możemy zostać, niestety. Musimy zaraz udać się jeszcze w inne miejsce.

-Straszne z was sztywniaki, ale rozumiem, obowiązki wzywają. Może następnym razem.

Lucinda uściskała ich oboje na pożegnanie, upewniwszy się, że mają zagwarantowany transport. Schodząc po schodach, usłyszeli odgłosy kłótni pomiędzy Lucindą i panią Brogan. Ruszyli ku furtce ścieżką prowadzącą wzdłuż ściany domostwa. Paula odczekała, aż znajdą się za rogiem i zasypała Tweeda pytaniami:

-Mów wreszcie, co się stało? Kiedy cię zobaczyłam na tarasie, miałaś twarz białą jak to ich całe przyjęcie. Czy coś się stało na wzgórzu? Skąd ten piasek na twoim rękawie? Tak się martwię, musisz mi powiedzieć.

-To było drobne, ale niezwykle ważne wydarzenie. Z samego szczytu dostrzegłem światła w dzwonnicy i w oknie jednego z domów.

Teraz rzucimy okiem na oba te miejsca, zanim pojedziemy tam, gdzie czeka na nas główna atrakcja wieczoru.

-To nie tłumaczy, czemu jesteś taki blady. Coś ukrywasz.

-Cóż - zaczął Tweed, kiedy dotarli do furtki. - Ktoś próbował mnie zabić. Podkraść się od tyłu i popchnął. Gdybym spadł, nie miałbym najmniejszych szans.

-O, Boże! W ogóle nie powinieneś tam włązić!

-Właśnie, że powinienem. Dowiedziałem się w końcu, gdzie mam szukać tego Rzeźnika Szkieletów.

-Nie rozumiem.

-Zanim spróbowano zrobić ze mnie kupę mięsa na szaszłyki, jak to sugestywnie ujęła pani Brogan, zauważyłem za sobą sylwetkę w bieli. Nie dostrzegłem, kto to był, ale kiedy wróciłem na dół, kogo zobaczyłem? Cztery osoby ubrane na biało: Larry'ego, Lucinę, Aubreya i Michaela. Jedno z nich jest Rzeźnikiem Szkieletów.

Kiedy wyszli na drogę, od ciemnego muru oderwała się jakaś postać. Tweed rozpoznał ją natychmiast po sposobie poruszania się.

-Pilnujesz nas, Harry?

-Pomyślałem, że lepiej nie spuszczać was z oka - odpowiedział Harry, podchodząc bliżej. - Dzieje się tam coś ciekawego?

-Nic, czego bym się nie spodziewał - odrzekł Tweed szybko, zanim Paula zdążyła się wtrącić. - Teraz obejrzymy jeszcze rząd wiejskich domów, które stoją dalej przy tej drodze. Chyba będzie nam potrzebny twój sprzęt, żebyśmy mogli dostać się do środka.

-Zaraz wracam...

Minęli dzwonnice, w której paliło się światło, a potem kościół, gdzie panowała zupełna ciemność. Paula sięgnęła do torby, którą Marler przyniósł z zaułka, gdzie ją porwano, i wymacała kolbę browninga.

-Nie podoba mi się tutaj - powiedziała.

-Twój instynkt już nieraz ratował nam życie - mruknął Tweed.

Dotarli do rzędu ciemnych domów i Tweed ostrożnie poprowadził ich na tyły zabudowań. Światło latarki wyłowiło ciężkie, zamknięte drzwi. Znajdowały się w nich jeden nad drugim dwa wielkie banhamowskie zamki. Tweed chwycił za klamkę i nacisnął, ale drzwi nawet nie drgnęły.

- To raczej robota dla mnie - odezwał się Harry. Postawił na ziemi skrzynkę z narzędziami. Uniósł pokrywę i wyjął okazałą kolekcję kluczy. - Teraz proszę o chwilę ciszy i spokoju.

Nagle, niczym duch, pojawił się Newman i złapał Paulę za ramię, aż podskoczyła ze strachu. Tweed przyłożył palec do ust.

Trzeci klucz Harry'ego otworzył oba zamki. Harry wydał z siebie pomruk zadowolenia, cofnął się i gestem zaprosił do otwarcia drzwi.

- Sezam otwarty, ale może lepiej nie wchodzić tam bez broni - wyszeptał.

Tweed miał już w dłoni walthera, kiedy powoli naciskał klamkę. Drzwi bezszelestnie otworzyły się do środka. Zrobił kilka kroków i zatrzymał się. Do jego nozdrzy dotarł zapach starannie konserwowanej maszynierii. Chwilę nasłuchiwał, a potem zapalił latarkę.

Domy puste w środku i połączone, tworzyły dość długą halę. Większość miejsca zajmowały duże i skomplikowane maszyny. Pośrodku biegła długa metalowa rura z ruchomymi zaczepami, na których zapewne przesuwano się to coś, co było tu produkowane. Newman, świecąc sobie latarką, przeszedł na lewą stronę

hali, obszedł początek taśmy montażowej i ruszył w kierunku jej odległego końca.

Tweed podążył za nim razem z Paulą i Harrym, ale zatrzymał się w miejscu, gdzie taśma zaczynała swój bieg. Latarką oświetlił sięgający im do ramion pulpit, na którym znajdował się skomplikowany układ małych dźwigni ustawionych do siebie pod różnymi kątami. Przypomniało mu się, jak Drago gestami rąk pokazywał, w jaki sposób przestawić fabrykę zbrojeniową z produkcji pocisków artyleryjskich na głowice rakietowe.

- Chodźcie tutaj, ale cicho - dobiegł ich z oddali głos Newmana. - I patrzcie pod nogi.

Echo jego głosu niesło się po wnętrzu dziwnej fabryki. Tweed spojrział za siebie na drzwi. Były zamknięte. Któryś z nich - Paula albo Newman, a może Harry, musiało to zrobić. Gęsiego, świecąc latarkami pod nogi, pokonali dość znaczną odległość dzielącą ich od Newmana. Podniósł rękę, nakazując, żeby się zatrzymali.

- Ani kroku dalej. Tweed, to ci się nie spodoba.

Światło latarki Newmana powędrowało od taśmy do ciężkiego, pokrytego gumą i wysokiego na metr dwadzieścia stelażu, który stał oparty o ścianę. Spoczywał na nim skrzący się w świetle latarki metalowy przedmiot, przypominający długie cygaro.

-Głowica?

-Właśnie. W dodatku uzbrojona. Wystarczy trącić czubek, a natychmiast nastąpi wybuch.

-O Boże! - powiedziała Paula, czując ściskanie w żołądku.

-Dlaczego tu leży?

-Myślę, że to było tak. Najpierw naprodukowali nie wiadomo ile takich głowic. To było niedawno, dlatego czuć tu ten metalicz-

ny zapach. Wydziela się podczas obróbki na początku taśmy. Zauważyliście wnękę wychodzącą na taśmę kilka metrów wcześniej? Widzieliście. Tam zakłada się na czubek zapalnik. Albo mieli już dość głowic, kiedy ta zeszła z taśmy, albo okazało się, że

jest niesprawna. No i jakiś idiota zdjął ją z taśmy i położył na tym stelażu, nie usunąwszy przedtem zapalnika.

-Może powinniśmy się stąd wynieść? - zaproponował Harry.

-Tak, wy tak. Ja zostaję - odrzekł Newman. - W czasie wojny w Afganistanie ministerstwo obrony pokazało mi film o tych głowicach. Musiałem podpisać oświadczenie o zachowaniu tajemnicy wojskowej. Napisałem potem ten artykuł do „Daily Nation”, w którym tłumaczyłem, dlaczego wojna jest konieczna.

-Pamiętam - powiedział Tweed. - Ale chcesz zostać?

-Muszę - spokojnym głosem oświadczył Newman. - Wiem, jak rozbroić to świństwo. Tylko kryminalista mógł tak je tu zostawić. Gdyby do środka dostali się jacyś złodzieje i zaczęli manipulować przy główicy, wysadziliby w powietrze fabrykę i pobliską drogę. Z przejeżdżających obok samochodów zostałyby tylko kupa złomu. Wiem, co robię. Wszyscy się stąd wynoście i nie zatrzy-

mujcie się, dopóki nie dotrzecie do kościoła.

-Moim zdaniem nie powinieneś tego robić - zaprotestowała Paula.

-Zamknijcie się i spadajcie, już! - warknął Newman opryskliwie, chcąc szybciej się ich pozbyć.

Harry ruszył pierwszy, a za nim Paula i Tweed. Przed zamknięciem drzwi Tweed zawołał jeszcze do Newmana:

- Uważaj na siebie! Wychodzimy.

Zgodnie z poleceniem Tweeda szybko pomaszerowali drogą z powrotem. Kiedy dotarli do dzwonnicy, Tweed wysłał Harry'ego do reszty oddziału z rozkazem, żeby zostali na miejscu i czekali na jego powrót. Harry chciał wiedzieć, czy ma powiedzieć im o tym, co się stało, ale Tweed nakazał mu trzymać język za zębami.

- Zajrzymy do środka - zaproponował Tweed, kiedy Harry wreszcie poszedł.

Otworzył ciężkie drzwi dzwonnicy i omiół szybkim spojrzeniem wnętrze. Weszli i rozejrzeli się, szukając wielbego Stenhouse'a Darkfielda. W wieży nie było jednak żywej duszy. Tweed zmarszczył brwi i jeszcze raz przejrzał wszystkie kąty. Nikogo.

Lina, którą można było rozkołysać wiszący wysoko nad nimi dzwon, wisiała bezwładnie. Tweed powędrował za nią wzrokiem ku górze.

Kiedy wyszli z powrotem na drogę, Paula złapała go nagle za ramię. Od strony fabryki dobiegał jednostajny szum uruchomionych maszyn. Po chwili ucichł.

-Co to było? - zapytała przestraszona Paula.

-Sądzę, że coś dobrego. Newman rozbroił główicę. Potem uruchomił maszyny, żeby przyjrzeć się ich działaniu. Myślę, że do-

bry znak. Teraz chodźmy do kościoła. Może tam znajdziemy pastora.

-Siedziałyby po ciemku?

Tweed popchnął jedno ze skrzydeł podwójnych drzwi i chwilę stał nieruchomo, nasłuchując. Cisza. Z napiętym wyrazem twarzy

poszukał włącznika. Wnętrze kościoła wypełniło się nagle jaskrawym światłem. Tweed ostrożnie postąpił parę kroków w głąb kościoła. Paula ruszyła za nim, ale niemal od razu zamarła w pół kroku.

Z ołtarza patrzył na nich wielebny Darkfield. A raczej patrzyła jego odcięta głowa. Ktoś umieścił ją w tym samym miejscu, gdzie kiedyś znaleźli głowę cielęcia. Tweed podszedł bliżej. Z ołtarza ściekała krew. Oczy pastora były otwarte. Ktoś przebił je zapalkami, żeby powieki nie opadły.

Paula wybiegła z kościoła. Zbierało się jej na wymioty. Szukając w torbie chusteczek, natknęła się na butelkę z wodą. Wyjęła ją, pośpiesznie odkręciła i łapczywie wypila niemal całą. Pomogło. Paula zakręciła butelkę, włożyła ją do torby i zaczęła chodzić tam i z powrotem po drodze, głęboko wciągając zimne powietrze. Nagle poczuła na ramieniu rękę Tweeda.

-Czemu? - zapytała. Stali po drugiej stronie drogi, tak daleko od kościoła, jak to tylko było możliwe.

-Sam się zastanawiam - odrzekł Tweed. - Słyszałem uderzenia dzwonu, kiedy telefonowałem do Lucindy. Przed chwilą się przekonałaś, jaki hałas robi fabryka, kiedy pracuje. Ktoś płacił pastorowi, żeby bił w dzwon za każdym razem, kiedy uruchamiano maszyny. W ten sposób zagłuszał ich szum.

-Ale dlaczego go zabito?

-Ostatni żywy świadek, który mógł powiedzieć, co się tutaj działo.

-A jak pozbyli się ciała?

-Kiedy wracałem ścieżką obok Abbey Grange, zauważyłem pojedynczy ślad jakiegoś mocno obciążonego koła. Prawdopodobnie morderca taczka zawiózł ciało na wrzosowisko, a potem wrzucił je do jednego z tych bagien, przed którymi ostrzega się turystów idących na Dartmoor.

-Może to ta sekta? - powiedziała Paula drżącym głosem.

-Nie zwracaj sobie głowy sektą. To bajka, którą morderca rozpowiada, żeby nas zwieść.

-No i co? - doszedł ich głos Newmana. - Usunąłem zapalnik i zostawiłem go w wyłożonym stalowymi płytami magazynie. Prawdopodobnie zbudowano go właśnie w tym celu. Coś się stało?

- Wejdz do kościoła i sam zobacz - odburknęła Paula, która wciąż nie mogła dojść do siebie.

Newman, najwyraźniej zaskoczony jej reakcją, spojrzął na nią, a potem odwrócił się i poszedł do kościoła. Spędził w środku więcej czasu, niż Tweed się spodziewał. Kiedy wyszedł, trzymał w rękę smitha & wessona. Podszedł do Pauli.

-Teraz rozumiem, czemu jesteś taka roztrzęsiona. Coś okropnego. Obszedłem wszystkie zakamarki kościoła, ale nikogo nie znalazłem. Budynek jest pusty.

-Prawdopodobnie już od dłuższego czasu - zauważył Tweed.

-Dlaczego światło paliło się w dzwonnicy, a nie w kościele?

- zapytała Paula.

-Morderca jest sprytny - odparł Tweed. - Gdyby ktoś przyszedł, tak jak my, najpierw poszedłby do dzwonnicy, a kiedy oka-

załoby się, że pastora tam nie ma, nie szukaliby dalej. Skoro w ko-

ściele nie paliło się światło, nikomu nie przyszłoby do głowy tam wchodzić.

-Ty wszedłeś - zauważyła Paula,

-Tak, ale ja miałem pewne podstawy do podejrzeń. Drago Volkanian powiedział, że jest zwolennikiem ochrony przyrody. Dowodem tego jest fabryka przy autostradzie M3. Wygląda raczej na ogród niż na budynek przemysłowy. Zastanawiające były również te połączone ze sobą domy. W końcu zacząłem się zastanawiać, czy to nie w nich mieści się jego tajna fabryka zbrojeniowa. Musiał dostać pozwolenie od lokalnych władz na wybudowanie jej tutaj. Pomysł, żeby fabryka wyglądała jak rząd tradycyjnych domów w stylu hrabstwa Devon, na pewno spodobał się urzędnikom. Na pewno jednak nie spodobałby im się hałas pracujących maszyn. Ktoś przekonał więc wielbego Darkfielda, żeby bił w dzwon, kiedy fabrykę uruchamiano. Morderca po prostu płacił mu jeszcze więcej, kiedy w tajemnicy uruchamiał fabrykę przestawioną na produkcję głowic raketowych.

-Brzmi prawdopodobnie - zgodził się Newman.

-Jeszcze bardziej prawdopodobne to mi się wydało, kiedy zauważyłem ślady oleju pozostawione niedawno przez jakieś duże pojazdy. Teraz tych plam jest jeszcze więcej. Paula, pamiętasz, jak ten asystent Buchanana, Warden, miał nas odwiedzić do Abbey Grange, a potem zgubił się i powiózł nas przez całe Devon aż na północne wybrzeże? Pozwoliłem mu jechać dalej, bo na naszej trasie wciąż było widać ślady oleju. Pamiętasz?

-Tak.



-A później jechaliśmy podobną do promenady drogą wzdłuż wybrzeża i mieliśmy morze po lewej stronie. Kazałem Wardenowi

zatrzymać się zaraz za cyplem Harmer's Head i zbadaliśmy tam głęboki wąwóz wrzynający się w ścianę skalną. W środku znaleźliśmy dziwną konstrukcję - jakby trap z barierką i kołami, dzięki którym można go łatwiej przemieszczać. Gdzie jeszcze widzieliśmy coś podobnego?

-O Boże! Rzeczywiście. Na tej wyspie na Morzu Śródziemnym, gdzie ktoś zatopił podobny trap obok nabrzeża, przy którym cumował „Oran”.

-Więc teraz już wiesz, jaki jest nasz kolejny cel?

-Pojedziemy tą samą trasą, którą wioził nas Warden, kiedy się zgubił. Ponieważ w ten sposób możemy dotrzeć do miejsca, gdzie przybije „Oran”, żeby odebrać głowice, które miały popłynąć do Angory, a tam by je zamontowano na raketach zakupionych u Kima.

-A fabryka Dragona właśnie wyprodukowała potrzebne głowice.

-A ich celem jest? - zapytał Newman.

-Mogę tylko zgadywać. Paryż, Londyn, Berlin? - Spojrzał na zegarek. - Teraz musimy szybko jechać na wybrzeże, do Harmer's Head. Miejmy nadzieję, że się nie spóźnimy...

Kiedy biegli do land-roverów, Pauli coś wpadło do głowy. Dysząc, w biegu zapytała:

-Powiedziałeś „nasz kolejny cel”, jakby po nim miał być jeszcze jeden. Co miałeś na myśli?

-Ostatnim celem jest Abbey Grange, gdzie spróbuję odkryć, kto jest mordercą, xvfarvym w gazetach Rzeinikiem Szkieleatów.

Tweed, Paula i Newman dotarli do miejsca, gdzie czekały na nich zaparkowane samochody i reszta oddziału.

-Plan jest taki - zaczął Tweed. -Teraz pojedziemy na północne wybrzeże Devon, ja wskażę drogę. Zaraz za tym rzędem domów zjedziemy w prawo na drogę gruntową, wiodącą przez wrzosowisko.

-Kto kieruje którym samochodem? - zapytał Harry.

-Właśnie miałem powiedzieć. Ja poprowadzę pierwszy land-rover. Paula usiądzie obok mnie, Marler z tyłu. Newman i Nield będą twoimi pasażerami. Będziemy jechać po trudnym, skalistym terenie, najszybciej jak to możliwe. Wszystko jasne?

-Będzie strzelanina - raczej stwierdził, niż spytał Harry.

-Może. Jeśli tak, to całkiem niezła. Zależy od sytuacji, jaką zastaniemy przy Harmer's Head.

Wskoczył za kierownicę pierwszego samochodu, do którego wsiedli również Paula z Marlerem. Marler trzymał w ręku swój karabin. Od strzelaniny w Stonehenge ukrywał go pod płaszczem.

Tweed powoli przejechał obok Abbey Grange, dzwonnicy i kościoła. Gdy tylko minęli rząd domów, wcisnął pedał gazu do oporu. Włączył potężne reflektory, w których światło doskonale widzieli plamy oleju pozostawione przez ciężarówki.

- Na szczęście nie dbają o sprzęt - skomentował. - Dzięki temu możemy ich tropić.

W miejscu, gdzie ślady oleju znikwały, skręcił na szlak, którym przedtem omyłkowo pojechał Warden. Znów im się poszczęściło. Wyraźne ślady wiodły ich gruntową drogą, niewiele szerszą od ścieżki i porośniętą z obu stron kolcolistem.

W lusterku wstecznym Tweed widział samochód Harry'ego, który zachowywał jednak bezpieczny odstęp na wypadek, gdyby trzeba było nagle się zatrzymać. Tweed opuścił szybę i do samochodu wpadło zimne powietrze. Paula, mimo że nie była już śpiąca, z zadowoleniem powitała chłodny powiew. Spojrzawszy na Tweeda, dostrzegła, że ma ponury wyraz twarzy.

-Masz nadzieję, że „Oran” tam jest, a załoga ładuje na pokład głowice.

-Tak. Znowu potrzebny nam łut szczęścia. Dzwoniłem z biura do eksperta od żeglugi i podałem mu dostatecznie dużo danych, żeby mógł to obliczyć. Jeśli się nie pomylił, to dziś w nocy głowi-

ce mają się znaleźć na pokładzie.

-Powiedziałaś, że jedziemy do Harmer's Head. Przecież nie tam znaleźliśmy ten trap.

-Nie, ale tam jest najlepszy punkt obserwacyjny, z którego zobaczymy, co się dzieje na wybrzeżu.

-A potem co zrobimy?

-Nie mam pojęcia. Zdecyduję, kiedy dojedziemy.

Frachtowiec dotarł do północnego wybrzeża hrabstwa Devon. Abdul nadał umówiony sygnał - cztery błyski światła, potem trzy, a po nich znowu cztery. Kapitan czekał w napięciu, wpatrując się w ogromne klify w pobliżu miejsca lądowania.

Z ulgą zauważył tę samą sekwencję błysków na lądzie. Teraz mógł bez obawy skierować statek do punktu docelowego. Zmienił kurs o dziewięćdziesiąt stopni i ruszyli w kierunku brzegu.

Następnie przeszedł na prawą stronę mostka i zlustrował wzrokiem stłoczonych na pokładzie ludzi. Wykrzyknął rozkazy. Żeby ich dodatkowo zachęcić, zagroził, że poobcina im głowy, jeśli coś spartolą.

Na brzegu mała grupa ludzi czekała już przy ciężarówkach - byli to ładowacze, którzy przenieśli głowice z fabryki w Dartmoor do samochodów.

Jeden z nich, dowódca, mówił doskonałą angielszczyzną z lekkim tylko amerykańskim akcentem. Ze świetnie podrobionym paszportem podawał się za przybysza z Libanu. Ukończył kurs inżynierii wojskowej w Marylandzie. W fabryce w Dartmoor określił, jakie materiały będą potrzebne do przestawienia produkcji z pocisków artyleryjskich na głowice raketowe.

Kiedy głowice znajdują się w ładowniach statku, puste ciężarówki pojedą szosą wzdłuż brzegu do nieodległego miejsca, z któ-

rego kierowcy będą je mogli zepchnąć do morza. Według map Abdula w tym miejscu dno opadało stromo tuż przy brzegu.

Po zakończeniu operacji zatarliby w ten sposób wszystkie ślady. Potem mieli wsiąść na pokład frachtowca.

Tweed dojechał do kolejnego skrzyżowania. Warden skręcił tutaj w lewo i dotarł w końcu do nadmorskiej szosy. Tweed skręcił w prawo na Harmer's Head. W domu w Londynie zauważył na dokładnej mapie, że w lewo odbija od drogi, na której był teraz, jeszcze węższy szlak, prowadzący do samego cypla.

Jechał bardzo powoli, aby nie przeoczyć zakrętu. Paula zmarszczyła brwi i popatrzyła na szefa. Na jego twarzy malował się wyraz najwyższego skupienia.

-Wiesz przynajmniej, gdzie jesteśmy? - zapytała z niepokojem. - Przed chwilą mineliśmy drogę, którą pojechał Warden.

-Wiem. Teraz rozglądam się, bo ma tutaj być wąski szlak odbijający w lewo. Wątpię, czy ktoś ustawił przy nim specjalnie dla nas drogowskaz. Znajdziemy się na prawdziwym pustkowiu.

-Sądziłam, że na pustkowiu jesteśmy już od dawna. Szare, zarosnięte wrzosowiska, od czasu do czasu jakieś skały, wychłostany

wiatrem kolcolist. Nie wygląda na to, żeby ktoś tutaj mieszkał.

-A komu by się chciało?

-Mogę zapalić? - odezwał się z tyłu Marler. - Tak pewnie wygląda koniec świata.

-Pal, pal - odpowiedział machinalnie Tweed. - Mam otwarte okno.

Paula usłyszała ciche szczęknięcie jakiegoś mechanizmu i odwróciła się, żeby zobaczyć, co było źródłem hałasu. Marler, trzymając w ustach niezapalonego jeszcze papierosa, sprawdzał broń. Kiedy zauważył, że Paula się mu przygląda, włożył rękę do kieszeni i wyjął z niej przedmiot, który natychmiast rozpoznała. Marler uśmiechnął się szeroko.

-Pocisk eksplodujący. Taki sam jak ten, który w Stonehenge rozwalił Charmianowi głowę.

-Strasznie wtedy nabrudziłeś - przypomniała - a ja musiałam posprzątać.

-Dostałaś tę robotę - powiedział poważnie - żebyś przestała myśleć o Charmianie.

-Świetnie zadziałało - przyznała, patrząc mu w oczy. - To był taki drań, że wcale nie żałowałam, widząc, co z niego zostało... Stój! Skręć w lewo - zawołała, spojrzawszy przez przednią szybę.

- Zauważyłem - uspokoił ją Tweed. - Jest też drogowskaz. Do Harmer's Head.

Włączył lewy kierunkowskaz, żeby uprzedzić jadącego za nimi Harry'ego, a potem powoli wjechał na wąski szlak, obrośnięty z obu stron kolcolistem. Samochody ledwie się tu zmieściły. Miał nadzieję, że szlak nie zwęzi się, zanim dotrą do celu.

Paula włączyła cicho radio. Nadawali właśnie prognozę pogody. Od południowego zachodu nadciągała wielka burza. Wiatr w porywach do stu trzydziestu kilometrów na godzinę. Podmuchy wichury już uderzały w przednią szybę, ale nie zaczęło jeszcze padać. Pokonawszy kolejny zakręt, Tweed zobaczył wznoszący się przed nimi stok. Wjechał na jego szczyt i zahamował. Dotarli na klif ze skałą Harmer's Head, z której przez ponad sto lat strzeżono tego odcinka wybrzeża. Skała znajdowała się czterdzieści metrów od nich.

Była ogromna, wielka jak cztery domy. Największa bryła granitu, jaką Paula widziała w życiu. Patrząc z dołu, kiedy przejeżdżali w pobliżu nadmorską szosą, nie zdawała sobie sprawy z rozmiarów skały. Kształtem przypominała sześcian, jeden z prawie płaskich boków był zwrócony w ich stronę. Morza stąd jeszcze nie było widać. Zasłaniała je skała. Tweed powoli przejechał krótki odcinek dzielący go od niej i zaparkował pod gigantycznym głazem. Harry zatrzymał się obok.

Marler wyskoczył z auta pierwszy, za nim Paula, nim Tweed zdążył wyłączyć silnik. Księżyc wisiał jeszcze na niebie, niezastonięty armadą niskich czarnych chmur, nadciągających znad morza. Marler wyjrzał na wybrzeże z jednej strony Harmer's Head, Paula z drugiej. Wkrótce dołączył do niej Tweed.

Harry razem z Pete'em Nioldem wyciągał ciężkie torby, w których znajdował się jego arsenał. Uginając się pod ich ciężarem, przenieśli wszystkie do kryjówki u stóp skały. Paula osłupiała, gdy przez lornetkę zobaczyła daleko w dole frachtowiec.

Nawet z tak wielkiej odległości wydawał się ogromny. Cumował niedaleko wąskiej platformy wychodzącej w morze obok drogi. Wyposażony w koła i barierki trap łączył statek z lądem. Statek unosił się i opadał na coraz większych falach, gnanych wiatrem od morza.

- To nie ten statek - wyjąkała. - Przecież „Oran” płynął pod liberyjską banderą, a ten ma flagę Panamy, No i to wcale nie jest „Oran”, tylko „Constantine”!

-Bo ma przebiegłego szypra - powiedział spokojnie Tweed, obserwujący statek przez lornetkę. -To znaczy tak mu się zdawało, kiedy kazał zmienić na Atlantyku banderę i namalować na burcie nową nazwę.

-Ale... - zaczęła Paula.

-Nie dyskutuj - uciał Tweed - tylko obserwuj. Frachtowiec, który uciekł nam z Ile des Oiseaux koło Marsylii, miał duże kwadrato-

we wgniecenie na lewej burcie. Tak samo jak ten. Musiał uderzyć

w nabrzeże w jakimś porcie. To ten sam frachtowiec.

-Masz rację. No i zaraz zamierza wypłynąć w morze - powiedziała. - Spójrz tylko na jego komin.

Rzeczywiście. U wylotu komina kotłował się czarny dym, porywany natychmiast i roznoszony przez wiatr. Paula spojrzała w stronę skały i dostrzegła Marlera, który przyzywał ich nagłym gestem.

Pobiegli do niego. Harry i Niel również biegli ku Marlerowi z ciężkimi torbami na ramionach.

- Stąd świetnie wszystko -widać - poinformował ich Marler. - Na dole dużo się dzieje. Załoga składa się z samych Arabów. Na pokładzie pełno jakichś skrzynek. Sądzę, że zakończyli właśnie rozładunek. Jedna ze skrzynek się rozpadła i na pokład wysypały się z niej głowice. Uzbrojone. Bardzo nieostrożni ci Arabowie.

Przekazał lornetkę Pauli. Tweed patrzył w dół przez własną. Harry zrzucił z ramion torbę, wyjął z niej granat i pokręcił głową.

-Nie wiem, jak mam trafić w tę bandę. Są za daleko. Co to za wielki kamień, tam w dole?

-Chybotek - odpowiedział Tweed. - Rzeczywiście jest ogromny. Podobno jeśli się o niego oprzeć, to zaczyna się kołysać, ale nie daje się zepchnąć ze swojego miejsca.

-Naprawdę? - Harry był najwyraźniej zafascynowany. - Muszę spróbować...

Pobiegl, zanim Tweed zdążył go zatrzymać czy ostrzec, że ludzie z frachtowca nie mogą dostrzec najmniejszego ruchu. Na czworakach przemieszczał się szybko skalną rynną. Paula przypatrywała się mu w osłupieniu. Harry wstał, gdy tylko dotarł do Chybotka, i teraz pchał go z całych sił. Głaz zaczął się chylić ku morzu. Paula zasłoniła usta dłońmi, kiedy kamień przesunął się u podstawy. Harry odskoczył od głazu, a ten natychmiast powrócił na miejsce, w którym spoczywał od Bóg wie kiedy.

Paula miała ochotę wybuchnąć śmiechem, ale się powstrzymała. Tweed cały czas przypatrywał się scenie przez lornetkę.



Marler, schowany pod skałą Harmer's Head, obserwował pokład frachtowca przez lunetę swojego karabinu.

-Tyle broni i nie możemy jej użyć - rzekł rozgoryczony Harry.

- Dlaczego, u diabła, nie wziąłem wyrzutni rakietowych? One sięgnęłyby celu.

-Zrobiłeś, co mogłeś - pocieszała go Paula, ściskając za ramię.

-Musi być jakiś sposób - mruknął Tweed.

-To powiedz, jaki - rzekł Newman.

Burzowe chmury były już niemal nad nimi, ale nie spadła jeszcze ani kropla deszczu. Ich wygląd nie poprawiał nastrojów małego oddziału. Tweed obserwował trap, który unosił się i opadał w rytm coraz silniejszego kołysania statku.

Marler wpatrywał się w coś przez celownik teleskopowy. Czy go oczy nie mylą? Nie. Sprawdził jeszcze raz i wyostrzył obraz.

Na pokładzie frachtowca Abdul wślizgnął się do kabiny nawigacyjnej. Sprawdził na mapie zdradliwy szlak wiodący do małego portu w Angorze, dokąd miał zaraz zabrać swój ładunek. U celu podróży czekał na niego świetnie zorganizowany zespół.

W porcie będą ciężarówki, do których trzeba przenieść głowice. „Constantine” przybędzie do portu po zmroku, a przeładunek zostanie zakończony na długo przed świtem.

Zaplanowano, że ciężarówki będą opuszczać port pojedynczo i w dużych odstępach, a nie w konwoju. Było to bardzo ważne. Amerykański satelita regularnie przelatywał nad Angorą, fotografując całe jej terytorium. Samotna ciężarówka jadąca w głąb pustyni nie powinna wzbudzić podejrzeń analityka zdjęć szpiegowskich.

Ciężarówki miały też zostać pokryte najpierw lepką substancją, a potem rozpylonym piaskiem. Z powietrza będą właściwie niewidzialne na tle pustyni.

Abdul wyszedł z kabiny nawigacyjnej i z irytacją dostrzegł, że kierowcy jakoś powoli gramolą się do kabin swoich samochodów. Chciał znaleźć się jak najdalej od brzegu, zanim nadejdzie burza. Wezwał nadzorcę kierowców i zaczął krzyknąć:

- Powiedz im, że mają się szybciej ruszać! Muszą zepchnąć ciężarówki do morza w wyznaczonym miejscu. Potem mają biegiem wracać i natychmiast wsiadać na pokład. Jeśli opóźnią wyście w morze, zapłacą głową!



Marler ponownie popatrzył przez celownik. Teraz był pewien. Jeden z Arabów na pokładzie taszczył kolejną pomalowaną na żółto ciężką beczkę. Przesuwał ją o kilka kroków, a potem zatrzymał się, żeby odetchnąć. Marler jeszcze raz sprawdził. Nie ma wątpliwości.

Na beczce widniał ostrzegawczy napis po angielsku, namalowany wielkimi czarnymi literami: ŁATWOPALNE. Arab, robiąc kolejną pauzę, ustawił beczkę przy uszkodzonej skrzyni, z której wypadły głowice raketowe. Uzbrojone, podobnie jak we wszystkich pozostałych skrzyniach na pokładzie.

Inni Arabowie powoli wnosili jedną ze skrzyń na platformę, która najwyraźniej pełniła funkcję windy opuszczającej ładunki w głąb luku. W ładowni było pewnie już wiele takich skrzyń.

- Wygląda na to, że kierowcy ciężarówek zaraz odjadą. Nie wątpię po to, żeby zepchnąć je do morza z nadmorskiej szosy  
- odezwał się Tweed.

- Chcesz, żebym zlikwidował wszystko, co jest tam na dole?  
- zapytał Marler. - Mam na myśli głowice, ciężarówki, frachtowiec i wszystkich Arabów.

- Zetrzyj ich z powierzchni ziemi - odpowiedział zimnym głosem Tweed.

Marler oparł się o skalny blok i złożył się do strzału. Wycelował w beczkę, kiedy Arab pochylił się, żeby znów ją przesunąć. Marler, nieruchomy jak skała, o którą się opierał, nacisnął spust. Pozostali, zgromadzeni za jego plecami, patrzyli w dół.

Beczka eksplodowała, rozrzucając płonąca ciecz po pokładzie i leżących na nim głowicach. W rozlewającym się coraz szerzej wokół beczki morzu płomieni zniknął również Arab. Usłyszeli stłumiony huk detonacji. Rozrzucone po pokładzie głowice wybuchwały jedna po drugiej, detonując głowice w pozostałych kilkunastu skrzyniach.

Świat zadrżał w posadach. Potężna fala uderzeniowa z gigantyczną siłą zderzyła się z górującym nad statkiem klifem. Siedzący na szczycie potężnego Harmer's Head poczuli, jak ziemia drży im pod nogami. Tweed zaczął się obawiać, czy nie są za blisko eksplozji.

Głaz zwany Chybotkiem wyskoczył ze swojej podstawy i runął ku brzegowi. Po drodze odbił się od małego wzniesienia i frunął w powietrzu, a potem spadł prosto na pokład dziobowy frachtowca. Przebił się przez niego i zniknął w tej samej chwili, kiedy

dziób „Constantine” odłamał się i pogрузzył w głębinie. Pod pokładem eksplodowały kolejne skrzynie z głowicami, wyrzucając wysoko w powietrze to, co pozostało ze statku.

Jeszcze bardziej ogłuszający huk dochodził z klifu u ich stóp. Odpadały z niego ogromne bloki skalne i waliły się w dół, zamieniając w kupę złomu stojące na szosie ciężarówki. Chmury na nocnym niebie rozświetliły się złowieszczą czerwienią, przypominając Tweedowi opisy z czytanego kiedyś Dantego. Śródokręcie i rufa frachtowca zaczęły się przechylać na prawą burzę, odsłaniając podwodną część kadłuba, który przypominał sito o olbrzymich dziurach.

Trap łączący statek z lądem o dziwo pozostał nieuszkodzony. Eksplozja wyrzuciła go jak raketę w górę i dopiero przy upadku rozpadł się na kawałki i zniknął pod powierzchnią wzburzonego morza. Ogromne fale zamknęły się nad tonącym statkiem, a potem wtargnęły na nadmorską szosę, gdzie wały się głazy i pozostałości ciężarówek. Cofając się, zabrały ze sobą szczątki samochodów i ludzkich ciał. Chwilę wcześniej komin frachtowca wystrzelił w górę, zatoczył w powietrzu wielki łuk, spadł i zniknął pod wodą. Po statku nie został najmniejszy ślad. Jeszcze jeden kawał klifu pod nimi oderwał się i spadł na szosę, gdzie rozleciał się na kawałki, które również znikły pod powierzchnią morza.

Na dole nie pozostał nawet ślad życia, nikt nie przetrwał. Jeden pocisk wystrzelony przez Marlera zadziałał jak straszliwy detonator, zniszczył wszystko i wszystkich.

„Zetrzyj ich z powierzchni ziemi”, brzmiał rozkaz Tweeda. Kiedy go wydał, nawet nie marzył o tym, że jego rozkaz zostanie wykonany aż tak dosłownie.

## 31

Tweed kazał wszystkim powrócić do land-roverów i czekać, dopóki nie ruszy. Przyjrzał się ich twarzom i nie był zaskoczony, gdy zobaczył, że są wstrząśnięci. Niewielu ludzi było świadkami tak całkowitego i straszliwego zniszczenia.

Harry, obdarzony twardym charakterem cockneya, trzymał się najlepiej. Bez słowa poszedł do samochodu Tweeda. Przyniósł duży pojemnik na żywność i położył go na nierównej murawie.

-Czas coś przekąsić i napić się kawy - powiedział, jakby był kelnerem.

-Dzięki, Harry - powiedziała Paula zachrypniętym głosem.

- Jesteś aniołem.

- Niektórzy ludzie są innego zdania - zauważył z ironicznym uśmiechem.

Paula otworzyła pojemnik, nalała kawy z termosu i mile zaskoczona stwierdziła, że wciąż jest bardzo gorąca. Jeden kubek podała Tweedowi, a sama łyknęła z drugiego. Potem podzieliła kanapki, rozłożyła je na plastikowych talerzykach i podała Tweedowi chusteczkę.

-Głupio tak - zaczęła - zajmować się chusteczkami po tym wszystkim...

-Po co śmieć w samochodzie - przerwał jej spokojnie Tweed.

-Czy miejscowa policja nie zacznie węszyć, kiedy zobaczy szosę? Zanim wróciliśmy z klifu, obejrzałam ją dokładnie przez lornetkę. Jest pełna dziur.

-Na szczęście to będą tylko miejscowi policjanci - odrzekł

- a wszystkie ślady zniknęły. Pewnie uznają, że część klifu pod wpływem długotrwałej erozji osunęła się na szosę i tyle.

-Teraz mamy przed sobą jeszcze jedno zadanie. Domyślasz się już, kim jest Rzeźnik Szkieletów?

-Mordercą jest ktoś, kto jakiś czas temu dostrzegł szansę szybkiego zdobycia ogromnej fortuny. Osoba ta sprytnie wyssała czterysta milionów funtów z rezerw Gantii, a potem już mniej sprytnie zakupiła za nie ogromną liczbę akcji spółki internetowej. Skończyła jako bankrut i koniecznie musiała zatuszować całą sprawę. Fikcyjna spółka, do której trafiły skradzione pieniądze, została wprowadzona do ksiąg Gantii jako zakup wartościowej i bardzo zyskowej firmy. Przypomnijcie sobie Enron ze Stanów. Długi przesunęli tam do spółek o dziwnie brzmiących nazwach i zaksięgowali jako zyski. Kiedy spółka Orlando

Xanadu poniosła klęskę na giełdzie, uruchomiła tym samym nieunikniony i przerażający ciąg wydarzeń.

-Jakich wydarzeń?

-Każdy, kto mógł się dowiedzieć, że w Gantii znikły pieniądze, musiał zostać zlikwidowany. Najpierw Lee Greystoke, która weszła w księgowości, na pewno z polecenia Dragona. Potem, również nasłana przez Dragona, który był w długiej podróży zagranicznej, sprawie miała się przyjrzeć rewident Christine Barton. Musiała zginąć.

-Wygląda to na serię morderstw popełnionych z zimną krwią.

-I tak właśnie jest. Następnym etapem to zabicie detektywa Johna Jacksona na jego barce. Siostra Christine, Annę Barton, martwiła się jej długą nieobecnością i zatrudniła detektywa. Morderca jakoś dowiedział się o tym i bestialsko go zamordował.

-Jedno wynikało z drugiego?

-Tak jest. Ten makler, Kenwood, również wiedział za dużo. W tajemnicy nadzorował nieudaną inwestycję w firmę internetową. To jego nazwisko było czwarte na wiadomej liście. Ken to nie

imię, tylko skrót od nazwiska Kenwood.

-W takim razie kogo szukamy?

-Kogoś chciwego. Obdarzonego zdolnością planowania. Kogoś o skłonnościach sadystycznych, przecież znajdowaliśmy zmasakrowane ciała.

-Nie wiem, która z osób zgromadzonych w Abbey Grange pasuje do twojego opisu - rzekła Paula.

-Wkrótce się dowiesz - powiedział znacząco Tweed. - Przed laty, kiedy jeszcze pracowałem w Scotland Yardzie, rozwiązałem trzy trudne sprawy morderstw. Przyłgnęła do mnie wówczas nie do końca zasłużona reputacja geniusza. To był jeden z powodów,

dla których podjąłem pracę w SIS. Pracując nad tamtą sprawą, nie wyłączałem z kręgu podejrzanych osób, które wydawały się normalne, zwyczajne. Policjant z wydziału śledczego, który był zmuszony przekazać mi tę trzecią sprawę, twierdził, że pewien człowiek jest poza podejrzeniem. Był to mężczyzna, który wydawał się aż za bardzo normalny i zwyczajny. Okazało się, że to właśnie on był mordercą. - Tweed włączył silnik. - Teraz jedziemy. Nie podoba mi się ta burza.

Obawiał się, że burza dogoni ich jeszcze przed główną drogą, na wąskim i krętym szlaku, który mógł się zamienić w rzekę.

Land-rover Harry'ego podążał za Tweedem, który trąbiąc na każdym zakręcie, pędził tak szybko, jak to było możliwe. Byli już na głównej drodze, kiedy rozszalała się burza. Niebo rozdarły błyskawice, z nieba runęły kaskady wody. Rowy po obu stronach drogi błyskawicznie zamieniły się w rwące strumienie.

-Wiesz co? - odezwała się Paula.. - przyjedziemy bardzo późno albo nad ranem. Przyjęcie już dawno się skończy, a oni wszyscy pewnie będą w łózkach.

-Nie, nie będą. Jestem pewien, że Larry to człowiek, który lubi niekończące się przyjęcia. Jeśli trzeba, choćby do świtu.

-Miejmy nadzieję.

Zbliżali się do drogi na Moretonhampstead, prowadzącej do Abbey Grange, kiedy burza nagle ustała. Kiedy mijali rząd fałszywych domów, kościół i dzwonnice, Paula spojrzała na drugą stronę.

-Czy nie powinniśmy zadzwonić do miejscowej policji i powiedzieć o tej głowie na ołtarzu?

-Myślałem już o tym i zdecydowałem, żeby jeszcze zaczekać. Musieliśmy się spieszyć do frachtowca i nie chciałem, żeby policja nas zatrzymała. Teraz też nie chcę, żeby tak było. Zadzwonię do nich po wizycie w Abbey Grange.

Przejechali cicho obok muru posiadłości i zaparkowali w tym samym miejscu co wcześniej. Za nimi zatrzymał się samochód Harry'ego. Zanim wysiedli, Tweed odwrócił się do Marlera.

-Zostawiam cię tutaj. Do domu idziemy tylko ja i Paula. Jeśli pójdzie więcej osób, nie będzie nastroju, na jakim mi zależy.

-Nie podoba mi się to - zaprotestował Marler. - Pamiętaj, ile było zamachów na twoje życie.

-Doceniam twoją troskę. Ale to rozkaz. Na Harmer's Head spisałeś się lepiej niż dobrze. Teraz czekaj tutaj.

Ten sam rozkaz wydał pozostałym członkom zespołu, którzy już wyskoczyli z samochodów, żeby do nich dołączyć. Zaprotestowali tak samo jak Marler i otrzymali podobnie stanowczą odpowiedź. Potem Tweed i Paula ruszyli w kierunku wejścia do posiadłości. Paula ścisnęła go za ramię.

-Mogłabym przysiąc, że widziałam radiowóz zaparkowany przy murze.

-Też go widziałem. Nie mam pojęcia, kto to może być, ale mniejsza z tym. Na pewno nie przyjechali do tej okropności w ko-

ściele, bo w dzwonnicy wciąż pali się światło, a w kościele okna są ciemne. O, już jesteście.

Obchodząc posiadłość ścieżką, zauważyli, że światła palą się we wszystkich oknach na dole od strony wrzosowiska. Dochodziła stamtąd również muzyka.

Kiedy wspięli się po stopniach na taras, drzwi się otworzyły, zalewając go światłem. Lucinda miała teraz na sobie długą białą sukienkę. W rękę trzymała prawie pusty kieliszek do szampana. Podniosła go i wypła to, co jeszcze zostało. Trzymała się przy tym drzwi i lekko chiwała.

-Nieźle wstawiona - wyszeptła Paula.

-No witam, witam was oboje. Przyjęcie właśnie za-zaczyna się rozkręcać. Świe-świetnie się zapowiada. Weliodźcie do środka,

wy, nieroby.

Na powitanie zamknęła Tweeda w długim i namiętym uścisku, przywierając do niego całym ciałem. Jest naprawdę pijana, pomyślała Paula, kiedy Lucinda odwróciła się, żeby i ją uściskać, a potem wzięła ich okrycia i cisnęła je na jedną z kanap.

Tweed z uśmiechem wszedł do salonu i omiół go szybko wzrokiem. Spod sufitu zwisały różnokolorowe balony, a na stole królował wielki biały tort, jeszcze nietknięty. Aubrey leżał rozwalony na sofie, z wyciągniętą ze spodni koszulą. Na szczęście zdążył już gdzieś zgubić tę idiotyczną czapkę. Trzymał w rękę niebezpiecznie przechyloną szklankę szkockiej i uśmiechał się głupio na powitanie.

Larry, też ciepło uśmiechnięty, wciąż siedział u szczytu stołu. Naprzeciw niego tkwił Michael, sztywno jakby kij połknął, beznamiętnie wpatrując się w przestrzeń. Najwyraźniej nie zauważył nowych gości. Cała czwórka podejrzanych była obecna.

- Napij się.

Lucinda, z trudnością utrzymując w poziomie srebrną tacę, przyniosła Tweedowi kieliszek szampana. Ten pośpiesznie wziął

kieliszek do ręki. Paula usiadła na wolnym krześle przy stole, w miejscu, z którego mogła obserwować wszystkich obecnych w salonie. Tweed usiadł obok niej. Lucinda podała Pauli drugi kieliszek, a potem usiadła w fotelu po przeciwnej stronie stołu. Tweed, wciąż się uśmiechając, uniósł kieliszek.

- Zdrowie trojga gości! Czwarły jest mordercą i zabił już co najmniej pięcioro ludzi. Zdrówko! - rzucił lekkim tonem i łyknął szampana.

Paula osłupiała. Nie pamiętała, żeby Tweed kiedykolwiek rozpoczął rozmowę w tak obcesowy sposób. Ten zaś, popijając szampana, rozglądał się po salonie. Pierwszy zareagował Aubrey. Z zaskakującą łatwością podniósł się i usiadł prosto.

-Co to ma znaczyć, do cholery? Żart? Jeśli tak, to w bardzo złym guście.

-To nie żart - odrzekł Tweed przyjaznym tonem. - Morderca to chciwy sadysta, który masakruje ciała swoich ofiar.

-Podoba mi się pańskie poczucie humoru - włączył się do rozmowy Larry. - Bardzo oryginalne. Pana zdrowie!

-On chyba mówi poważnie - ostrzegł Aubrey, a potem pociągnął duży łyk szkockiej. Sięgnął po butelkę, napełnił szklanekę i wypił jeszcze trochę. Wpatrywał się uważnie w Tweeda swoimi wylupiastymi oczami.

-Tak, Aubrey. - Ton głosu Tweeda wciąż był pogodny. - Mówię zupełnie poważnie. Wydajesz się tym zaniepokojony.

-No wiesz, zaprosiliśmy cię na przyjęcie, a ty przychodzisz i zaczynasz...

-Aubrey - przerwał mu z uśmiechem Larry - nie znasz Tweeda i dlatego bierzesz jego słowa poważnie. To wielki błąd, zwłaszcza-

cza teraz, na chwilę przed krojeniem tortu. Dla pana duży kawałek? - spytał, zwracając się do Tweeda.

-Tak, proszę. Bardzo duży, jeśli można.

-Dla Pauli też, jak się domyślam - kontynuował Larry, wstając i zabierając się do krojenia tortu. - Upiekła go i przybrała pani Brogan, która może czasami bywa nieprzyjemna, ale za to w kuchni jest geniuszem.

Podał kawałek tortu Pauli, a potem Tweedowi. Lucinda wyprostowała się na swoim fotelu i obciągnęła sukienkę, żeby zasłonić nogę.

-A ja, Larry? Uwielbiam torty. Ten wygląda po prostu bosko.

-Już idę, kochanie - uspokoił ją Larry, manipulując z dużą wprawą nożem, którym wykroił dla Lucindy wyjątkowo du-





ży kawałek. Następny podał Aubreyowi, który już czekał pochylony.

-To dla mnie, mam nadzieję. Mógłbym zjeść cały ten tort.

-A co z Michael'em? - zapytała Paula.

Larry pokręcił głową.

-Nie lubi tortów. Właśnie spałaszował wielki kawał łososia z ziemniakami. Teraz pewnie nie może się ruszyć. Aubrey, nie po-

łknij wszystkiego naraz.

-Moje maniery przy stole nie pozostawiają nic do życzenia. Często jadam w Savoyu. Zna mnie tam szef sali i trzyma dla mnie

mój ulubiony stolik. Czy Tweed długo u nas zostanie?

-Tylko tyle, ile będę potrzebował, żeby zakończyć dochodzenie w sprawie serii morderstw - odrzekł Tweed z uśmiechem.

-Jestem głęboko dotknięty twoimi pomówieniami na temat... - zaczął Aubrey z pełnymi ustami; część ich zawartości wypadła na stół.

Larry syknął z odrazą, uśmiechnął się ironicznie i odezwał mentorskim tonem:

-Gdybyś tak zachowywał się w Savoyu, niedługo miałbyś tam swój stolik.

-Jak tam twoje śledztwo? - zapytała Lucinda, która kusząco upozowana w fotelu, wpatrywała się w Tweeda, trzepocząc zapamiętałe rzęsami.

-Prawie skończyłem - odrzekł, uważnie lustrując cały salon.

-Pamiętajcie, że cała sprawa zaczęła się w pobliżu Abbey Grange, kiedy znaleźliśmy z Paulą szkielet koło szlaku na wrzosowisku, tuż za waszymi oknami.

Paula zauważyła nagle wysoką postać niewyraźnie majaczącą na tarasie za oknem zasłoniętym firanką. Drzwi prowadzące na taras były uchylone. Paula rozłożyła sobie dużą serwetkę na kolanach, sprawdziła, czy goście jej nie obserwują, a potem wyciągnęła z wiszącej na krześle torby browning i wsunęła pod serwetkę. Kto mógł stać na tarasie?

-Ale czy to ma dowodzić... - zaczął Aubrey.

-Dowodzi to - wszedł mu w słowo Tweed - że ktokolwiek zabił maklera giełdowego, musiał działać szybko i zaryzykował popełnienie straszliwej zbrodni w bezpośrednim sąsiedztwie domu, w którym teraz siedzimy. To daje powód do pewnych podej-

rzeń.

-Powiedziałaś „maklera”? - dopytywał się Larry, odkładając kawałek tortu, który właśnie zaczął jeść. - Którego maklera zamordowano?

-Niejakiego Kenwooda z Haldon Street, maklera zajmującego się inwestowaniem na giełdzie czterystu milionów funtów pochodzących z rezerw Gantii, przelanych na konto fikcyjnej spółki, która potem zbankrutowała. Suma ta została zwrócona przelewem elektronicznym. Bez tych straszliwych morderstw był-

by to raczej zabawny popis buchalterii. - Tweed wciąż mówił przyjaznym tonem, popijając przy tym szampana.

Paula zaczynała rozumieć jego dziwne zachowanie. Zamiast jak zwykle od razu wziąć się ostro do roboty, wykorzystywał absurdalną atmosferę dziwnego przyjęcia, starając się wyprowadzić podejrzanych z równowagi.

-Ta ogromna suma - kontynuował - została następnie zainwestowana w akcje spółki z branży internetowej, Orlando Xanadu, podczas tej szalonej hossy, która panowała niedawno na giełdzie. Jak większość jej podobnych, spółka zbankrutowała, a skradzione czterysta milionów zostało bezpowrotnie utracone. Potem sprawa przybrała jeszcze gorszy obrót, bo nastąpiła seria wyjątkowo ohydnych morderstw.

-Skąd to wszystko wiesz? - wybuchnął Aubrey. - Przecież to jakieś bajki.

-Naprawdę?

Przyjemna atmosfera przyjęcia wyparowała bez śladu. W salonie wyraźnie dawało się teraz wyczuć napięcie. Uśmiech znikł z twarzy Larry'ego, a pojawił się na niej wyraz kamiennej powagi. Lucinda, która zazwyczaj siedziała nieruchomo, nie mogła się opanować i wciąż przesuwała poduszki, jakby chciała się wygodniej ułożyć. Aubrey również był zaniepokojony i wciąż zakładał nogę na nogę, raz jedną, raz drugą. Tylko Michael nie zareagował, wciąż siedział nieruchomo z prawej strony u szczytu stołu i tępo patrzył przed siebie.

Nagle otworzyły się drzwi i do salonu wpadł Drago Volkanian. Miał na sobie smoking, opinający jego szeroką pierś; guzik wyglądał, jakby zaraz miał odpaść z trzaskiem. Wszyscy osłupieli, z wyjątkiem Tweeda. Miał nadzieję, że jego aluzje do produkcji głowic rakietowych w końcu zwabią miliardera do Abbey Grange.

- To diabelnie fascynujące - zagrzmiał Volkanian. - Wystarczy, że wyjadę za granicę i już ktoś sięga garściami do kasy

i kradnie fortunę. Od pewnego czasu stoję na tarasie i słyszałem wszystko, co Tweed powiedział. Wracam do zdrady i ohydnych morderstw.

Larry z szacunkiem wstał natychmiast po wejściu swojego pracodawcy do pokoju. Również Aubrey, choć z trudnością, dźwignął się na nogi. Tylko Lucinda siedziała dalej, ręką odgarniając z twarzy kosmyk włosów.

-Witaj w domu, Drago - pozdrowiła go.

-Dziękuję za takie powitanie - odburknął.

Wielkimi krokami przeszedł wokół długiego stołu na stronę Tweeda i usiadł w fotelu stojącym obok Michaela. Paula przestraszyła się, że mebel rozpadnie się, kiedy Drago spróbuje wstać. Nastrój Dragona nagle się zmienił. Złożywszy wielkie dłonie na kolanach, przemówił spokojnie:

-Sądzę, panie Tweed, że najlepiej będzie, jeśli opowie pan nam resztę tej, jak to ujął Aubrey, bajki.

-Dziękuję - powiedział uprzejmie Tweed. - Ja z kolei sądzę, że to ważne, abyście wszyscy usłyszeli pozostałą część historii. Złodziej, który zrobił tę wielką dziurę w finansach Gantii - chociaż myślę, że Drago jest na tyle bogaty, że nie zagroziłoby to kondycji

finansowej firmy - spodziewał się, że dzięki fikcyjnej spółce przez

jakiś czas kradzież nie zostanie odkryta. Ale Lee Greystoke, która jak się domyślam, była bardzo inteligentna, została z zagranicy poproszona przez Dragona o kontrolę finansów firmy. - Spojrzał na Dragona, który tylko kiwnął głową. - Lee stała się więc niebez-

pieczna i wkrótce została zabita, a jej ciało zmasakrowane tym sa-

mym nożem, którym podeźnięto jej gardło. To nie była wielka strata, Aubrey, biorąc pod uwagę twój harem...

-Chcesz powiedzieć, że to ja ją zabiłem? - zaprotestował Aubrey, zrywając się na równe nogi.

-Powiedziałem tylko, że jej zabójstwo nie zmartwiłoby cię zbyt.

-Protestuję przeciwko tym ohydny... - zaczął krzyczeć Aubrey.

-Siadaj - rozkazał cicho Drago - i się nie ruszaj.

-Ciało Lee zostało wrzucone do szybu kopalni - kontynuował Tweed, kiedy Aubrey opadł z powrotem na sofę - znajdującej się niedaleko Abbey Grange. Stało się tak, ponieważ przeniesienie ciała gdzie indziej byłoby zbyt niebezpieczne.

-Brzmi strasznie, ale to bardzo prawdopodobne - skomentowała Lucinda.

-To dziwne - mówił dalej Tweed - ale morderca odkrył, że Christine Barton, biegła rewident, którą prawdopodobnie również wynajął Drago... - przerwał, a Drago ponownie skinął głową - sprawdziła wszystkie dokumenty księgowości. Oczywiście reakcją było zamordowanie Christine w jej własnym domu w Londynie. Ciało zostało następnie ukryte w lodówce.

-Morderca zapewne zastanawiał się, kiedy to wszystko się skończy - ciągnął Tweed. - Następnie, jak zgaduję, po zamordowaniu Christine, morderca przeszukał mieszkanie, odnalazł raport i rachunek od prywatnego detektywa, Jacksona, na którym widniał jego adres na barce mieszkalnej w Wensford. Jackson musiał więc umrzeć i również jego ciało zostało dla przyjemności zbezczeszczone. Nasz morderca uwielbia ćwiartować zwłoki, ta okropna czynność jest dla niego źródłem podniecenia.

-Jakie to straszne - wtrąciła Lucinda, krzywiąc się z niesmakiem.

-Zgadzam się z tobą - odrzekł Tweed. - Doszedłem do wniosku, że mordercą musi być osoba powiązana z Abbey Grange oraz

pracująca w Gantii. Inaczej skąd wiedziałyby o Christine i o Lee? Trudno się nie zgodzić, prawda, Aubrey?

-Dlaczego mnie pytasz? - wykrztusił Aubrey, rozlewając whisky na swoją koszulę.

W tym właśnie momencie Michael, który prawdopodobnie nic nie rozumiał z dedukcji Tweeda, wstał i ruszył w stronę drzwi. Szttywnymi krokami szedł w kierunku schodów prowadzących do jego sypialni.

U stóp schodów zatrzymał się, z prawą ręką wspartą na rzeźbionej w drewnie głowie, która ozdabiała najniższy słupek poręczy. Kiedy ruszył powoli schodami w górę, Paula zauważyła, że ma niezawiązane buty. Sznurówki ciągnęły się za nim po podłodze i w każdej chwili mógł się o nie potknąć. Otworzyła usta, a potem zamknęła je, przypominając sobie, że przecież on na pewno nie zareaguje.

Michael dotarł do ostatniego stopnia przed podestem. Nagle przydepnął sznurówki, stracił równowagę i z łoskotem spadł ze schodów, uderzając potylicą o ozdobę w kształcie ludzkiej głowy.

Niemal wszyscy skoczyli na równe nogi. Drago spróbował uczynić to samo, ale nie zdołał wydostać się szybko z fotela i został w nim, klnąc pod nosem.

Lucinda pierwsza dotarła do leżącego twarzą w dół Michaela i sprawdziła mu puls. Odwróciła się do reszty zgromadzonych.

- Żyje. Puls ma normalny.

Podczas gdy za jej plecami Michael starał się wstać, Lucinda

podbiegła do telefonu. Paula pierwsza zauważyła, że oczy Michaela nie są już zamglone, a spojrzenie martwe. Rozglądał się po salonie. Ponieważ przez tak długi czas nie odezwał się ani słowem, wszyscy doznali wstrząsu, kiedy przemówił, wyraźnie i oskarżycielsko wymawiając słowa:

-Byłem świadkiem morderstwa.

-Co? - wykrztusił Aubrey.

Michael rzucił jeszcze jedno słowo:

-Tam.

Podniósł rękę i wskazał palcem mordercę.

Wszyscy zamarli. Z wyjątkiem Michaela, który powoli szedł na przód z uniesionym oskarżycielsko palcem. Osoba, którą wskazywał, również znieruchomiała, ale tylko na chwilę. Lucinda odłożyła słuchawkę telefonu, z którego nigdzie nie zdążyła zadzwonić.

Przez chwilę wpatrywała się we wycelowany w nią palec, a potem wzruszyła ramionami. Wróciła do swojego fotela, usiadła, odsunęła poduszkę, pod którą ukryta była jej torebka, i włożyła do niej rękę.

-Przecież on jest szalony - powiedziała spokojnie. - Najpierw ta amnezja po uderzeniu w głowę, kiedy spadł ze schodów po raz pierwszy. A teraz już zupełnie mu odbiło.

-Widziałem cię - rzekł Michael wyraźnie i spokojnie. - Wróciłem wtedy wcześniej z biura. Zaparkowałem samochód na skraju wrzosowiska, zaraz za Post Lacey. Zawsze tamtędy wracam. Dlatego nie usłyszałaś, że nadchodzę...

-Zupełnie oszalałaś...

-Nie, to ty oszalałaś. Szedłem szlakiem przy świetle księżyca. Widziałem, jak łapiasz Lee od tyłu za włosy, a potem podrzynasz jej gardło, obracasz nóż i tniesz dalej. Struchlałem. Odcinałaś kawałki ciała i wrzucałaś je do plastikowej torby. Potem zaciągnęłaś to, co z niej zostało, do szybu i zrzuciłaś na dno.

-Potrzebny ci lekarz - powiedziała i zapaliła papierosa.

-Oszupiałaś, kiedy mnie zobaczyłaś - mówił dalej Michael. - Złapałaś mnie za ramię i razem poszliśmy do domu. Bez przerw do mnie mówiłaś, że niby Lee cię zaatakowała. Zaciągnęłaś mnie do domu, a ja nie mogłem zdecydować, czy mówisz prawdę,

czy nie. Zaprowadziłaś mnie na schody. Tam powiedziałaś, że

skręciłaś kostkę. Nagle znalazłaś się przede mną, o stopień wyżej. Odwróciłaś się i pchnęłaś mnie z całych sił. Zleciałem aż na sam dół, tak samo jak przed chwilą. Uderzyłem głową w najniższy słupek poręczy i straciłem przytomność.

- No to jesteśmy w domu - powiedział Tweed. - Potrzebny nam tylko jeden świadek jednego morderstwa. Jest nim Michael.

Lucinda skoczyła na równe nogi. W prawej ręce ścisnęła wyciągnięty z torebki nóż. Ruszyła pędem w kierunku Michaela. Wszyscy byli zbyt zaskoczeni, żeby zareagować. Wszyscy, z wyjątkiem Pauli.

- Bez świadka! - krzyknęła Lucinda. - Bez świadka - wrzasnęła jeszcze raz - nic nie możesz zrobić!

Uniosła nóż, gotowa zabić Michaela. Paula już przy niej była, trzymając oburącz browning wydobyty spod serwetki. Krzyknęła ostrzegawczo:

- Rzuć nóż, bo strzelę!

Lucinda się odwróciła. Wyraz jej twarzy przeraził Paulę. Za zaciśniętymi w szparki powiekami czaiły się oczy pełne nienawiści i okrucieństwa. Usta były wykrzywione w krwiożerczym, zwierzęcym grymasie. To nie była już ludzka twarz.

Skoczyła ku Pauli z uniesionym nożem. Paula bezwiednie zauważyła, że nóż ma dwa ostrza: jedno gładkie, drugie ząbkowane. Oba były pokryte brunatnymi plamami.

- Będę strzelać! - krzyknęła.

To nie zatrzymało Lucindy. Zbliżała się do niej błyskawicznie, kurczowo ściskając nóż.

- Zawsze stałaś mi na drodze! - krzyknęła.

Paula strzeliła. Pocisk uderzył w pierś Lucindy. Trysnęła krew. Lucinda biegła dalej. Paula strzeliła drugi raz, a potem trzeci. Na twarzy Lucindy pojawiło się zaskoczenie, niedowierzanie. Zatrzymała, zachwiała się i upadła do przodu, uderzając twarzą w podłogę. Znieruchomiała.

Tweed sprawdził jej puls na szyi, spojrzął na Paulę i potrząsnął głową. Z tarasu ktoś wbiegł do salonu. Tweed patrzył na przybysza z osłupieniem w oczach. Był to nadinspektor Buchanan. Tweed podniósł się i złożył do strzału z walthera, ale nie odważył się go użyć, bo na linii strzału stała Paula. Buchanan z władcą miną wyszedł na środek pokoju.

- To wciąż twoja sprawa, Tweed, więc możesz mnie uważać za osłonę. Widziałem i słyszałem wszystko przez okno tarasu. Pan Drago Volkanian uprzejmie zareagował na moje znaki i nie zdradził mnie, kiedy stał na tarasie.

- Zabiłam kobietę - odezwała się cicho Paula. - Zabiłam kobietę.

Była w szoku. Dramatyczne zakończenie ciężkiego, pełnego okropnych wydarzeń dnia, całkowicie ją wyczerpało. Tweed otoczył ją ramieniem, a lewą ręką ujął lufę browninga i wyjął go jek z dłoni. Wrzucił broń do plastikowej torebki na odpady.

-Będę musiała stanąć przed sądem - powiedziała tym samym cichym głosem. - Będę musiała...

-Nonsens - przerwał jej Buchanan. - Strzelałaś w obronie własnej. Masz mnóstwo świadków, łącznie ze mną, którzy bez wa-

hania to potwierdzą. Nie będzie żadnego procesu. Co najwyżej będziesz musiała złożyć zeznanie. To wystarczy.

-Powinniśmy zadzwonić po karetkę - odezwał się Tweed.

- Już jedzie. - Buchanan pomachał telefonem komórkowym.

Tweed spojrzął na Dragona Volkaniana. Miliarder nawet nie próbował się podnieść z fotela. Wyglądał na oszołomionego i prawdopodobnie po raz pierwszy w swoim życiu był oszołomiony. Posadziwszy Paulę wygodnie w fotelu, Tweed podszedł do Dragona.

- Wszystko w porządku?

-A więc to Lucinda była sprawczynią tych straszliwych morderstw? Kobieta?

-Nie mam co do tego wątpliwości. Kobiety w tych czasach parają się również zabijaniem. Nie czyta pan gazet? Mamy prze-



cież równouprawnienie - odparł ironicznie Tweed.

## Epilog

Trzy tygodnie później cały zespół zgromadził się w biurze przy Park Crescent. Przybyli, żeby przywitać Paulę, która znów siedziała za biurkiem, pełna energii jak dawniej. Z krótką wizytą pojawił się wcześniej Buchanan, który mimo nalegań Tweeda nawet nie usiadł.

Zamiast tego z uśmiechem skierował się prosto do biurka Pauli. Spojrzała na niego z niepokojem.

-Masz to już z głowy - oznajmił. - Złożyłaś zeznanie, którego kopię wysłałem razem z zeznaniami innych świadków do prokuratora. Dokumenty wróciły do mnie z jednoznaczną notatką: „Po co przysłałeś mi te papiery? Przecież widać jak na dłoni, że nie mogę postawić zarzutów. Marnujesz tylko mój czas”!

-Dziękuję, że przyszedłeś mi o tym powiedzieć - odparła Paula swoim normalnym głosem: - Dziwna rzecz, ale ja nawet lubiłam Lucindę. Była taka energiczna\*

-Nie zapominaj, z jaką energią masakrowała ciała swoich ofiar - przypomniał jej Buchanan. - No, muszę już iść.

-Wczoraj wieczorem znalazłem coś w kieszeni kurtki - odezwał się Marler. - Przepraszam, ale w pośpiechu o tym zapomnia-

łem. Zanim wrzuciliśmy ciało Charmiana do tego kanału koło Stonehenge, szybko go przeszukałem i wyjąłem znaleziony w kieszeni portfel.

-Było w nim coś ciekawego? - spytał Tweed.

-Doskonale podrobiony paszport na angielskie nazwisko, sporo funciaków. - Przerwał na chwilę. - Oraz licencja zezwalają-

ca na pilotowanie lekkich samolotów.

-Ten samolot, który obserwowałam! - zawołała Paula. - Najpierw leciał za nami w czapie naszej wizyty, kiedy Michael dopro-

wadził nas do Abbey Grange. Potem, kiedy jechaliśmy drogą A303 i musieliśmy się zatrzymać, bo skradziona ciężarówka Gantii tarasowała jezdnię. Więc ten pocisk, który przeleciał przez okno samochodu i chybił o włos...

-Oczywiście wystrzelił go Charmian - dokończył Marler. - Na szczęście nie popisał się wtedy.

-Cudem uniknąłem śmierci - zauważył Tweed.

Newman pomachał najnowszym wydaniem „Daily Nation”, którą właśnie czytał.

-Chyba nie znacie najnowszych wiadomości. Wczoraj w nocy cztery amerykańskie bombowce B52 przeleciały nad Angorą i zrównały z ziemią ich bazę raketową na pustyni.

-Lepiej późno niż wcale - skomentował sucho Tweed. - Trzy tygodnie po tym, jak zniszczyliśmy frachtowiec i jego śmiercionośny ładunek. Gdybyśmy tego nie zrobili, statek byłby już w porcie w Angorze, głowice zostałyby szybko przetransportowane do bazy, a potem odpaliliby rakiety.

-Muszę jeszcze odwdziżyć się za pewną przysługę - powiedział Marler. - Jaki jest prywatny numer do Lorienta?

Tweed zapisał na karteczce numer szefa francuskiego kontrwywiadu. Podając ją Marlerowi, zastanawiał się, co on zamierza zrobić.

-Czy to pan Lorient? - spytał Marler, wykręciwszy numer.

-Oui. A to jest Marler. Rozpoznałem ten głos.

Lorient lubił się chwalić swoją znajomością angielskiego.

- Dzwonię, żeby powiedzieć, że nie musicie się już martwić o Charmiana. Zajęliśmy się nim tutaj. To cześć!

Siedzący w swoim paryskim biurze Lorient zaśmiał się pod nosem i odwrócił do swojej asystentki, Mariannę.

- Przekaż dalej dobrą wiadomość. Charmiana już nie ma. Wiesz, co powiedział Marler? „Zajęliśmy się nim tutaj”. Uwielbiam te angielskie niedopowiedzenia.